

**Anita Shreve**

**Ostatni Raz**

*(The Last Time They Met)*

*Przełożyła Magdalena Gawlik-Małkowska*

**Część pierwsza**

**Pięćdziesiąt dwa**

Wyszła z samolotu; jazda z lotniska zacierała się już w jej pamięci. Choć był kwietniowy dzień, aura północnego klimatu w kanadyjskim mieście nie kryła w sobie najmniejszej zapowiedzi wiosny. Gdy wysiadała z samochodu, deszcz zmoczył jej pończochy. Kierowca litościwie milczał przez całą, zapomnianą już drogę do hotelu. Próbowwała iść z godnością, mając widownię w osobie portiera w liberii oraz mężczyzny w ciemnym płaszczu wychodzącego przez obrotowe drzwi, lecz ciężki bagaż uniemożliwiał poruszanie się z gracją. Mężczyzna w ciemnym płaszczu zawahał się, otwierając parasol, który nagłym, płynnym ruchem wyrzucił się na drugą stronę. Jego właściciel najpierw okazał zdumienie, po czym z rozmyślnym rozbawieniem – teraz ona była jego widownią – cisnął beużyteczny przedmiot do kosza i podążył przed siebie.

Nie chciała, aby ktoś niósł jej walizkę, i gdyby nie złocenia oraz wypolerowany mosiądz u wejścia do hotelu, chętnie odprawiłaby portiera. Nie spodziewała się widoku wysokich kolumn sięgających sufitu, który ginął gdzieś w górze, ani czerwonego dywanu, w sam raz na koronację. Portier w milczeniu, z przesadną wytwornością przekazał walizkę boyowi, jakby powierzał mu cenny skarb. Minawszy zdecydowanie kosztowne meble, skierowała się w stronę recepcji.

Linda, która dawniej niechętnie ujawniała swe pospolite imię, posłusznie podała kartę kredytową recepcjoniście, podpisała się na skrawku papieru i sięgnęła po klucze, jeden plastikowy, drugi krzepiąco prawdziwy. Następnie poszła do windy, zauważając po drodze ustawiony na mahoniowym stoliku bukiet hortensji oraz lilii wysokości dziesięciolatka. Pomimo elegancji hotelu muzyka w windzie była ckliwa i banalna; Linda zastanawiała się, jakim cudem ów szczegół mógł umknąć uwagi obsługi. Podążając za strzałkami, ruszyła przestronnym, wyciszonym korytarzem powstałym w epoce, gdy przestrzeń nie była luksusem.

Ciężkie, białe drzwi jej pokoju otworzyły się z cichym szcęknięciem. Obwieszony lustrami przedpokój przechodził w salonik z ciężkimi draperiami w oknach, skąd ozdobione firankami szklane drzwi prowadziły do sypialni większej niż pokój dzienny we własnym domu Lindy. Ciężar niechcianego obowiązku na chwilę ustąpił miejsca ostrożnej satysfakcji na widok luksusu wokół. Potem jednak spojrzała na śnieżnobiałe lniane poduszki na wielkim łożu, i fakt, że miała je tylko dla siebie, uznała za zbytek – teraz zadowoliliby się wąskim pościelaniem w ciasnym pokoju, ponieważ przestała traktować łóżko jako miejsce, gdzie można dawać i brać miłość.

Siedziała przez chwilę w mokrym płaszczu, czekając, aż boy przyniesie jej bagaż. Przymknęła oczy, próbując się odprężyć, co zawsze przychodziło jej z trudem. Nigdy nie uczestniczyła w kursach jogi i nie była zwolenniczką medytowania, gdyż uważała, że podobne metody dowodziły kapitulacji i uznania własnej porażki w obcowaniu z rzeczywistym życiem, jej odwiecznym kochankiem.

Otworzyła drzwi młodemu boyowi i wysokim napiwkami wynagrodziła mu przyniesienie żałośnie małego bagażu. Uświadomiła sobie, że chłopak obrzucił ją spojrzeniem mężczyzny taksującego wzrokiem dość młodą jeszcze kobietę. Podeszła do okna i rozsunała zasłony. Białe światło deszczowego dnia pozostawało w ostrym kontraście z półmrokiem panującym w pokoju. Za oknem widniał mglisty zarys budynków, mokre ulice połyskiwały, a zza drapaczy chmur wyglądało poszarzałe jezioro. Dwie noce w pokoju hotelowym: może do niedzielnego poranka zapamięta numer i nie będzie musiała pytać w recepcji, jak często jej się zdarzało. W przeciwieństwie do recepcjonistów była przekonana, że jej roztargnienie stanowi zjawisko czysto fizyczne: miała zbyt wiele spraw do przemyślenia i za mało czasu, by poświęcić wszystkim dostateczną ilość uwagi. Dawno temu pogodziła się z tym, że potrzebuje dużo czasu na myślenie (więcej niż, jak zaobserwowała, wymagali lub pragnęli mieć inni), i w miarę upływu lat nauczyła się wierzyć, że jest to element jej profesji, sztuki, podczas gdy w gruncie rzeczy było całkiem na odwrót: to duch szukał zajęcia, a gdy go nie znajdował, rodziło się niezadowolenie.

Owa sztuka zawierała w sobie element fałszu. Dlatego Linda zawsze szła do podium z przygnębieniem, które nie do końca umiała ukryć, kuląc ramiona pod bluzką czy żakietem i unikając wzroku słuchaczy, zupełnie jakby zgromadzeni ludzie mieli ją zaatakować, oskarżyć o oszustwo. Oszustwo, którego – jak sama uważała – w istocie była winna. Nie istniało nic łatwiejszego a zarazem bardziej morderczego niż układanie długich wersów, które publikował jej wydawca – łatwego, gdyż były to po prostu marzenia utrwalone na papierze; morderczego zaś w chwili, gdy odzyskując świadomość (dzwonek telefonu, trzask pieca w piwnicy), spoglądała na zapisaną stronicę, pierwszy raz dostrzegając zafałszowane obrazy, manipulację, naciągane gry słów i chytre czterowiersze – a wszystko to w sprzyjających warunkach układało się po jej myśli. Tworzyła, jak jej mówiono, poezję przystępną; cudowne i pojemne określenie, odpowiednie zarówno w kontekście jadowitej krytyki, jak i wielkiej pochwały. W swoim mniemaniu nie zasługiwała ani na jedno, ani na drugie. Jej najszczerzym pragnieniem było tworzyć anonimowo, choć przestała wspominać o tym wydawcom, urażonym jawną niewdzięcznością za lata długotrwałej – i zmuszonej? – promocji, która wreszcie zaczynała się opłacać. Kilka z jej zbiorów sprzedawało się nieźle (przy czym jeden z nich nadzwyczaj dobrze) z nieprzewidzianych i niezrozumiałych przyczyn, co przypisywano bliżej niejasnemu zjawisku o nazwie “poczty pantoflowej”.

Rozłożyła na kretonowej narzucie swój dobytek: oliwkową walizkę, osobną torbę na komputer (dla ułatwienia kontroli celnej) i torebkę z ośmioma przegrodami na telefon komórkowy, notes, pióro, prawo jazdy, karty kredytowe, krem do rąk, szminkę oraz okulary przeciwsłoneczne. Nie zdejmując płaszcza, skorzystała z łazienki, a następnie odszukała pojemniczki na soczewki kontaktowe, zabrudzone powietrzem w samolocie i dymem z baru na lotnisku oraz czterogodzinnym postojem w Dallas, zakończonym kapitulacją wobec talerza

nachos i dietetycznej coki. Gdy zdejmowała soczewki, ogarnął ją przyływ ulgi, której niezmiennie doznawała w pokoju hotelowym: było to miejsce, gdzie nikt nie miał dostępu.

Ponownie usiadła na wielkim łożu, mając za plecami dwie poduszki. Na przeciwległej ścianie wisiało złożone lustro mieszczące odbicie całego łóżka. Spoglądając na nie, Linda mimowolnie pomyślała o licznych nazwanych i nienazwanych aktach, które mogły się tutaj rozegrać (uważała mężczyzn za szczególnie podatnych na działanie luster w hotelowych pokojach), co nieuchronnie doprowadziło do rozmyślań na temat wielorakich substancji, które wylały się lub opadły na tę właśnie narzutę (ile razy? może tysiąc?), i pokój natychmiast wypełnił się historiami. O żonatym mężczyźnie, który darzył wielkim uczuciem żonę, lecz mógł kochać się z nią jedynie raz w miesiącu, ponieważ uzależnił się od seksualnych fantazji na temat jej ciała przed hotelowymi lustrami podczas licznych delegacji. O mężczyźnie, który namówił swą partnerkę w interesach do pewnej czynności, i z przyjemnością obserwował poruszającą się głowę kobiety w lustrze nad komodą, by w końcu opaść bezwładnie na pościel i wyznać – co w rezultacie kosztowało go utratę pracy – że ma opryszczkę (dlaczego tak się dzisiaj uwzięła na mężczyzn?). O niezbyt urodziwej kobiecie, która tańczyła nago przed lustrem, czego nigdy nie próbowała w domu i więcej nie ośmieliła się zrobić (tak, teraz lepiej). Zdjęła okulary, żeby nic nie widzieć. Oparła się o wezglowie i przymknęła oczy.

Nie miała nic do powiedzenia. Powiedziała już wszystko. Napisała wszystkie wiersze, które miała napisać. Choć jej wizje zasilano coś wielkiego i niezmiernego, zaliczała się do grona średnich poetów. Po prostu dopisało jej szczęście. Dziś wieczorem da się poprowadzić wydarzeniom, szybko przejdzie do pytań i odpowiedzi – pozwoli, by publiczność nadała ton spotkaniu. To nie potrwa długo. Ceniła zjazdy literatów z określonego powodu: miała być jedną z wielu pisarzy i poetów (z przewagą tych pierwszych), z których większość cieszyła się większą sławą niż ona. Czuła, że powinna przestudiować program przed pójściem na koktajl, by zawnocześnie znaleźć sobie towarzysza i nie podpierać ściany samotnie, co nikomu nie przydawało popularności i czyniło kobietę łatwym celem polowania. Gdyby jednak przeczytała program, zbyt szybko dałaby się opanować atmosferze nadchodzącego wieczoru, na co nie miała ochoty. Ostatnio strasznie się nad sobą trzęsła. Tak jakby było nad czym.

Ze znajdującej się dwanaście pięter niżej ulicy dobiegł warkot dużej maszyny. Na korytarzu rozległy się wzburzone głosy, kobiece i męski.

Linda czerpała przyjemność z pisania. Wciąż pamiętała (antidotum na melancholię?) radość płynącą z kreślenia ołówkiem równych linijek, wyćwiczoną pochyłość tekstu w pierwszym zeszycie (staranne i okrągłe “u” w “umiarkowaniu”, eleganckie “z” w “zawiści”). Obecnie kolekcjonowała stare zeszyty, małe egzemplifikacje starannej kaligrafii. Była przekonana, że obcuje z prawdziwą sztuką. Oprawiła kilka pojedynczych kartek i powiesiła je na ścianach gabinetu w domu. Zeszyty, pełne szkolnych zadań anonimowych, od dawna nieżyjących

dziewcząt, właściwie nie miały żadnej wartości – rzadko kiedy płaciła za nie w antykwariatach więcej niż pięć czy dziesięć dolarów – mimo to cieszyły ją niewymownie: czuła, że dla niej pisanie osadzało się na samym akcie tworzenia, choć jej własny charakter pisma był koszmarny i prawie nieczytelny.

Wstała i wsunęła okulary na nos. Zerknęła w lustro. Dzisiaj wyszuka długie kolczyki z różowymi kamieniami i pomaluje usta pasującą szminką. Raz jeszcze włoży soczewki kontaktowe. I tyle. Oglądana pod pewnym kątem mogłaby po prostu zniknąć.

Po co jeszcze pokazywała się światu?

Przyjęcie odbywało się w sali zarezerwowanej na podobne okazje – zapewne z uwagi na widok z okna, choć miasto na zewnątrz szarzało i zapadał zmrok. Mrugały światła i nie można było oprzeć się wrażeniu, że niektóre kobiety rozbierają się właśnie, a mężczyźni w poluzowanych krawatach nalewają drinki. Istniały też inne, bardziej groteskowe scenariusze.

Szyba zdrzała od podmuchu podobnego do tego, który potargał włosy Lindy. Lamy na moment przygasły, powodując przerwę w konwersacji, pauzę, podczas której wszystkim nasunęła się nieodparta myśl o panice w zaciemnionym hotelu i dłoniach wędrujących w ciemności. Poprzez głosy przebijała się okropna muzyka, krewna poprzednich mdłych taktów z windy. Linda nie dostrzegła żadnych znajomych twarzy; zaniepokoiło ją to nieco. Kiedy przysła, w sali znajdowało się jakieś dwadzieścia pięć osób, większość trzymała w dłoniach kieliszki, stojąc w, jak się wydawało, zaprzyjaźnionych grupkach. Pod jedną ze ścian znajdował się stół zastawiony konwencjonalnymi przystawkami. Położyła torebkę obok krzesła przy drzwiach i podeszła do baru. Poprosiła o kieliszek wina, przewidując, że chardonnay nie dorówna jakością dywanowi koronacyjnemu i bukietom wzrostu chłopców. Nie pomyliła się co do tego.

Jakiś damski głos wymówił jej nazwisko i Linda dostrzegła wyciągniętą rękę należącą do drobnej kobiety w wełnianym kostiumie o barwie irysów. Miło było popatrzeć na kogoś, kto nie był ubrany w czerń, jak prawie wszyscy w obecnych czasach, co jednak należało złożyć na karb prowincjonalności. Linda uściśnęła podaną dłoń wilgotną i zimną od kieliszka ręką.

– Nazywam się Susan Sefton, należę do organizatorek zjazdu. Jestem pani wielbicielek. Chciałam podziękować za przybycie.

– Ach. To ja dziękuję – odrzekła Linda. – Nie mogłam się doczekać – skłamała.

Kobieta miała ostre zęby, ale piękne zielone oczy. Trudniła się zawodowo organizacją takich imprez?

– Za około pół godziny wyjdziemy przed hotel, skąd autobus zabierze nas do restauracji Le Matin. To bistro. Lubi pani kuchnię francuską?

Odpowiedź zapewne nie miała znaczenia, lecz Linda skinęła głową twierdząco.

Pomysł wożenia ludzi na kolację przywodził jej na myśl wycieczkę emerytów. Wrażenie nasiliło się, gdy ją poinformowano, że kolacja została zaplanowana wcześniej z uwagi na

harmonogram wystąpień.

– Potem każdy autor będzie zawieszony na swój odczyt. Mamy cztery różne miejsca spotkań.  
– Susan spojrzała w winylowy segregator z kolorowymi tabelami. – Pani jest w Red Wing Hall. Godzina dziewiąta trzydzieści.

Co gwarantuje niewielu słuchaczy, pomyślała Linda, ale powstrzymała się od komentarza. Większość słuchaczy – a także pisarzy – o wpół do dziesiątej będzie się szykowała do powrotu.

– Zna pani Roberta Seizeka?

Nazwisko brzmiało znajomo, choć Linda nie zdołała powiązać go z żadnym tytułem ani nawet gatunkiem literackim. Wykonała głową ruch, który mógł zostać odczytany jako potwierdzenie.

– Wystąpicie razem – oznajmiła organizatorka, i Linda zrozumiała, że stanowi jedynie połowiczną atrakcję. – Tak jest w programie – dorzuciła obronnym tonem kobieta, być może w odpowiedzi na rozczarowane spojrzenie swej rozmówczyni. – Nie dostała go pani?

Dostała, ale wołała zaprzeczyć, uznając, że nieprzeczytanie harmonogramu zakrawało na jawny nietakt.

– Dopilnuję, aby go pani dostarczono – zapewniła ją organizatorka.

Ostre zęby znikły, gdy jej uśmiech zgasł. Linda była tylko jedną z rzeszy krnąbrnych pisarek, za które odpowiadała Susan Sefton, w większości niezorganizowanych i zbyt pochłoniętych sobą, by robić to, czego od nich oczekiwano. Jej znaczące spojrzenie padło na klatkę piersiową Lindy.

– Musi pani nosić identyfikator. Dołączono go do materiałów – rzuciła.

Zasada, przeciwko której pisarze na pewno się zbuntują, pomyślała Linda, rozglądając się po sali wypełnionej białymi identyfikatorami z plastiku przypiętymi do kłap i bluzek.

– Poznała już pani Roberta? Zapoznam was – dodała Susan Safton, nie czekając na odpowiedź.

Przerwała rozmowę trzem mężczyznom, z których żaden nie wydawał się z tego powodu zachwycony. Rozmowa dotyczyła komputerów (można się było spodziewać) oraz akcji technicznych, które należało kiedyś kupić, gdyby tylko człowiek na to wpadł. Seizek miał dużą – można rzec, lwią – głowę i jeszcze większe ciało, świadczące o upodobaniach, o których mówiły jego niemal zabójczy oddech oraz z lekka rozkołysane ciało, sprawiające wrażenie, jakby przymocowano je do innego żyroskopu niż ciała pozostałych. Może ostatecznie uda jej się wystąpić solo. Jeden z pozostałych dwóch mężczyzn mówił przyjemnym dla ucha australijskim akcentem i Linda wywnioskowała (jak w wypadku audycji radiowej, którą włącza się w trakcie), że był pisarzem, o którym w świetnej recenzji z ostatniego dziennika niedzielnego napisano, że jego proza jest “jasna i zajmująca”, a spostrzeżenia “cięte i błyskotliwe”. (Powieść opowiadała o australijskim naukowcu? Wytężyła pamięć. Nie, o inżynierze.). I niemożliwością było, pomimo nadużywanych i dlatego zdewaluowanych słów pochwały, nie popatrzeć na niego

z zainteresowaniem większym niż jeszcze minutę temu. Gdzie król, tam czapki z głów, skonstatowała z niezadowoleniem. Dostrzegła też, że pozostali dwaj rozmówcy stoją lekko zwrócenii w stronę wyróżnionego, jak za sprawą potężnego magnesu.

– A pani, pani Fallon – rzucił ochryple Seizek – uważa, że jej pojmowanie miłości wynika bardziej z doświadczenia czy też z lektur?

Kolejna rozmowa, z której dotarły do niej jedynie skrawki. Trzeci pisarz traktował ją jak powietrze. Byłoby jednak niesprawiedliwie uznać go za geja. Dziwne, pomyślała Linda, że mężczyźni dyskutują o miłości, że dyskutowali o niej, zanim do nich podeszła, chociaż to temat podobno zarezerwowany dla kobiet.

– Z doświadczenia – odparła bez wahania. – Nikt nigdy trafnie nie opisał małżeństwa.

– Powieść tego nie potrafi, prawda? – zapytał Australijczyk swoją angielszczyzną z antypodów. – Małżeństwo wymyka się literaturze. Trudno w tym wypadku o zadowalającą konstrukcję lub interesujący dialog.

– Pisz pani o miłości? – odezwał się do Lindy mężczyzna, który nie mógł być gejem, nieoczekiwanie ją zauważając. Poczła mimowolne zadowolenie, że ktoś zna jej twórczość.

– Owszem – odrzekła, otwarcie zaznaczając własne zdanie w tej dziedzinie. – Uważam, że to centralny dramat naszego życia. – Natychmiast jednak złagodziła odważną wymowę tego stwierdzenia. – To znaczy, dla większości z nas.

– A nie śmierć? – rzucił z pijacką przekorą Seizek.

– Postrzegam ją jako fragment całości – odrzekła. – Wobec śmierci każda miłość skazana jest na przegraną.

– Przyjmuję, że nie wierzy pani w miłość poza grób? – zagadnął Australijczyk.

Istotnie nie wierzyła, choć próbowała. Po Vincencie.

– Dlaczego centralny? – zapytał trzeci mężczyzna. Nazywał się William Wingate.

– Zawiera w sobie wszystkie elementy dramatu – wyjaśniła. – Namiętność, zazdrość, zdradę, ryzyko. Jest niemal uniwersalna. To coś niezwykłego, co się przytrafia zwykłym ludziom.

– A jednak niezbyt to modny temat, miłość – wtrącił pogardliwie Seizek.

– Niezbyt – przyznała. – Lecz z mojego doświadczenia wynika, że moda nie posiada wiele wspólnego z tym, co istotne.

– Nie, oczywiście, że nie – przyznał spiesznie, nie chcąc, aby uznano, że nie orientuje się w tym, co ważne.

Pod wpływem nagłego ataku głodu Linda odpłynęła myślami od tematu. Od hotelowego śniadania w mieście oddalonym o ponad tysiąc kilometrów stąd nie miała nic w ustach (jeśli nie liczyć małych, niejadalnych trapezyków nachos). Zapytała swoich towarzyszy, czy nie zamierzają skorzystać z bufetu; miała ochotę na krakersa, była głodna, nic nie jadła od śniadania. Nie chcieli, ale oczywiście niech ona idzie. Salsa jest tu całkiem przyzwoita, zapewnili Linde; oni i tak przez



najbliższą godzinę nie tkną niczego. A przy okazji, czy ktoś zna tę restaurację? Odwracając się od nich, pomyślała, że jeszcze rok, dwa lata wcześniej jeden z tych mężczyzn zaprowadziłby ją do stołu, traktując to jako dobrą okazję do zawarcia bliższej znajomości. Ironia upływającego czasu, pomyślała. Kiedy nie narzekała na brak uwagi ze strony płci przeciwnej, nie zależało jej na zainteresowaniu mężczyzn.

Niewielkie kolorowe miseczki z potrawami budziły pewne wątpliwości co do swego pochodzenia: zielone to pewnie guacamole, czerwone to z pewnością owa “przyzwoita” salsa, a w różowych jest chyba sos z krabów albo krewetek. Danie o barwie szarawego beżu zbiło Linde z tropu: w żadnym razie nie był to odpowiedni kolor dla żywności. Linda sięgnęła po mały papierowy talerz – organizatorzy nie wzięli pod uwagę apetytu gości – i usłyszała szmer, jak gdyby ktoś minimalnie ściszył głośność. Z kąta dobiegło wyszeptane tonem pełnym podziwu nazwisko. Niemożliwe, pomyślała. Odwróciła się w kierunku przyczyny nabożnej ciszy.

Stał w progu, jakby na chwilę poczuł się zakłopotany, znalazłszy się w obcym miejscu. Jakby na nowo musiał przyswoić sobie oczywiste zasady postępowania w takiej sytuacji: tłum kobiet i mężczyzn z kieliszkami w dłoniach, twarze, które mogły, choć nie musiały być znajome. Miał zaskakująco posiwiałe włosy, źle, a nawet fatalnie ostrzyżone, zbyt długie po bokach i z tyłu. Będzie się tu źle czuł, pomyślała Linda, od razu biorąc jego stronę. Pomimo pokrytej zmarszczkami twarzy nadal był przystojny. Mrugał często łagodnymi, ciemnoniebieskimi oczami, jakby wyszedł właśnie z ciemnego pokoju. Stara blizna, która stała się integralną częścią jego twarzy, biegła przez całą długość lewego policzka. Powitano go jak pacjenta obudzonego z długiej śpiączki; jak króla, od lat przebywającego na wygnaniu.

Odwróciła się, nie chcąc być pierwszą osobą, którą zobaczy.

Nastąpiły dalsze powitania; w sali zapanowała atmosfera cichego, lecz wzmożonego zainteresowania. Czyżby to było jego pierwsze publiczne wystąpienie po wypadku i po tym, jak dobrowolnie odsunął się od świata? Całkiem możliwe. Linda stała nieruchomo, z talerzykiem w dłoni, starając się uspokoić oddech. Powoli uniosła rękę, by odgarnąć za ucho luźny kosmyk włosów. Potarła lekko palcem skroń. Wzięła krakersa i próbowała rozsmarować na nim ser, ale kruchy krążek złamał jej się w palcach. Popatrzyła na misę truskawek i winogron lekko zbrązowiałych na brzegach.

Ktoś zaproponował obłudnie:

– Przyniosę panu drinka.

Inny głos zaskrzeczał:

– Tak mi miło.

Pozostałe szemrały:

– Nie wyobrażacie sobie... – i – co za...

To nic, powiedziała sobie w duchu Linda, sięgając po szklanekę z wodą. Minęły lata,

wszystko się zmieniło.

Czuła, że idzie w jej kierunku. Cóż za pech, że po tylu latach przywitają się na oczach obcych ludzi.

Wypowiedział jej imię, bardzo pospolite imię.

– Witaj, Thomasie – odrzekła, odwracając się. Jego imię było równie zwyczajne, dźwigało jednak ciężar historii.

Miał na sobie kremową koszulę i granatowy blezer o niemodnym fasonie. Trochę przytył, co było do przewidzenia, nadal jednak pozostał wysokim, szczupłym mężczyzną. Włosy opadły mu na czoło i odsunął je ruchem, który tak dobrze pamiętała pomimo upływu lat.

Przeciął dzielący ich dystans i pocałował ją w policzek koło ust. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia; za późno, cofnął się i dłoń zawisła w powietrzu.

Wiek go przygarbił. Linda patrzyła, jak Thomas obrzucił ją spojrzeniem. Pewnie też zmaląła przez te wszystkie lata. Czy zauważy jej włosy bez blasku i postarzałą twarz?

– Jakie to dziwne – powiedział.

– Pewnie już plotkują na nasz temat.

– Miło pomyśleć, że jesteśmy obiektem ogólnego zainteresowania. – Jego ręce jak gdyby nie przynależały do reszty ciała; blade, miękkie dłonie pisarza, z atramentem na zawsze wrytym w linie papilarne prawego środkowego palca. – Śledziłem twoją karierę.

– O ile można to tak nazwać.

– Świetnie sobie radzisz – pochwalił Linde.

– Dopiero od niedawna.

Pozostali się odsunęli. Ich znajomość budziła szacunek, podobnie jak Australijczyk swoją pochlebną recenzją. Ktoś przyniósł drinka; Thomas wziął kieliszek i podziękował, ku rozczarowaniu niedoszłego rozmówcy.

– Od lat nie uczestniczyłem w czymś podobnym – zaczął i urwał.

– Kiedy masz odczyt? – zapytała.

– Dziś wieczorem – odrzekł.

– Ja też.

– Rywalizujemy o coś?

– Mam szczerą nadzieję, że nie.

Plotka głosiła, że po wielu latach milczenia Thomas znów zaczął pisać, i to z doskonałym rezultatem. W przeszłości w niewytłumaczalny sposób pomijano go przy podziale nagród, choć w najlepszych latach wszyscy uważali, że nie miał sobie równych.

– Dzisiaj przyjechałeś?

– Dopiero co.

– Przyjechałeś z...?

– Hull.

Kiwnęła głową.

– A ty? – zapytał. Każde pytanie wydawało się zapisane nie do końca jasnym dla niej szyfrem.

– Kończę objazd.

Przekrzywił głowę z lekkim półuśmiechem, jakby chciał powiedzieć: “przyjmij wyrazy współczucia”.

Koło jego łokcia kręcił się jakiś mężczyzna, czekając na swoją kolej.

– Powiedz mi coś – odezwał się Thomas, ignorując go i pochylając się ku Lindzie, aby tylko ona mogła słyszeć pytanie – zostałam poetką z mojego powodu?

Przypomniała sobie, że jego pytania często bywały zaskakujące i obraźliwe, choć i tak zawsze mu wybaczała.

– Dzięki poezji się poznaliśmy – przypomniała mu.

– Właśnie – odpowiedział i upił łyk z kieliszka.

– To do mnie nie pasowało.

– Pasowało. Reszta to oszustwo.

– Reszta?

– Udawanie szybkiej.

Szybkiej. Od lat nie słyszała tego słowa w podobnym kontekście.

– Teraz nawet bardziej pasuje – uznał.

– Skąd możesz wiedzieć? – zapytała prowokująco.

Sarkazm w jej głosie nie uszedł jego uwagi.

– Twoje ciało i gesty świadczą, że dorosłaś do swej roli, tak przynajmniej uważam.

– Starość – odrzekła, wymierzając cios im obojgu.

– Do twarzy ci z nią – skwitował.

Obojętnie zbyła komplement. Mężczyzna stojący obok Thomasa nie dawał za wygraną. Za nim czekali inni, żądni rozmowy z poetą pustelnikiem. Przeprasiła i precyzyjnie się przez tłum wielbicieli i pochlebców, których oczywiście nie interesowała. To nic, powtórzyła w myślach, dochodząc do drzwi. Minęły lata, wszystko się zmieniło.

Zjechała windą, która z morderczą powolnością dowlokła się wreszcie na jej piętro. Zamknęła drzwi do pokoju, swego chwilowego schronienia. Program zjazdu leżał pod płaszczem, ciśnięty tam jak przeczytana gazeta. Linda usiadła na łóżku i przejrzała listę uczestników; znalazła jego nazwisko, wydrukowane grubą, bardziej widoczną czcionką niż pozostałe nazwiska. W zgięciu okładki po przeciwnej stronie, za białym, plastikowym identyfikatorem z nazwiskiem, znajdował się wycinek prasowy z informacją o zjeździe.

Wydawca zamieścił obok tekstu zdjęcie Thomasa, młodszego o dziesięć lat. Na fotografii odwrócił twarz, by ukryć bliznę. Mimo to w jego wyglądzie odczuwało się coś sztucznego – był to inny Thomas niż ten, którego kiedyś znała, inny niż ten, którego widziała przed chwilą.

Podniosła się z łóżka, próbując opanować przyływ paniki. Spotkanie po tylu latach wydawało się niemożliwością; Linda czuła, że najważniejsze wydarzenia w życiu ma już za sobą. Rozważyła możliwość pozostania w hotelu i zrezygnowania z kolacji. Nie musiała tam iść – powinna tylko o wyznaczonym czasie stawić się na odczyt, a mogła przecież pojechać na miejsce taksówką. Susan Sefton pewnie się zaniepokoi, ale wystarczyłoby zostawić w restauracji wiadomość: Linda źle się czuje i musi odpocząć po długim locie. Zresztą, tak właśnie było: rzeczywiście źle się poczuła i naprawdę musiała odpocząć. Choć to zapewne widok Thomasa w dużej mierze tak na nią wpłynął. To oraz nieznośne poczucie winy: teraz, kiedy poznała ład i odpowiedzialność życiową, jej postęпки wydawały się niewybaczalne. Przed laty winę tuszowały dotkliwy ból – a także miłość. Miłość mogła uczynić Linde wspaniałomyślną lub skłoną do poświęcenia, ale tak się nie stało.

Weszła do łazienki i popatrzyła w lustro. Kreska pod lewym okiem rozmazała się kompromitujące. Uciekać się do sztuczek to jedno, pomyślała, co innego zaś być w tym do niczego. W wilgotnym powietrzu fryzura straciła kształt. Linda pochylała się i przeczeswała włosy palcami, kiedy jednak się wyprostowała, kosmyki znowu opadły. Światło w łazience było wyjątkowo niekorzystne.

Czy została poetką z powodu Thomasa? Oto istotne, choć jednocześnie zuchwałe pytanie. Czy może połączył ich identyczny sposób patrzenia na świat? Poezja Thomasa była lakoniczna i bezpośrednia, usiana błyskotliwymi zestawieniami, toteż lektura jego utworów przypominała potyczkę. Zupełnie jakby człowiek podążał krętą, wyboistą drogą i szarpał kierownicą, ryzykując wypadek. Tymczasem wiersze Lindy wydawały się powolne i marzycielskie – były w bardziej elegijnym, niemal całkowicie przeciwnym stylu.

Wróciła do sypialni i odzyskując poczucie rzeczywistości, spojrzała na telefon, nic łączący ją z dziećmi. Przeczytała instrukcję połączeń międzymiastowych. Rachunek z pewnością będzie niebotyczny, ale w tej chwili jej to nie obchodziło. Przysiadła na skraju łóżka i wybrała numer Marii. Ku jej rozczarowaniu nikt nie podniósł słuchawki. Linda otworzyła usta, żeby zostawić wiadomość – irytowali ją ludzie, którzy tego nie robili – lecz choć szczerze chciała porozmawiać z córką i, co ważniejsze, usłyszeć jej głos, nie umiała znaleźć odpowiednich słów. “Mężczyzna, o którym nigdy ci nie wspominałam, powrócił”. Pozornie bez związku przyszły jej na myśl komórka jajowa i sperma oraz pojedynczy plemnik przenikający przez cienką membranę. Poczula niezwykłą pustkę i odłożyła słuchawkę. Położyła się i przymknęła oczy.

Wyobraziła sobie córkę i syna, jedno odważne, drugie nieśmiałe; co dziwne, z tych dwojga delikatniejszy był właśnie chłopiec. Kiedy myślała o Marii, widziała nasycone barwy

i przejrzystość (Maria, podobnie jak jej ojciec, mówiła, co myślała, rzadko biorąc pod uwagę zgubne konsekwencje), podczas gdy myśl o Marcusie kojarzyła się Lindzie z kolorami pastelowymi, choć miał dopiero dwadzieścia dwa lata. Syn odziedziczył bladą, irlandzką urodę Lindy, a gorętsza, włoska krew Vincenta dała Marii kruczę brwi oraz granatowoczarne włosy, które przyciągały spojrzenia wszystkich. I choć na twarzy Vincenta, zwłaszcza pod oczami, widniały czasem cienie (czyżby wczesne objawy choroby?), teraz, gdy minął burzliwy, lecz litościwie krótki okres dojrzewania, skóra Marii była różowa i gładka. Linda często zastanawiała się, jak to się stało, czy jej własne przecucia, związane z wyglądem dzieci, nie wpłynęły aby na charaktery obojga, decydując o bezpośredniości Marii i skrytym charakterze Marcusa. (Który przez wszystkie lata musiał uważać swoje imię za pomyłkę: nazywał się Marcus Bertollini, a wyglądał raczej jak Philip lub Edward). Nie uważała owych rozmyślań o dzieciach za brak lojalności; oboje kochała jednakowo. Nigdy nie rywalizowały ze sobą, od wczesnych lat wiedząc, że nie sposób wygrać tej walki.

Cyfry na tarczy zegara rozjaśniły się w miarę zapadania zmroku. Poeci i pisarze pewnie zbierają się przed hotelem jak dzieci przed szkolną wycieczką. Schodzę, postanowiła nagle. Nie będę się bała.

\* \* \*

Chmury na horyzoncie rozstały się, krótkotrwałe różowe światło niosło obietnicę pogodniejszego dnia. Linda bacznie obserwowała otoczenie: kobieta wchodząca do autobusu nie utrzymała ciężaru ciała na prawym kolanie i musiała chwycić się poręczy; poeta w okularach w modnych czarnych oprawkach miał pretensjonalnie sfatygowaną skórzaną aktówkę; gęstniejąca gromadka stojących z rękami w kieszeniach ludzi w prochowcach trącała się i poszturchiwała. Próbowała jednak nie szukać wzrokiem Thomasa, który musiał stać za nią albo w ogóle nie przyszedł. Toteż kiedy zajęła miejsce w tyle autobusu i zobaczyła go, jak wsiada, ogarnęły ją zaskoczenie i zażenowanie wobec tej nieoczekiwanej degradacji, jako konieczność jazdy autobusem na podobieństwo uczniaka. Nie mieścił się na swoim miejscu, ramiona sterczały mu przed resztą ciała. Robert Seizek – od lat nie widziała kogoś równie pijanego – z twarzą wyglądającą jakby pod dotknięciem miała trysnąć z niej woda, nie zdołał samodzielnie wejść po schodkach. Pisarze, których wystąpienia przypadały na ten wieczór, wydawali się bez reszty pochłonięci wytwarzaniem wokół siebie aury swobody i odprężenia.

Jechali przez szarzące, opustoszałe o tej porze ulice o bardziej oficjalnym niż uroczym wyglądzie. Linda usiłowała nie patrzeć na Thomasa, co okazało się niełatwe. Wyglądał jak zmięty, w przeciwieństwie do Vincenta, który w każdej sytuacji prezentował się bez zarzutu. Lubiła sposób, w jaki materiał koszuli gładko przylegał do ramion męża, i to, jak przycinał

zawsze idealnie wypielęgowaną brodę. Nosił włoskie skórzane paski i spodnie szyte na miarę, co w jego wypadku nie wynikało z próżności, lecz raczej z nawyku wpojonego przez rodziców, emigrantów, którym zależało, aby syn poradził sobie w nowym świecie. To, co u innych mężczyzn uchodziłoby za przesadę, u niego było tylko codzienną elegancją. Vincent nie miał zamiaru deptać niewinnych marzeń rodziców i często zdumiewała go bezczelność przyjaciół własnych dzieci.

Autobus stanął i Linda twardo postanowiła trzymać się za plecami innych. Znajdzie wolne miejsce w restauracji i przedstawi się komuś nieznanemu. Lecz kiedy wyszła z autobusu, zobaczyła, że Thomas czeka na nią przy drzwiach.

Widziała, że chce siedzieć w pewnym oddaleniu od pozostałych. Lokal był nieduży i chyba istotnie francuski. Uczestnicy zjazdu zostali umieszczeni w wąskim pomieszczeniu z dwoma długimi stołami, wzdłuż których ustawiono ławy. Linda i Thomas zajęli miejsca przy końcu znajdującym się najbliżej drzwi; uznała to za nietrudne do przewidzenia posunięcie zwolennika łatwych rozwiązań. Pomyślała, że papierowy obrus, usiany półksiężycami czerwonego wina, trochę nie pasuje do sytuacji. Thomas bazgrał coś długopisem. Akustyka w pomieszczeniu była fatalna, i Linda czuła, jakby tonęli w oceanie głosów i niezrozumiałych słów. Żeby móc rozmawiać, musieli konspiracyjnie pochylić się ku sobie.

– Chyba mamy do czynienia z nową falą zainteresowania poezją, prawda? – zapytał.

– Ale nie z renesansem – odpowiedziała po chwili.

– Mówiono mi, że jest nas tutaj dziesięcioro. Wśród sześćdziesięciorga uczestników zjazdu. Chyba to pewien rekord.

– Za granicą lepiej sobie radzą.

– Jeździłaś na zjazdy zagraniczne?

– Czasami.

– Widzę, że od jakiegoś czasu jesteś w obiegu.

– Raczej nie – odparła, urażona tą kąśliwą uwagą, i odsunęła się od niego.

Thomas pochylił się bliżej, unosząc wzrok znad swojej bazgraniny.

– Próbujesz przekazać zbyt wiele w poezji – uznał. – Powinnaś opowiadać swe historie jako historie. Spodobałyby się twoim czytelnikom.

– Moim czytelnikom?

– Twoja poezja jest znana. Musisz znać swoich czytelników.

Milczała, dotknięta krytyką.

– Wierzę, że w głębi serca jesteś powieściopisarką – dodał.

Odwróciła twarz. Ach, te jego maniery, pomyślała. Rozważyła możliwość wyjścia stąd, lecz taki teatralny gest obnażyłby jej bezbronność, przypominając mu inne teatralne posunięcia.

- Uraziłem cię – zauważył, robiąc skruszoną minę.
- Wcale nie – skłamała.
- Nie potrzebujesz, abym ja czy ktokolwiek inny mówił ci, ile jesteś warta – oświadczył.
- Masz rację.
- Jesteś wspaniałą pisarką, bez względu na formę.

Wierzył w swoje słowa i nie traktował ich jak komplement, co sugerowało coś lepszego niż prawdę.

Jedzenie podano na tak ogromnych talerzach, że wszyscy musieli się poprzesuwać. Linda próbowała wyobrazić sobie sztuce pasujące do olbrzymich naczyń. Na tle imponującej zastawy sama kolacja okazała się mikroskopijna: indonezyjski kurczak dla niej oraz grillowany łosoś dla Thomasa. Robert Seizek wrócił z baru i tocząc wokół przekrwionymi oczami, huknął pięścią w stół, wprawiając w drżenie szklanki z wodą i kieliszki. Linda podchwyciła kilka ukradkowych i śmielszych spojrzeń, pytających, co łączy Linde Fallon z Thomasem Janesem.

Thomas skosztował potrawy, po czym obojętnie wytarł usta. Pod tym względem też się nie zmienił: za pół godziny nie będzie pamiętał, co jadł.

– Nadal jesteś katoliczką? – zapytał, spoglądając na trójkąt dekoltu widoczny ponad jej kremową bluzką. Jedwabne bluzki i wąskie spódnice stanowiły dla Lindy rodzaj munduru. W walizce miała jeszcze po trzy egzemplarze każdej z nich. – Nie nosisz krzyżyka.

– Przestałam wiele lat temu – odrzekła, zapominając dodać: kiedy mój mąż, który znał jego znaczenie, poprosił, żebym go zdjęła. Uniosła kieliszek i upiła łyk, zbyt późno zdając sobie sprawę, że wino wzmocni przebarwienia na jej zębach. – Katolikiem zostaje się na zawsze – uzupełniła.

– Nawet jeśli ktoś dopuszcza się odstępstw od wiary.

– Stało się tyle złego – odpowiedział w zamyśleniu, zapewne na wspomnienie katolickich grzechów. – Jesteś religijna?

– Jedyne w samolocie – rzuciła szybko.

Thomas roześmiał się i podniósł do ust kolejny kęs.

– A ja trochę – wyznał ku jej zaskoczeniu, prawie onieśmielony własną szczerością. – Pewien pastor, znajomy rodziców, spędził ze mną wiele czasu po śmierci Billie, choć niemal nie czułem jego obecności. Jakże by inaczej, prawda? Teraz często grywamy razem w tenisa, a czasem chodzę na nabożeństwa. Chyba żeby nie ranić jego uczuć.

Poczuła ucisk w gardle. Wspomnienie osobistego nieszczęścia nadeszło zbyt szybko. Ponownie usłyszała tamte słowa: “Po śmierci Billie”...

– Pewnie wychodzę z założenia, że powinienem okazać mu trochę wdzięczności – ciągnął. – Choć muszę wiedzieć, że w końcu to i tak na nic. Podobnie jak wszystko. Może z wyjątkiem leków.

– Tak – szepnęła.

Wychylił się do przodu.

– Zdarza ci się to? – zapytał. – Ja zastanawiam się nad tym, co zrobiliśmy, i nie mogę uwierzyć, że byliśmy tak okrutni.

Nie zdobyła się na odpowiedź. Zapłacił cenę wyższą, niż ktokolwiek by na to zasługiwał. A ona? Jakie ona poniosła konsekwencje? Spotkała miłość i miała dzieci, które żyły. Została nagrodzona, pomimo wszystko. Jaka to sprawiedliwość?

Odłożyła widelec, nie umiejąc nawet udawać, że je. Nie była przygotowana na podobną rozmowę. Splotła palce pod brodą. Nie mogła rozmawiać dalej, bo nie wiedziała, ile Thomas jest w stanie znieść. Będzie czerpać od niego wskazówki, nie zadając żadnych pytań.

Ogromne talerze zastąpiono mniejszymi. Kelner napełnił kieliszki.

– Masz jeszcze listy? – zapytał.

– Zginęły – odpowiedziała, z ulgą przyjmując przejście na mniej niebezpieczny grunt. – Wysypały się z kartonu. Patrzyłam na to z drugiego piętra domu, do którego wprowadzaliśmy się z mężem. Dźwigał ten karton.

Kiedy go podniósł, ze strachu nie mogłam oddychać. Zraniłyby go, chociaż...

Chociaż nie widzieliśmy się od lat, chciała dodać.

– Żaden mężczyzna nie lubi myśleć, że był przed nim ktoś, kto się liczył – zauważył rozsądnie Thomas.

– Potem, po upływie kilku tygodni, gdy chciałam je wyjąć, okazało się, że zniknęły. Zapadły się pod ziemię. Próbowalam podpytać męża, ale chyba nie miał pojęcia, o czym mówię. Ot, zagadka. Do dzisiaj nie wiem, co się z nimi stało.

– Zniszczył je – odrzekł z prostotą Thomas.

Linda nie potrafiła przyjąć takiego rozwiązania zagadki. Vincent był wolny od skłonności, a co za tym idzie od zdolności do wykrętów. Tymczasem ona i Thomas stali się mistrzami w tej dziedzinie.

Ramiona gości spoczywały na oparciach krzeseł. Pochłaniano lub ignorowano jedzenie. Lustra ścienne podwajały twarze siedzących, wydobywając z ukrycia te, które chciały pozostać z dala od spojrzeń. Grupka niskich mężczyzn w przybrudzonych fartuchach wirowała wokół stołu na podobieństwo tancerzy. W sali nie było okien, które przypominałyby o deszczu, co sprawiało, że pomieszczenie wydawało się bardziej zaciszne. Cierpieli tylko ci, którym zabrakło talentu do prowadzenia konwersacji.

– Kiedy wyszłaś za mąż? – zapytał lekko Thomas.

Rozmowa o przeszłości powoduje ból, pomyślała Linda, choć głupotą byłoby wierzyć, że mogli rozmawiać, nie wspominając tego, co najgorsze.

– Dwadzieścia cztery lata temu – odrzekła.



– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym?

Kiwnęła głową. Wiedziała, o czym myślał: o przygotowaniach do ślubu. O jej najsilniejszej miłości fizycznej do innego mężczyzny.

– I masz dzieci? – pytał dalej. – Chyba gdzieś o tym czytałem.

– Tak: dwudziestotrzyletnią córkę i dwudziestodwuletniego syna.

Miała to już za sobą; wzmiankę o dzieciach.

Widziała, jak Thomas z wysiłkiem panuje nad sobą. Jak wielka musiała być rozpacz, która po dziesięciu latach ujawnia się w postaci świeżych łez.

– Jak się nazywają? – zapytał.

– Maria i Marcus.

– Maria i Marcus...?

– Bertolini.

– A twój mąż?

– Vincent – powiedziała, nie wspominając, że umarł.

– Pytam, żebym łatwiej mógł ich sobie wyobrazić – wyjaśnił Thomas.

Skinęła głową.

– Ładnie się teraz ubierasz – zauważył. Mówiąc to, patrzył jej w twarz, wiedziała jednak, że zdążył już ocenić jej wygląd.

– Dziękuję – odrzekła po prostu.

– Billie skończyłaby tej wiosny dwanaście lat – podjął Thomas.

Wypowiedziane głośno imię zabrzmiało zbyt smutno, zbyt chropowato. Linda widziała po zaciśniętych ustach Thomasa, ile go to kosztowało.

– Łódź była pełna wody i zbutwiała. Pokład cuchnął. Słysząc było, jak Rich pieprzy się w przedniej kabinie... – Przez chwilę nie mógł mówić dalej. – Płynęliśmy do Maine – podjął. Chwilowo zdołał zapanować nad drżeniem w głosie. – Na pokładzie był Rich z dziewczyną. I Jean, moja żona. – Spojrzał na Linde. – I nasza córka, Billie.

– Thomasie, przestań – odezwała się cicho. – Nie musisz mi tego opowiadać. Czytałam o tym wypadku.

Pamiętała zbyt dobrze, kiedy jak każdego ranka przewracała stronicę “Boston Globe”. Vincent siedział z “The Times” po drugiej stronie stołu. Miała lepka dłoń od galaretki. Słowa “Thomas Janes i Córka, i Zatonęła” – wszystko w jednym krzyżącym nagłówku. Vincent natychmiast odłożył gazetę, pytając: “Linda, co się stało?”

Przesuwający talerze kelner stworzył sztuczną pauzę.

– To nie była wina Jean, chociaż obwiniałem ją o śmierć Billie.

Linda zobaczyła, jak palce Thomasa zaciskają się na nóżce jej kieliszka. Nie miała wpływu na to, że on opowie jej tę historię.

– Boże, jak ja ją obwiniałem. Zabiłbym ją na tej łodzi, gdyby wystarczyło mi odwagi i sił.

Przycisnęła zaciśniętą rękę do ust. Jakże męczymy się, powstrzymując to, co chcielibyśmy powiedzieć, pomyślała.

Rozejrzała się po sali, po bacznych i zaciekawionych twarzach zwróconych w ich kierunku. Okropne. Uciec jak najdalej stąd.

– Thomasie – powiedziała, wstając. – Chodź ze mną.

Szli wzdłuż moła prowadzącego w głąb jeziora. Mżawka utworzyła pajęczynę wokół jej włosów i twarzy. Thomas kroczył lekko przygarbiony, z rękami wsuniętymi w głębokie kieszenie prochowca. Zawiązał pasek luźno; jeden koniec był dłuższy od drugiego. Jego buty dawno nie widziały pasty. Wiedziała, że ten nieporządny wygląd nie wynikał z biedy, lecz jedynie z niedbałości. Czyjejś lub jego własnej.

– Nadal mieszkasz w Hull? – zapytała.

– Tak.

– Jak tam Rich?

– W porządku. Ożenił się, ma dwóch synów. Jego żona jest lekarką. Mają świetnych chłopaków.

Nie potrafiła wyobrazić sobie, jak Thomas mógł się bawić lub choćby rozmawiać z cudzymi dziećmi. Czy ból towarzyszył mu cały czas? Czy można znaleźć godzinę lub nawet kilka spędzonych wspólnie godzin, kiedy spływa na człowieka błogosławione zapomnienie?

– Czasami widuję twoją ciotkę – dodał. – Zawsze udaje, że mnie nie zna.

– Winisz ją za to?

– Nie, jasne, że nie. Nie winie teraz nikogo oprócz siebie. To chyba postęp.

Zimny wiatr dawał się Lindzie we znaki. Kurczowo chwyciła za kłapy płaszcza.

– Nie zapytam o twoją żonę – powiedziała – chociaż mam na to ochotę.

– Chodzi ci o Jean?

Kiwnęła głową, wiedząc, że nie mogli jeszcze rozmawiać o Reginie. Może nigdy nie będą mogli.

– Och, jestem w stanie mówić o Jean – odrzekł. Otrząsnął się już z chwilowej słabości.

Żal ujawnia się w tak nieoczekiwanych momentach, pomyślała Linda; pewne chwile są nie do zniesienia, podczas gdy inne tworzą jedynie poszatkiowane fragmenty wspomnień.

– Jak już powiedziałem – ciągnął – przestałem ją obwiniać. Była dobrą kobietą. Pewnie nadal taka pozostała.

– Nie widujecie się?

– Boże, nie. Chyba żadne z nas by tego nie zniosło. Mniej więcej po roku przeprowadziła się do Indianapolis, skąd pochodzi. Pewnie tam czuje się bezpieczniej. Z dala od oceanu. Chyba

wciąż jest sama. Tak, na pewno jest sama. Czasem pisuje do Richa.

A dlaczego ty torturujesz się widokiem oceanu? – spytała w duchu.

Doszli do czegoś, co wyglądało na park. Linda przypomniała sobie Boże Narodzenie sprzed wielu lat, kiedy razem z Thomasem przemierzali wyludnione ulice Bostonu, jedyne istoty ludzkie w opustoszałym wszechświecie. Nagle przyszła jej do głowy niespokojna myśl: choć pamiętała tamten dzień – świadomość ofiarowanego im nieskończonego czasu, obietnicę możliwości obecnych za każdym rogiem, przejrzystość powietrza – nie czuła go. Zaniepokoiło ją to spostrzeżenie. Świadomość podobnego oddalenia od struktury własnego życia nie nastrajała optymistycznie.

Spódnica falowała przy każdym kroku. Buty pewnie będą do wyrzucenia. Mimo chłodu czuła ciepło bijące od idącego obok Thomasa. Zdawała sobie sprawę z napięcia w okolicach barków. Jego fizyczna bliskość wydawała się jednocześnie znajoma i inna. Ciało Thomasa było teraz całkowicie obce, trzy razy odmienione.

– Uczysz? – zapytał.

– Tak. – Wymieniła nazwę college’u. – Na pół etatu. Mój mąż zmarł dwa lata temu i dostałam pieniądze z ubezpieczenia.

– Nie wiedziałem. Przykro mi – powiedział. On, który lepiej niż ktokolwiek inny poznał bezużyteczność tego słowa. – Długo chorował?

– Nie – odrzekła. – To stało się nagle.

Thomas sadił przed siebie wielkimi krokami.

– Po jego śmierci zaczęłam częściej wyjeżdżać – dodała. – Odkryłam, że w hotelach rzadziej o nim myślę.

Doszli do ławki. Gestem zachęcił Linde, aby usiadła. Nie wyjmując rąk z kieszeni, ściągnęła je przed sobą. Nadchodzący weekend rysował się wyraźniej niż jeszcze kilka godzin wcześniej. Wiedziała, że za rok pomyśli może: “To był weekend, gdy...”. Ostatecznie, spotkanie po tylu latach było dość znamienne. Znamienne w sensie historycznym, w świetle weryfikacji własnych przeżyć. Myśl o czymś poważniejszym nie wchodziła w rachubę; budziła niechęć, przeczyła ustalonemu porządkowi.

– Miałaś udane małżeństwo? – zapytał Thomas.

Ludzie przestali już zadawać jej podobne pytania. Konieczność udzielania odpowiedzi niezaprzeczalnie budziła pewne emocje.

– Według mnie wspaniale – oświadczyła. Nie wiedziała nic o drugim małżeństwie Thomasa, związku z kobietą o imieniu Jean, poznała tylko okoliczności tragicznego wydarzenia, które doprowadziło do jego rozpadu. – Świetnie się razem bawiliśmy. Pamiętam, że po śmierci Vincenta naszła mnie właśnie taka myśl: “Świetnie się razem bawiliśmy”. I raczej obywaliliśmy się bez łez.

– Cieszę się – powiedział Thomas.

– Ale nikt nie przechodzi gładko przez życie – uzupełniła, myśląc: Czy to rzeczywiście prawda? Czy ktokolwiek w wieku pięćdziesięciu dwóch lat ma za sobą bezwarunkowo szczęśliwe życie? – Vincent nigdy nie sprawiał wrażenia smutnego – dodała – i uznałam to za zaraźliwe. Życie biegło normalniejszym, mniej zwariowanym trybem niż przedtem.

Niż z tobą, mogła dodać.

– To chyba wystarczy, aby kogoś pokochać.

– Właśnie wróciliśmy z naszego przyszłego letniego domu w Maine. Pojechaliśmy tam na jeden dzień, żeby spotkać się z przedsiębiorcą budowlanym. To miał być wspaniały dom; cóż, wspaniały dla nas. Po tylu latach oszczędzania wreszcie go stawialiśmy. Żałowaliśmy tylko, że nie zrobiliśmy tego, kiedy dzieci były młodsze, choć myśleliśmy już o wnukach. – Urwała, aby zaczerpnąć powietrza. W gruncie rzeczy jednak to gniew na chwilę odebrał jej mowę. – Wyszłam do banku, zostawiając Vincenta w domu. Kiedy wróciłam, leżał na podłodze, otoczony pomarańczami.

– Atak serca?

– Wylew. – Zamilkła. – Nic nigdy nie wskazywało na podobną możliwość. Miał dopiero pięćdziesiąt lat.

Thomas położył rękę na dłoni Lindy, którą podczas tej opowieści wysunęła z kieszeni. Miał zimną rękę, szorstką jak pergamin, pomimo delikatnych palców pisarza. Dotknął jej niezgrabnie, gestem człowieka nienawykłego do pocieszania innych.

– Twój widok sprawił mi ogromną niespodziankę – wyznała. – Nie miałam pojęcia, że będziesz. Nie czytałam programu.

– Przyjechałabyś, gdybyś wiedziała?

Pytanie było tunelem z tuzinem wyjść awaryjnych.

– Ciekawość mogłaby mnie skłonić do przyjazdu.

Thomas uwolnił jej rękę i wyjął paczkę papierosów. Zapalił jednego, serią znajomych Lindzie gestów zdjął z wargi okruch tytoniu, po czym wydmuchał w wilgotne powietrze cienką strugę niebieskawego dymu. Wzmianka o zdrowiu naturalnie nie miała żadnego sensu. Z pewnością odpowiedziałby, że swoje już przeżył.

– Czułabyś się zaskoczona, gdybym powiedział, że przyjechałem tu ze względu na ciebie? – zapytał.

Coś więcej niż zaskoczenie kazało jej przemilczeć to pytanie.

– Tak, ja też byłem zaskoczony – dodał. – Ale to prawda. Zobaczyłem twoje nazwisko i pomyślałem... Sam nie wiem, co pomyślałem.

Za ich plecami rozległa się syrena promu albo holownika.

– Właściwie to jestem głodny – przyznał się Thomas.

- Za pół godziny masz odczyt.
  - Niech to będzie zapłata za tę całą przyjemność – odrzekł.
- Linda spojrzała na niego i roześmiała się nagle.
- Thomas wstał i z kurtuazją podał jej ramię.
- To chyba oznacza, że będziemy sobie winni kolację.
  - Właśnie – odpowiedziała.

W milczeniu ruszyli w drogę powrotną. Szli na pamięć, jak ludzie zaabsorbowani miłością lub strachem, i nim dostrzegli przed sobą zarys gmachu, prawie bieгли. Rozdzielili się przy drzwiach – wśród zwyczajowych życzeń powodzenia Lindy i z obowiązkowym grymasem Thomasa, który zelżał nieco, kiedy natarła nań Susan Sefton, przypominając, że spotkanie zaczyna się za dziesięć minut.

Pomieszczenie amfiteatru wznosiło się ukośnie; mogło dawniej pełnić funkcję sali wykładowej. Fotele otaczały podium na kształt wachlarza jak szprychy. Linda zdjęła mokry płaszcz i przerzuciła go przez siedzenie, gdzie gniótł się, wydzielając dziwnie syntetyczną woń. Osamotniona teraz i anonimowa, między dwojgiem nieznanym siedzących po obu stronach, wróciła myślami do wyznania Thomasa, jakoby miał przyjechać na zjazd z jej powodu. Nie było to do końca prawdą – po części chodziło tu o powrót do porzuconego niegdyś świata – lecz sama możliwość podobnego wyjaśnienia poważnie ją zaniepokoiła. Linda nie dopuszczała do siebie takiego zwrotu akcji.

Publiczność umiarkowanie wypełniała salę, pozostawiając luki, które Linda uważała za zniechęcające z perspektywy podium. W imieniu Thomasa gorączkowo pragnęła, by słuchacze dopisali. Widziała studentów z plecakami oraz kilka par, najwyraźniej zakochani na randkach. Kobiety takie jak ona siedziały w małych, rozbawionych grupkach. Przyszli poeci zjawiali się w pojedynkę w poszukiwaniu źródła inspiracji albo przynajmniej agenta. Nagle boczne drzwi, dotąd zapomniane lub zamknięte na klucz, otworzyły się na oścież, wpuszczając potok ludzi, i Linda patrzyła, jak szybko wypełniają wcześniejsze luki. Poczowała przyływ matczynej dumy (albo żoninej, poprawiła w duchu, choć miała w tym względzie niewielkie doświadczenie; Vincent wzdragał się na samą myśl o publicznym wystąpieniu). Publiczność wręcz zalała salę, w drzwiach utknęli ci, którzy nie zmieścili się w środku. Lata dobrowolnego wygnania Thomasa zaostriły apetyt słuchaczy. Oto tworzyła się historia, aczkolwiek w małomiasteczkowym i ograniczonym wymiarze.

- Siedzący obok niej młodzi ludzie wymieniali uwagi na temat słynnego milczenia poety.
- Jego córka zginęła na łodzi.
  - Boże! Wyobrażasz to sobie?
  - Zmyło ją z pokładu. Miała dopiero pięć lat. Może sześc.

- Jezu.
- Mówią, że przeżył załamanie nerwowe.
- Chyba gdzieś o tym czytałem.

Światła przygasły i przyszła pora na oficjalne przedstawienie. Nawiązano do milczenia Thomasa, choć nie podano przyczyn. Prezentacja nie oddała Thomasowi sprawiedliwości; napomknięto jedynie o pojedynczych dokonaniach wartych uwagi, mimo lat ciszy. Reflektor uformował na twarzy mówiącego szpecące cienie. Niedługo stanie tam Linda.

Kiedy Thomas wyszedł, na widowni podniósł się stłumiony szmer. Poeta zachowywał się swobodnie, skrętnie unikając kontaktu wzrokowego z widownią liczącą kilkaset osób. Gdy dotarł na podium i sięgnął po szklanekę wody, Linda zobaczyła, że drży mu ręka. Miała nadzieję, że uszło to uwagi pozostałych. Ktoś za nią rzucił: “Rany, ale się postarzał”, słowami, które miały moc degradowania najlepszych.

Thomas zająknął się na wstępie i ze współczucia ogarnęła ją fala gorąca, koncentrując się w pulsujących miejscach za uszami. Był chyba nieprzygotowany. W narastającej ciszy kartkował palcem szeleszczące notatki. Do Lindy dotarły pomruki zaskoczenia i cichy jęk zawodu. Kartkowanie trwało. Nagle, gdy uznała, że dłużej tego nie znieśie, i pochyliła głowę, przyciskając powieki palcami, Thomas zaczął czytać.

Głos był głęboki i dźwięczny, niezmienny upływem lat, które zniszczyły twarz – basso profundo śpiewaka operowego. Wydawało się, że słuchacze jak jeden mąż wstrzymali oddech, aby nie uronić ani słowa. Usiłowała dociec znaczenia wstrząsających zwrotów, wkrótce jednak dała się ponieść ciągowi obrazów, osobliwie czarownych, choć ich tragiczne przesłanie nie pozostawiało wątpliwości: “Woda jak jedwab – przeczytał – kolebka z piasku. Chyli się matka, zdeptany pokład”. Przeszły ją ciarki, dreszcz wstrząsnął ramionami. Zapomniała o innych. Nie sposób było uwierzyć w podobny mariaż niespokojnej i wiecznie trwającej rozpacz. Poczula, czego nie doświadczyła nigdy przedtem – z pewnością tak jak pozostali słuchacze – że ma przed sobą geniusza. Podobnie jak kiedyś, gdy stanęła na skraju Wielkiego Rowu i pojęła istotę wielkości.

“Poemat dla Magdaleny” – seria wierszy o dziewczynce, co nie stała się kobietą, elegia o życiu, któremu nie dane było rozkwitnąć.

W końcu Thomas zamilkł i ponownie sięgnął po szklanekę. Z piersi słuchaczy wydarło się zbiorowe westchnienie, a potem zabrzmiały grzmiące oklaski. Podniósł wzrok i na jego twarzy odmalowało się zdziwienie wywołane otrzymanym aplauzem. Nie uśmiechnął się ani do siebie, ani do słuchaczy. Linda przyjęła to z bezbrzeżną ulgą: niełatwo było go uwieść.

Padły rutynowe pytania (jedno dotyczyło jego poczucia winy, to straszne). Udzielał wyczerpujących odpowiedzi, stroniąc jednocześnie od gadulstwa. Linda nie była pewna, czyby to zniosła. Sprawiał wrażenie zmęczonego; pobladłe z tremy policzki błyszczały od potu.

Pytania urwały się nagle – nie wiadomo na czyj tajemniczy znak, a aplauz, który po nich nastąpił, wprawił w drżenie podłokietniki. Niektórzy ze słuchaczy wstali nawet z miejsc. Nienawykły do przyjmowania wyrazów uznania Thomas opuścił scenę.

Mogła pójść i uścisnąć go. Może czekał, zawiedziony jej nieobecnością. Zaraz jednak zobaczyła Thomasa w holu, otoczonego rozentuzjasmowanymi wielbicielami, którzy z pewnością odsunęli odeń dręczące myśli. Nie będę walczyć o jego uwagę, postanowiła.

Spragniona powietrza wyszła na zewnątrz. Ludzie stali w grupkach, bardziej ożywieni niż wyciszeni. Nie miała zamiaru podsłuchiwać, niemniej dolatywały do niej określenia typu “wstrząsające” i “genialne”, choć jedna z kobiet dała wyraz przekonaniu, że wykorzystanie śmierci córki stanowiło chwyt artystyczny. “Oportunistyczne – usłyszała Linda – gwałt zadany życiu innych”. “Dana, to się nazywa sztuka” – odparł z urazą jakiś mężczyzna i Linda od razu się domyśliła, że ci dwoje byli małżeństwem.

Nauczona doświadczeniem z teatru, przespacerowała się wokół budynku. Mżawka niepostrzeżenie przeszła w ulewę, która przemoczyła jej włosy i ramiona. Weszła bocznym wejściem, by wysłuchać drastycznej relacji autorki z Ruandy. Siedziała oszołomiona, aż wreszcie nadeszła pora na jej odczyt.

Zaprowadzono ją za kulisy, gdzie wszędzie widniały zwoje kabli. Nienawykła do ciemności, szła oszołomiona i przesadnie ostrożna, budząc politowanie młodszej z organizatorek. Seizek zjawił się obok, objawiając swe nadejście cuchnącym głośnym oddechem. Władczym ruchem położył na plecach Lindy rękę i przesunął dłoń w kierunku jej krzyża – nie była pewna, czy uczynił to, aby zachować równowagę, czy też w celu zaakcentowania swej męskiej przewagi. Wprowadzono ich, mrugających powiekami, na przesadnie oświetloną scenę. Usiedli po obu stronach podwyższenia. Seizek, lekceważąc zasady dobrego wychowania oraz oficjalny wstęp, pierwszy wtoczył się na podium. Niemal zbyt pijany, by stać, zaprezentował się sam w sposób wręcz nienaganny, co stanowiło fakt bardziej godny podziwu niż jego proza, która wydawała się pusta i rozwodniona, jak gdyby autor sztucznie rozcieńczył akapity z niedbałością spowodowaną upływającym terminem oddania dzieła.

Rozbrzmiały przyzwoite oklaski. Po wystąpieniu Seizeka niektórzy opuścili salę (znudzeni jego odczytem? niezainteresowani poezją? niezainteresowani Lindą Fallon?), pozostawiając następne luki na widowni. Wchodząc na podium, siłą woli odsunęła od siebie myśl o własnym domniemanym braku popularności (czy może raczej upragnionej anonimowości). Poprawiła mikrofon, odnotowując nieobecność Thomasa. Padły słowa będące dla niej źródłem pewnej dumy, choć nieco już zwietrzałe, w które włożyła tak wiele starań. Lecz kiedy czytała, jej myśli zaczęły odpływać i przypomniała sobie uwagę Thomasa, że przemienia obrazy w prozę. Odkryła przy tym, że machinalnie komponuje nowe zdania, i gdy zbląkane słowo wytrąciło ją z zadumy, poczuła panikę, jak gdyby utraciła grunt pod nogami.

Otrzymała oklaski publiczności ucieszonej perspektywą rychłej kolacji i pójścia spać. Padło kilka pytań, z których jedno dziwnie przypominało zgryźliwy zarzut kobiety, dla której oportunistycznym było wykorzystywanie śmierci bliskiej osoby dla potrzeb pisarstwa (Linda nie rozumiała tej zaciętości; przecież nie chodziło o jej życie). W kolejce po jej tomiki w holu ustawiło się ze dwadzieścia osób, co napełniło Lindę wdzięcznością. Postanowiła odczekać dłużej, niż pierwotnie zamierzała, w razie gdyby Thomas zjawił się jednak na umówioną kolację, ale nie dłużej, niż wymagała przyzwoitość, aby oszczędzić sobie zakłopotania. Opuściwszy teatr, wyszła na pograżoną w mroku ulicę i przystanąła oczarowana widokiem jasności pokrywającej niebo. To najniższe obłoki odbijały lunę miejskich świateł.

“Woda jak jedwab”, pomyślała. “Zadeptany pokład”.

Świadomość, że najgorsze jest już za nią, przynosiła otuchę. Miała dwadzieścia siedem lat, i leżała na brzegu wysoko ponad linią przyływu, by wyschnąć na słońcu lub dać się porwać kolejnej fali. Osiadła na dobre w Cambridge, gdzie niestrudzenie przemierzała ulice z ciałem przysłoniętym warstwą bluzek i spódnic i gdzie fala popularności mini ustąpiła na rzecz fascynacji indyjskimi tunikami oraz dzwonami. Szczególnie przyciągała uwagę jej fryzura: dzika, niesforna i niezbyt stylowa, choć nie obowiązywał wówczas żaden określony trend. W Afryce włosy zyskały bardziej nasyconą barwę, przez co obecnie mieniły się wachlarzem odcieni, od mahoni do rozjaśnionej sosny. Od chodzenia czy też bezceremonialnego stosunku do posiłków jej ciało stało się chude i sprężyste. Życie oznaczało teraz spacer w deszczu lub słońcu w poczuciu niezaznanej dotąd i niechcianej wolności. Każdego ranka wsuwała na nogi sandały i muskała palcami złoty krzyżyk, gotowa do kolejnego dnia wypełnionego poczuciem winy, nie chcąc wymazać z pamięci wydarzenia, któremu zawdzięczała obecny stan. Czasami, doprowadzona do ostateczności, opierała się o ścianę i przykładając czoło do zimnych kamieni, łapała oddech, na nowo przytłoczona ogromem doznanej straty, czując ból tak dotkliwy, jak gdyby wszystko odbyło się zaledwie dzień wcześniej. Nie wiedziała, że tyle może zostać jej odebrane, i świadomość, że stało się to tak wcześnie, napawała ją zgrozą.

Nie poznała miasta tak, jak powinna je poznać. Żyła wbrew zasadom, według których należało bez końca snuć się wśród platanów ze świadomością stąpania po szacownej ziemi. I prowadzić rozmowy długo w noc pod czujnym okiem duchów białych profesorów. W jawnym pogwałceniu prawa powracała do smutnego pokoju, gdzie stało łóżko, na które ledwo mogła patrzeć. Dla niej (która została ekskomunikowana) Cambridge oznaczało wspomnienie grzesznych pocałunków za drzwiami biura, czułości wyniesionych niegdyś do rangi sakramentu; symbolizowało też gorzką ekstazę zachodu słońca, który nadawał cegłom i kamieniom miasta, a nawet twarzom przechodniów (tych utytułowanych uczonych), różanołososiową barwę miłości. Cambridge to przesiadywanie w wannie w wynajętym mieszkaniu i robienie eksperymentalnych nacięć na nadgarstkach, nacięć, których natychmiast zresztą żałowała z powodu zamieszania,



jakie robiła nimi w pogotowiu. (Poza tym myśl, że była tylko jedną z wielu, którzy musieli się uciekać do takiego rozwiązania, stawała się nie do zniesienia). Spódnice wisiały jej na biodrach jak pranie na sznurku; we wrześniu, kiedy nadeszły pierwsze chłody, wkładała wysokie buty; te zaś powinny uwierać przy chodzeniu, ale nie uwierały.

Mieszkała wówczas przy Fairfield Street, w mieszkaniu z wanną ustawioną na podeście w kuchni (niczym majestatyczny ołtarz ofiarny). Miała komplet porcelany i drogi kryształ należący do innego, zabójczego rytuału; wynikłe z niego małżeństwo przerdzewiało od środka jak lśniący samochód skorodowany pod warstwą lakieru. (Koniec końców rozbiła ten samochód w zderzeniu czołowym). Ustawiała swoje trofea na półce w kuchennym kredensie, gdzie zbierały kurz; niemy testament niespełnionych oczekiwań. Jadła, jeśli w ogóle jadła, na melaminowym talerzu kupionym w Lechmere i niebudzącym żadnych skojarzeń, którego nigdy nie dotykał żaden kochanek ani mąż. Rankiem po rozpoczęciu roku szkolnego, stojąc w drzwiach, piła śniadanie “z proszku”, zadowolona z istnienia czegoś, co wymagało tak niewiele zachodu. Wychodziła w swoich minispódniczkach i botkach (teraz aż ciarki przechodzą, że paradowała w podobnym stroju przed grupą siedemnastoletnich chłopców), wsiadała do samochodu i włączała się do ruchu, jadąc na północ, w kierunku liceum położonego w jednym z satelickich miasteczek. W samotności, jaką zapewnia jedynie wnętrze samochodu, płakała nad uporczywą i pozornie nieuleczalną stratą, przez co często musiała poprawiać makijaż we wstecznym lusterku, zanim weszła do klasy.

Podczas wakacji jeździła do Hull. Podróż przypominała stąpanie po polu minowym – najpierw strach, potem zaś bezbrzeżna wdzięczność za pomyślne zakończenie misji. Czasem miała mniej szczęścia. Wbrew zdrowemu rozsądkowi przejeżdżała nieopodal rodzinnego domu Thomasa – początkowo widywała skylarka, później zaś zachodziła w głowę, które z zaparkowanych aut należało do niego (volkswagen? fiat? volvo?); podobnie jak ona, Thomas również zmuszony był wracać do domu na wakacje. Nigdy jednak, wbrew jej lękom lub nadziejom, nie wpadli na siebie, ani w restauracji, ani na stacji benzynowej. (Pomyśleć tylko, jak się trzęsła, wjeżdżając na parking przed barem, prawie bez tchu na myśl o możliwym spotkaniu!).

Aby zniechęcić mężczyzn, wszechobecnych nawet na tak wydawałoby się kobiecym wydziale, wymyśliła historyjkę o rzekomym małżeństwie (dla większej wiarygodności ze studentem prawa, rzadko goszczącym w domu). Było to życie, które bez trudu mogła sobie wyobrazić i w każdej chwili odtworzyć: widmowy (kiedyś jak najbardziej realny) mąż wraca do domu po odpracowaniu wyczerpującej normy; huczna zabawa w weekend, w wyniku której małżonek choruje od nadmiaru burbona i młodego wina; prezent kupowany na ślub wspólnika. Cambridge oznaczało pozostawienie za sobą tych kłamstw i powrót do cichego mieszkania, gdzie miała czas oraz przestrzeń na wspomnienia, przestrzeń i czas równie niezbędne jak valium, które na wszelki wypadek trzymała w apteczce (nieoczekiwane dobrodziejstwo wynikłe z wizyty

w pogotowiu).

Była niezłą nauczycielką, co potwierdzali czasem inni (“Mówiono mi, że pani lekcje są naprawdę...”, “Jest pani moją ulubioną profesorką”), prowadziła jednak życie dość jałowe. Podejrzewała, że niektóre wydarzenia zaważyły na jej psychice. Później przypomniała sobie, że przez miesiąc była marksistką, i że pewien mężczyzna, zapalony polityk, z którym kochała się w pokoju w suterenie, zaraził ją upodobaniem do marihuany, trwającym aż do przyjścia na świat Marii. Na pewien czas stała się też posiadaczką imponującego zestawu farb olejnych w drewnianym pudełku, będących wspomnieniem próby wypowiedzenia się na płótnie. Co dziwne, nie próbowała swych sił na papierze w obawie przed pożarem, jakby kartka sama w sobie stanowiła zapalony lont.

Przeważnie jednak spacerowała samotnie od Massachusetts Avenue do Irving Street. I wzdłuż Charles aż do Porter Square. W soboty chodziła do Somerville albo Fenway. Wędrowała bez celu, tak jakby był nim sam akt chodzenia; czasem zaś, kiedy było naprawdę źle, rytmicznie liczyła kroki na podobieństwo swoistej mantry. Najbardziej zdumiewała ją nieustępliwość cierpienia: wydawało się niewiarygodne, że do tego stopnia można było za kimś tęsknić. Spoglądając na twarze mijanych ludzi, zastanawiała się, czy oni również przeżyli jakiś osobisty kataklizm. Podobne rozmyślenia na dłuższą metę budziły w niej poczucie winy: to wstyd rozwodzić się nad własnym cierpieniem, kiedy wokół rozgrywają się prawdziwe tragedie. (Tym bardziej że wieści z Wietnamu lub innych niespokojnych miejsc sprawiały, że myśli o sobie powracały ze zdwojoną siłą. Czasem informacje o lokalnych lub zagranicznych zawieruchach potęgowały cierpienie: człowiek tęsknił za kimś, z kim mógłby się nimi podzielić).

Pewnego wrześniowego dnia – po roku niestrudzonego chodzenia – Linda weszła do kawiarni, gdzie drewniane stoły ustawiono równolegle do kontuaru, na którym stały szklane słoje ze słodyczami. Nie zważając na porę lunchu, zamówiła kawę i ciastko z masłem orzechowym, po czym zaniósła je do stolika i rozłożyła na nim programy zajęć. Praca w kawiarni łagodziła zmudność zajęcia i Linda na chwilę zatraciła się w problematyce “Ethana Frome’a” oraz “Szklanej menażerii”. Na zewnątrz słońce grzało cegły, ale nie ludzi, którzy kulili się pod płaszcami w oczekiwaniu zimy. Zamieszanie w rogu ściągnęło jej uwagę. Jakaś kobieta posadziła dwa pudle na krzesłach i karmiła je drogimi makaronikami, ze szklanego słoja. Przemawiała do nich przy tym jak matka do dzieci, wycierając im pyski koronkową chusteczką i łagodnie karcąc za łakomstwo.

Linda z niedowierzaniem obserwowała tę scenę.

– Zachowa ich prochy w puszcze po herbatnikach – odezwał się głos za jej plecami.

Odwróciwszy się, dostrzegła mężczyznę o ostrych rysach i krzaczastych brwiach. Jego twarz miała ironiczny wyraz. Szczery śmiech przebił się przez jej wielomiesięczną melancholię i wychynął na powierzchnię. Na próżno próbowała zatrzymać sfruwającą ze stołu stertę

papierów. Bezradnie przycisnęła dłoń do piersi.

Nastąpiła wymiana imion, przerywana niepohamowanym chichotem, który udzielił się też mężczyźnie. Przyłożyła rękę do ust, a dziewczyna za kontuarem zapytała:

– Co jest takie zabawne?

Jedno z nich przesiadło się do stolika drugiego (później mieli się kłócić, kto do kogo) i Vincent powiedział, a propos śmiechu:

– Potrzebowałaś tego.

Miał grube brązowe brwi i gładką opaloną skórę. Jego włosy lśniły jak focze futro.

Odwracając się, trąciła nogą stół i wylała kawę na wypolerowany but mężczyzny. Schyliła się, aby wytrzeć plamę papierową serwetką.

– Uwaga – ostrzegł. – Łatwo się podniecam.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się – tak po prostu. Zrozumiała, że wreszcie doczekała się upragnionej fali.

\* \* \*

Opowiedziała o tym Thomasowi podczas rejsu promem na wyspę na jeziorze.

– Był dla ciebie dobry?

– Bardzo. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by się stało, co bym bez niego zrobiła.

– Przeze mnie.

– Cóż. No tak. Przeze mnie też.

– Mieszkałem kiedyś w Cambridge – powiedział. – Przy Irving Street. Wiele lat potem.

– Nie wiedziałam – odrzekła cicho.

Zastanowiła się nad tym, jak często spacerowała jego ulicą i w którym mieszkał domu. Opierała się o balustradę, patrząc, jak miasto zostaje w tyle. Wiatr potargał jej włosy i rzucił na twarz; odwróciła głowę. Jak zawsze, kiedy okoliczności nie wymagały czegoś bardziej wyszukanego, miała na sobie białą bluzkę i džinsy. Dzisiaj do tego zestawu dołączyła prochowiec, zapięty dla osłony przed wiatrem. Thomas nie rozstawał się z granatowym blezerem, tak jakby w nim spał. Zadzwoił, zanim zdążyła wstać z łóżka, w obawie, jak powiedział, że gdzieś wyjdzie i nie będzie mógł jej znaleźć. Odważnie zapytała go, dlaczego nie został na jej spotkaniu.

– Nie czułem się na siłach patrzeć, jak siedzisz tam stremowana. Jest trudniej, kiedy ktoś znajomy znajduje się wśród słuchaczy. Postanowiłem ci tego oszczędzić.

Oczywiście, miał rację.

– Twoje wiersze – powiedziała na promie. – Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałam...

Na twarzy Thomasa odmalował się dobrze znany jej wyraz: zadowolenia niewprawnie

pokrywanego skromnością.

– Za dziesięć lat będą o tobie mówić w szkołach – dodała. – Może prędzej. Nie mam co do tego wątpliwości.

Odwróciła wzrok, chcąc pozwolić mu cieszyć się własną sławą bez świadków.

– Dlaczego nazwałeś ten utwór “Poematem dla Magdaleny”? – zapytała po chwili.

Zawahał się lekko.

– Na pewno wiesz – odrzekł w końcu.

Naturalnie, że wiedziała; pożałowała tego pytania. Obudziło wiele niechcianych wspomnień.

– Piszesz to “Magdalena” – powiedziała. – Przez “a”.

– Dokładnie tak piszą w Biblii. Czasem występuje też jako Magdalen. Istnieje jednak wiele wersji: Magdala, Madeleine, Mary Magdala. Wiedziałaś, że magdalenki Prousta zostały tak nazwane właśnie po niej?

– Długo pracowałeś nad tymi wierszami? – spytała.

– Na jakiś czas musiałem przestać. Po Afryce.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

– Wychodzą poza wszystkie tematy – dorzuciła pośpiesznie. – Jak zawsze w wypadku dobrej poezji.

– To mit, że była kobietą upadłą. Przyjmuje się tak jedynie dlatego, że pierwsza wzmianka na jej temat następuje tuż po wzmiance o kobiecie upadłej.

– Masz na myśli Biblię.

– Tak. To prawie bez znaczenia. Interesuje nas sama historia.

– Byli kochankami?

– Jezus i Maria Magdalena? Przekazała mu swoją istotę, jak mówi Biblia. Chciałbym myśleć, że tak. Jednak większość badaczy posuwa się najwyżej do stwierdzenia, że pozwoliła Mu być tym, kim był jako mężczyzna. Moim zdaniem chodzi o seks.

– Dlaczego by nie? – zauważyła.

– Wiemy jedynie, że nie określano jej ani mianem żony, ani matki, obecnie zaś z uwagi na jej znaczenie dla Jezusa często zalicza się ją do grona uczniów. To ona pierwsza przyniosła wiadomość o zmartwychwstaniu. Jest wyjątkową kobietą, przynajmniej w interpretacji feministek.

– A co ze wzmianką o siedmiu demonach?

– Interesująca sprawa. Łukasz mówi: “Maria, zwana Magdaleną, z której wyszło siedmioro demonów”. Trudno powiedzieć. Może była dotknięta epilepsją? Albo też innym emocjonalnym, duchowym lub psychologicznym schorzeniem, z którego należało ją wyleczyć? A może była po prostu szalona?

– Tak czy inaczej, twoje wiersze są wyjątkowe – oświadczyła.

Przy lewej burcie, tyłem do Lindy i Thomasa, stał Seizek w pozie kapitana statku. Może obserwował horyzont, jak to robią ludzie zagrożeni morską chorobą. Linda miała poważne wątpliwości, czy pamiętał swój wczorajszy odczyt lub jej obecność. Na ławkach siedziały rozneglizowane nastolatki; w słońcu połyskiwały srebrne kółka w ich odsłoniętych mimo chłodu pępkach. Ich obecność przypominała jej, że to sobota. Każda z dziewcząt miała przedziałek pośrodku głowy i włosy ściągnięte z tyłu w kucyk. Linda czuła, że ta sama fryzura ją postarza. Kucyki skakały na wietrze jak koniki, od których wzięły swoją nazwę.

– Co się stało z Peterem? – zapytał Thomas, zapalając papierosa. Pytanie ją zaskoczyło.

– Nie wiem dokładnie – odrzekła. – Wrócił do Londynu. Kiedy tam byłam, sprawdzałam w książce telefonicznej, ale nie znalazłam nikogo o tym nazwisku.

Thomas skinął głową, jak gdyby zniknięcie z czyjegoś życia kogoś, z kim je się niegdyś dzieliło, było na porządku dziennym. Błask słońca odbijającego się od wody bezlitośnie uwydatniał jego niedoskonałe, nawet w młodości, rysy. Linda wolała nie myśleć o własnej twarzy i z trudem opanowała pokusę, aby usunąć się w cień.

– Wróciłaś tam kiedyś? – zapytał. Miał na myśli Afrykę.

– Nie – odrzekła. – Chciałam zabrać tam dzieci. Ale podróż była zawsze tak kosztowna, że nigdy nie zrealizowałam tego zamiaru.

– To niebezpieczny kraj.

– Wtedy myśleliśmy to samo.

– Bo był niebezpieczny. Ale teraz jest jeszcze gorzej – oświadczył. – Podobno turyści nie mogą się nigdzie ruszyć bez obstawy.

Ku ich zdziwieniu, na wyspie było ciepłej i mogli zdjąć okrycia. Thomas ściągnął blezer; Linda złapała się na tym, że obserwuje jego kanciaste ramiona. Była świadoma znajomego ciężaru swoich piersi pod bluzką. Ostatnio miała wrażenie, że wypływa z nich mleko, co przypisywała szalejącym hormonom.

Poszli ulicą pomiędzy drewnianymi chatami. Thomas przełożył płaszcz przez ramię niczym mieszkaniec kolonii w nieodpowiednim na upał ubraniu w Nairobi albo Malindi. Linda narzuciła swój prochowiec na ramiona, nie chcąc naśladować jego męskiego gestu.

– Naprawdę było dziecko? – spytała.

– Fałszywy alarm – odrzekł.

– Ach tak – westchnęła nagle bez tchu. Ulica zawirowała jej przed oczami. Opanowała się z wysiłkiem. – Co za ironia losu – dodała, odzyskując głos.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Och, nic takiego – rzuciła wymijająco.

Nie powiedziała, nie mogła mu powiedzieć, o doświadczeniach z katolickiego szpitala, wrogiej postawie zakonnic, uprzejmości belgijskiego lekarza, który uznał aborcję za konieczność.

Ani o źle ukrywanej złośliwości siostry Mary Patrick, która przyniosła jej do obejrzenia płód w słoiku. Nie chciała sprawiać Thomasowi więcej bólu.

– Musisz pisać – dodała z trudem – choćby ci było nie wiem jak ciężko.

Thomas milczał przez chwilę.

– To walka, którą częściej przegrywam, niż wygrywam – powiedział wreszcie.

– Czy upływ czasu ci nie pomaga? – zapytała.

– Nie – odrzekł z przekonaniem wynikającym z długiego doświadczenia. – Nie pomaga.

Wspięli się na pagórek i usiedli na kamieniu przy drodze. Linda była lepiej ubrana na tę okazję. Nigdy nie widziała Thomasa w podkoszulku i nie mogła go sobie wyobrazić w takim stroju. Zauważyła, że jego koszula jest doskonałej jakości. Poczula nagle pragnienie, aby położyć mu rękę na plecach. Czasem nachodziło ją nocą pożądanie – niechciane i bez zapowiedzi. Budziło w niej niepokój i rozdrażnienie, przypominając o nieodwracalności doznanej straty. (Vincent i ona, twarzą w twarz, ich ciała stykają się w kilku miejscach jak elektrody. Maria i Marcus na wypadzie z przyjaciółmi w sobotnie popołudnie; luksus wolnego czasu, promienie słońca na łóżku. “Mam nadzieję, że umrę przed tobą” – mówi Vincent z powagą w ciemnych oczach. Ona otwiera szeroko powieki; coś podobnego w ustach męża, któremu daleko do romantyka! “Musiałbym zniszczyć to łóżko – wyjaśnił. – Nie zniósłbym tego”).

Tymczasem ona, dawniej tak romantyczna, dalej sypiała samotnie w tym samym łóżku, nie wyobrażając sobie, aby miała je zniszczyć.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał Thomas.

Spoglądał w kierunku widniejącego na horyzoncie zarysu miasta. Musiał nosić się z tym pytaniem od wielu lat. Dokładnie od dwudziestu pięciu.

Początkowo nie mogła mu odpowiedzieć. Razem obserwowali ciąg barek i tankowców wpływających do portu.

– A co to za różnica? – zapytała wreszcie.

– Mogliśmy znaleźć inne wyjście. – Popatrzył na nią ostro.

– Na przykład jakie? – zapytała.

– Może z czasem coś byśmy wymyślili.

– Oszukujesz się – odparła.

– Sposób, w jaki to się stało – powiedział. – Postąpiłaś bezkompromisowo.

Pewnie uważa, że śmierć córki upoważnia go do oskarżycielskiego tonu, pomyślała Linda.

– Byłam pijana – skwitowała, choć zwykle nie uciekała się do wykrętów.

– No tak – odrzekł. – Ale nie tylko to. Chciałaś zranić.

– Kogo? – zapytała. – Siebie? Reginę?

– Reginę, oczywiście.

Wcale nie chciała nikogo zranić; pragnęła jedynie przekazać wielką prawdę, równie wielką

jak śmiech, którym wybuchnęła po latach. Fakt, że okazała się tak bezwzględnie okrutna, zawsze ją szokował.

– To była najbardziej egoistyczna chwila w moim życiu, Thomasie. Chyba po prostu chciałam z tym wszystkim skończyć.

– Wybacz – powiedział.

Twarz spłonęła jej rumieńcem na wspomnienie tamtego okropnego wieczoru.

– Trudno uwierzyć, że coś mogło mieć tak ogromne znaczenie – dodała.

Piła szkocką. Peter stał przy ścianie, początkowo nie rozumiejąc, w czym rzecz; wiedział jednak, że wypowiedziane właśnie słowa niosły skutek nieodwracalny. Wydawał się wówczas poślednim graczem, świadkiem jakiegoś większego dramatu. To także było z jej strony niewybaczalne. Jego zawstydzenie uszło uwagi Lindy. Pozostał na uboczu. Dopiero później, w odosobnieniu pokoju hotelowego płakał nad jej zdradą, tak absolutną i jawną. A ona siedziała obok, przepelniona zgrozą z powodu utraty kochanka. Lepiej nie pamiętać.

– Pisarz komediowy uczyniłby z tego farsę – zauważył Thomas. – Spowiedź w różnych pokojach i tak dalej.

– Pisarz komediowy mógłby nie być katolikiem – odparta.

Ruszyli ścieżką biegnącą w niskim poszyciu. Chaty zabite deskami czekały na powrót swych właścicieli latem. Na wyspę nie wpuszczano samochodów; zastanawiała się, w jaki sposób wybudowano te domy. Czy wszystkie ściany, dachówki i kominy przyplęły tu łodziami?

– Wyspa zawsze przypomina mi o Shoals – odezwał się Thomas, dodając: – Piekielne miejsce.

W pierwszym momencie nie wiedziała, o co mu chodzi. Raptem zrozumiała i stanęła jak wryta. Obejrzał się za nią.

– Nieważne – rzucił. – Byłem tam wiele razy.

Umiejętność stawienia czoła najgorszemu wiąże się ze swoistą odwagą, pomyślała. Czy ustawiono tam jakiś pomnik, znak? Jak można było znieść taki widok?

– Co się stało z Regina? – zapytała, kiedy podjęli wędrówkę.

– Mieszka teraz w Auckland, ma dwójkę dzieci.

– W Auckland w Nowej Zelandii? – upewniła się Linda.

– Czasem do siebie pisujemy – dodał Thomas. – Pracuje w firmie farmaceutycznej.

Różnica ciśnień pomiędzy sprawami o tragicznej i pospolitej wymowie przyprawiła ją o zawrót głowy.

– Jej mąż jest właścicielem owczej farmy – wyjaśnił.

– Czyli rana nie była śmiertelna – zauważyła Linda.

Thomas zaczął podwijać rękawy.

– Któż to może wiedzieć – odparł.

Przystanęli przy niedużym białym domku o jaskrawoniebieskich okiennicach, zamienionym na herbaciarnię dla tych, którzy wybierali się na piesze wycieczki po wyspie. Linda, zdziwiona, że zaszli tak daleko, pocila się w bluzce ze sztucznego jedwabiu. W panującym upale jej włożenie nie wydawało się rozsądnym posunięciem. Wyjęła bluzkę ze spodni i poczuła chłodny powiew w okolicach brzucha. Włosy kleiły jej się do karku; uwolniła je jednym ruchem ręki.

– Głodna? – zapytał Thomas.

Mieli do wyboru stół nakryty obrusem wewnątrz lokalu oraz nagi stół piknikowy na zewnątrz. Wybrali ten drugi, unieruchamiając serwetki okularami i butelką ketchupu. Usiedli obok siebie i spoglądali na wodę, której tafla lśniła, oprócz cieni rzucanych przez pojedyncze, dobrotliwie wyglądające obłoki (woda jest szafirowa, mogła napisać). Thomas przysunął się bardzo blisko – albo celowo, albo też nie pamiętając o prywatnej przestrzeni. Ich ramiona stykały się w kilku punktach od łokcia do barku; taka bliskość uniemożliwiała Lindzie koncentrację. Ujrzała wnętrze samochodu, kabrioletu marki Buick Skylark, białego z czerwoną tapicerką. Nie pamiętała rocznika. Dach zasunięty, okna zaparowane, snop policyjnej latarki bijący w wilgotną, matową szybę. Czy wszystkie nastolatki tamtych czasów miały podobne wspomnienia?

– Powinienem być zaraz na konferencji – odezwał się Thomas. – Urwałem się z wywiadu.

Ona nie udzielała wywiadów, nie licząc jednego dziennikarza, który zadzwonił rano.

– O której masz tam być? – zapytała.

Thomas spojrział na zegarek.

– O czwartej.

– O wpół do trzeciej odchodzi prom – powiedziała. – Czego dotyczy konferencja?

– Fenomenowi ego współczesnego poety.

Popatrzyła na niego i roześmiała się szczerze.

Odrócił się i nieznacznie oparł stopę na ławce, kładąc ręce na kolanie. Już jako chłopiec miał kłopoty z kręgosłupem, zapewne z powodu gwałtownego wzrostu. Niedbała postawa zawsze przydawała mu niezwyklej chudości.

Nieśmiała nastolatka podeszła do stolika, żeby przyjąć zamówienie. Menu było ograniczone: cheeseburgery, kotlety rybne oraz hot dogi. Linda nie miała zaufania do ryby. Zamówiła cheeseburgera.

– Nie jadłam ich od lat – powiedziała.

– Naprawdę? – zdziwił się szczerze Thomas. – A jadłaś jeszcze kiedyś homara?

– Jasne – odrzekła. – W Maine trudno przed nimi uciec.

Chciała odsunąć się kawałek, aby odrobinę zmniejszyć napięcie. Była świadoma fizycznych niedociągnięć wokół: własnych, o których wołała nie myśleć; a także rysów na blacie; rozchwianej podstawy stołu; strupa zaschniętego ketchupu pod białym plastikowym kubkiem.



Łodzie, które napływały ku wyspie od zawietrznej, cięły wzburzone fale, wywołując eksplozję piany. Grupka ptaków stłoczyła się w bezpiecznej odległości w oczekiwaniu na resztki. Przezorne ptaki o długiej pamięci.

– Jeśli chcesz porozmawiać o córce – zaczęła Linda, świadoma ryzyka swoich słów – chętnie cię wysłucham.

Westchnął.

– Przyniosłoby mi to pewną ulgę – wyznał. – To jeden z problemów towarzyszących rozstaniu z matką dziecka. Nie ma nikogo, kto mógłby je wskrzesić. Był Rich, ale jego wspomnienia się wyczerpały.

Linda odsunęła się pod pretekstem założenia nogi na nogę.

– Co tu jest do opowiadania? – zapytał, nagle pokonany.

Popatrzyła na wydłużoną linię jego pleców i koszulę znikającą pod sierpem paska. Odczuła pokusę przesunięcia palcami po plecach Thomasa. Wiedziała na pewno, że jęknąłby z rozkoszy, niezdolny się pohamować. Możliwe, że pochyliłby głowę, zapraszając, by Linda pogładziła go po karku. Nigdy nie zapomina się o tym, co sprawia przyjemność bliskiej osobie.

Postawił stopę na ziemi i sięgnął do tylnej kieszeni. Wyjął z niej skórzany portfel, wytarty na brzegach.

– To jest Billie – powiedział.

Linda wzięła od niego fotografię i przyjrzała się dziecku. Ciemne loki rozsypane wokół twarzy. Wielkie, granatowe oczy ocienione dwoma rzędami lśniących rzęs. Różowe usta, bez grymasu lub uśmiechu (choć głowa była lekko przechylona w bok, kokieteryjnie lub ostrzegawczo – nie wiadomo), idealne w zarysie. Gładka skóra, pulchne policzki okraszone różowym rumieńcem. Całość byłaby niewiarygodna na portrecie, lecz zdjęcie nie kłamało. Jakim cudem nie wypaliło dziury w sfatygowanej skórze portfela?

Zerknęła na Thomasa. Podobieństwo dziecka do ojca wydawało się niezaprzeczone, choć jego rysy były całkowicie innego rodzaju. Kiedy próbowała wyobrazić sobie matkę dziewczynki, ogarnęła ją ciekawość granicząca z zazdrością: tamta miała na imię Jean. Regina, pierwsza żona Thomasa, była postawna i kipiała zmysłowością, nie stanowiła jednak zagrożenia. Nie, nigdy nie stanowiła zagrożenia.

Linda potrząsnęła głową. Być zazdrosną o kobietę, która straciła wszystko!

– Zrobiono je przed naszym domem w Cambridge – wyjaśnił Thomas, nie mogąc patrzeć na zdjęcie, chociaż podniszczone brzegi fotografii świadczyły o tym, że często brano ją do ręki.

Spojrzał na Linde, po czym szybko odwrócił wzrok, jakby to ona teraz potrzebowała prywatności. Przyniesiono cheeseburgery. Oddała Thomasowi zdjęcie.

– Była taka mądra – powiedział. – Cóż, chyba wszyscy rodzice tak uważają, prawda? I może mają rację. To znaczy, w porównaniu z nami.

Bezpowrotnie straciła apetyt. Oblane tłuszczem nasączającym papierowe talerze cheeseburgery wydały jej się odrażające.

– Umiała być uparta. Jezu, jaka była uparta. – Thomas uśmiechnął się do swoich wspomnień. – I zadziwiająco odważna. Nie płakała, kiedy się skaleczyła. Choć z pewnością umiała krzykiem dopominać się o swoje.

– Jak wszystkie dzieci – zauważyła Linda.

Thomas jadł cheeseburgera, przytrzymując krawat. Przecież musi jeść, prawda, pomyślała. Inaczej skonałby z głodu wiele lat temu. W milczeniu spojrział na jej nietknięty talerz.

– Była świetną tenisistką – dodał. – Siadałem na plastikowym krzeselku ogrodowym i patrzyłem, jak gra. Większość dzieciaków wychodziła poza pole, aby zrywać mlecze. Inne siadały. – Roześmiał się do wspomnień.

Linda też się uśmiechnęła.

– Pamiętam. Ktoś wybijał piłkę poza pole i wszystkie dzieci rzucały się, żeby ją złapać.

– Podobno trwało to krócej niż minutę – powiedział. – Utonięcie. Dziecko połyka wodę szybciej niż dorosły. Poza tym istniała możliwość, że straciła przytomność. Modliłem się o to latami. Żeby to było uderzenie, nie utonięcie. Niesamowite, prawda? Setki godzin modlitwy, aby oszczędzić jej tej jednej minuty.

Nie ma w tym nic niesamowitego, pomyślała Linda. Postąpiłaby tak samo.

– To straszne myśleć, że daję za wygraną – dodał. – Bo tak jest. Nie pamiętam już tyle co dawniej. Nie pamiętam nawet, o czym zapomniałem.

Dotknęła jego ramienia. Byłoby nieludzkie teraz tego nie zrobić.

– Brak mi słów, Thomasie.

– Czy to nie ironia losu? My, którzy sądziliśmy, że posiadliśmy wszystkie słowa. Jean pokazała nam swoim aparatem, ile jesteśmy wariaci.

Nieopodal przemknęła motorówka z młodą, jasnowłosą kobietą przy sterze. Dziewczyna wydawała się zachwycona własną urodą oraz pierwszym ciepłym dniem sezonu.

Thomas lekko pochylił głowę.

– Poglądź mnie po plecach – poprosił.

W drodze na prom Thomas albo dla ochłody, albo by zmyć z siebie pot, wszedł do jeziora. Linda przysiadła na pagórku i patrzyła, jak wskakuje i nieruchomieje w zetknięciu z lodową wodą, wstrząsając głową jak pies i podciągając slipy. Gdy wyszedł na brzeg, wisiały mu nisko na biodrach, opinając dziwnie wydłużone z wiekiem genitalia.

– Zupełnie jak elektryczna terapia szokowa – oznajmił, wycierając się koszulą.

Pomimo blezera i płaszcza na promie trząsł się z zimna. Potem mieli się dowiedzieć, że jezioro było zanieczyszczone. W rękę trzymał zwiniętą koszulę. Stała bliżej, aby go ogrzać,

lecz dreszcze wydobywały się ze środka, i nie sposób było im zaradzić. Thomas zdawał się nieświadomy zaciekawionych spojrzeń na promie i przy wejściu do hotelu; pod wpływem wiatru włosy podniosły mu się na głowie, tworząc komiczny kształt. Wysiadł na jej piętrze i odprowadził ją do pokoju, wyglądając niczym człowiek ocalały z jakiegoś przerażającego kataklizmu (co całkowicie odpowiadało rzeczywistości, pomyślała). Stał przy drzwiach i przecesał palcami włosy.

– Nie zaproszę cię do środka – powiedziała po chwili Linda. Potraktowała to jako swoisty żart, jak gdyby byli na randce. Lecz Thomas wziął jej słowa na poważnie.

– Co się stało?

– Co się stało? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Zaszłości. Czy to istnieje samoistnie, czy jest wynikiem czegoś, co działo się wcześniej?

– O istnieniu czego mówimy? – zapytała.

Przyjrzał się jej.

– Jaki twoim zdaniem dramat rozdzielił nas tym razem? – odpowiedział pytaniem na pytanie, podobnie jak ona uczyniła poprzednio.

– Nie trzeba żadnego dramatu – odrzekła. – Jesteśmy za starzy na dramaty.

Odwrócił się, by odejść, po czym przystanął.

– Magdalena – szepnął.

Dawne imię. Niemal pieszczota.

Mimowolnie szukała śladów obecności poprzednich lokatorów i znalazła je w postaci pojedynczego, niezaprzeczalnie łonowego włosa na białych kafelkach pod umywalką. Była obecnie dalekowidzem, co niejednokrotnie sprawiało, że kiedy się śpieszyła, jej odbicie w lustrze zatracalo kontury. Dziś jednak chciała widzieć wszystko wyraźnie, beznamiętnie i obiektywnie.

Rozpięła bluzkę ruchem kobiety, która wie, że nie jest obserwowana, a następnie zsunęła spodnie. Postanowiła zostać w bieliźnie. Wsparłszy ręce na biodrach, spojrzała w lustro. To, co zobaczyła, nie przypadło jej do gustu.

Niepostrzeżenie przeobraziła się w pięćdziesięciodwuletnią kobietę o rzednących blond kosmykach; nie, nawet nie blond, raczej bezbarwnych. Mysi kolor u nasady przechodził w przybrudzone złoto, barwę niespotykaną w naturze. Zlustrowała kwadratowe biodra i szeroką talię, które jeszcze rok temu uznawała za stan przejściowy. Czytała o dziewczynach przekonanych o swej rzekomej otyłości, podczas gdy w istocie były zatrważająco chude (należała do nich chociażby Charlotte, przyjaciółka Marii); tymczasem ona, Linda, generalnie uważała się za szczupłą, choć w rzeczywistości miała nadwagę. I te ręce, o dawno stwardniałej skórze, zdradzającej wiek. Gwałtownie odwróciła się od lustra jak lekarz zniecierpliwiony utyskiwaniem pacjenta. Zdjęła z wieszaka hotelowy szlafrok i chciała włożyć, lecz nagle znieruchomiała, ściskając go w dłoniach.

Chyba zwariowała. Co sobie w ogóle wyobraża? Nikt nigdy już nie zobaczy jej ciała, po co więc te oględziny?

Zadzwoń do Marii, postanowiła, wchodząc do sypialni. Głos Marii poprawi jej samopoczucie.

Wybrała zgodnie ze wskazówkami numer telefonu komórkowego córki, ponieważ żadne inne połączenie nie mogło zostać zrealizowane, a nie chciała zostawiać wiadomości. Chociaż Linda proponowała, że będzie pokrywać koszty rozmów telefonicznych, Maria odmówiła; jej potrzeba niezależności, nawet przy imponujących kredytach studenckich, nie była żadnym zaskoczeniem. Podczas gdy Marcus... Marcus potrzebował opieki, urokiem rekompensował brak zdrowego rozsądku, robił wszystko, aby przyciągnąć kogoś, kto mógłby się nim zająć. Jak na przykład Davida, swojego kochanka, który niekiedy bywał nadopiekuńczy, kontrolując życie chłopca w sposób, w jaki ona nie czyniła tego od lat. Syn nigdy tego nie wykorzystywał; przeciwnie, wzbraniał się przed podobnymi względami.

Linda położyła się ze słuchawką, w oczekiwaniu, aż córka odbierze telefon. Uśmiechnęła się, słysząc jej głos.

– Trafiłam nie w porę? – zapytała.

– Ależ nie, kończę sprawozdania do laboratorium – odrzekła Maria, najszcześliwsza wówczas, kiedy wykonywała dwie rzeczy naraz. – Co porabiasz?

– Jestem na zjeździe literackim. – Lepiej nie mówić prawdy, pomyślała Linda. Tej, że zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

Omówiły zalety północnego miasta.

– Myślałam o twoim ojcu – dodała. Co było połowicznie zgodne z prawdą, gdyż to nie myśli o Vincencie wytrąciły ją z równowagi. Nielojalność napelniła Linde poczuciem winy.

– Tęsknisz za nim – zauważyła córka.

Linda widziała się w lustrze wiszącym nad komodą. W delikatniejszym świetle sypialni wyglądała lepiej – drobniejsza, może nawet ponętna w puszystym hotelowym szlafroku.

– Dostaniesz w lecie trochę wolnego? – zapytała.

– Tydzień. Może dziesięć dni, jak się uda.

– Dałabyś się namówić na przyjazd do Maine?

Nastąpiła chwila wahania, dość długa, by zniweczyć jakiegokolwiek plany. Linda pojęła tę pauzę i zirytowała się na siebie za to pytanie. Przypomniała sobie, jak Maria i Marcus jako dzieci błagali o wycieczki lub możliwość zaproszenia do domu przyjaciół. I chwilę jej własnego wahania, podczas której konsultowała i odsuwała na dalszy plan inne projekty. “Oczywiście, że mogę. Naturalnie, że tak”. W którym momencie natura odwróciła tę sytuację, sprawiając, że to matka prosi o przysługę dziecko? W wieku lat dwudziestu? Dwudziestu dwóch?

– Tylko na kilka dni – dorzuciła natychmiast, modyfikując prośbę. – Nie chcę, abys

poświęciła cały urlop.

– Nie, z przyjemnością przyjadę – odrzekła z nieudawanym entuzjazmem Maria. – Trzeba tylko ustalić datę.

Mimo to Linda postanowiła zwolnić ją z obietnicy, zwolnić do jej własnego młodego życia.

– Czy ty w ogóle sypiasz? – zapytała Marię.

Trzaski zagłuszyły odpowiedź córki. Linda przewróciła się na brzuch, sięgając po aparat stojący na nocnej szafce. Pociągnęła za kabel. Pewnego dnia jej córka zostanie kardiologiem dziecięcym. Myśl o tym była niesamowita. Niesamowita dla Lindy, która jako pierwsza w rodzinie poszła do college'u.

– Spotkałam kogoś – powiedziała Maria, najwyraźniej po raz drugi.

Linda na chwilę oniemiała, w obawie że ostatnie słowa pochodziły z jej ust.

– Opowiedz mi o nim – zachęciła córkę.

– Jest stąd. Ma na imię Bili.

Przed oczami Lindy uformował się obraz, najpewniej nietrafny, najpewniej złożony z wizerunków innych Billów, choć nie pamiętała, by kiedykolwiek знаła kogoś o tym imieniu.

– Podoba ci się – podsunęła ostrożnie.

Kolejna pauza Marii, przypuszczalnie dla większej emfazy.

– Bardzo. Jest przystojny.

– To się liczy – zauważyła Linda, która zawsze przykładała wagę do wyglądu mężczyzny.

– Może zabrałabym go ze sobą do Maine – zaproponowała z wahaniem Maria.

To poważne, pomyślała Linda.

– Co myślałaś w związku z tatą? – zapytała Maria.

– Myślałam o jego białych koszulach – odrzekła Linda – i o tym, jak ładnie leżały mu na ramionach.

Córka milczała wobec tak osobistego wspomnienia, którego jako dziecko nie mogła dzielić.

– Znasz kogoś z tych ludzi ze zjazdu? – Zmieniła temat.

– Teraz już tak. – Linda usiłowała rozwiać wrażenie swego osamotnienia.

– To dobrze – zakończyła lekko Maria. – Muszę lecieć. Jeśli nie skończę tych sprawozdań do szóstej, to mnie zabiją.

Linda miała co do tego wątpliwości; według niej ofiara wymagana od kogoś, kto zamierzał zostać lekarzem, nosiła znamiona atawizmu. Brak snu powodował błędy. Kiedyś Maria ze łzami wyznała jej własne.

Odłożyła słuchawkę, poruszona mieszaniną prawdy oraz kłamstw w rozmowie z córką. Tym razem z przewagą tych drugich, jak to się zresztą często zdarzało. Nie można przygotować dziecka na to, co się wydarzy w przyszłości; podobna wiedza mogłaby okazać się nie do zniesienia.

W pokoju panowała cisza jak makiem zasiał. Ustał nawet szum klimatyzacji. Zupełnie jakby ruch uliczny zamarł, ucichły wszystkie radia. Która to godzina? Dochodzi czwarta? Wyobraziła sobie znieruchomiałych na ulicach ludzi, składających hołd zmarłemu bohaterowi.

Wyszła na zalaną słońcem ulicę, by natychmiast schronić się przed jego promieniami. Mówiono jej, że w mieście znajdowało się kilka interesujących sklepów (kurs wymiany był bardzo korzystny), kiedy jednak przestąpiła próg słynnego domu towarowego, zasmucił ją widok ludzi kupujących rzeczy mające ich uszczęśliwić, odchudzić bądź uodpornić na śmierć. Dotknęła jedwabnego szalika i przeciągnęła ręką po rękawach garniturów, wiszących w pewnych odstępach od siebie dla podkreślenia ich doskonałej jakości. Z podziwem obejrzała frywolne peniuary; mimo to jej nastrój nie poprawił się ani trochę. Szła po schodach, wysoko w górę, przedkładając betonową stabilność posadzki ponad swobodny lot windy. W dziale dziecięcym jej uwagę zwrócił cytrynowy sweterek z subtelną lamówką. Zastanawiała się, kto ze znajomych ma małe dziecko, wreszcie doszła do wniosku, że prędzej doczeka się wnuka. Stała przy wejściu do kawiarni, z niecierpliwością czekając na wolne miejsce, lecz kiedy skierowano ją do stolika, niespodziewanie zabrakło jej powietrza. Uciekając, czuła płynącą z ubrań woń chemikaliów, której opary unosiły się nad działem męskich koszul. Czego dokonała? Wychowała tylko dzieci. Nikt nie będzie o niej pamiętał. Każdy dzień czyni ją starszą. Musi ukrywać swoje ciało przed wzrokiem innych i nigdy nie usiądzie rozebrana na plaży. Pewnych rzeczy nie sposób odzyskać. Większości nie sposób odzyskać. Nawet wspomnienie Vincenta zbladło: wydawał się bardziej materialny na zdjęciach niż w jej pamięci, całkiem jak dzieci gdy już dorosną.

Opuściła sklep – kobieta w średnim wieku, ubrana przewidująco w płaszcz przeciwdeszczowy pomimo upału. Mężczyźni, jak w wyniku jakiejś tajemniczej zмовy, nie odwracali głów. Natomiast Vincent, jej wielbiciel i kochanek, uznał ją za piękną nawet rankiem w dzień swojej śmierci.

– Jesteś piękna.

– Mam pięćdziesiąt lat. Nikt nie jest piękny w wieku pięćdziesięciu lat.

– Zdziwiasz mnie. Oczywiście nie masz racji.

Zdumiewające, jak pragnęła tych słów, ileż mogły one dostarczyć zadowolenia. Dostrzegła kosztownie ubraną parę, która kłóciła się po drodze. On miał jasne włosy i brodę; wysunął się nieco przed żonę, na co kobieta, gniewnie gestykulując, oświadczyła: “Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś”. Milczał, idąc z rękami w kieszeniach. On wygra, uznała Linda, swoim milczeniem.

Stała przed kamiennym budynkiem z gotyckimi iglicami, choć w swoim mniemaniu nigdy nie była w stanie traktować kościoła katolickiego jedynie jako gmach. Wśród nadmiaru butików wokół jego autentyczność działała jak magnes. (Lecz czyż iglice same w sobie nie stanowiły

nadmiaru?). Wstąpiła do przesiąkniętej zbutwiałym zapachem kruchty; jako dziecko nie wierzyła, że zapach pochodził od pleśni i kurzu, przekonana, że tę na swój sposób przerażającą woń wydawała święcona woda w chrzcielnicy. Z zakłopotaniem dostrzegła, że trwa msza (ona, która przychodziła w sobotę do kościoła jedynie do spowiedzi), bezszelestnie przesunęła się w stronę ławek, nie przyklękając ani nie żegnając się, choć wiedziona przyzwyczajeniem odruchowo chciała to uczynić.

Wnętrze kościoła ochłodziło pot na jej karku. Linda zsunęła płaszcz z ramion, z ulgą przyjmując fakt, że nie miała przy sobie szeleszczących toreb z zakupami. Mimo upływu lat wciąż pamiętała słowa, choć co poniektóre fragmenty liturgii wywoływały jej zaskoczenie. Naraz przyszła jej do głowy nieoczekiwana myśl: jej poezja stanowiła odzwierciedlenie tego rytmu! Jak mogła wcześniej tego nie zauważyć? Jakim cudem uszło to uwagi krytyków? Przecież podobieństwo jest takie oczywiste. Odkrycie przejęło ją zdumieniem; przypominało rangą list, który przynosił rozwiązanie zagadki naszego dzieciństwa.

Siedząca przed nią starsza kobieta zalewała się łzami (jaki żal czy grzech spowodował taki wybuch płaczu?). Linda nie widziała twarzy innych wiernych, siedzących w odległości dziesięciu lub więcej ławek przed nią. Zmówiła krótką modlitwę za Marcusa, który najbardziej jej potrzebował; skończywszy, podniosła wzrok na pociemniałe witraże (przez stojące po obu stronach wysokie budynki do wnętrza świątyni docierało niewiele światła) w poszukiwaniu wizerunku Marii Magdaleny. Znalazła Jana Chrzciciela oraz Ostatnią Wieczerzę, lecz świętej, której szukała, nie było.

Potem, jak przed laty, oddała się rozmyślaniom. Dryfujące myśli przywoływały przed jej oczy obrazy. Kiedy była młodą dziewczyną, na początku widziała zwykle drzewo wiśniowe za domem, potem szklanekę wiśniowej coli, następnie zaś kolano i nogę chłopca w skórzanej kurtce, którego zauważyła kiedyś w barze zamawiającego wspomnianą colę. Tego popołudnia ujrzała jednak twarze (Vincenta i Thomasa), skłębioną pościel (jej i Vincenta w dzień jego śmierci) oraz schludną, niedużą paczkę z pralni – czystą pościel, która przeleżała kilka miesięcy na krześle w sypialni. Jeden obraz prowadził do następnego, jakby nawleczono je na jedną, niewidzialną nicią, łączącą wszystkie w bardziej wyrafinowany lub oczywisty sposób. Obrazy bywały niepokojące, innym razem zaś miłe, stanowiąc świadectwo przeżytego życia, potwierdzając sporadyczną głupotę i rażącą naiwność.

Nieoczekiwanie pomiędzy owe wizje wkradło się niechciane wspomnienie i Linda bezskutecznie próbowała je odsunąć. Usłyszała przytłumiony dźwięk – słowo? Nie, raczej jęk lub szep, męskie usta wciśnięte w jej ramię, ciężar jego ciała na udzie. Skaleczył się czy też (co bardziej prawdopodobne) wypowiedział coś w nowym języku, którego ją uczył, w dziwnym dialekcie pozbawionym gramatyki i słownictwa, choć jednocześnie pełnym ukrytych znaczeń – niemego błagania oraz cichej wdzięczności?

Błękitna sukienka rozciągała się jak pergamin ponad wgłębieniem brzucha. Słońce spoczywało na łóżku i jej twarzy. Była dziesiąta lub wpół do jedenastej rano.

Szczecina krótkiej brody kłuła jak oset rosnący na pustym placu za szkołą. Gdy po pierwszym incydencie, oszołomiona południowym słońcem spojrziała do lustra, na obojczyku dostrzegła szereg jasnoróżowych zadrapań; jeden ból splótł się z drugim, służąc przez kilka kolejnych dni jako przypomnienie tego, co się stało. Nie bała się jednak. Ani mężczyzny, który zdawał się nie odgrywać wielkiej roli w całej sprawie, ani tego, co zaprzętało jej myśli, ani nawet samego aktu, do którego dopuściła czterokrotnie. Przeciwnie, coś wewnątrz niej skwapliwie przyjmowało owe niezwykle względy.

Usłyszała kolejne nie-słowo o równie precyzyjnej wymowie. Szarpał jej bluzkę, rozpinając guziki i rozsuwając tkaninę na boki. Przyłgął ustami do świeżo rozkwitłych piersi. Nie widziała jego twarzy i nie chciała widzieć – zaciśniętych powiek, pomarszczonej szyi z brudem między fałdami. To, co robili, wymagało odosobnienia, odwróconej twarzy i oczu.

Jej ciało zwiotczało, poczuła łaskotanie w brzuchu i wilgoć między nogami. Podciągnął się wyżej i przez chwilę walczył z jej spódnicą. Pomyślała, że ssanie przypominało upuszczanie krwi, i przyszły jej na myśl fotografie pijawek osłoniętych bańkami, których brzegi odciskały idealne obwódki na plecach kobiety. W gorączkowym pośpiechu wepchnął w nią palec, potem dwa. Zastanowiła się, czy przypominało to wkładanie palca do wąskiej, śliskiej szyjki od butelki. Paznokciec zawadził o naskórek; wzdrygnęła się, ale chyba nic nie zauważył. Następnie zastąpił palec czym innym (nigdy nie wypowiedziała na głos tego słowa) i zrozumiała, że wkrótce będzie po wszystkim.

Wyciągnęła szyję, by wyrzec za okno ponad łóżkiem. Duży ptak siedział nieruchomo na ganku sąsiedniego domu. Wuj skończył, jak zawsze, z konwulsyjnym dreszczem i lekką czkawką. Kiedy oderwał się od niej, poczuła wąską strużkę wilgoci spływającą po udzie. Patrzyła, jak siada na skraju łóżka, blady i ze zgrozą w oczach. Zapiął spodnie i wciągnął buty.

Nigdy nie usłyszała od niego ciepłego słowa; zresztą nie zależało jej na tym. Wstając, rzucił jedynie:

– Tylko nikomu nie mów.

Zupełnie jakby miała zamiar to zrobić. Jakby chciała to zrobić.

Wspomnienie przejęło ją gwałtownym dreszczem, dopiero kojące słowa pozwoliły jej odzyskać spokój. To nie była moja wina, powiedziała sobie. Tamto nie zniszczyło mi życia. Życie nie sprowadzało się jedynie do dziecięcych krzywd lub zwiędnięć. Życie to praca, miłość do drugiej osoby oraz dzieci; życie to Vincent, Marcus i Maria. Kiedy jednak pomyślała o Marii, zadrżała ponownie. W oczach matki ów incydent był przerażający i niewybaczalny. Myśl o córce leżącej zamiast niej na łóżku napęliła ją niepohamowanym gniewem. Ludzie z wolna sunęli obok niej, niektórzy spoglądali w jej kierunku. Msza niepostrzeżenie dobiegła końca.



Zrobiła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze z płuc. Dawniej Vincent był antidotum na to wspomnienie. Czyżby teraz, bez niego, straciła tarczę? I dlaczego, po tylu latach, napłynęło do niej to wspomnienie?

Głodna i spragniona filiżanki herbaty wróciła do pokoju. Migąca lampka automatycznej sekretarki. Siadając w płaszczu na brzegu łóżka, ułożyła sobie szereg gotowych pytań oraz możliwych odpowiedzi: “Jak poszła konferencja?”, “Kolacja?”, “Jesteś pewny?”, “Sądysz, że inni będą mieli coś przeciwko temu?”. Gdy jednak odsłuchiwała wiadomości, okazało się, że dzwonił nie Thomas, ale David, kochanek Marcusa, prosząc o telefon jak najszybciej. Zdenerwowana Linda dwukrotnie pomyliła numer, przeklinając za każdym razem. Jak długo jej nie było? Godzinę? Dwie?

– Marcus został aresztowany za jazdę po pijanemu – oznajmił bez ogródek David.

– Kiedy? – Pochyliła się do przodu, jakby nie dosłyszała.

– Dziś rano, około piątej.

Odruchowo popatrzyła na zegarek. Czekali z telefonem dwanaście godzin.

– I zdarzył się wypadek – dodał.

– Boże – odpowiedziała, niezdolna wykrztusić nic więcej. – Jest ranny?

– Ma dość paskudnie potłuczone kolano. Zrobili mu prześwietlenie i powiedzieli, że naruszył sobie jakąś chrząstkę.

– Ktoś jeszcze ucierpiał? – zapytała Linda, z góry obawiając się odpowiedzi.

– Nie.

Odetchnęła z ulgą. I pomyśleć, że dopiero zmówiła za syna modlitwę.

– Jest tam? – spytała. – Mogę z nim pomówić?

Rozmyślna pauza po drugiej stronie linii nie pozostawiała wątpliwości. Wyobraziła sobie Davida – wzrostu jej syna, ale cięższego, o rudawych włosach i bladych oczach, pełnego pewnej nieuchwytniej miękkości – jak stoi w kuchni brooklyńskiego mieszkania Marcusa. A może byli razem w sypialni?

– Pani Fallon – powiedział David (pomimo zachęty z jej strony uparcie mówił do niej per “pani” i zaraz na początku ich znajomości zakomunikował, że nie rozumie poezji i ma nadzieję, że Linda nie weźmie mu tego za złe). – Sądzę, że Marcus i ja sami musimy się z tym uporać.

Milczała, czując się odtrącona.

– Oczywiście – zreflektował się natychmiast, łagodząc cios – jeśli sprawa z kolaniem okaże się poważna, od razu panią powiadomię.

Odkryła z zaskoczeniem, że nie czuje się szczególnie urażona.

– Myślę też – dorzucił po kolejnej pauzie David – myślę, że powinniśmy przedyskutować możliwość wysłania Marcusa na kurację odwykową.

– Odwykową? – powtórzyła Linda. – Dlatego że prowadził po pijanemu? Czy to rzeczywiście konieczne?

– Obawiam się, że tak – oświadczył. – Pije od dłuższego czasu. Zeszłego wieczora opuścił mój koncert. Stracił przytomność i doszedł do siebie dopiero po moim powrocie. Pokłóciliśmy się i wyszedł. Dziś rano zadzwonił do mnie z aresztu w Nashua.

– Nashua? W New Hampshire? Co on tam robił?

– Nie jestem pewien, czy sam wie.

Marcus, pomyślała Linda. Mój biedny, biedny Marcus. Widziała go pijanego w Święto Dziękczynienia i potem w Boże Narodzenie, ale to do niej nie dotarło. A może po prostu wołała przymknąć oczy?

– Masz na myśli odtrucie? – zapytała Linda. – Chyba tak to się nazywa?

– To raczej nie będzie konieczne – odrzekł z namysłem David, dając do zrozumienia, że brał taką ewentualność pod uwagę. – Mam przynajmniej tę nadzieję. Potrzebuje, żeby go ktoś kopnął w tyłek. Już dostał co nieco w Nashua. Boi się trochę.

– Myślisz o jakimś konkretnym miejscu?

– Nie jestem pewien. Muszę odbyć kilka rozmów telefonicznych. Podobno Brattleboro jest najlepsze.

Linda wzdrygnęła się na myśl o umieszczeniu syna w zakładzie tego typu. Zacisnęła usta. Było tak źle, jak uważał David – naturalnie, że tak; Marcus spowodował wypadek – jakiego dowodu potrzebowała jeszcze matka?

– Naprawdę chciałabym porozmawiać z Marcusem. – Spróbowała jeszcze raz.

– Śpi – oświadczył David. – Dali mu coś w szpitalu.

– Rozumiem – odpowiedziała, tłumiąc gniew. Odpychanie matki od piskłęcia wydawało się niezgodne z naturą. Choć, gwoli sprawiedliwości, Marcusa trudno by nazwać piskłciem. – Jeśli jest tak źle, jak mówisz, ostatnie miesiące musiały być dla ciebie trudne – dodała, zdobywając się na wspaiałość.

– Kocham go.

Zbyt odważne stwierdzenie było jak nagi człowiek na ulicy; coś, co należało osłonić. Śmierć Vincenta wyzwoliła Marcusa. Nim minął miesiąc, oznajmił matce i siostrze, że jest homoseksualistą. Przed upływem roku poznał Davida.

– Nie miałam pojęcia, że czuje się aż tak nieszczęśliwy – powiedziała Linda.

– Nie wiem, co to ma wspólnego ze szczęściem – odrzekł czujnie David.

Jak zostaje się alkoholikiem, zadała sobie pytanie Linda. Nieodpowiednie wychowanie? Złe geny? Fatalny gen, obecny zwykle w irlandzkiej krwi? Prawie nie знаła własnego ojca, znała jednak stryjów, ponurych bądź wylewnych, czasem zachowujących się jak zwierzęta. I pomyśleć, jak dawniej szczyliła się sukcesami dzieci: Maria na Harvardzie, obecnie studentka medycyny

u Johnsa Hopkinsa; Marcus w Brown, teraz na studiach podyplomowych na bostońskim uniwersytecie. Jak często zdawkowo rzucała w rozmowie nazwy prestiżowych uczelni? Od dziś powinna mówić: Mój syn jest alkoholikiem. Mój syn, Marcus, jest alkoholikiem.

Czyżby i ona miała ten sam problem? Własne picie postrzegała teraz w całkiem nowym świetle.

– Samochód jest do niczego – oznajmił David. – Odholowali go. – Kolejna pauza. – Straci prawo jazdy.

– Domyślam się – odrzekła Linda, tłumiąc płacz. – Musimy znaleźć prawnika.

To “my” dotarło do niej zbyt późno. David odczekał cierpliwie.

– Mamy prawnika, pani Fallon – powiedział, jak rodzic do rodzica. – To nasz przyjaciel. Jest świetny.

Leżąc na łóżku, Linda uniosła do brwi spoconą z wrażenia dłoń.

– Dasz mi znać – poprosiła, próbując nie wpadać w histerię. – Dasz mi znać, jak się miewa i co dalej. Co postanowicie.

Była pewna, że usłyszała westchnienie.

– Oczywiście, że tak – oświadczył David.

Opadła z powrotem na łóżko. Marcus cierpiał – z powodu nadszarpniętej dumy i potłuczonych kolan. I ucierpi jeszcze dotkliwiej, w sądzie oraz z pewnością na odwyku. Nie orientowała się ani w jednym, ani w drugim. Czy odwyk powoduje ból fizyczny? Czy może jest morderczo nudny? Próbowała przypomnieć sobie wszystkie okazje, kiedy widziała syna pijącego. W jego lodówce stało piwo. Na plaży czasami już o trzeciej sięgał po dzin z tonikiem. Wówczas jednak myślała, że miało to charakter sporadyczny, było przejawem letniego luzu. Ale w gruncie rzeczy wiedziała, prawda? Wiedziała. I wybaczyła synowi, jeszcze zanim słowo “problem” zdążyło na dobre zaistnieć w jej świadomości, równie łatwo jak zweryfikowała swoje oczekiwania, słysząc, że jest homoseksualistą. Wtedy też wiedziała. Jasne, że tak.

Rozpacz i złość wezbrały w niej z jednakową siłą. Rozejrzała się po pustym pokoju, którego przepych zgasł wobec wieści z domu. Wstała z łóżka i zaczęła chodzić z rękami skrzyżowanymi na piersi. I może mówiła do siebie albo do Marcusa czy Vincenta, białych imitacji rzeczywistych słuchaczy. Chodziła, dopóki nie wyczerpała wszystkich słów oraz myśli. Musi stąd wyjść. Inaczej zwariuje.

Kiedy wieczorem w porze kolacji zeszła do głównej sali, rozkład sił przedstawiał się nieco inaczej niż zeszłego wieczora. Panował też wzmożony hałas – czyżby ostatniego dnia zjazdu częściej sięgano po kieliszki? Nie, chodziło o coś innego: temperatura w sali wzrosła o stopień lub dwa w poczuciu doniosłości, której brakło poprzednio. Pośrodku najliczniejszej grupy stała drobna kobieta w piaskowym stroju. Błysnęły flesze i Linda wyteżyła wzrok, lecz nieśmiałość

wzięła górę nad zainteresowaniem: nie miała najmniejszej ochoty przyłączać się do tłumu. Podeszła do baru i zamówiła piwo, lecz na wspomnienie Marcusa zmieniła zdanie. Zamiast tego sięgnęła po ser i krakersy, zagryzając je piklami ze stojącej obok miseczki. Miała usta pełne brie, kiedy u jej boku stanął zapomniany obecnie Australijczyk.

– Słyszała pani ostatnie wieści?

– Jakie? – spytała, wycierając usta serwetką.

Wyglądał najzdrowiej ze wszystkich zgromadzonych: wysportowany i opalony – bardziej jak ktoś, kto zarabiał na życie, zmagając się nie ze słowami, lecz z końmi. W jego kraju była teraz jesień.

Informacja istotnie ją zaskoczyła: podczas gdy wraz z Thomasem płynęli promem, drobna kobieta w piaskowym kostiumie otrzymała prestiżową nagrodę.

– Miała szczęście – podsumował Australijczyk.

Odwróciwszy się, Linda zauważyła stojące na stole wiaderka z szampanem.

– Chyba nigdy o niej nie słyszałam – powiedziała.

– Nie jest pani wyjątkiem. Wyrwana z niebytu, ale podobno niezła.

Cóż, nic innego nie wchodzi w grę, prawda? Założę się, że nikt z tutaj obecnych nie czytał jej książek.

Przesunęła się, aby lepiej widzieć. Fotoreporterzy obstąpili laureatkę, prosząc innych o odsunięcie się na bok.

– Często używa słowa “pierdolić” – dorzucił Australijczyk.

Na Linde spłynęło objawienie. Chyba знаła ten wiersz.

– “Wiek pierdolenia” – przypomniała sobie, choć sama nigdy nie używała tego słowa.

– W jej pokoju jest już tyle kwiatów, że musiała poprosić portiera o zabranie ich do recepcji.

Linda poczuła ukłucie zazdrości. Wymienili uśmiechy, obydwoje myśląc o tym samym. Nie sposób przyznać się do zawiści, można jednak po cichu ją usankejonować. Powstrzymanie się od tego nie byłoby uczciwym posunięciem.

Uśmiech Australijczyka przygasł. Linda poczuła obok siebie czyjąś zwalistą obecność.

– Szkoda, że twój chłopak nie dostał nagrody – wybełkotał Robert Seizek.

– Nie mój i nie chłopak – odparła.

– Ciekawe – wtrącił Australijczyk – że na jej wczorajsze spotkanie nie przyszło nawet tuzin osób. Teraz próbują zorganizować jej specjalny wieczór.

– To wspaniale – odrzekła Linda, usiłując zignorować Seizeka.

– Pracuje jako bibliotekarka. W Michigan – dorzucił Australijczyk, dołączając się do jej wysiłków.

– Jest pani w bliskich stosunkach z Thomasem Janesem – oświadczył zbyt głośno Seizek, nie dając się zbyć.

Gniew, z takim powodzeniem stłumiony jeszcze minutę temu, wybuchł w niej ze zdwojoną siłą. Odwróciła się do Seizeka i widok jego nieproporcjonalnie wielkiej głowy zbił ją (na chwilę) z tropu.

– Thomas Janes nie opublikował nic od lat – oświadczyła, siląc się na opanowany ton – tak więc nawet nie mógł być brany pod uwagę przez jury. Choć jestem pewna, że gdyby posłuchał pan wczoraj jego wierszy, zgodziłby się pan, że przyszłe publikacje Thomasa Janesa zdobędą uznanie w wielu krajach.

– A gdyby pani przyszła dziś na konferencję pana Janesa – odparł bez wahania Seizek – jestem pewien, że zgodziłaby się pani ze mną, że jej chłopak zrobił z siebie kompletnego osła.

Linda zerknęła na Australijczyka, a ten odwrócił wzrok. Wiedziała, że zachowuje się jak uczennica, której kolegę wyśmiano na placu zabaw, mimo to nie mogła się wycofać; zabrnęła zbyt daleko.

– Wolę genialne słowa człowieka, rzekomo ośmieszającego się publicznie – oznajmiła – niż rozwodnioną prozę niedoszłego pisarza, na próżno usiłującego wszcząć awanturę.

Seizek zaś, sotto voce, żeby tylko ona mogła usłyszeć, wycedził:

– Nie miałem pojęcia, że osoba, której nieciekawym wyglądem dorównuje jedynie beznadziejności jej poezji, jest zdolna wykrzesać z siebie taki żar.

Zakładam, że istnieją kobiety, lubiące te bzdury. Pewnie należą do nich wiernie czytelniczki romansów. To musi się opłacać, co?

Linda również zniżyła głos do szeptu.

– Odpierdol się – powiedziała, wypróbując to słowo na awanturniku.

W twarzy Seizeka odbiło się przelotne zdumienie. Uznała to za punkt dla siebie. Ponownie przeniosła spojrzenie na Australijczyka.

Następnie z rozmyślną powolnością, nie chcąc stwarzać pozorów ucieczki, odwróciła się i skierowała ku drzwiom.

Wyszło niezłe, pomyślała, opuszczając salę. Słowo brzmiało i smakowało, jak należy.

Wyładowała resztę złości na przycisku od windy, która najwyraźniej zrewanżowała się jej długim oczekiwaniem. Nadeszło jakieś starsze małżeństwo i stanęło obok. Gdzieś z korytarza napłynęły odgłosy miłości: rytmiczne, coraz dłuższe jęki kobiety. Starsi państwo zeszywnieli z zakłopotania. Lindzie zrobiło się ich żal i chciała wyjść z dowcipną uwagą, która rozładowałaby atmosferę, zamiast tego jednak poczuła, że sama się wstydzi. Idąc w kierunku schodów, pomyślała: Jakie pokłady winy poruszyła we mnie obecność Thomasa?

Bostońskie mieszkanie Vincenta nie przypominało nic, co widywała dotychczas – spartańskie i proste jak szkolna klasa, z ruchomym stołem kreślarskim pośrodku. Na ścianach

wisiały czarno-białe fotografie, niektóre przedstawiały jego liczną rodzinę (upłynęły miesiące, zanim nauczyła się ich wszystkich rozpoznawać), inne zaś okna, w jakiś sposób pobudzające jego wyobraźnię: proste okna kolonialne; ozdobne drzwiowe, wbudowane głęboko w cegłę; niewielkie świetliki przy drzwiach. Jego pokoje były schludne i męskie, osobliwie dorosłe i kalwińskie w swej poprawności. Czasami, kiedy wyjeżdżał na weekend, siadała przy stole kreślarskim z notatnikiem i piórem, i pisała krótkie akapity, listy do siebie, listy, których Vincent nigdy nie widział. Z uwagi na okoliczności ich pierwszego spotkania znał ją tylko od pogodnej strony; odkryła, że nie chce mieć świeżo odnalezionego szczęścia wspomnieniami niedawnej przeszłości. Tym sposobem – i częściowo chcąc sprostać jego oczekiwaniom – dopasowała się do wizerunku kobiety rozsądnej i praktycznej (co w dużej mierze było zgodne z prawdą), sennej i łatwej w łóżku, skorej do wyśmiewania cudzych i własnych słabostek. Pierwszego wieczora zabrał ją do swego mieszkania, przygotował kolację – spaghetti z czerwonym sosem – podkreślając doniosłość spotkania Włocha z Irlandką. Sos był gładki, zawiesisty, i miał niewiele wspólnego z pomidorami, które wcześniej widywała bądź jadła. Mimo to, chociaż dotąd głodziła się tak beztrudnie, łapczywie rzuciła się na jedzenie, pogłębiając wrażenie niezaspokojonego apetytu, potwierdzonego w łóżku (w tej dziedzinie również była wygłodzona), kiedy odpowiadała na pieszczoty nowego kochanka z niemal zwierzęcą zachłannością (czy to lśniące włosy Vincenta przywiodły jej na myśl focze futro?). Owa autoprezentacja nie miała nic wspólnego z oszustwem; Linda chciała być właśnie taka dla Vincenta, i dlatego była. Nie widziała nic niezwykłego w tym, że w obecności innego mężczyzny stawała się inna, gdyż wszystkie owe cechy drzemały wewnątrz niej w oczekiwaniu na swoją kolej, uwalniane poznaniem tej czy innej osoby bądź takim a nie innym splotem okoliczności. Odkrywanie ich sprawiało jej niemalą przyjemność. Do tego stopnia, że po powrocie do mieszkania na Fairfield wzdrygnęła się na widok wanny i pojedynczego talerza na suszarce. I natychmiast poszła kupić naczynia oraz narzutę na łóżko, żeby nie wystraszyć Vincenta i nie dać się z powrotem wchłonąć pustce. Podczas pierwszej wizyty stanął w progu jej mieszkania i rozejrzał się, dopasowując wewnątrz do charakteru znanej mu osoby (potem pomyślała, że przypominało to projektowanie wystroju, tyle że w odwrotnej kolejności). I ona sama też zaczęła postrzegać je inaczej – jako skromnie urządzone raczej niż smutne.

Maria przyszła na świat łatwo, ale Marcus (prorocznie) rodził się z bolesnym wysiłkiem. Wówczas mieszkali już w Belmont, w domu, który na każdym kroku raził Vincenta banalnymi rozwiązaniami i tandetnym wykonaniem. (Jako syn przedsiębiorcy budowlanego, potrafił na pierwszy rzut oka rozpoznać wadliwie wykonane spojenia). Linda rzuciła pracę w szkole, a on rozpoczął samodzielną praktykę i inwestował w nią wszystkie zarobione pieniądze (co uważała za słuszne), pozostawiając niewiele na życie; opieka nad dziećmi i niezapłacone rachunki były jedyną przyczyną spierć między nimi. Ogólnie jednak uważała ten okres za szczęśliwy. Kiedy

siedziała w niedużym ogródku w Belmont, obserwując męża sadzącego z dziećmi pomidory, ogarniało ją bezbrzeżne zdumienie, że wbrew wszelkim przeciwnościom losu udało jej się stworzyć z Vincentem rodzinę. Nie wyobrażała sobie, co inaczej by się z nią stało; jedyna perspektywa jawiła jej się w postaci uporczywego bólu głowy, na który nie ma lekarstwa.

Pewnego ranka, kiedy Marcus spał, a Maria była w przedszkolu Montessori, Linda usiadła przy kuchennym stole i napisała nie list do siebie, lecz wiersz (albo po prostu inny rodzaj listu). Wiersz o oknach i dzieciach, szybach i przytłumionych głosikach. Później, pisząc i przerabiając obrazy oraz sformułowania, często odkrywała, że czas minął niepostrzeżenie, i dawno minęła już pora odebrania Marii i pobudki Marcusa. Wprawiona w ruch wyobraźnia nawet w chwilach wolnych od pisania produkowała rytmiczne strofy oraz osobliwe zestawienia słów, co pochłaniało Linde bez reszty. Do tego stopnia, że ściągnęło uwagę Vincenta, który nie omieszkał jej o tym poinformować. Linda wyjęła zapisywane miesiącami w tajemnicy kartki i pokazała mu. Nie kryła przy tym obawy, ponieważ ujawniały nieznana dotąd stronę jej osobowości, której być może wcale nie kwapił się poznać (co gorsza, mógł wykazać zainteresowanie, kto oglądał taką Linde, gdyż pewne utwory – choć pozornie dotyczyły czegoś innego – mówiły o Thomasie). Lecz Vincent nie zadawał żadnych pytań i oświadczył, że jego zdaniem wiersze są świetne. Był również pod szczerym wrażeniem tego, że żona ukrywała talent, o którym nie miał pojęcia (ona zresztą też). Tak podbudowana, rzuciła się do pracy ze zdwojoną energią, pisząc już nie tylko pod nieobecność lub podczas drzemki dzieci, ale i do późnej nocy, wylewając słowa na papier i nadając im dowolny kształt i charakter. Vincent nigdy nie powiedział: “Nie pisz więcej o innym mężczyźnie” (ani nawet później o nim samym), uwalniając Linde tym samym od najbardziej wpływowego cenzora, jakim jest obawa przed skrzywdzeniem innych.

Wieczorami uczęszczała na warsztaty poetyckie, oszołomiona (i w duchu podbudowana) ogromem nudnych oraz ekshibicjonistycznych utworów pozostałych uczestników. Ośmielona tym posłała kilka pierwszych utworów do małych czasopism literackich, ale wszystkie jak jeden mąż odrzuciły jej wiersze (raz dostała przez pomyłkę sonet innego autora, dzięki czemu mogła żartować, że odrzucają nawet rzeczy, których nie napisała). Chcąc odpędzić poczucie klęski, dodawała żartobliwie, że mogłaby wytapetować ściany w łazience odmowami, lecz zamiast ją zniechęcać, pobudzały do dalszych wysiłków. Wreszcie pewnego popołudnia dostała list z obietnicą publikacji od wydawcy, któremu spodobał się jej utwór. Dodał, że nie może jej nic zapłacić, ma jednak nadzieję, że jemu pierwszemu przypadnie zaszczyt opublikowania wiersza. Linda oniemiała; myśl o pieniądzach nawet nie przeszła jej przez głowę. Gdy Vincent wrócił wieczorem do domu, wciąż przyciskała list do piersi. Kilka miesięcy później, gdy pewne czasopismo zapłaciło za wydrukowany wiersz, obydwójce uczcili to wyjściem na kolację. Vincent zauważył, że suma figurująca na czeku wystarczyłaby, aby pokryć rachunek za koktajle.

Potem, wbrew oczekiwaniom niej samej, wiersze pojawiały się jak grzyby po deszczu

i zaścielała sypialnię notatkami i zmiętymi kartkami. Zupełnie jakby poezja wzbierała w niej przez wiele lat i w końcu musiała znaleźć ujście. Utwory te drukowano regularnie (wyszczególnienie wcześniejszych publikacji dawało magiczny efekt) i kiedy Maria skończyła dwanaście lat, pierwszy wydawca, z którym Linda utrzymywała przyjazną korespondencję, zawiadomił ją, że przenosi się do Nowego Jorku, i zapytał, czy pozwoliłaby mu wydać tomik swojej poezji.

– Udało ci się – powiedział Vincent, kiedy Linda zadzwoniła z tą wiadomością do niego do pracy.

– Dopiero zaczynam – odparła.

Przypomniała to sobie, idąc po hotelowych schodach. Otworzyła drzwi prowadzące z klatki schodowej (przesiąkniętej wonią nikotyny; pokojówki w czasie przerw?) na korytarz, niepewna numeru pokoju Thomasa. Wydawało się jej, że mieszkał na siódmym piętrze; czy powiedział 736? Mogła jednak pomylić go z numerem swego wcześniejszego pokoju. Powinna wrócić do pokoju i zadzwonić. Nie, nie zrobi tego. Chciała zobaczyć Thomasa, porozmawiać z nim. Pewnie zapukała do drzwi z numerem 736, przygotowując się na widok zdziwionego, częściowo rozebranego biznesmena, gotowego powiedzieć pokojówce, że nie, dziękuję bardzo, ale ma już czekoladkę do poduszki. Minęła ją kobieta na wysokich obcasach i w naszyjniku z pereł, unikając jej spojrzenia: czyżby Linda wyglądała na kobietę wyrzuconą z pokoju przez wściekłego męża? Zastukała ponownie, też bez rezultatu. Poszperawszy w torebce, znalazła mały notesik i pióro. Te listy, pomyślała pisząc, dawne nawyki, echa wspomnień. A może Thomas, nie spodziewając się żadnego listu, nadeptnie na karteluszek wsunięty pod drzwi?

“Mój syn jest alkoholikiem, napisała. O czym to świadczy?”.

I znów pozwoliła wprowadzić się do autobusu i zawieźć do restauracji – tym razem japońskiej. Była to jedyna kuchnia, za jaką nie przepadała; nie mogła rozsmakować się w sushi oraz obtoczonych w mące i tłuszczu warzywach. Mimo to kolacja na mieście stanowiła ciekawszą perspektywę niż samotny wieczór w pokoju, spędzony na odpieraniu pokusy zatelefonowania do Marcusa lub Thomasa, gdyż niezmiernie ją ciekawiło, co obydwaj porabiali. Czy Marcus pojechał już do Battleboro? Czy Thomas wrócił do hotelu? Linda chciała zapytać Mary Ndegwe, z którą jadła kolację, co zrobił podczas konferencji, że tak bardzo zbulwersował rzekomo odporną na skandale publiczność, wołała jednak uniknąć rozmowy na jego temat, którą niewątpliwie zainicjowałoby owo pytanie. Chociaż nigdy oficjalnie się nie poznały, Mary Ndegwa i Linda miały wspólne wspomnienia i posiłek upłynął im w nostalgicznym nastroju. Linda z przyjemnością wsłuchiwała się w śpiewny akcent Kenijki, nawet gdy ta opowiadała o uwolnieniu męża z aresztu, zakazie rozpowszechniania jej utworów w rodzinnej Kenii,



strasznych konsekwencjach wyborów w 1997 roku oraz zbombardowaniu ambasady amerykańskiej. W Kenii też zrobiło się niebezpiecznie, tłumaczyła Mary, i choć Linda wolała pamiętać migotliwie zielone plantacje herbaciane oraz białe barki handlowe w Łamu, miała również świeżo w pamięci ubranych na zielono askari i ich panga oraz kartonowe osiedla lepianek w Nairobi.

– Musisz tam wrócić – powiedziała Mary Ndegwa. – Tak długo cię nie było. – Afrykanka roześmiała się nieoczekiwanie, zasłaniając dłonią szczelinę między zębami. Nie wiadomo czemu Amerykanie zawsze ją bawili.

Podczas kolacji Linda zauważyła, że Seizek trzymał się na dystans, co bardzo ją ucieszyło. Australijczyk uśmiechnął się do niej dwukrotnie; wspólny sekret niepostrzeżenie pogłębił ich zażyłość. W czasie morderczo długiego wieczoru (od siedzenia na podłodze rozboleły ją kolana) przyszło jej do głowy, że gdyby była wolna, kto wie, czy nie zapragnęłaby krótkiego romansu z ogorzałym pisarzem. Lecz krótkotrwałe romanse nigdy jej nie pociągały (niewielka inwestycja i chwilowa nagroda; ostatecznie przecież najbardziej liczyło się to pierwsze, prawda?). Potem zastanowiła się nad znaczeniem słowa “wolna” – czyżby taka nie była? A jeśli nie, z kim lub z czym czuła się związana? Ze wspomnieniami o Vincencie? Z tamtą historią z Thomasem? Ze sobą, jako wyłączną właścicielką własnego ciała?

W drodze powrotnej autobus zatrzymywał się kilkakrotnie i tylko ona oraz podstarzała kanadyjska biografka wysiadły przy hotelu; Linda odrobinę (i niedorzecznie) zmieszana wyszła z autobusu może nieco energiczniej, niż należało.

Kiedy minęła obrotowe drzwi, siedział na fotelu naprzeciw wejścia. Wstał; spojłali na siebie przez niezręczną chwilę, podczas której mogli przecież się objąć. Lecz owa chwila minęła bezpowrotnie, czar prysnął. Za nimi w obrotowych drzwiach wirowali ludzie wystrojeni na sobotnie wyjście.

– Wiem, że to bardzo niestosowne – odezwał się Thomas – ale czy nie napiłabyś się czegoś?

– Owszem – odrzekła po prostu. – Z chęcią.

Lśniący mahoń nie nosił śladów odcisków palców. Linda zauważyła ułożone wysoko na półce białe płócienne obrusy. Barman okazał się profesjonalistą; jego wyćwiczone, płynne ruchy przypominały taniec. Podane im musujące martini było jak kunsztownie opakowany prezent, który obawiała się zniszczyć, otwierając. Przez chwilę rozważała zamówienie szkockiej, jak za dawnych czasów, wiedziała jednak, że jej żołądek nie zniosłby mieszanki słodkiego, ciężkiego drambuie z johnnym walkerem. Przypomniała sobie, jak przed laty gładko osuszała kieliszki tych trunków. (W perspektywie dzisiejszych wydarzeń jej własne picie...). Siedzący przy barze mężczyźni zmierzyl ją wzrokiem, zaraz jednak zastanowiła się, czy to istotnie ona była celem owych spojrzeń. Mogli przecież patrzeć na Thomasa. (Albo wcale nie zdawali sobie sprawy z tego, że patrzą, pomyślała. Po prostu odruchowo skierowali wzrok na wchodzących).

– Ostrzygłeś się – zauważyła.

Przeczesał ręką krótką, siwą czuprynę, nieprzyzwyczajony do nowej fryzury.

– Ładnie – uznała. – Nawet w liceum nie przestrzegałeś modnych trendów.

– Miałem nadzieję, że bardziej ci się spodobam – wyznał bez ogródek.

– A chciałeś bardziej mi się spodobać? – Pozwoliła sobie na odrobinę kokieterii.

– Jeśli mam być szczery, to tak – przyznał.

Tręcili się kieliszkami.

– Chciałabyś porozmawiać o synu? – zapytał delikatnie.

– Za chwilę – odrzekła. – Potrzebuję minuty.

Zrozumiał i usiadł obok niej na stołku. Wymienili spojrzenia w lustrze za barem.

– Sądzę, że po tylu latach ciotka musiała ci wybaczyć – odezwał się Thomas. – Czy nie tego uczy katolicyzm? Przebaczenia?

– Chodzi do kościoła – powiedziała Linda. – Mimo to nie jestem pewna, czy umie wybaczać.

Jej ciotka większość czasu spędzała w ciemnym, zagraconym pokoju, zwanym przez rodzinę dziuplą, siedząc na sofie obitej szorstką, kraciastą tkaniną. W obydwu oknach wisiały firanki; telewizor zajmował centralne miejsce. Na drewnianym stoliku obok sofy leżały robótka szydełkowa oraz książeczka do nabożeństwa. Linda była wdzięczna za te codzienne wyprawy do kościoła: przynajmniej ciotka musiała ruszyć się z domu i przejść parę przecznic.

– Kiedy ją widzę, chciałbym zapytać o ciebie, a nie mogę i to mnie drażni – przyznał się Thomas.

Linda milczała.

– A co słyhać u Michaela, Tommy’ego, Eileen i całej reszty? – zapytał, nie otrzymawszy informacji o niej samej. Skubnął orzeszek z małej miski na kontuarze. Znał cioteczne rodzeństwo Lindy głównie z widzenia, choć lubił Jacka. Jak jednak opowiedzieć o sześciu różnych życiach, wypełnionych smutkiem, powodzeniem oraz wstydem, w sześciu zdaniach? Zastanowiła się przez chwilę, a potem zaczęła wyliczać na palcach:

– Michael mieszka w Marshfield z kobietą, która ma dwóch synów.

Ledwo wiązą koniec z końcem. Tommy nie poszedł nawet do college’u, w wieku siedemnastu lat kupił Cisco i obecnie ma miliony. Nigdy się nie ożenił. Eileen jest chyba najszcześniejsza ze wszystkich. Wyszła za mąż za prawnika i mieszkają w Andover.

– To ją uszczęśliwiło? – wtrącił Thomas.

– Vincent i ja często się z nimi widywaliśmy – ciągnęła Linda. – Ma trójkę dzieci, wszystkie skończyły już szkołę. Patty jest bankierem w Nowym Jorku. Nie wyszła za mąż, co nie daje spokoju jej matce. Erin mieszka w Kalifornii. Ma problemy z narkotykami. Przesiedziała jakiś czas w więzieniu. – Odnotowała wyraz zaskoczenia na twarzy Thomasa; pamiętał Erin jako podlotka w różowej sukience. – Urwała. – Domyślam się, że nie słyzałeś o Jacku – powiedziała

cicho.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Już dawno nauczył się oczekiwać najgorszego. A może usłyszał coś w jej głosie.

– Umarł... – Umilkła, zdziwiona zapowiedzią świeżych łez pod powiekami. – Na białaczkę, mając czterdzieści lat. Ciotka nigdy się z tym nie pogodziła. Był jej ulubieńcem. – Na wszelki wypadek wzięła do ręki serwetkę. – Pomyśleć, że najmłodszy z nas odszedł jako pierwszy. Zostawił żonę i dwójkę małych dzieci, bliźnięta. Thomas potrząsnął głową.

– Nauczyłem go jeździć na łyżwach – odezwał się z niedowierzaniem.

– Pamiętam. – Zamrugła powiekami pod wpływem innych wspomnień. – Miał straszną śmierć. Czasem się cieszę, że Vincent umarł tak szybko. Pewnie nawet nie wiedział, co się z nim dzieje. – Urwała na wspomnienie modlitw Thomasa o szybką śmierć dla Billie. Wytarła nos i wyprostowała się szybko. – Tak to właśnie wygląda.

Powoli skinął głową.

– Jakie są rokowania, że sześcioro dzieci dożyje średniego wieku? – zastanowiła się głośno. – Pewnie niezbyt pomyślne.

– Lepsze niż kiedyś – zauważył.

– Jadłam kolację ze wszystkimi – powiedziała, zmieniając temat – a czy ty coś jadłeś?

– Nie – odrzekł. – Ale nie jestem głodny.

– Co zrobiłeś dzisiaj na konferencji prasowej? – spytała. – Wszyscy byli dosyć poruszeni.

Thomas z zakłopotaniem zasłonił ręką oczy.

– Pokpiłem sprawę – wyznał z udaną skruchą.

– Co się stało?

– Jakaś kobieta wsiadła na mnie, że wykorzystuję śmierć... – Urwał.

– Billie – dokończył. – Pewnie nie było w tym nic dziwnego. Wtedy jednak Robert Seizek, który też uczestniczył w konferencji, wziął stronę tamtej dziennikarki. Pomyśleć, że pisarz, pieprzony pisarz, wygaduje takie bzdury. Dosłownie wyszedłem z siebie. No i... – Umilkł ponownie.

Miał kołnierz rozpięty pod szyją i poluzowany krawat. Koszula wydeła mu się nad paskiem, który opadł niżej niż dawniej.

– Wyglądasz na zadowolonego z siebie – zauważyła.

– Wynudziłem się na tej konferencji.

Linda się roześmiała.

– Kupiłem dziś jedną z twoich książek i u fryzjera przypomniałem sobie niektóre fragmenty – powiedział.

– Naprawdę?

To wyznanie zdziwiło ją bardziej, niż była skłonna to okazać. Skąd on brał na to czas?

Nerwowo pogładziła palcami nóżkę od kieliszka. Alkohol rozgrzewał jej żołądek.

– Uczysz literatury czy pisania? – zapytał.

– Prowadzę głównie warsztaty.

Popatrzył na nią ze współczuciem.

– Próbowałem, ale nie szło mi najlepiej. Nie umiałem ukryć pogardy dla tego zajęcia.

– To rzeczywiście problem – odparła z ukrytą aluzją. Lekko odwróciła się w jego kierunku, zakładając nogę na nogę. Tym razem bluzka o innym kroju, ale ta sama spódnica. Powinien właściwie odczytać zakodowaną w ubiorze informację.

– Jaki jest ten college? – spytał. – Nigdy tam nie byłem.

Wyjaśniła, że to czworoboczna budowla w kształcie krzyża, z kaplicą po jednej i – niezbyt stosownie – akademikiem po drugiej stronie. Kamienne gmachy, arkady i okna skrzynekowe zbudowano na staroświecką modłę w stylu Oksfordu i Cambridge, całość powstała jednak w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Była to szkoła wolna od ekscentryczności i szpetoty, nieskażona “nowym”, co z pewnością cechowałoby każdą instytucję z ambicjami postępu. Wszechświat stworzony w postaci ostatecznej, bez należnej daniny złożonej upływowi czasu.

– Jak Ameryka – wtrącił Thomas.

Czasami uczelnia przypominała scenę, choć rozgrywane tam dramaty były przejmująco rzeczywiste: wysoki odsetek romansów pomiędzy studentami a kadrami, pijaństwo na prywatkach, bliska epidemii liczba przypadków podcinania sobie żył (zwłaszcza wśród kobiet), niezliczone intrygi.

– Traktuję swoją pracę jako wyzwanie – oświadczyła Linda. – Trudno nauczyć kogoś pisać.

– Oferujesz biednym studentom słowa zachęty?

– Tak trzeba.

– Nie marnujesz aby ich czasu? I swojego?

– Po to tam jestem. Myślę jednak, że w całkowicie beznadziejnym przypadku wystąpiłabym z propozycją alternatywną. Jeżeli, w moim przekonaniu, student mógłby to znieść. Jestem tchórzem, gdy chodzi o krytykę. I łatwo wydaję sądy – wyznała.

Thomas się uśmiechnął.

– Jadłam kolację z Mary Ndegwa – powiedziała.

– Rozmawiałem się z nią.

– Ma jasne pojęcie tego, co straciła.

– Cóż, to stanowi sedno jej poezji. Jej syn, Ndegwa, pracuje w kenijskim Ministerstwie Finansów.

Thomas znowu potrząsnął głową – dobrowolny pustelnik, nienadążający za tempem postępujących zmian; człowiek, dla którego życie dziecka zatrzymało się na etapie pięciu lat.

– Mały Ndegwa! – Westchnął prawie z przerażeniem. – Nigdy nie czułem się na siłach, aby

pisać o Kenii – dodał. – Mam wrażenie, że tkwi poza moim zasięgiem.

– Przebywaliśmy tam jedynie przez pewien czas.

W drugiej sali ktoś zaczął grać na fortepianie. Bar wypełnił się niepostrzeżenie i musieli mówić głośniej, aby się usłyszeć.

– Czasem myślę o Peterze – wyznał Thomas. – I żałuję, że nie mogę po prostu zadzwonić i go przeprosić.

Linda wypła łyk ze swojego kieliszka.

– Nie pamiętam, jak się z nim kochałam – wyznała po chwili. – Rzecz jasna, robiliśmy to, wiem, że tak, ale wszystko umknęło mi gdzieś po drodze. Trudno pojąć, że można było pozostawać z kimś w intymnych stosunkach, a potem utracić wspomnienia tamtych wszystkich zbliżeń. Nie wiem, czy po prostu zapomniałam, czy może nigdy nie zwracałam na to szczególnej uwagi. – Umilkła i potrząsnęła głową. – Okropne, że tak mówię. Umarłabym, wiedząc, że znaczyłam tak niewiele dla kogoś, z kim dawniej dzieliłam życie.

Thomas milczał. Może zastanawiał się, jak ją zapytać, czy pamięta ich intymne zbliżenia. Tak czy inaczej, otrzymałby odpowiedź twierdzącą.

– Wiesz, że kochaliśmy się tylko cztery razy? – odezwał się z namysłem. – Przez te wszystkie lata. Cztery razy.

– Teoretycznie – odrzekła.

– Rich pieprzył moją żonę – wyjaśnił. – Widziałem ich przez lornetkę. Zapewniał, że to nieprawda, ale mu nie uwierzyłem. Od lat ta sprawa tkwi między nami jak zadra. Jeśli mam rację, nie mógłbym mu wybaczyć, i on o tym wie. Jeśli się mylę, on nigdy mi nie wybaczy, że go podejrzewałem. Jednym słowem, sytuacja jest beznadziejna.

Myślała, że Thomas powie coś więcej o Richu, ale milczał. Zauważyła, że w nowy dla siebie sposób zaciskał usta, co nadawało mu czujny wygląd. Czy istnieje coś takiego jak zwykła ludzka przyzwoitość, pomyślała.

– Dzięki za drinka – powiedziała po chwili – ale muszę już wracać do pokoju. Martwię się o syna. Jego przyjaciel ma go dzisiaj zabrać do ośrodka, jeżeli Marcus się zgodzi. – Urwała. – Mój syn jest homoseksualistą.

Na twarzy Thomasa odmalowało się zmęczenie, jakby nadmiar usłyszanych informacji go przytłoczył.

– Czy to dla ciebie trudne? – zapytał.

– Tamto? Nie. Właściwie nie. – Linda powoli zsunęła się z barowego stolka. – Z tym jednak będzie inaczej.

Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości. Gdy wybrała numer Marcusa, w słuchawce zabrzmiał głos Davida: “Dodzwoniłeś się do szczęśliwego gniazdka Davida Shulmana i Marcusa Bertolliniego”. – Ogarnęło ją palące uczucie wstydu za syna.

– Może są w drodze do Brattleboro – powiedziała do Thomasa, który usiadł na fotelu w rogu sypialni. Położywszy za plecami poduszkę, wyprostowała nogi na łóżku. Zrzuciła buty. – Co się stało z Donnym T.? – zapytała zniechęta.

– Czemu o nim pomyślałaś?

– Nie wiem. Zawsze znajdował się na krawędzi.

– Klęski?

– Nie, wielkiego sukcesu.

– Sukces zwyciężył – oświadczył Thomas. – Został pewnego rodzaju bankierem, ma miliony. Albo nawet miliardy.

Linda z uśmiechem potrząsnęła głową na myśl o Donnym T. na tylnym siedzeniu wozu Eddiego Rocketa, przeliczającym banknoty w mętym świetle jedynej latarni na molo. Może to nie ryzyko było dla niego przed laty magnesem: może najzwyczajniej w świecie chodziło o pieniądze.

– Chcę opowiedzieć ci o Billie – oznajmił ku jej zaskoczeniu Thomas.

Spojrząwszy na niego, zrozumiała, że nosił się z tą myślą od dłuższego czasu. Potrzeba wielokrotnego powtarzania owej historii przywołała na myśl kobietę krótko po porodzie, chętnie opowiadającą o tym wydarzeniu każdemu, kto tylko zechciał słuchać. Ona robiła to samo.

– Wciąż na nowo rozgrywam w głowie tę sytuację – zaczął Thomas. – I wyobrażam sobie, że gdybym mógł po prostu wrócić i zmienić jakiś drobny szczegół, jeden jedyny fakt, bez trudu bym tamto wszystko odkręcił. – Zsunął się na fotelu i oparł nogi o krawędź łóżka. – Rzekomo chodziło o pracę – podjął. – Jean dostała od “Globe” zlecenie na zdjęcia miejsca, gdzie sto ileś tam lat temu, w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku, zamordowano dwie kobiety. Było to niedaleko wybrzeża New Hampshire. Wyspy Shoals, słyszałaś o nich?

Linda kiwnęła głową.

– Ale nigdy tam nie byłam.

Rich wpadł na pomysł, że skoro jest lato, moglibyśmy połączyć robotę Jean z krótkim urlopem. Opłynąć wyspy, a potem może skierować się w stronę Maine. – Thomas umilkł. – Nienawidzę żeglowania. To była zawsze domena Richa. – Potrząsnął głową. – Zabrał ze sobą jakąś kobietę, z którą się spotykał; poznałem ją kilka miesięcy wcześniej na przyjęciu.

Miała na imię Adaline, była bardzo miła, szczerze mówiąc, całkiem niczego sobie, niemniej jednak w zupełnie podświadomy sposób niebezpieczna. Miałas kiedyś podobne wrażenie? Że ktoś jest niebezpieczny?

Linda zastanowiła się przez chwilę. Chyba jedynie myślała tak o sobie, lata wstecz.

– Teraz uważam, że Adaline odegrała rolę swoistego katalizatora. Wobec czegoś, co toczyło się pomiędzy naszą trójką: mną, Jean oraz Richem.

– Thomas milczał przez chwilę. – Właściwie Adaline bardzo przypominała mi ciebie. Wyglądała dokładnie jak ty w Afryce. Nie widziałem cię od tamtej pory, w związku z czym w mojej pamięci nadal byłaś taka jak wtedy. Co więcej, nosiła krzyżyk. – Złączył palce, oddając się wspomnieniom.

– Nie mogłem oderwać od niej oczu. W dodatku znała moje wiersze i bardzo je chwaliła. Nigdy nie byłem obojętny na pochwały.

– Jak wszyscy – wtrąciła Linda.

– Jean to wszystko widziała, bo niby jak miała nie zauważyć, i dręczyło ją to, tak jak dręczyłoby każdą inną kobietę. Nie wydaje mi się, aby była z natury zazdrosna. Tylko że tam, na łodzi, nie miało się ucieczki od tego, co się działo obok. Obcowałeś z tym dzień w dzień, bez przerwy.

– Rich też to widział? – zapytała szybko Linda.

– Jestem zmuszony założyć, że tak. Inaczej dlaczegóż by postanowił wypieprzyć moją żonę właśnie wtedy, podczas tamtego rejsu? Znali się z Jean od lat. Nie wydaje mi się, aby wcześniej coś między nimi zaszło. – Thomas wrócił myślami do przeszłości. – Nie, jestem pewien, że nie. Chybabym to czuł.

Linda skinęła głową.

– Wszyscy byliśmy spięci. Potem Jean i ja... – Uciekł spojrzeniem w bok, po czym znów popatrzył na nią. – Stwierdzenie, że mieliśmy problemy, brzmi banalnie. I takie to było, właśnie banalne. Jednak takich problemów nie można zdefiniować, spróbować rozwiązać i iść dalej. Nie, bardziej chodzi o to, że popsuta się cała struktura naszego małżeństwa. – Thomas westchnął. – I co z czymś takim zrobić? – ciągnął. – Macie wspaniałą pięcioletnią córkę. Jakoś się dogadujecie. Nie istnieje żaden widoczny kryzys. I co, zniszczycie małżeństwo, ponieważ coś między wami, czego nie potraficie zdefiniować, nagle nie gra? I, rzecz jasna, nie wiecie na pewno, że los waszego małżeństwa został nieodwołalnie przypieczętowany. Gdzieś w głębi każdego z was tli się nadzieja, że zdołacie przywrócić właściwy porządek rzeczy.

– Czyli?

Widzisz? W tym tkwi problem. W małżeństwie zawsze ku czemuś zmierzasz, ale nigdy nie masz pewności, kiedy tam dotrzesz. Albo czy aby już tam nie dotarłaś. Wciąż zadajesz sobie pytanie: “Czy coś mnie jeszcze czeka?”. – Zdjął krawat i złożył go, a następnie położył na podłokietniku. – Jean i ja nie sypialiśmy ze sobą. Przynajmniej niezbyt często. Stanowiło to dodatkowy problem, ponieważ seks towarzyszył nam wszędzie. Rano słychać było, jak Rich i Adaline pieprzą się w swojej kajucie. Już ci mówiłem. Co za ostre słowo, pomyślała Linda. Gniew Thomasa jeszcze nie wygasł. Ile musi być w nim gorczy!

– Wiem, że Jean latami myślała, że ją wykorzystałem. Tuż po naszym spotkaniu nastąpił dziwny etap, podczas którego po okresie długiego milczenia znowu zacząłem pisać. Od lat mam

problemy z dyscypliną. Jean sądziła, że dlatego z nią jestem, że odgrywa rolę swoistej muzy. Nie czułem się na siłach, by kiedykolwiek wyprowadzić ją z błędu. – Przeciągnął dłonią po świeżo ostrzyżonych włosach. – Dodatkowo komplikował to fakt, że od razu, zanim jeszcze wiedziałem, że się pobierzemy, opowiedziałem jej o tobie. Wiedziała, że cię kochałem. – Chwycił oddech. – To był dopiero problem.

Linda skrzyżowała ręce na piersi. Dlaczego ta informacja tak bardzo ją poruszyła?

– Jakie z tego wyprowadzisz równanie? – zapytał Thomas. – Jak rozwiążesz taki problem?

Oddychała powoli i miarowo. W pokoju panował chłód; potarła ramiona.

– Drugiego dnia Jean i Rich udali się na wyspę, gdzie dokonano tamtej zbrodni. Zakotwiczyliśmy nieopodal, wyspa miała okropną nazwę: Suttynose. Adaline i ja zostaliśmy sami na łodzi. Rozmawialiśmy. W trakcie zagnatwanego rozwodu straciła córkę, opowiadała mi o tym. – Ponownie podrapał się po głowie. – Co za ironia. Pomyśleć, że to ja pocieszałem ją, podczas gdy za kilka godzin moja córka miała zginąć. – Na chwilę ukrył twarz w dłoniach, po czym podniósł głowę. – Przypadkiem dostrzegłem na brzegu jakichś ludzi i uznałem, że to Rich z Jean. Postanowiłem do nich pomachać. Sięgnąłem po lornetkę i zobaczyłem, jak się obejmują. Od pasa w górę Jean była naga.

Linda zaczerpnęła tchu. Nawet w świecie szokujących wizji ów obraz wytrącił ją z równowagi.

– Obserwowałem ich przez chwilę. Nie mogąc dłużej tego znieść, wyrzuciłem lornetkę za burtę. Adaline powtarzała: “Thomas, co się stało?”, “Thomas, kto tam jest?”. Nie mogłam wykrztusić z siebie ani słowa. Nie wiem, dlaczego dotąd nie daje mi to spokoju. Po tym wszystkim... – Odchylił się do tyłu na fotelu.

– Twój brat – powiedziała Linda. – Z twoją żoną.

Kiwnął głową.

– Wymiar prawie biblijny – dodała.

Ponownie przytaknął.

– Zresztą czy to był seks? – zapytał. – Czy zdjęcie bluzki przed szwagrem można nazwać seksem? Gdzie przebiega granica?

– Nie ma żadnej granicy – odrzekła.

– Nie, oczywiście, że nie. – Odetchnął głęboko. – Kompletnie mi odbiło. Nie potrafiłem jasno myśleć. Byłem taki pochłonięty tą sprawą. A potem, kiedy wrócili... – Urwał. – Nadszedł sztorm. Poważny sztorm.

Marny ze mnie żeglarz, lecz nawet ja wiedziałem, że jest niewesoło. Nie było czasu na rozmowę z Richem albo Jean. – Mówiąc, bez przerwy potrząsał głową. – Przez tę całą burzę i napięcie wszyscy chodzili jacyś nieprzytomni. – Nieoczekiwanie wstał, jakby zbierając odwagę na ciąg dalszy.



Podszedł do okna. – Wydawało się nam, że Billie jest z Adaline bezpieczna. Adaline dostała choroby morskiej i leżała w kabinie razem z małą, która też nie czuła się najlepiej. Rich, Jean i ja próbowaliśmy wyrównać kurs i dobić do brzegu. – Thomas potarł oczy w typowo męski sposób: energicznie, prawie ze złością. – Adaline zostawiła Billie leżącą na koi i wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza. I pewnie zwymiotować. Wiem, że sądziła, że dziewczynka nie wstanie. – Zaczął chodzić po pokoju. Skierował się do rozsuwanych drzwi i przeszedł przez nie do salonu. Podniósł mały wazon i odstawił go z powrotem. Wrócił do sypialni. – Jean i ja próbowaliśmy włożyć Billie kapok. Chyba myśleliśmy, że nam się udało, albo ktoś nam przeszkodził, nie pamiętam. Mimo to powinniśmy byli wiedzieć. Billie nie chciała go nosić, my zaś wiedzieliśmy najlepiej, jaka potrafiła być uparta. Należało ją do tego zmusić i cały czas mieć na oku. Albo w razie potrzeby przywiązać do czegoś.

Linda przymknęła oczy. Wystarczyła chwila nieuwagi. Wycofujesz samochód z podjazdu, nie widząc, że dziecko stoi z tyłu. Klócisz się z mężem, a tym razem dziecko niepostrzeżenie wdrapuje się na parapet. Jedna sekunda – nie potrzeba więcej.

– Adaline wypadła za burtę. Skoczyłem do wody. Rich usiłował wyrównać kurs. Jean wychodziła z siebie. Potem... chyba Rich zauważył pierwszy. – Thomas spojrzał na sufit. – Boże, to nasza kara, prawda? Te wspomnienia. Okruch lodu w sercu. Ciało już wie, nawet jeśli umysł jeszcze odsuwa od siebie tę świadomość. “Gdzie Billie?” – zapytał Rich. – Umilkł i popatrzył na Linde. – I tyle – zakończył. – To wyznacza kres mojego życia.

– Tomas – szepnęła Linda.

Codziennie wymyślali słowa i układali je w zdania, ale teraz nie potrafili zdobyć się na nic więcej.

– Przez następne miesiące tkwiłem w obłędzie. Byłem niepoczytalny. Budziłem się w środku nocy z krzykiem, a Rich wbiegał do pokoju – towarzyszył mi wtedy przez cały czas – i siłą kładł mnie z powrotem na łóżko.

– Thomas.

Z rękami w kieszeniach oparł się o futrynę drzwi.

– Opowiedzenie ci tej historii wydawało mi się niezmiernie istotne – powiedział.

Podchwyciła jego spojrzenie. Oboje milczeli. Czasu trwającej między nimi ciszy wystarczyłoby na jakieś decydujące wydarzenia.

– Nie będę się z tobą kochał, skoro czekasz na wiadomość od syna – odezwał się wreszcie Thomas. – Chociaż bym chciał.

Linda podciągnęła kolana pod brodę i opuściła na nie twarz. Zgodnie ze swoją obietnicą, nie dotknął jej.

Szczegóły czynią sytuację nie do zniesienia, pomyślała.

Mocno przycisnęła czoło do kolan. Wiedziała, że jakikolwiek gest objawi to, co było do

powiedzenia. Gdyby wstała i podeszła do okna, oboje wiedzieliby, że historii nie sposób wskrzesić, a przyszłości uratować. Potem Thomas by wstał, sięgnął po marynarkę i krawat, zapytał, kiedy odlatuje jej samolot, może nawet pocałował ją w policzek gestem pozbawionym znaczenia i niewymagającym refleksji. Ponieważ wstanie i podejście do okna zmasałoby jakąkolwiek refleksję, teraz i na zawsze.

– Nie powinienem był tego mówić – odezwał się po chwili.

– Możesz mówić, co chcesz.

– Seks i żałoba – wyjaśnił. – Istnieje między nimi związek, którego nigdy nie byłem w stanie pojąć.

Żądza przetrwania, pomyślała Linda, nie wypowiadając jednak tego na głos.

– Pójdę już – odezwał się już od progu.

Wstrzymała oddech. Nie zawoła go. Mimo to nie chciała też patrzeć, jak odchodzi.

Usłyszała, że przeszedł przez pokój. Zamarła, sądząc, iż jej dotknie. Wówczas usłyszała jednak szelest jedwabistej podszewki wkładanej marynarki. Czekala, dopóki nie dotarł do niej cichy trzask zamykanych drzwi.

Podniosła głowę, prawie nie mogąc uwierzyć, że naprawdę wyszedł. Czekala, myśląc, że w każdej chwili może wrócić ze słowami, że zmienił zdanie albo że ma jej coś więcej do powiedzenia. Ale nie wrócił, ona zaś na powrót stanęła wobec pustki panującej w pokoju; pustki, która mogła trwać wiecznie. Przelotna ulga – że się nie dotknęli, nie ustalili, jak mogą ze sobą być – ustąpiła miejsca niemej i bezsilnej złości, wynikającej być może z poczucia opuszczenia, płynącej ze słów, które nie zostały wypowiedziane. Przez chwilę Linda wahała się pomiędzy rosnącym gniewem oraz uczuciem bezdennego współczucia. Cyfry na tarczy radiobudzika zdawały się z niej szydzić.

Za oknem rozpadało się na dobre. Deszcz chlustał o szyby. Poczula się równie chwiejna jak pogoda. Z własnej woli pozostała na łóżku i pozwoliła Thomasowi odejść. Mimo to jakiś potężny impuls – wszechwładny i rujnujący – pchnął ją do drzwi.

Znalazła go stojącego przy windzie. W ręce wciąż trzymał krawat. Wyglądał na wyczerpanego i lekko oszołomionego jak ktoś, kto przed chwilą uprawiał seks i właśnie wracał do swojego pokoju.

– Dlaczego zostawiłeś mnie tamtego ranka w Afryce? – zapytała.

Pytanie wyraźnie zbiło go z tropu. W ciszy, przez okno znajdujące się w końcu korytarza, usłyszała klaksony i policyjną syrenę o nieco innym, bardziej europejskim niż amerykańskim brzmieniu. Kelner z obsługi hotelowej przetoczył przez korytarz hałaśliwy wózek i wcisnął guzik windy, dotąd – jak zauważyła Linda – niezapalony. Thomas nie wezwał windy.

– Musiałem – odpowiedział wreszcie.

Chwyciła wstrzymywany oddech.

– Dlaczego? – spytała. – Dlaczego musiałeś? – Jej podniesiony głos zabrzmiał w ciszy korytarza zbyt głośno. Kelner wbił spojrzenie w swój wózek.

– Regina – odrzekł z roztargnieniem Thomas, jakby nie rozumiejąc, że oczywista odpowiedź nie jest tą właściwą. – Regina była...

– Jaka? – zapytała Linda.

– Linda, o co chodzi?

– O co chodzi? – Jej głos brzmiał zdecydowanie zbyt głośno.

– Regina była wstrząśnięta. Krzyczała, że się zabije. Powtarzała, że będę winien śmierci dwóch osób. Wiedziałem, że nie mogę zostawić jej samej w Afryce.

– A mnie zostawiłeś – odparła.

– To był twój wybór – oświadczył Thomas.

– Mój wybór? – powtórzyła.

Coś szeptała w jej głowie: “Zastanów się dobrze. To stało się wiele lat temu”. Lecz nie była pewna, czy zdoła powstrzymać napływające słowa, choćby chciała. Niektóre rany się nie goją, uświadomiła sobie bez wielkiego zdziwienia. Trwają w uspieniu, czekając, by dać o sobie znać.

– Przyjęłam założenie, że w końcu znajdziemy sposób, aby być razem – wyjaśniła.

Przyjechała winda, lecz Thomas nie wszedł. Kelner opuścił ich nie bez ulgi.

– I postanowiłaś wziąć sprawy we własne ręce, co? – dorzucił Thomas nie bez sarkazmu.

– Sam byś tak nie zrobił? – spytała ostro. – W końcu?

– Jasne, że bym zrobił. Kochałem cię całe życie, już ci mówiłem. Lecz w świetle tamtego wydarzenia zostawienie Reginy samej było nie do pomyślenia. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

Owszem, wiedziała. Prawda zawsze okazuje się frapująca, pomyślała.

– Zresztą i tak wszystko było skończone – dodał. – Sami do tego doprowadziliśmy. Nie przewidzieliśmy katastrofy.

– Ja nie cierpiałam mniej niż Regina – wyznała.

Wydał się zdziwiony porównaniem. Czują, że najbardziej będzie żałowała tego, że w gniewie stała się pospolita. I że niepostrzeżenie przeistoczyła się w jędzę.

– Czy nie warto było spróbować? – zapytała. – Czy możliwość życia razem nie była warta cierpienia? Powiedz, że nie wierzyłeś, iż to kiedykolwiek nastąpi.

Jej pytania musiały stanowić jednakowe zaskoczenie dla nich obojga. Po co je zadawała? Czyżby istotnie żałowała wyborów, które doprowadziły do przyjścia na świat jej dzieci? Zrządzeń losu, w wyniku których pojawili się Marcus i Maria? Czy chciałyby nigdy nie spotkać Vincenta? Nie, oczywiście, że nie.

– Nie licząc Billie, od trzydziestu czterech lat rzadko myślałem o czymś innym – odrzekł cicho Thomas.

Spojrzała na wzorzysty dywan. Modliła się, żeby Thomas nie podszedł i jej nie objął, nie sprowadził ich do tego. Chciała wypowiedzieć swoją prośbę na głos, zabronić mu.

Czuła, że teraz odejdzie, pozostawiając ją, by wymazała z pamięci wspomnienie ostatnich kilku minut. Albo jeszcze lepiej całego weekendu. Nie spotkała Thomasa, nie widziała go, po tylu latach.

Brakowało jej odwagi.

Gdzieś w korytarzu zadzwonił telefon. Zadzwonił dwa razy, potem trzy, zanim uprzytomniła sobie, skąd dochodzi dźwięk. Następnie, pod wpływem matczyne go instynktu, który nigdy nie przestawał czuć, szybkim krokiem ruszyła korytarzem, nasłuchując, by wreszcie dotrzeć do własnych drzwi. Dzwonił jej telefon. Cholera, pomyślała. To pewnie Marcus. Nacisnęła klamkę.

Oczywiście. Zatrzasnęła się od zewnątrz.

– Zejdę na dół po klucz – zaproponował Thomas, niepostrzeżenie stając obok.

– Nie dadzą ci. Zresztą i tak będzie za późno. – Telefon nadal dzwonił. To pewnie ważne, przemknęło jej przez myśl. Zyskała całkowitą pewność, że to Marcus. – Jak mogłam być tak głupia? – powiedziała, szarpiąc znów za klamkę.

Thomas stał obok bez ruchu. Telefon dzwonił. Chciała, by umilkł. Niedawna sprzeczka utraciła jakiegokolwiek znaczenie.

– W sumie – odezwał się Thomas – to nawet zabawne.

Spojrzała na niego. Potarł policzek, próbując ukryć uśmiech. Ma rację, pomyślała. To rzeczywiście zabawne. Sturm und Drang, poprzedzające komediowy gag z zatrzaśniętymi drzwiami.

– Istna farsa – dorzuciła.

Poczuła ruch za swoimi plecami.

– Przepraszam, potrzebuje pani klucza? – zapytała ciemnowłosa pokojówka. Na jej wózku leżały śniadaniowe karty dań oraz stos małych czekoladek. Obsługa hotelowa. Linda już nigdy nie zlekceważy jej pukania.

W środku Linda podbiegła do telefonu, modląc się, by dzwonicie nie ustało w chwili, gdy chwyci za słuchawkę. Nie zniosłaby tego. Wsłuchała się w głos po drugiej stronie linii. Jej wolna dłoń pozęglowała w powietrze i zatrzepotała niezręcznie. Thomas przytrzymał ją i unieruchomił.

– Tak się cieszę, że cię słyszę! – zawołała do słuchawki, na pół ze śmiechem, na pół z płaczem. Usiadła ciężko na łóżku. Thomas usiadł obok, puszczać jej dłoń.

Linda odwróciła się do niego. “W porządku. To Marcus” – powiedziała bezgłośnie.

– Przepraszam za Davida – odezwał się syn wyjątkowo trzeźwym głosem. – Czasami potrafi być okropny. Byłem zbyt oszołomiony, żeby się sprzeciwić. Chciałem z tobą rozmawiać, ale on był...

– Troskliwy – dokończyła Linda.

– Właśnie.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– Tutaj. W Brattleboro. – Chwila ciszy. – Mamo, wszystko w porządku?

– Biegłam do telefonu i drzwi mi się zatrzasnęły. To długa historia. Cieszę się, że poczekałeś tak długo.

– Pozwalają nam tylko na jeden telefon. Zupełnie jak w więzieniu. Nie wiedziałem, czy będę mógł spróbować drugi raz.

– Jak się czujesz?

– Chyba powinienem robić w portki ze strachu, ale szczerze mówiąc, czuję jedynie ulgę.

– Och, Marcus. – Zakryła dłonią słuchawkę. – Marcus jest w Brattleboro – powiedziała do Thomasa.

– Mamo? – zapytał Marcus. – Z kim rozmawiasz?

– Z mężczyzną, Marcus. Z kimś, kogo kiedyś znałam. Przed twoim ojcem.

– Naprawdę? Brzmi interesująco.

Milczała.

– Pozwalają nam rozmawiać tylko przez pięć minut – wyjaśnił syn. – Tak powiedzieli. Mogę dzwonić nie częściej niż dwa razy w tygodniu.

– David jest tam z tobą?

– Nie, kazali mu odjechać. Prawie natychmiast. Myślę, że chodzi o teorię, że ludzie z najbliższego kręgu budzą poczucie zagrożenia. Dlatego ci tutaj wołają, by jak najszybciej znikali nam z pola widzenia.

Ona się, oczywiście, także do nich zaliczała.

– Ale pozwalają na odwiedziny – dodał. – Będziesz mile widziana. Ściśle mówiąc, chyba nawet będą nalegać na twój przyjazd. Prowadzą całodzienne seminaria na temat tego, jak należy mnie traktować po wyjściu.

Uśmiechnęła się z ulgą. Ironiczny dystans Marcusa być może pozwoli mu to wszystko przetrwać. A jeśli ironia stanowi część problemu?

– Będziesz musiała przyjechać z Davidem – powiedział z wahaniem.

– Lubię Davida – oświadczyła Linda.

– Właśnie, że nie – odparł. – Czasami nie jestem pewien, czy sam go lubię. Czasem kogoś kochasz, a mimo to zastanawiasz się, dlaczego z nim jesteś, znasz to uczucie?

– Tak. Tak, znam.

– Muszę lecieć. Stoi obok mnie jeden gość i każe mi odłożyć słuchawkę. Nie mogę zadzwonić do Marii. Wykorzystałem już mój jeden telefon...

– Ja do niej zadzwonię – obiecała Linda, zadowolona z zadania, które przypadło jej w udziale. – Nic się nie martw.

– Kocham cię, mamo.

Z jaką łatwością to powiedział.

– Postępujesz właściwie, Marcus. Robisz coś wspaniałego.

– Mamo, jeszcze jedno pytanie. Wiedziałaś? Wiedziałaś, że jestem...alkoholikiem?

Kłamstwo mogło być katastrofalne w skutkach.

– Owszem.

– Aha. Tak się tylko zastanawiałem.

Nie było czasu na rozważania, dlaczego nie wyartykułowała tego słowa ani w myślach, ani na głos.

– Ja też cię kocham, Marcus – powiedziała zamiast tego.

Trzymała słuchawkę jeszcze długo po tym, gdy się rozłączył. Spróbowała wyobrazić sobie Marcusa w Brattleboro, lecz widziała jedynie więzienie i strażnika stojącego obok jej syna. To będzie trudniejsze, niż oboje przypuszczali.

– To pewnie duża ulga wiedzieć, że jest bezpieczny – odezwał się Thomas.

Kiwnęła głową na potwierdzenie prawdy jego słów, choć zdawała sobie sprawę z tego, że równie dobrze mógł dodać: “Nikt z nas nie jest bezpieczny”.

Przez jakiś czas siedzieli bez słowa na łóżku, myśląc o niedawnej rozmowie telefonicznej. Linda pierwsza zwróciła się w stronę Thomasa, wypowiadając jego imię w poszukiwaniu otuchy, podobnie jak dwoje zagubionych w górach ludzi tuli się do siebie w poszukiwaniu ciepła. Położyła dłoń na jego koszuli, on zaś, z twarzą rozjaśnioną nową nadzieją, odpowiedział jej imieniem. Tym razem nie była Magdaleną, lecz Lindą; iluzja ustąpiła miejsca rzeczywistości.

Zgodnie z przewidywaniami, kolejny gest nie pozostawiał wątpliwości. Thomas wtulił twarz w jej włosy, ona wciągnęła w nozdrza zapach jego skóry, przypominający aromat gorącego pieczywa. Wszystko było jednocześnie znajome i obce; nie wyczuwała, jak dawniej, dłonią kości na jego plecach, wstrzymała oddech, gdy wędrująca po jej ciele ręka Thomasa zatrzymała się na piersi. Początkowo ów gest wydał jej się bezprawny; musiała przypomnieć sobie, że nic już takie nie jest. To spostrzeżenie okazało się tak zaskakujące, że Linda niemal wypowiedziała je na głos, jak wypowiada się nagłą i niepodważalną prawdą. Gdy Thomas całował jej szyję i obojczyk, odchyliła głowę do tyłu. Kiedy ostatnio kochał się z jakąś kobietą? Wiele lat temu? W ubiegłym tygodniu? Nie chciała wiedzieć.

W milczącym porozumieniu wstali i rozebrali się, nie patrząc na siebie, zdjawszy uprzednio przykrycie jak stare małżeństwo. Wsunęła się w jedwabistą pościel, myśląc o tym, że kiedyś nie dane im było mieć wspólnego łóżka; te, na których spali, były kradzione, podobnie jak spędzone wspólnie minuty. Ostatnia myśl spowodowała napływ zagubionych z upływem lat obrazów, drobnych chwil zatartych tym, co nastąpiło później. Poczula słoną woń mokrego mola, spódnicy

i swetra wilgotnych od bryzy. Ujrzała sypialnię w obcym kraju, z dachem otwartym w niebo. I chłopca stojącego nieśmiało w korytarzu, z własnoręcznie zapakowanym prezentem. Poczła oddech Thomasa na szyi i bezwład w kończynach. Zobaczyła świetlne refleksy na wodzie, gdy dwoje nastolatków siedziało na wzgórzu z widokiem na Atlantyk i oboje byli spragnieni tego światła jak wody lub strawy.

Thomas szeptał jej coś do ucha. Uniosła ręce, dotknęła jego blizny i powiodła wzduż niej palcami. Zastanawiała się, jakie obrazy ukazują się jego oczom. Może dla mężczyzny rzecz przedstawiała się znacznie prościej? Czy Thomasowi towarzyszyło poczucie misji ożywiane pożądaniem, kiedy dotykał jej z bezbłędnym wyczuciem czasu i tonacji?

– Zawsze cię kochałem – powiedział.

Położyła mu palce na ustach. Nie chciała słów, ona, która zwykle pragnęła ich i usilnie ku nim dążyła. Ale teraz, pomyślała, teraz wszystko można wyrazić za pomocą ciała. Pewne szczegóły, jak miękkość brzucha czy przerzedzone włosy, wołała pominąć. W seksie i w miłości, pomyślała, pewnych rzeczy lepiej nie zauważać. Usta Thomasa błędziły na wysokości jej żeber; była szczęśliwa, że nie zapomniał. Potem, kiedy poruszał się miarowo, czuła, jak refleksy na wodzie przyciągają ją raz jeszcze, światło rozpryskiwało się na milion kawałków, zlewając się i rozszczepiając, aż wreszcie jasność stała się prawie nie do zniesienia. Thomas uniósł się i obserwował ją, teraz pozbawioną wstydu ciała, dającego jej tyle doznań. Gdy doszła, raz, a potem jeszcze raz, z zaciśniętymi powiekami (to oślepiające światło), wypowiedział jej imię, które nie brzmiało już pospolicie. Otworzywszy oczy, zobaczyła, jak rozkosz ogarnia jego ciało i twarz, pomyślała, że nic, zupełnie nic nie uległo zmianie. Było jak zawsze, wspomnienia splotły się z terażniejszością i w końcu nie potrafiła odróżnić chwili obecnej od tego, co minione.

A któż był w stanie powiedzieć, jaka duma i wdzięczność wypełniły mężczyznę, który opadł obok i ją objął? Czy marzył i – jak Linda – dał się przenieść w przeszłość?

Obudził ją głos w korytarzu; wyteżyła wzrok, próbując dojrzeć coś przez zasłony. Wciąż panował mrok, był środek nocy. Czuła na ramieniu oddech Thomasa. Przyszło jej do głowy, że ich początkowo niefortunne spotkanie miało wymiar proroczy. I po raz pierwszy od śmierci Vincenta własna samotność napełniła ją zadowoleniem: tym razem nie musieli się ukrywać.

Próbowała oswobodzić ścierpniętą stopę z płataniny nóg, nie budząc Thomasa; mimo to obudził się i natychmiast przyciągnął ją do siebie, jak gdyby chciała mu uciec.

– Nie odchodź – poprosił.

– Nie odejdę – zapewniła go uspokajająco.

– Która godzina? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

Pocałował ją.

– Jesteś...? – Urwał, w niecodzienny dla siebie sposób nie wiedząc, co powiedzieć.

Uśmiechnęła się – potrzebował zapewnień jak każdy mężczyzna.

– Było mi wspaniale – oznajmiła.

Przeciągnął się, przywierając ciasno do jej ciała.

– W życiu jest więcej doświadczeń, niż można by się spodziewać, i nie sposób wyrazić ich słowami – zauważył.

– Wiem.

Leżeli twarzą w twarz, z otwartymi oczami.

– Nie zapytam, o czym myślałeś – odezwała się Linda.

– Możesz zapytać mnie o wszystko.

– Ja myślałam o dniu, kiedy siedzieliśmy na wzgórzu, patrząc na ocean.

– Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak płaczesz – powiedział.

– Tak?

– Płakałaś na widok piękna jak dziecko.

Linda się roześmiała.

– Już mi się to nie zdarza. Ta bezpośredniość doznań minęła bezpowrotnie.

– Szczerze mówiąc, myślałem o tym wieczorze na molo, kiedy wskoczyłaś do wody w ubraniu.

– Boże, nawet cię wtedy nie znałam.

– Podobało mi się to – wyznał, obejmując ją jedną ręką, a drugą naciągając kołdrę. – Słuchaj, teraz chcę pospać – dodał. – Musisz mi jednak obiecać, że nie uciekniesz, kiedy zasnę.

– Obiecuję – odrzekła. Choć już wiedziała, że teraz nie można ani składać, ani łamać żadnych obietnic.

Na przykrytych białymi obrusami stołach stały półmiski z łososiem i ciężkie, srebrne talerze. W tle rozbrzmiewał przytłumiony szum odkurzacza. Prawie trzydzieści stolików było wolnych, mimo to czekała, aż garbata kelnerka przestudiuje plan sali. Gdy prowadzono ją na wyznaczone miejsce, czyjś pager rozdzwonił się melodyjnie.

Lubiła anonimowość śniadania, czuła się upoważniona do obserwacji innych gości. Siedząca nieopodal starsza kobieta w towarzystwie córki w średnim wieku opowiadała o czyjejś chemioterapii. Dotykając płóciennego obrusa, Linda zastanawiała się, czy prano go i krochmalono codziennie.

Thomas stał na progu sali, wyświeżony, w białej koszuli i szarym swetrze z wycięciem w serek. Jeszcze jej nie zauważył i przez chwilę mogła mu się bezkarnie przyjrzeć. Wydawał się wyższy i szczuplejszy niż wczoraj, może jednak tylko się wyprostował. Sprawiał też mniej nieporządne wrażenie i był bardziej odprężony. Albo szczęśliwszy. Tak, to chyba właśnie to. Szczęśliwszy.



– Szybka jesteś – zauważył, siadając przy stole.

Strzepnął serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach. Garbata kelnerka natychmiast doniosła do stolika drugą filiżankę kawy.

– Byłam głodna – wyjaśniła Linda.

– Ja też konam z głodu.

Uśmiechnęła się lekko. Sytuacja mogła okazać się niezręczna. Należało oczekiwać planów, niepewnych obietnic. “Może byśmy się umówili?”

– zaproponuje jedno z nich. “Chciałbym, chciałabym znów cię zobaczyć”

– zrewanżuje się drugie. Zastanowiła się, czy to możliwe – żyć epizodami, bez żadnych planów ani nawet myśli o przyszłości. Choć podobne refleksje mogą okazać się konieczne, tak jak gromadzenie zapasów na chude miesiące.

– Kiedy odlatuje twój samolot? – zapytał.

– Zaraz po śniadaniu muszę jechać na lotnisko.

– Pojadę z tobą – zaproponował pośpiesznie.

– O której masz samolot?

– Dopiero po południu. Ale nie mam zamiaru tu zostać. Wolę posiedzieć na lotnisku.

Wrócą do domów różnymi samolotami. Te wszystkie godziny odosobnienia wydawały się marnotrawstwem.

Zamówili wystawny posiłek; owa ekstrawagancja nosiła znamiona odświętności. Po odejściu kelnerki Thomas ujął dłoń Lindy i przytrzymał ją delikatnie za palce. W porównaniu z nim mężczyźni przy sąsiednim stoliku wyglądali jak uczniacy. Mało elegancy i źle wychowani.

– Z Hull nie jest daleko do Belmont – zauważył z wahaniem Thomas.

– Moglibyśmy umówić się kiedyś w Bostonie na kolację – zaproponowała.

– Mogłabyś – teoretycznie – odwiedzić ciotkę w Hull.

– Tak. Teoretycznie mogłabym to zrobić – odrzekła z uśmiechem.

– Chciałbym poznać twoje dzieci – powiedział.

– Oboje przebywają obecnie w instytucjach.

Thomas uniósł brew.

– Chodziło mi o to, że Maria mieszka w akademiku uniwersytetu Hopkinsa.

Thomas kiwnął głową. Na drugim końcu sali zobaczyła mężczyznę, któremu przy wejściu do hotelu wiatr zniszczył parasol. Jadł sam, czytając gazetę. Obok córka podstarzałej kobiety zapytała:

– A kiedy znowu zaczyna się twoja terapia, mam?

– Uwielbiam maliny – oznajmił Thomas. W północnym mieście był to rarytas, zwłaszcza w kwietniu. – Szczególnie w wypiekach. Jean robiła takie babeczki. Z pełnoziarnistej mąki, z malinami i brzoskwiniami. Ależ były pyszne.

Linde ogarnęło przelotne uczucie podobne do dreszczu. Owładnęło nią przy tym rzadkie przekonanie, że znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna. I nie umiała powiedzieć, czy owo przeświadczenie wynikało z potrzeby uwierzenia w nie, czy też po prostu było prawdą dryfującą po wszechświecie. Postanowiła w to nie wnikać. Pojadą razem taksówką na lotnisko. Zapamięta tę trasę na całe, miała nadzieję, długie życie.

Pożegnali się przy bramce, unikając przesady, która oznaczałaby definitywne rozstanie, czego oboje nie chcieli.

– Zadzwoń – obiecał Thomas. Nie miała wątpliwości, że to zrobi.

Zadzwońi jeszcze tego samego wieczora, przejęty perspektywą spędzenia oddzielnie nadchodzącej nocy. – I pomyśleć... – zaczął, na co skinęła głową, z twarzą tuż obok jego twarzy.

Ścisnęła jego dłoń jak tonący, poruszając go swą bezradnością. Całował ją tak długo, że była pewna, iż ściągnęli uwagę innych podróżnych. Czekał przy bramce, kiedy szła rampą; nie mogła oprzeć się pokusie, by odwrócić się, nie sprawdzić, czy jeszcze tam stoi.

Posadzono ją przy oknie, choć zwykle wolała miejsce obok przejścia. Usiadła i chowając bagaż, zauważyła, że mężczyzna, który stracił parasol (już zawsze miała o nim myśleć: Człowiek z Parasolem), siedział z przodu, w pierwszej klasie. Zastanowiła się przelotnie, gdzie mieszkał, i czy leciał do Bostonu. Wyobraziła sobie, że pełni w jej życiu funkcję swoistego motywu przewodniego, pojawiając się w najdziwniejszych momentach – w taksówce albo tuż obok, na zatłoczonej ulicy. Ciekawiło ją, czy kiedykolwiek znalazł się na jej drodze już niezauważony: na przykład w hotelu w Afryce albo w barze w Hull. I nie oparła się myśli, że gdyby los inaczej pokierował jej życiem, nikt inny tylko właśnie ten mężczyzna mógł stać razem z nią w przejściu i całować ją tak długo. Nie sposób zgłębić tej tajemnicy. Można jedynie zgadywać. Wierzyć, owszem. Ale nigdy nie będzie wiedziała na pewno.

Wyjęła z torby książkę i otworzyła ją, lecz nie była w stanie skupić się na lekturze. W eleganckim płaszczu, białej bluzce i czarnej spódnicy mogła uchodzić za prawniczkę wracającą z delegacji lub żonę lecącą do domu po wizycie u krewnych. Za oknem chmura wisiała nad ziemią; Linda machinalnie pocieszyła się w duchu, że starty są bezpieczniejsze niż lądowania. Stewardesa zamknęła drzwi i samolot niebawem ruszył z miejsca. Linda jak zawsze odmówiła modlitwę i pomyślała o wieloletnim oszukiwaniu Vincenta i o tym, jakich trudności przysporzy Marcusowi przewycięzenie nałogu. Pomyślała o potrzebie Marii posiadania własnego życia, i o ciotce siedzącej w ciemnym pokoju. Pomyślała o Donnym T. z jego dolarami, i o kobiecie imieniem Jean, choć nigdy jej nie znała. O Reginie, którą skrzywdziła, i o Peterze, niemal już zapomnianym. Pomyślała o Billie, oszukanej najbardziej. I wreszcie o Thomasie, jej ukochanym Thomasie, wyleczonym z arogancji jakże potężnym ciosem.

Czy zostało coś oprócz przebaczenia? Raptem uświadomiła sobie, że bez tego ostatniego reszta jej życia stałaby się torturą, aż po śmierć w domu opieki.

Zabrzmiął dzwonek, po czym nastąpiła cisza. A wtedy w myślach zarysowało się słowo. Potem zdanie. I akapit. Linda znalazła pióro w torebce i zaczęła pisać na marginesie książki. Zapisała jeden, a następnie kolejny, pokrywając jedną opowieść drugą. Pisała, dopóki nie rozboleła jej ręka i dopóki stewardesa nie przyniosła jej niewielkiego posiłku. Wówczas odłożyła pióro i spojrzała w okno. To wspaniałe, pomyślała. Samolot wynurzał się z mgły wprost we wszechświat błękitnego nieba i strzelistych obłoków.

**Część druga**

**Dwadzieścia sześć**

Mango było obce i mięsiste, i przypominało mu kobietę, choć nie był pewien, którą dokładnie część jej ciała. Kolor oscylował pomiędzy zielenią jaszczurki i trawy; pozostawiony na parapecie owoc zmieniał odcień z dnia na dzień. Podlegał nastrojom jak Regina. Miał grubą i twardą skórę oraz włóknisty i soczysty miąższ. Aromat był boski. Przy jedzeniu tego owocu obowiązywał pewien rytuał, dotąd nieodkryty, polegający na usunięciu skóry, wyjęciu pestki i pokrojeniu całości na dekoracyjne plasterki, które następnie należało ułożyć na porcelanowym talerzyku; on jednak w najlepszym razie stawał nad zlewozmywakiem i wsysał się w miąższ. Lubił wyobrazić sobie nagą Reginę w wannie, sok spływający z jej sutków. Obraz bladł momentalnie: Regina nigdy nie jadła nago owoców w wannie. Nie pozwoliłaby sobie na podobne niechlujstwo.

Chryste, ależ na tym targu śmierdziało. To pełne much mięso sprzedawane w dukach pod ścianami wydawało woń świeżej, pokrytej krwią padliny. Zapach gotowanego mięsa był jeszcze gorszy i w niczym nie przypominał aromatu potraw, jakie kiedykolwiek jedli. Był pewien, że to konina, choć wszyscy zaprzeczali. Bosa kobieta z dzieckiem w tobołku na plecach stała obok niego z rozwartą dłonią. Nic nie mówiła, po prostu czekała, wyciągając rękę. Sięgnął do kieszeni szortów i wyjął garść szylingów. Wymamrotała: “Ahsante sana” i poszła dalej. Teraz przychodził na targ z kieszeniami pełnymi monet. Nie chodziło jedynie o poczucie winy, choć to też – ale o zamieszanie, jakie wywołała odmowa. Należało iść dalej w sztucznym pośpiechu, podczas gdy żebrak podążał za tobą, powtarzając “Tafhadali. Panie, błagam”. Prościej było brać z sobą drobne pieniądze. Rozdawanie ich żebrakom niezmiernie złościło Reginę, która przyjmowała wówczas cierpiętniczą postawę, jakby musiała powtarzać polecenia wydawane już setki razy. “To na nic, mówiła; to i tak nie rozwiąże problemu”.

Rozwiązuje mój problem, myślał Thomas.

My i Oni. Nie mógł się tego pozbyć. Przebywał tu prawie od roku, mimo to wciąż było My i wciąż Oni. Postrzegał ów podział jako protekcyjny, pozbawiony sensu oraz dość kretyński w swej zbiorowej żarliwości. Nie spotkał ani jednego Amerykanina, który stanowiłby wyjątek – nie wyłączając Reginy – choć problem był niezaprzeczalny, problemem była sama Afryka. Toczono nieustanną i wyczerpującą debatę: czy Kenia rzeczywiście potrzebuje lub pragnie mieć u siebie Amerykanów? Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmiała: “tak”, na drugie zaś: “nie”. Trudno było jednak obnosić się z podobnym nastawieniem. Stuprocentową pewnością dawała tylko sprecyzowana wizja, jak praca Reginy. Tymczasem on, Thomas, nie posiadał żadnej wizji. Interesowała go struktura, świat fizyczny. Euforia tu i teraz. Podtekst erotyczny. I słowa. Zawsze słowa. Nie ufał przyszłości, której nie widział. Była jak rozpadlina w ziemi albo pusty ekran.

Włożył mango do koszyka ze słomy. Miał kupić owoce, a Regina kupowała mięso. Narzekała, że nie zrobił tego wcześniej w tygodniu, zmuszając ją do zakupów w wolnym dniu. Regina, która widywała drastyczne przypadki dyzenterii i trądu, dzieci konające z głodu na jej oczach, miała klarowną wizję świata i już mówiła o powrocie do domu po uzyskaniu stopnia naukowego.

Nie, nie zrobił zakupów, wyjaśnił żonie, ponieważ spędził cały tydzień na pisaniu. W okolicy jej ust dostrzegł wysiłek, jaki kosztowało ją (uniesiona brew, krzywy uśmiezek) powstrzymanie się od słów: "Cały tydzień?". Jej aprobata gasła w obliczu braku dochodów i braku sukcesu. Co gorsza, wszystkie wiersze powstałe w Afryce niezmiennie dotyczyły Hull. Czy nowe doświadczenie potrzebowało dłuższego czasu, żeby przełożyć się na słowa? Czy po powrocie do domu, do Hull, zacząłby pisać o Nairobi? Nie, chyba nie. Afryka wymykała się wszelkim próbom zrozumienia. Nie mógł zrozumieć tego kraju i dlatego nie mógł o nim marzyć. Jeśli zaś nie możesz o czymś marzyć, nie jesteś w stanie o tym pisać. Sądził, że gdyby potrafił pisać o Afryce, Regina potrafiłaby mu wybaczyć.

Wiedział, że nie może mu wybaczyć przyjemności, którą czerpał z pisania: zmysłowej i cielesnej, prądu przebiegającego po nim w chwilach natchnienia. Zawsze tworzył wiersze w głowie; podczas przyjęć marzył, by zasiąść przy biurku. Czasami myślał, że była to jedyna szczerą więź łącząca go ze światem; wszelkie inne dążenia, nawet jego małżeństwo (Jezu, zwłaszcza ono), zagubiły się w balaście zawiedzionych oczekiwań i zranionych uczuć. Owa przyjemność kłóciła się z wizją pracy Reginy: koniecznością ponoszenia ofiar oraz stałego odczuwania umiarkowanego cierpienia. By ją udobruchać, Thomas opowiadał czasem o agonii pisania i walce o przełamanie twórczej niemocy. Miał przy tym nadzieję, że ta gadanina nie przyniesie mu pecha.

Pisał w sypialni wynajętego domu w Karen, kamiennego budynku ozdobionego stiukami, urządzonego na modłę brytyjską, z parkietami i oknami skrzynkowymi. Z eukaliptusa zwieszał się baldachim purpurowej fuksji, spleciony z drzewem niczym bujny, kolorowy pasożyt. Z tyłu znajdował się kaktusowy ogród, istna kolacja osobliwości: podłużne, zielone i żółte pociski o śmiercionośnych sztyletach; drzewa o owocach podobnych do gruszek, zjadanych przez ptaki, nim zdążyłeś zerwać choć jeden; brzydkie, bulwiaste twory z rzadka obsypane aksamitnymi, czerwonymi kwiatami; gigantyczne brązowe wilczomlecze o błagalnie wyciągniętych setkach ramion, skierowanych w górę, ku granatowej płachcie równikowego nieba. Wzdłuż granicy wysypanego kamykami podjazdu wiodącego do miasta dziesiątki jacarand kołysały się na wietrze, stykając się w górze gałęziami. Każdego listopada tworzyły gęsty dywan płatków lawendowego koloru, które Michael, ogrodnik, zmiatał na sterty i palił. Zapach przypominał woń marihuany, był tylko nieco słodszy i powodował stan bliski upojeniu alkoholowemu. Nocą drzewa słały kolejny aromatyczny kobierzec; wracając rankiem z targu z paczką playersów (i

mlekiem do płatków, jeśli pamiętał), Thomas kroczył po opadłych kwiatach w stanie bliskim euforii.

Budził się razem z ptakami, nasłuchując nieznanymi dotąd dźwięków: treli miniaturowych tkaczy, kociego zawodzenia pawi, skrzeku ibisów oraz rytmicznych gruchań czegoś, czemu nie potrafił przypisać nazwy, co jednak mogło być po prostu gołębicą. Któregoś ranka obserwował przez okno w sypialni rozkwitające drzewo. Dzień wcześniej jego liście miały sinoszarą barwę, która nagle ustąpiła miejsca eksplozji żółtych, puszystych kulek; tysiące kwiatów rozkwitło w jednej chwili, wypełniając pokój cytrynowożółtą poświatą. Był to jeden z małych cudów, do jakich Thomas niemal przywykł w Afryce. Jedna ze skromnych bożych sztuczek.

Widać je było wszędzie: wojownik z plemienia Masajów w czerwonej przepasce na biodrach, oparty o włócznię w oczekiwaniu na windę w Intercontinentalu, pochłonięty zabawą kalkulatorem; najnowszy model mercedesa zaparkowany przed lepianką; profesor chemii na uniwersytecie, nieznający własnej daty urodzenia ani wieku – myśl o tym, że kogoś mogłoby to obchodzić, budziła w nim nieklamane rozbawienie. Nawet krajobraz wydawał się pełen sprzeczności. Człowiek budził się w rozrzedzonym powietrzu Nairobi w puchowym śpiworze (nocami robiło się cholernie zimno), a potem jechał na zachód przez pustynię w skwarze, który nie wadził jedynie rosnącym tam cierniom – zdaniem Thomasa stanowiły one najlepszy przykład teorii ewolucji Darwina. Samoobrona w ekstremalnych warunkach.

Dołożył paw-paw i passiflorę do mango, po czym wręczył owoce drobnemu Azjacie stojącemu za straganem. Nie miał zamiaru się targować, choć sprzedawca mógł tego oczekiwać. Regina uważała targowanie się za punkt honoru jako element tutejszej kultury. Nie robiąc tego, argumentowała, przyczyniamy się do inflacji. Poza tym, po co się wyróżniać? I tak się wyróżniamy, odpowiadał Thomas, po co więc udawać, że jest inaczej? Zresztą, cóż jest złego w wyróżnianiu się? Czy Jezus się nie wyróżniał? Lecz z uwagi na słabą znajomość dziejów Jezusa Thomasowi trudno było kontynuować tę dyskusję.

Kenia była krajem kontrastów – zaskakujących i często skrajnych. Pewnej niedzieli, nie tak dawno, jadąc z Regimą na jej zajęcia do szpitala psychiatrycznego w Gil Gil, prowadził forda escorta wąskimi zakrętami po dnie Rift Valley. Tył samochodu podskakiwał gwałtownie na pofałdowanej drodze. Regina miała na sobie sukienkę, którą szczególnie lubił: cienką, z zielonkawej bawełny, dopasowaną na piersiach i biodrach. Była kobietą bujną i zmysłową, czego u siebie nie znosiła. On kiedyś to uwielbiał. Trwałoby to nadal, gdyby żona nie skaziła owego uwielbienia falą miazdzącej samokrytyki.

Miała nieokiełznane, czarne loki, często rozsypane wokół twarzy, za małe oczy oraz gęste brwi przedzielone głębokimi, pionowymi zmarszczkami. Lecz w samochodzie, w okularach przeciwsłonecznych, wyglądała prawie olśniewająco. Tego dnia umalowała usta szminką, co rzadko robiła, perłowym różem, który niezmiernie Thomasa rozpraszał.

Szpital mieścił się w szeregu cementowych i blaszanych budynków przypominających koszary; na brudnym dziedzińcu leżeli lub siedzieli pacjenci w wystrzępionych niebieskich koszulach i szortach będących ich jedynym odzieniem. Utrzymanie czystości tutaj granoczyło z cudem, w wysokiej temperaturze fetor był nie do zniesienia. Mężczyźni dotykali Thomasa i Reginy, posykując przy tym, jakby dotyk białej skóry parzył ich w ręce. Na oddziale niebezpiecznych dla otoczenia chorzy wieszali się na okratowanych oknach. Cierpieli na schizofrenię lub gruźlicę, niektórzy byli zarażeni trądem bądź syfilisem; przewodnik Thomasa i Reginy, Luo, w garniturze i śnieżnobiałej koszuli (prawie nie do pomyślenia w tym kurzu), wyjaśnił, że wszyscy zostali oficjalnie uznani za obłąkanych. Śmiejąc się przyjaźnie, pokazał im kuchnię, wypełnioną smrodem gnijących śmieci. Pacjent, podśpiewując pod nosem, płynnym ruchem wycierał podłogę prawie czarną szmatą. Ludzi wyznaczonych do krojenia ananasów, upoważnionych do użycia noży, na czas pracy zamykano w specjalnych klatkach. Na oddziale kobiecym pacjentki nosiły zielone tuniki i raz w tygodniu miały golone głowy. Większość chorych leżała na rozgrzanej, smołowanej nawierzchni – pogrążona w marazmie albo we śnie. Jedna z kobiet narzuciła sobie sukienkę na głowę; od pasa w dół była naga. Gdy obchód dobiegł końca, przewodnik poczęstował ich herbatą podaną w porcelanowych filiżankach w umeblowanym angielskimi antykami pokoju – było to spotkanie krępujące, pełne chwil niezręcznego milczenia. Milczała nawet Regina, onieśmielona bezmiarem cierpienia i zbita z tropu wielkopańską nonszalancją administratora. Po powrocie do domu oboje poszli do łóżka, zbyt wyczerpani, by rozmawiać. Żadne z nich przez kilka dni nie miało ochoty na jedzenie.

Thomas rozejrzał się po targu w poszukiwaniu żony, nie bez ulgi przyjmując fakt, że nigdzie jej nie widzi. Spojrzał na zegarek. Zaniesie owoce do samochodu, a potem przespaceruje się do New Stanley na szybkiego drinka. Od słońca bolały go oczy; poszukał okularów przeciwsłonecznych. Kolejny idealny dzień błękitnego nieba i papierowych obłoczków. Chłopak parkingowy wynajęty do pilnowania auta siedział na zderzaku escorta. Parkingowi opracowali system ściągania swoistych haraczy: za parę szylingów popilnują ci samochodu, dając tym samym znak złodziejom (to znaczy innym złodziejom), aby trzymali się z daleka. Nie daj im pieniędzy, a staną przy twoim samochodzie na potwierdzenie jego dostępności.

Rzucił chłopakowi banknot dziesięcioszylingowy za kolejną godzinę. Taniej niż parkometr, jeśli już o tym mowa. Od ulicznego sprzedawcy przed targowiskiem kupił gazetę i zerknął na nagłówek: "Posłowie: obowiązek noszenia spodni w parlamencie". Zamówi jednego tusкера, posiedzi w barze nie dłużej niż kwadrans, po czym w drodze powrotnej kupi pół kilograma orzechów nerkowca dla Reginy. Wróć razem samochodem do domu, gdzie spędzą resztę weekendu.

Początkowo nie chciał uwierzyć, że w Kenii jest niebezpiecznie. Zżymał się podczas spotkań szkoleniowych, nastawionych przede wszystkim na naukę, jak przetrwać w tym kraju, zupełnie



jakby oboje byli żołnierzami zaangażowanymi w walkę. W istocie tak właśnie było – toczyła się tu wojna wzniecona nie z powodu polityki, lecz z ubóstwa. W Kenii istniały takie dysproporcje pomiędzy bogaczami a biedotą, że podróżnicy niejednokrotnie ginęli pod ciosami maczet. U stóp podjazdów europejskich rezydencji pełnili wartę wystrojeni askari z szablami. Turyści byli okradani na ulicach bez miłosierdzia. W rządzie kwitła korupcja i – jak mawiano – ryba psuła się od głowy. Thomas początkowo w to nie wierzył, ale teraz tak. Jego samego okradziono siedmiokrotnie, dwa razy stracił samochód. Kiedyś wyniesiono z domu wszystko, łącznie z zasłonami i przewodem telefonicznym. Regina była niepokieszona po stracie tkaniny Maridadi i kamiennych posążków Kisii, on zaś panikował na myśl o skradzionych wierszach, dopóki nie zdał sobie sprawy, że zna wszystkie na pamięć.

Nigdy nie noś ze sobą torby, powtarzano im na szkoleniu. Nie stawaj z mapą na skrzyżowaniu (co natychmiast dekonspiruje cię jako turystę). Nie noś biżuterii ani odbłaskowych okularów przeciwsłonecznych. Noś byle jakie ubrania. Dla Thomasa nie przedstawiało to większych trudności, ponieważ codziennie wkładał tę samą parę szortów khaki i białą koszulę – z wyjątkiem wtorków, kiedy przychodziła Mama Kariuki i robiła w wannie przepierkę. Jeśli zaś ukradziono ci portfel czy torebkę, uważaj, żebyś nie krzyknął: “Łapać złodzieja!”. W przeciwnym razie inni Kenijczycy rzucą się w pościg za podejrzanym i jeżeli go złapią, będą chcieli zatłuc go na śmierć na oczach przeważnie biernej widowni. Thomas nieraz stał się już bezradnym świadkiem takich samosądów.

Usiadł przy stoliku w kawiarni przy hotelu New Stanley i zamówił tuskera. Otworzył gazetę. “Malaria ogarnia północną prowincję. Lew rani lidera partii”. Przebiegł spojrzeniem po artykule na temat sporów o ziemię. Dostrzegł słowo “brat” w informacji o zamordowanym biznesmenie Luo, przypominając sobie, że jego własny brat, Rich, zjawi się tu za miesiąc. Pojadą razem na pewnego rodzaju safari do Ngoro Ngoro i Serengeti; Thomas obiecał zabrać Richa na wybrzeże, gdzie można kupić najmocniejszy towar, jaki kiedykolwiek palił. W Malindi nawet kobiety żuły mima, gałązki o właściwościach naturalnych speedów. Nie wspomni Richowi ani słowa o ganga i miraa ani o prostytutkach – tanich, pięknych i będących zagrożeniem chorobą weneryczną.

Nad jego stolikiem przesunął się jakiś cień. Thomas wziął go za chmurę, kiedy jednak podniósł oczy, ujrzał uśmiechniętego mężczyznę, który czekał, aż zostanie zauważony.

– Pan Thomas, zagubił się pan.

Thomas wstał.

– Nie, Ndegwa, to pan się zagubił, ale już się pan odnalazł.

Ndegwa, jego nauczyciel i rówieśnik, zachichotał – użycie afrykańskiego idiomu nie przestawało go bawić, nawet na początku, kiedy Thomas dołączył do grupy poezji na uniwersytecie w Nairobi, jako jedyny biały student w sali wypełnionej młodszymi od niego Afrykańczykami i Azjatami. W skrytości ducha uważał prezentowane tu wiersze za marne, choć

nigdy nie był skłonny do krytykowania sztuki będącej wytworem obcej kultury. Pozostali studenci uznaliby zapewne jego prace za egocentryczne i pozbawione treści politycznych. Mimo to Ndegwa wcale tak nie uważał. Przeciwnie, zdawał się niemal faworyzować Thomasa, co z uwagi na jego marksistowskie poglądy manifestowało zwycięstwo literackiej bezstronności.

Thomas uściśnął dłoń potężnego Kikuju. Masywne ciało Ndegwy w dopasowanym szarym garniturze wychyliło się do przodu; nalot pokrywający jego fioletowoczną skórę tworzył dodatkową warstwę koloru. Był barczystym, brzuchatym mężczyzną, kimś, zdawałoby się, ulepionym bardziej z politycznej lub finansowej raczej niż artystycznej gliny.

– Wiesz, co mówią o tuskerze? – zapytał Ndegwa. Thomas z uśmiechem potrząsnął głową.

– Usiądź, przyjacielu, a podzielę się z tobą moją historią o tuskerze. Thomas usiadł, i Ndegwa pochylił się ku niemu konspiracyjnie.

– Pierwszego dnia pobytu w moim kraju zagładasz do swojego tuskera i znajdujesz glistę. Ogarnia cię obrzydzenie i wylewasz piwo na ulicę.

Thomas uśmiechnął się, wiedząc, że zaraz usłyszysz anegdotę. Ndegwa miał ciężkie, opadające powieki. Nosił koszulę z grubej, szorstkiej bawełny, jakie Thomas często widywał w tym kraju.

– Po pierwszym miesiącu pobytu w moim kraju zagładasz do tuskera i znajdujesz glistę. Mówisz: “W tym piwie jest glista”, po czym spokojnie wyjmujesz ją, wyrzucasz na ulicę i wypijasz resztę piwa.

Ndegwa nie mógł powstrzymać się od śmiechu, ukazując zabarwione na różowo zęby. Wokół nich siedzieli niemieccy i amerykańscy turyści, poziom decybeli wzrastał, w miarę jak zbliżało się południe. Thomas zauważył dziennikarza, Normana Jakiegoś tam, znanego mu z londyńskiej gazety.

– Ale po roku, przyjacielu, zagładasz do swojego tuskera, widzisz glistę i mówisz: “W moim piwie jest glista”, po czym wyjmujesz ją i zjadasz z uwagi na zawarte w niej białko. Następnie wypijasz piwo, nie wylewając na ulicę ani kropelki.

Ndegwa śmiał się głośno z własnego dowcipu. Thomas ostentacyjnie zajrzał do swojej szklanki, ku jeszcze większemu rozbawieniu Kenijczyka.

– Pora zjeść glistę, przyjacielu. Od jak dawna jesteś w moim kraju?:

– Nieco ponad rok.

– Czy to tak wiele?

Mimo swoich gabarytów, Ndegwa emanował elegancją, nawet na metalowym, kawiarnianym krzeselku. Sobotniego ranka na Kimathi Street roilo się od kupujących. Ndegwa spoglądał na Afrykanki, podczas gdy Thomas wodził wzrokiem za białymi kobietami. Nagle minęła ich dziewczyna o kakaowej skórze i szyi gazeli. Thomas nie mógł oderwać od niej wzroku. Ubrana z europejska, na nogach miała czerwone szpilki, a na szyi mnóstwo złota. Wyglądała jak egzotyczna niewolnica, choć nie mogła mieć więcej niż czternaście lat. Towarzyszący jej Azjata

był niski i krępy, ubrany w kosztowny garnitur. Dziecięca prostytutka w Kenii przybierała rozmiary epidemii.

– Jak się miewasz? – zapytał Thomas, kiedy dziewczyna poszła dalej.

– Och, świetnie. Pech mnie nie prześladowa. – Ndegwa z gasnącym uśmiechem wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że jest wprost przeciwnie. Był genialnym znawcą poezji, zdolnym wskazać słabe punkty utworów Thomasa krótkimi, energicznymi pociągnięciami pióra.

– Choć mój rząd mówi mi, że muszę przestać pisać wiersze.

– Dlaczego? – Thomas pociągnął łyk piwa, myśląc o gliście.

Ndegwa potarł oczy.

– Podobno moje wiersze wyśmiewają rząd i naszych przywódców.

Co było, rzecz jasna, zgodne z prawdą.

– Dostałem ostrzeżenie.

Thomas przyjął to z pewnym zadowoleniem. Ndegwa był lepszym wykładowcą niż poetą, choć jego rytmiczne utwory na długo pozostawały w pamięci, przenikając słuchaczy na wskroś jak muzyka. I choć ich treść umykała, dobitne kadencje kolejnych strof długo jeszcze odbijały się echem.

– Nie mówisz poważnie – odparł Thomas.

– Obawiam się, że mówię jak najbardziej poważnie.

Jego opanowanie zbiło Thomasa z tropu.

– A gdybyś na pewien czas przestał pisać? – zaproponował.

Ndegwa cmoknął.

– Gdyby ci powiedziano, że nie możesz publikować swoich wierszy – spytał z westchnieniem – ponieważ zawierają nieprzyjemną prawdę na temat rządu, którą to rząd usilnie stara się zataić, przestałbyś pisać?

Thomas nigdy nie stanie przed podobnym dylematem. Nigdy też nie musiał się nad tym zastanawiać. Niemiłe słowa na temat jego własnego kraju stanowiły obecnie niemal obowiązujący trend. Były wręcz narodową rozrywką.

Ndegwa obrócił swe potężne ciało bokiem do stolika i spojrzał na tłum. Miał profil Bantu. Co dziwne, nosił damski zegarek.

– W moim kraju dają ci ostrzeżenie, abyś mógł uporządkować swoje sprawy. Potem cię aresztują. Ostrzeżenie stanowi preludium aresztowania.

Ndegwa spokojnie wypił swoje piwo. Co następowało później, zastanawiał się Thomas. Uwieszenie? Śmierć? Na pewno nie.

– Jesteś pewien? – zapytał głośno.

– Tak jest.

– A co z twoją żoną i synem?

– Wyjechali do mojej rodzinnej osady.

– Jezu.

– Nie bardzo mogę liczyć na pomoc Jezusa.

– Mógłbyś uciec – podsunął Thomas. Rozumował na sposób amerykański: wszystkie problemy można rozwiązać, jeśli tylko umie się znaleźć wyjście z sytuacji.

– Dokąd? Do osady? Znajdą mnie. Nie mogę opuścić kraju. Na lotnisku odbiorą mi paszport. Poza tym, przyjacielu, jeśli wyjadę, aresztują moją żonę i syna i zagrożą, że ich zabiją, jeśli nie wrócę. To normalna procedura.

Któregoś piątkowego popołudnia pod koniec semestru Thomas pozostał w sali, podczas gdy Ndegwa czytał – i poprawiał – jego ostatnie zadanie. Potem Kenijczyk spojrział na zegarek i oznajmił, że musi złapać autobus do Limuru. Miesiąc wcześniej żona urodziła mu pierwsze dziecko, i chciał pojechać do rodzinnej shamba, aby spędzić z obojgiem weekend. Thomas, pragnąc jak najdłużej odwlec wątlą mgiełkę napięcia, która zakłóci weekend z Reginą, zaproponował, że go zawiezie – na co Ndegwa przystał z radością. Wjechali na wyżynę obok plantacji herbacianych trasą biegnącą wzdłuż szutrowego duktu. Mężczyźni w pasiastych garniturach i stare kobiety zgięte pod wiązkami chrustu odprowadzali wzrokiem przejeżdżający samochód, tak jakby Thomas i Ndegwa byli wysłannikami rządu pełniącymi misję dyplomatyczną. Po drodze odkryli, że są rówieśnikami, urodzonymi tego samego dnia i roku. Gdyby Thomas należał do plemienia Kikuju, wyjaśnił Ndegwa, w wieku dwunastu lat obaj zostaliby obrzezani i odłączeni od rodzin na kilka tygodni, podczas których staliby się mężczyznami, po czym na powrót przyjęto by ich ceremonialnie do plemienia. Pomysł przypadł Thomasowi do gustu: w jego własnej kulturze wejście w okres męskości było mgliste i niesprecyzowane, nienaznaczone ani ceremonią, ani nawet świadomością określonego wydarzenia. Kiedy wypiełeś pierwszego drinka? Uprawiałeś seks? Dostałeś prawo jazdy? Otrzymałeś powołanie?

Dotarli do końca drogi, zaparkowali samochód i długą, krętą ścieżką doszli do prostokątnego, glinianego budynku ze zniszczonym, niebieskim dachem z blachy. Nie licząc spłachetka spieczonej ziemi od frontu, pozostały grunt zaorano. Dom stał na wzniesieniu w słońcu tak oślepiającym, że Thomas musiał niemal zamknąć oczy. Ze środka wyszła starsza kobieta w zawoju na głowie i tkaninie owiniętej wokół ciała. Ndegwa przedstawił Thomasa swojej matce. Szeroka szpara w dolnym rzędzie jej zębów, jak później wyjaśnił, powstała w wyniku rozmyślnego usunięcia w młodości sześciu zębów dla dodania dziewczynie urody. Kobieta podeszła bliżej i mrużąc oczy, uściśnęła rękę Thomasa. Z domu nieśmiało wyjrzało kilka sióstr Ndegwy, które za przykładem matki przywitały się z gościem. Po jednej stronie frontowych drzwi płonęło ognisko; obok leżało koźle z poderżniętym gardłem. Przejmując rolę gospodarza, Ndegwa przystąpił do obdzierania zwierzęcia ze skóry. Nie zdjął nawet marynarki.

Pobył na wyżynie przyprawił Thomasa o zawrót głowy, widok koźlęcia zaś spowodował mdłości. Patrzył, jak nóż Ndegwy robi pierwsze cięcie i oddziera pierwszy krwawy strzęp skóry, po czym odwrócił wzrok w kierunku bananowców. Jedna z kobiet, ubrana w niebieski kombinezon i czerwone buty na koturnach, wystąpiła z grupy i przedstawiła się jako Mary, żona Ndegwy. Miała na palcu wielki pierścień ze szklanym oczkiem. Thomas nie był pewien, czy kiedykolwiek widział równie obrzmiałe piersi. Koturny grzęzły w błocie pod ciężarem kobiety; starała się nie schodzić z wąskiego pasma trawy, dzielącej bananowce od pól kukurydźnianych.

Dom otoczony był ogrodem księżycowych kwiatów oraz frangipani o tak oszałamiającym zapachu, że Thomas zapragnął położyć się na ziemi, jak stał. Wokół roztaczał się lekko pofałdowany krajobraz ozdobiony skomplikowanymi ornamentami pól uprawnych: same odcienie zieleni przyprawiły o ból głowy. Na wzgórzach stały inne chaty z gliny i blachy, rozpięte wyżej niebo miało zaś barwę charakterystycznego dla tego kontynentu głębokiego kobaltu. Zwykły dzień w Kenii, skonstatował w duchu Thomas, w Hull stanowiłby powód do świętowania.

Mary kazała zagotować wodę na węglowym palniku, po czym zaprosiła Thomasa do chaty.

Centralną izbę zdobiły czerwona winylowa sofa oraz dwa krzesła do kompletu. Na środku stał nieduży, plastikowy stół, nad którym Thomas musiał przejść okraciem, żeby usiąść. Funkcję podłogi pełniło klepisko, i Thomas zastanawiał się, co stałoby się z nim w razie ulewy. Na zewnątrz słońce nadawało wszystkiemu kolory tak intensywne, że aż bolały oczy. Wiedział, że nigdy nie zdoła precyzyjnie ich opisać: wynikało to po części z równikowego oświetlenia oraz krystalicznych właściwości powietrza. Skoro zaś nie potrafiłeś opisać barw danego kraju, co ci pozostawało?

Na ścianach wisały oprawione reklamy coca-coli oraz zbiorowe fotografie upozowanych członków rodziny. Ku jego zdziwieniu, z adaptera na baterie płynęła amerykańska melodia "Przyłóż słodkie usteczka bliżej do słuchawki". Podano mu szklanek ciepłego piwa, które wypił jednym haustem. Mary ze śmiechem nalała mu kolejną. Próbował ukryć zaskoczenie, gdy oznajmiła mu, że sama również jest poetką, ale skończyła medycynę sądową na uniwersytecie w Kampala. Wróciła do rodzinnej shamba, tłumaczyła, aby urodzić pierwsze dziecko, które właśnie skończyło miesiąc. Zapytała o cel przyjazdu Thomasa do Kenii. Przyjechał tu, powiedział, z żoną. Regina otrzymała stypendium na badania psychicznych efektów chorób występujących w rejonie Sahary na kenijskie dzieci poniżej dziesiątego roku życia. Stypendium pochodziło z UNICEF. Thomas zauważył, że Ndegwa przechodził co jakiś czas na tyły domu, żeby zamienić słowo z mężczyznami, którzy przyszli specjalnie, aby się z nim spotkać. Thomas domyślał się niejasno, że miało to coś wspólnego z polityką.

– Mój mąż mówi, że jesteś wspaniałym poetą.

– Twój mąż jest bardzo uprzejmy.

- Czy w twoim kraju pisanie wierszy to niebezpieczne zajęcie?
- W moim kraju pisanie wierszy nie traktuje się jako zajęcia.
- Tutaj coś takiego bywa bardzo niebezpieczne. Ale ty nie piszesz o moim kraju?
- Nie. Nie znam go wystarczająco dobrze.
- Ach tak – odparła enigmatycznie Mary, poklepując go po kolanie.
- I nie poznasz.

Dwie siostry przyniosły misę z kawałkami pieczonego koźlęcia. Z naczynia sterczał fragment kości. Ndegwa pokroił maczetą kruche, czarne mięso na drewnianym stole i rozdzielił miseczki z lśniąca od tłuszczu zawartością. Thomas przytrzymał swoją porcję na kolanach, dopóki nie zaobserwował, że Maryje palcami. Tłuszcz na szklanym kamieniu jej pierścionka wyglądał imponująco.

Posiłek kosztował go wiele wysiłku. Ndegwa podał mu naczynie wypełnione różnorodnymi kawałkami zarezerwowanymi dla gościa honorowego. Wyjaśnił, że są to organy koźlęcia – serce, płuca, mózg i wątroba – jak zapewnił, bardzo smaczne. Dla zachęty wypił trochę surowej krwi upuszczonej z zabitego zwierzęcia. Odmowa przyjęcia podobnych smakołyków – Thomas wiedział to dzięki półrocznemu pobytowi w kraju – wiązała się ze wstydem oraz groźbą urażenia gospodarza. O swój wstyd nie dbał, nie chciał jednak obrazić pana domu. Zalała go fala obrzydzenia, ale włożył palce do naczynia, zamknął oczy i zjadł.

Od razu wiedział, że było to kolejne afrykańskie doświadczenie, którego nie sposób opisać.

Po jakimś czasie Mary wstała i przepaszając wszystkich, wyjaśniła, że musi nakarmić dziecko.

– Jej piersi są tak wielkie – dodał ze śmiechem Ndegwa – że wygląda jak pochylone drzewo.

Thomas przypominał sobie, że pożegnanie trwało godzinę.

– Teraz, kiedy już wiesz, gdzie nas znaleźć, przyjedziesz ponownie – powiedział na odchodne Ndegwa.

– Tak, dziękuję.

– Nie daj się prosić.

– Nie dam.

– Następnym razem zjemy dwoje koźląt.

– Świetnie – odparł Thomas.

– Kiedy nastąpi aresztowanie? – zapytał Ndegwę w kawiarni.

– Za tydzień? Dwa? Pięć dni? Nie mam pojęcia. – Kenijczyk na prze mian splatał i rozplatał ręce.

– Warto umierać za wiersze?

Jego rozmówca oblizwał wargi.

– Jestem symbolem dla wielu takich jak ja. Po aresztowaniu, gdy ludzie będą mogli o mnie przeczytać i usłyszeć, stanę się większym symbolem, niż gdybym uciekł.

Thomas skinął głową, próbując zrozumieć sedno politycznego przesłania. I logikę człowieka, który dla idei narażał bezpieczeństwo własne i rodziny. Historia ukazuje wiele przykładów ludzi ginących dla idei. Jemu nie przychodziła do głowy ani jedna, dla której warto poświęcić życie.

Chciał powiedzieć Ndegwie, że jego twórczość jest zbyt cenna i nie należy jej poświęcać dla polityki. Lecz kim był, by to mówić? W kraju równie niewyobrażalnego cierpienia któż mógł pozwolić sobie na luksus uprawiania poezji?

– Zatrzymaj się u Reginy i u mnie – zaproponował Thomas. – W Karen nikt nie będzie cię szukać.

– Zobaczymy – odrzekł Ndegwa. Niezobowiązująco; jakby miał przed sobą inne powinności. Jakby jego aresztowanie już zostało przesądzone.

Potem wstał. Wstrząśnięty Thomas również poderwał się z miejsca. Ogarnęła go bezradność.

– Powiedz, co mógłbym zrobić – poprosił.

Ndegwa odwrócił wzrok, po czym raz jeszcze spojrzął na niego.

– Odwiedź moją żonę.

– Dobrze – odrzekł Thomas. – Oczywiście.

– Obiecuj mi to.

– Obiecuję. – Czyżby na twarzy Kenijczyka odbił się przelotny cień strachu?

Thomas zapłacił za piwo i opuścił lokal. Czuł się oszołomiony i zdezorientowany. To przez to piwo na pusty żołądek. A może z powodu rewelacji Ndegwy. Podszedł do niego mężczyzna, nagi, jeśli nie liczyć rozciętej po bokach papierowej torby, którą przyciskał do siebie zaciśniętymi pięściami. Wyglądał, jakby miał na sobie pieluchę. Jego włosy zdobiło różnobarwne pierze. Zatrzymał się przed Thomasem – Amerykanin, rzuca się w oczy. Thomas wysypał resztę monet do sakiewki zawieszanej na szyi żebraka.

Musi znaleźć Reginę.

Minął hotel Gloria, gdzie spędzili pierwszą noc w kraju, nie zdając sobie sprawy, że nocują w burdelu. Zlew był zatkany brązową substancją, której pochodzenia wolał nie dociekać, po obudzeniu zaś stwierdzili, że są zapchleni. Właśnie przeszła obok niego kobieta z dzieckiem na plecach; oczy maleństwa były usiane pchłami. Thomas marzył o szklance wody. Kolory nabrały intensywności; dźwięki stały się bardziej donośne niż godzinę temu. Przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz zobaczył długi, czerwony pochód lśniących mrówek i jak zbyt późno zdał sobie sprawę, że maszerują po jego nodze. W Gil Gil naga kobieta leżała nieruchomo na asfalcie, którym wylano podwórko. Nadzy mężczyźni wyglądali z okratowanych okien i pluli mu pod nogi. Dlaczego w tym kraju jest tyle golizny? Przed prawym okiem latały mu setki

wielobarwnych mroczków. Proszę, tylko nie migrena, pomyślał, nie teraz. “Uczennica umiera w wyniku usunięcia łechtaczki”. Przypomnił sobie nocny ekspres do Mombasy, seksualnie upojny stukot szyn. Spali razem na wąskim posłaniu; noc była czuła, stanowiła swoiste zawieszenie broni. Czytał powieść E.M. Forstera. Gdzie zostawił tę książkę? Miałby ochotę sięgnąć po nią ponownie? Kenijczycy nienawidzili homoseksualistów, unikali tego tematu jak ognia, jakby milczenie mogło usunąć go w niebyt. Niebawem przyjedzie Rich, i może Thomas pozwoli mu pożuć tutejszy “chruścik”. Co napisała matka? Kolejki na stacjach benzynowych przechodziły wszelkie pojęcie. “Trzej Amerykanie pozbawieni głów”. Czy samochód jeszcze tam jest? A może stawka nie była wystarczająca? Na ulicy handlowano odzieżą i garnkami. W witrynie sklepowej widniała reklama Cuisinart. Regina pewnie się niepokoi. Wczoraj w Norfolk jadł walijski przysmak; w wyobraźni nadal czuł jego smak. W rzeczywistości czuł smak tuskera. Słowa. Prześladowały go nocą. Kiedyś przeszło obok niego dwadzieścia lwów. Stał obok samochodu z nogami wrosniętymi w ziemię, niezdolny choćby chwycić za klamkę. Widział otwarte w niemym wrzasku usta Reginy siedzącej w środku. Dojechali do Keekorok z wyczerpanym akumulatorem i na łysych oponach. Dźwignia zmiany biegów została mu w ręce. Innym razem, na safari, został sam w obozie, żeby pisać. Zaatakowały go pawiany i musiał je odpędzić, waląc drewnianą łyżką w garnek. “Znachor w amoku. Ofiara pułapki na zebry”. Na przyjęciu w ambasadzie kobieta w białym kostiumie wzięła go za szpiega. Powietrze w Karen smakowało jak szampan. Było nawet lepsze niż na wzgórzach Ngong. Tęsknił za ich chłodem, za ich zielenią. Oparł głowę o ścianę budynku; rozgrzany, szorstki cement nie przyniósł pożądanej ulgi. Regina na pewno ma lekarstwo w torebce. Gdyby tylko mógł zaszyć się gdzieś w ciszy. Przypomnił sobie jaskinię z tysiącami nietoperzy u stropu; przerażona Regina upadła na kolana. Błagał, żeby wstała, w końcu musiał siłą wyciągnąć ją na zewnątrz. “Och, świetnie. Pech mnie nie prześladowuje”. Uprzejmość, której nie należało brać serio. A może po prostu mu się zdawało? “Deszcze sięją spustoszenie. Domki biedoty zrównane z ziemią przez buldożery. Kość słoniowa w karetce”. Regina pewnie będzie wściekła, że kazał jej czekać. Przejdzie jej, kiedy zobaczy, jak bardzo boli go głowa.

Na targu jego oczy powoli przyzwyczajały się do półmroku. Fetor przybrał na sile i Thomas starał się oddychać ustami. Ludzie i stoiska nabierali zarysu, kształtów jak fotografie wyjmowane z wody. Zobaczył kobietę w kanga, tkaninie ciasno spowijającej biodra. Miała ładne, okrągłe pośladki. Ndegwa patrzył na afrykańskie kobiety, podczas gdy on, Thomas, obserwował długą, wąską talię białej kobiety i sposób, w jaki jej bawełniana bluzka wydymała się nad kangą. Naraz poczuł taki ucisk w piersi, że musiał gwałtownie chwycić w płuca cuchnące powietrze.

To niemożliwe, pomyślał. Mimo to wiedział, że się nie myli.

Ból nie zelżał ani trochę, lecz rozjaśniło mu się w głowie. Zakłócenia wzroku ustąpiły. Stała z koszykiem na ramieniu odwrócona do niego smukłymi plecami. Lekko pochylona nad



wyłożonymi ananasami sprawdzała, czy są dojrzałe. Długi rząd srebrnych bransoletek na jej prawym nadgarstku podzwaniał z każdym ruchem. Nogi były odsłonięte od połowy łydki do stopy. Popatrzył na szczupłą, opaloną nogę, zakurzoną piętę i znoszone, skórzane sandały. Czy to możliwe, że się pomylił? Nigdy. W tym względzie nie mógł się mylić. Włosy miała jaśniejsze, niż pamiętał, luźno związane nad karkiem.

Kobieta zapłaciła za ananasa i odwróciwszy się, ruszyła w jego stronę. Jej twarz, mniej zaokrąglona niż dawniej, przybrała pytający wyraz; słomkowy koszyk w jednej, portfel w drugiej ręce. Mimo panującego wokół półmroku złoty krzyżyk przykuwał uwagę. Thomas usłyszał głośne westchnienie.

– Thomas! – zawołała kobieta.

Postąpiła krok do przodu.

– To naprawdę ty?

Schował ręce do kieszeni w obawie, że mimowolnie mógłby ją objąć. Jej obecność mogła przynieść nieprzewidziane skutki.

– Linda. – Poczul suchość w ustach.

Uśmiechnęła się z wahaniem, przekrzywiając głowę.

– Co ty tu robisz?

Co robił w Afryce? Oto istotne pytanie.

– Mieszkam tu. Od roku.

– Naprawdę? Ja też. Prawie od roku.

Na chwilę odwróciła wzrok od jego oczu i jej uśmiech przygasł. Wiedział, że patrzyła na bliźnię. Widziała ją pierwszy raz.

– To niesamowite – powiedział.

Starszy mężczyzna w niebieskiej marynarce pociągnął go za rękaw. Thomas stał jak skamieniały, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, jakby w obawie przed zniszczeniem czegoś ważnego. Patrzył, jak Linda sięga do portfela i wyjmuje szylingi. Żebrak oddalił się, zadowolony.

Przyłożyła do nosa wierzch dłoni, broniąc się przed smrodem wypełniającym budynek. Przeszło mu przez myśl, że drżą jej palce. Gdzieś czeka na niego Regina. Regina. Podjął próbę powiedzenia czegoś rozsądnego.

– Moja żona pracuje dla UNICEF.

Słowa “moja żona” nie są właściwe, pomyślał. Nie tutaj. Nie teraz.

– Aha – odrzekła. – Rozumiem.

Thomas poszukał wzrokiem na jej palcach obrączki. Na palcu lewej dłoni miała coś, co mogło nią być.

– Mieszkasz w Nairobi?

– Nie. Pracuję w Korpusie Pokoju. W Njia.

– Ach tak. To dziwne.

– Dlaczego?, – Nigdy nie wyobrażałem sobie siebie w Korpusie Pokoju.

– Cóż, ludzie się zmieniają.

– Chyba tak.

– Ty się zmieniłeś?

Zastanowił się szybciej.

– Raczej nie.

Miał spierzchnięte usta i musiał je zwilżyć językiem. Oddychał płytko, brakowało mu powietrza. Ból w skroniach stawał się nie do zniesienia. Regina na pewno ma lekarstwo w torebce. Machinalnie uniósł rękę do czoła.

– Boli cię głowa.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Masz ściągniętą skórę wokół oczu.

Widywała to wielokrotnie.

– Nie zdarza mi się to tak często, jak kiedyś. Lekarz mówi, że nim dojdę do pięćdziesiątki, migreny ustaną. – Zrobił głęboki oddech, mając nadzieję, że weźmie to za westchnienie. – Jeżeli dożyję.

– Trudno sobie wyobrazić równie długie życie – rzuciła lekko.

– Dawniej myślałem, że nie dożyję trzydziestki.

– Wszyscy tak myśleliśmy.

Miała jasne rzęsy i jasnoniebieskie oczy, wokół których rysowała się już płytka siateczka zmarszczek. Twarz spalona słońcem. Po wypadku nie mogli dłużej być razem. Jej ciotka i wujowie kategorycznie tego zabronili. Całymi dniami wystawał pod domem Lindy. Wreszcie gdzieś ją odesłali. Thomas nadal nie miał pojęcia, dokąd pojechała.

Wysłał cztery listy i na żaden nie otrzymał odpowiedzi. Potem przyszła jesień, rozpoczął studia na Harvardzie. Linda wybrała Middlebury. Wtedy postanowił dać za wygraną i przyjął jej milczenie jako karę.

Dziesięć lat ją zmieniło i teraz wyglądała jak kobieta. Usiłował nie patrzeć na jej piersi lekko zarysowane pod bluzką.

– Mieszkamy w Karen – powiedział.

Powoli skinęła głową.

– To na zachód stąd. – Machnął ręką w kierunku domniemanego za chodu.

– Znam to miejsce.

– Nigdy nie miałem okazji powiedzieć ci, jak bardzo było mi przykro – powiedział. – Próbowałem do ciebie napisać.

Odwróciła wzrok. Widoczny w trójkątym wycięciu bluzki fragment ciała spurpurowiał.

– Przepraszam za tamten wypadek – ciągnął. – Zachowałem się w sposób niedopuszczalny. Gdybym tylko nie jechał tak szybko. Gdybym tylko nie pił.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem.

– Byłam tam. Ja również ponoszę część winy za to, co się stało.

– Nieprawda. To ja prowadziłem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego nadgarstka. Drgnął, jak porażony prądem.

– Thomas, dajmy temu spokój. To już przeszłość. Wszystko się zmieniło.

Na biodrach miała tylko pojedynczą warstwę tkaniny, którą obwiązała się jak Afrykanka. Jedno szarpnięcie i kanga zsunęłaby się na ziemię. Nie mógł w tej chwili o tym myśleć.

– Chcę tylko wiedzieć, dokąd cię wysłali – nalegał. – Zawsze mnie to ciekawiło.

Cofnęła rękę.

– Pojechałam do Eileen, do Nowego Jorku.

Powoli kiwnął głową.

– Potem poszłam do Middlebury.

Zrobił głęboki oddech.

– Mamy sobie tyle do opowiadania – podsumowała jak każda kobieta na jej miejscu. Próbowała, jak przypuszczał, przywrócić ich stosunkom normalność.

– Jak się miewa twoja ciotka? – zapytał, wpadając w jej ton.

Zacisnęła usta i wzruszyła ramionami. Jej relacje z ciotką zawsze były dość skomplikowane.

– Chyba bez zmian.

– Dlaczego nie odpisywałaś na moje listy? – zapytał zbyt szybko, mimo wszystko niezdolny do zachowywania pozorów.

Uniosła rękę i wsunęła za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Nie dostałam żadnych listów.

– Nie dostałaś moich listów?

Potrząsnęła głową.

Poczuł ucisk w piersi.

– No tak – powiedziała. Drobną zmarszczką na jej czole wygładziła się nagle. – Robisz zakupy?

– Ach – odrzekł zmieszany. – Zrobiłem zakupy. To znaczy, swoją część. Choć powinienem jeszcze kupić orzechy. – Miał nadzieję, że Linda nie wyczuje od niego piwa. Jeszcze nie było nawet południa.

Kątem oka dostrzegł zbliżającą się Reginę. Na ramieniu niosła koszyk wypełniony wiktuałami. Poczuł narastającą panikę. Naraz stało się ważne, by mógł porozmawiać z Lindą przed nadejściem żony.

– Lindo... – zaczął i urwał. Bezduszne i kapryśne słowa go zawiodły.

Podniosła na niego oczy; wytrzymał jej spojrzenie.

Regina stanęła obok, zapadła chwila niezręcznej ciszy. Linda uśmiechnęła się w kierunku nowo przybyłej.

– Cześć. Jestem Linda Fallon.

Thomas oprzytomniał z wysiłkiem. Spojrzawszy na Reginę, zastanawiał się, czy nazwisko Lindy zabrzmia znajomo. Miał nadzieję, że nie.

– Lindo, to moja żona, Regina.

Regina postawiła koszyk na ziemi i uściśnięła dłoń Lindy. Jej różowa bluzka bez rękawów miała pod pachami plamy od potu, rozwiane włosy kleiły się do twarzy. Spojrzała na Thomasa, na jego puste ręce. Tego dnia włożyła szorty i, choć to nielojalne, zrobiło mu się za nią wstyd.

– Nie kupiłeś owoców? – zapytała z lekką nutą pretensji w głosie, na wet teraz.

– Są w samochodzie.

Przyjrzała mu się z uwagą.

– Masz migrenę? – Linda odwróciła wzrok.

Thomas na próżno usiłował nadać głosowi naturalne brzmienie.

– Linda to moja stara przyjaciółka. Z Hull.

Regina odwróciła się do nowej znajomej.

– Naprawdę? Przyjechałaś na safari?

– Nie. Pracuję w Korpusie Pokoju.

– W Nairobi?

– W Njia.

– Naprawdę? Czym się zajmujesz?

– Jestem nauczycielką.

– No proszę. – Wypowiedziała to machinalnie, bez emocji. Za plecami Lindy sprzedawca pakował resztę owoców.

– Zamykają – powiedział Thomas.

Rozdarty między dwiema kobietami, chciał, by rozstały się jak najprędzej, marząc jednocześnie, aby spotkanie z Lindą trwało wiecznie. Pragnął jej zadać tyle pytań, pytań, które dręczyły go od lat.

Linda manifestacyjnie popatrzyła na zegarek.

– Muszę lecieć. Peter na mnie czeka; jesteśmy umówieni na lunch.

Męskie imię uderzyło go jak obuchem. Istnienie jakiegoś Petera było do przewidzenia, mimo to Thomas poczuł się zaszokowany.

Linda zwróciła się w stronę Reginy.

– Miło było cię poznać.

Rzuciła Thomasowi szybkie spojrzenie. Nie mogła nic powiedzieć, uśmiechnęła się tylko.

Thomas odprowadził ją wzrokiem. Czuł, że odchodząc, Linda zabiera z sobą część jego samego.

Schylił się, by podnieść koszyk Reginy. Musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie, żeby zagłuszyć ból. Kiedy opuszczali targowisko, żona milczała.

– Roland i Elaine zapraszają nas na obiad – odezwała się wreszcie.

Roland, promotor Reginy, był kompletnym idiotą, lecz na myśl o przyjęciu Thomas poczuł ulgę. Chyba nie mógłby znieść długiego wieczoru sam na sam z żoną. Nie tym razem.

– Czy to nie ta dziewczyna, z którą chodziłeś w liceum?

– Kilka miesięcy. – Celowo przybrał obojętny, nawet znudzony ton.

– Czy nie mieliście jakiegoś wypadku?

– Jechała wtedy ze mną.

Regina kiwnęła głową.

– Teraz pamiętam. Opowiadałeś mi.

Thomas schował kosz do bagażnika i otworzywszy drzwi od strony kierowcy, wsunął się na fotel, tak gorący, że zapiekły go uda. Chłopak obserwował go, czekając na napiwek. Thomas opuścił okno i mały zjawił się w mgnieniu oka.

Regina usiadła obok.

– Blondynki nie powinny wystawiać się tak bardzo na słońce – oznajmiła. – Nie zauważyłeś, jak niszczy sobie skórę?

Stał na werandzie Rolanda z pełną szklanką w dłoni i sercem przepełnionym uczuciem bliskim dawno niezaznanej radości. Uczucie to promieniowało po całym jego ciele. Na początku wieczoru, po chłodnej, acz paradoksalnie serdecznej wymianie zdań na powitanie: “Rolandzie, czy Amerykanie nie są zabawni z tym swoim chodzeniem na piechotę?”, “Och, jaka ładna sukienka” – poczuł, jak inni bezprawnie uzurpują sobie jego uwagę, i musiał ochłonać. Dlatego poszukał schronienia na werandzie, dokąd nie zawędrował jeszcze nikt z pozostałych.

Wiedział, że jest zakochany. Rzeczywiście, zupełnie jakby dotąd nie był. Od pewnego dnia w 1966 roku, kiedy dziewczyna w szarej spódnicy i białej bluzce przestąpiła próg klasy. Zupełnie jak gdyby przez te wszystkie lata był zajęty bądź znudzony ciągłym rozpamiętywaniem pewnej miłości, po czym nagle, wbrew przeciwnościom losu, na powrót został włączony w naturalny bieg rzeczy. Nie przywołany do porządku, lecz włączony. Jak ślepiec, który po utracie wzroku musi przywyknąć do swego stanu i nauczyć się żyć w mrocznym królestwie, po czym wiele lat później, zdumiewającym trafem odzyskawszy wzrok, zrozumie, jak wspaniałe był niegdyś jego świat. I to wszystko z powodu nieprawdopodobnego spotkania i wymiany kilku zdań – które same w sobie stanowiły świadectwo istnienia małych cudów.

Weranda wychodziła na ogród porośnięty hibiskusem i księżycowymi kwiatami – te drugie

emanowały widmową poświatą za sprawą zawieszonych na drzewach lampionów. Na równiku każdego dnia w roku słońce zachodziło punktualnie o szóstej, gasnąc bez jakiegokolwiek skruchy lub zapowiedzi, od czego Thomasowi ciarki chodziły po plecach. Tęsknił za powoli zapadającymi letnimi wieczorami oraz zorzą, którą równie rzadko dane mu było oglądać. Ku swemu zdziwieniu tęsknił też za śniegiem, czasami nawet śnił o nim nocą. Przed sobą, na wysokości oczu, miał ciężkie od owoców drzewo awokado – tak blisko, że wyciągnąwszy rękę, mógł zerwać jedną z łuskowatych, zielonych gruszek – przypomniał sobie, że skosztował tego owocu dopiero w college’u. Awokado było zbyt egzotyczne, aby zagościć na kalwińskim stole matki, która uważała ketchup za warzywo.

Roland nalegał, żeby nalać mu pimma, słodkawego drinka z dżinu i napoju imbirowego, choć Thomas miał ochotę na zwyczajne piwo. Roland był równie apodyktyczny w domu jak w pracy i wypowiadał bezdyskusyjne stwierdzenia z pewnością, która nieraz wprawiała innych w zakłopotanie. Zapamiętajcie jego słowa: po śmierci Kenyatty w kraju zapanuje plemienna anarchia. Potrafił powiedzieć prosto z mostu, że jeśli Afrykańczyk kupuje europejski dom, chałupę od razu można spisać na straty. Azjatów zaś z założenia nie można wierzyć. Thomas, nie mając w tych kwestiach wyrobionej opinii, uważał równie demonstracyjny – nie, natarczywy – rasizm za przerażający. Roland z kolei uważał Thomasa za nieuleczalnego naiwniaka i dawał to do zrozumienia. Ściśle mówiąc, za prześmieszego naiwniaka. Szczery Amerykanin to doskonała rozrywka. Zobaczycie, jak lubił dodawać Roland.

Nocne powietrze owiewało jego odkryte do łokci ręce. W oddali słyszał muzykę oraz cichnący kobiecy śmiech. Z betonowego pawiloniku dla służby wznosiła się smuga dymu, pobudzając, jak zawsze, do postawienia kwestii: czy zamknięcie służby w cementowym garażu różni się od niewolnictwa? Gdzieś spod tych refleksji wyłaniało się pytanie: gdzie w tej chwili jest Linda? Co właśnie robi? Thomas wyobraził ją sobie w leśnej chatce – nie wiedział, skąd mu to przyszło do głowy. Pewnie miało to coś I wspólnego z Korpusem Pokoju, uznał, z ideą dobrej roboty oraz umiarkowanego cierpienia. Jak łatwo mogli minąć się na targowisku, nie wiedząc, że są tak blisko siebie. Na tę myśl zrobiło mu się miękko w kolanach. Ponownie ujrzał jej wcięcie w tali i biodra, a także rozkołysane pod bluzką piersi. Tęsknota, której nie czuł od czasu wczesnej młodości, sprawiła mu dotkliwy ból.

Jej palce drżały, kiedy uniosła je do twarzy; mógłby przysiąc, że to widział. Mimo to jednocześnie wydawała się tak doskonale opanowana, tak spokojna. Czy to przypadkowe spotkanie cokolwiek dla niej znaczyło, czy też potraktowała je jako nostalgiczną chwilę, którą należało odłożyć na bok i iść dalej? Wydawało się niemożliwe, by mogli o sobie zapomnieć. A jednak on poślubił inną kobietę, ona zaś wybrała mężczyznę o imieniu Peter. Wyobraził sobie cheralawego naukowca, choć nie miał ku temu najmniejszych przesłanek. Ciekawiło go, czy ze sobą mieszkali; podejrzewał, że tak. Czyż wszyscy nie postępowali w ten sposób, zwłaszcza

w tym kraju bezprawia i nielegalnej miłości?

Odwróciwszy się nieco, oparł biodro o balustradę i zajął przez okno do pokoju, który Elaine uparcie nazywała salonem, co stanowiło kolejny z rzeszy brytyjskich anachronizmów w kraju, gdzie prawie wszyscy mieszkali w lepiankach. Na tym jednym przyjęciu mógł naliczyć trzy romanse, o których wiedział, a któż zdołałby określić, ile naprawdę ich było? Sam Roland sypiał z Jane, najlepszą przyjaciółką swojej żony, najdziwniejsze zaś wydawało się to, że według Reginy Elaine doskonale o wszystkim wiedziała i miała to w nosie. To rzecz jasna pociągało za sobą pytanie, z kim sypia Elaine. Elaine, z twarzą szorstką i zbrązowiałą jak orzech i włosami, które w wyniku życia spędzonego na równiku przybrały odcień platyny. Elaine, która przyszła na świat w Kenii i kiedyś oznajmiła Thomasowi, że posiada obywatelstwo kenijskie (co jednak, jak zauważył, nie wpływało pozytywnie na jej sympatię do tubylców). Hodowała konie i miała uda dżokeja. Na swój sposób wydawała się ładna, choć nie podobała się Thomasowi, a jej sposób bycia był równie szorstki jak twarz. Tuszowanie pogardy, jaką żywiła dla Amerykanów, wychodziło jej jeszcze gorzej niż Rolandowi. Podniósłszy głowę, zobaczyła, że Thomas jej się przygląda. Pośpiesznie odwrócił oczy. Jeszcze błędnie zinterpretuje jego spojrzenie i potraktuje je jako zachętę do flirtu.

Jezu, pomyślał, spoglądając z powrotem na balustradę. Tylko tego mu brakuje.

Migrena nękała go od kilku godzin i w domu z przyjemnością przebywał w zaciemnionym pokoju. Regina krzątała się po kuchni, a potem czytała na werandzie. W zaciszu sypialni po raz kolejny ogarnął go przypływ radości, nawet mimo bólu. Kiedy zaś ten ustąpił, Thomas poczuł się bliski euforii. Wciąż na nowo odgrywał w myślach scenę rozmowy z Lindą, powtarzając kwestie jak wiersz wyuczony na pamięć.

“To naprawdę ty?”

“Jakie to dziwne”.

“Ty się zmieniłeś?”

“To już przeszłość. Wszystko się zmieniło”.

Zza jego pleców dobiegł cichy trzask drzwi od werandy. Thomas miał nadzieję, że to nie Elaine.

– Nasz lokalny twórca rymów.

Roland, z napełnioną hojnie szklanką złocistego płynu, podszedł bliżej i z pozorną swobodą oparł łokcie na balustradzie z kutego żelaza. Miał na sobie koszulę z obcisłego syntetyku, przyslaną, jak nie omieszkał poinformować Thomasa, prosto z Londynu.

– Ja nie rymuję – sprostował Thomas.

– Nie? Nie zauważyłem.

Wypił łyk ze swojej szklanki i odgarnął z czoła tłustawy kosmyk włosów. Biła od niego silna woń wylanej w nadmiarze wody kolońskiej. Zapach wyprzedzał jego nadejście o metr.

Brytyjczycy kąpali się jedynie raz lub dwa razy w tygodniu; cóż, tutaj nikt nie robił tego częściej.

– Gdzie można kupić twoje tomiki?

– Nie ma żadnych tomików.

Thomas był gotów przysiąc, że odbyli tę rozmowę nie dalej jak miesiąc wcześniej.

– Ach tak. Jaka szkoda.

Spodnie Rolanda, również uszyte z jakiegoś syntetycznego materiału, ciasno opinały mu uda i wydymały się nad butami. Nosił ciężki, srebrny zegarek z dużo za szerokim paskiem.

– Ulotki? Pamflety? – zapytał z udawaną nonszalancją Roland.

– Magazyny literackie – odparł Thomas i natychmiast pożałował nu ty dumy w głosie.

– Przypuszczam, że to się w Stanach dobrze sprzedaje?

Thomas zastanawiał się, gdzie jest teraz kochanka Rolanda, Jane, której mąż organizował safari, w związku z czym często przebywał poza domem. Ten człowiek głośno skarżył się na przyjęciach na zakaz strzelania do zwierzyny.

– Nie.

– O rany – odrzekł Roland z cieniem pogardy w głosie. – Regina musi chyba nieźle zarabiać?

Thomas po namyśle odrzucił pokusę wyjaśnienia mu, że płacił za studia żony.

– Jest tutaj jeden gość z Ugandy, który wydaje magazyn, może ci się przydać. – Roland z wykrzywioną twarzą pochylił się doń konspiracyjnie. – Rzecz jasna, ta gazeta to szmatławiec, a jej wydawca to szemrany typ, ale lepsza jakaś publikacja niż żadna, nie?

Roland oparł się plecami o balustradę i zlustrował gości.

– A dlaczegoż to tak chowaliśmy się w samotności na werandzie, jeśli wolno spytać? – zapytał Roland, sam udzielając sobie na to pozwolenia.

Z uśmiechem pociągnął alkohol ze szklanki. Jego mania wyższości była nie do zniesienia. Owo “my” ostatecznie wyprowadziło Thomasa z równowagi.

– Szczerze mówiąc, rozmyślałem o Jane – odparł.

Arabskie meble z wybrzeża mieszały się z angielskimi antykami, tworząc chaos, który wymagał uporządkowania; znajdował się tu jednak imponujący sekretarzyk od dawna będący przedmiotem podziwu Thomasa. Obejrzał książki ustawione w przeszklonych szafkach. Żadnych niespodzianek, same standardy: Dickens i Hardy, T.E. Lawrence i Richard Burton. Może poprosi Rolanda o wypożyczenie Burtona. Afrykanin w białym stroju wziął jego szklankę i z melodyjnym, kenijskim akcentem zapytał, czy nalać mu kolejnego pimma. Thomas potrząsnął głową; lekarstwo na migrenę w połączeniu z alkoholem uderzyło mu do głowy. Marzył, by się położyć.

W rogu pokoju Regina rozmawiała z dziesięcioletnim chłopcem. Miała włosy upięte do tyłu; wiedziała, że Thomas lubi tę fryzurę. Czerwona sukienka bez rękawów odsłaniała ramiona



opalone podczas długich popołudni spędzonych w klinikach polowych. Jej kark zwilgotniał od upału; skórę pokrywały drobne kropelki potu. Kiedyś pragnął Reginy. Spotkali się w sklepie z artykułami żelaznymi w Bostonie – miała na sobie żółty t-shirt i kombinezon, szukała motyki; on stał w kolejce do kasy z przepychanką do zlewu w rękę – zobaczył porcelanową cerę kobiety i jej niesamowite piersi pod kombinezonem, i zapragnął zwrócić na siebie uwagę nieznajomej. Poszedł za nią do samochodu, udając zainteresowanego ogrodnictwem. Udawał aż do wieczora. Tej samej nocy w jej łóżku (w czasie kotłowania, pomyślał teraz) wyznał, że nie ma pojęcia o ogrodnictwie, na co ze śmiechem odpowiedziała, że przejrzała go na wylot. Mimo to miło jej, dodała, co zrozumiał dopiero po upływie kilku miesięcy, gdy odkrył, jak bardzo nienawidziła swego bujnego ciała. Wtedy było już za późno. Tak właśnie pomyślał, za późno. Dopiero teraz zdołał się do tego przyznać. Przypadkowe spotkanie z Lindą już wpłynęło na jego sposób myślenia.

Regina pochyliła się nad chłopcem o włosach spłowiałych od ciągłego wiatru i słońca, który przyszedł przywitać się z gośćmi. Wyglądał na nieśmiałego i nieszczęśliwego, ale ona umiała nakłonić innych do uśmiechu i teraz też na pewno wkrótce jej się to uda. Dziesięcioletek robił miłe wrażenie. W przyszłym roku Roland zamierzał wysłać go do Anglii, do szkoły z internatem. Według Thomasa była to dość drastyczna metoda kształcenia, zwłaszcza że Roland miał równie blade pojęcie na temat kultury swojej ojczyzny co kraju, jaki zamieszkiwał. Regina skinęła dłonią, aby do nich dołączyć.

– Pamiętasz Richarda – powiedziała wesołym pogodnym głosem używanym przez dorosłych w obecności dzieci.

Thomas wyciągnął rękę i chłopiec uściśnął ją; delikatne kostki niemal zginęły w potężnym uścisku ręki mężczyzny.

– Jak pan się miewa? – zapytał uprzejmie Richard, za wszelką cenę unikając wzroku Thomasa.

– Świetnie. A ty? – Thomas pochylił się nad nim lekko. Chłopiec wzruszył ramionami. Jego maniery starzały zaledwie na tyle.

– Richard mówi, że bierze udział w jutrzejszych wyścigach w Karen. Zaprosił nas, żebyśmy popatrzyli.

Thomas z trudem wyobrażał sobie tego chłopca w siodle, nie mówiąc o wyścigach. Choć, podobnie jak jego matka, dorastał wśród koni. Kiedyś oglądali Elaine podczas wyścigu za lisem w Karen, co było szczytem anachronizmu: sherry na srebrnych tackach, szkarłatne marynarki, potężne brzuchy zwierząt ponad szczytami żywopłotów. Żywopłoty w Karen, pomyślał. Mogłyby opowiedzieć własną historię.

– Sądzę, że możemy przyjechać – zwrócił się do chłopca, myśląc po raz kolejny, gdzie jest teraz Linda. Teraz, dokładnie w tej chwili.

– Jesteś dzisiaj jakiś milczący – zauważyła Regina, kiedy Richard oddalił się na wezwanie matki.

– Tak?

– Zachowujesz się prawie niegrzecznie.

– Wobec kogo?

– Choćby wobec Rolanda i Elaine.

– Zważywszy na to, że Roland przed chwilą wyraził swe głębokie współczucie wobec faktu, że jestem miernym poetą utrzymywanym przez żonę, chyba mam to gdzieś.

– Thomas.

Za plecami Reginy Elaine nie spuszczała z niego wzroku.

– To ta migrena – powiedział, szukając na użytek żony wiarygodnej wymówki. – Przez nią dzień wydaje się odbiegać od normy.

Regina wsunęła palec między guziki jego koszuli.

– Wszystkie twoje dni odbiegają od normy.

Thomas zrozumiał znaczenie jej gestu. Po powrocie do domu będzie chciała się kochać.

– Wiem, że miałaś migrenę – dorzuciła szeptem Regina. – Ale dziś wy pada ta noc.

Poczuł, jak serce zamiera mu w piersi.

– Zrobiłam wykres – dodała, może nieco obronnym tonem.

Zawahał się sekundę zbyt długo, po czym ją objął. Zdążyła jednak wyczuć chłód czy też przyływ ogarniającej go lekkiej paniki. Thomas odniósł wrażenie, że zbyt często mimowolnie rani żonę.

– Pewnie słyszałeś najnowsze wieści – odezwała się lodowatym tonem i odwracając wzrok, wypila łyk różowego wina z kieliszka.

– Jakie wieści? – zapytał ostrożnie.

– Aresztowali Ndegwę.

Thomas oniemiał.

– Dzisiaj po południu, około piątej. Właśnie dowiedziałam się od Nor mana Jak-mu-tam, tego z londyńskiej gazety.

Machnęła ręką w kierunku Normana Jak-mu-tam. Zaskoczenie Thomasa nie uszło jej uwagi. Nie byłoby sprawiedliwie powiedzieć, że jego niepokój sprawił jej satysfakcję.

– To niemożliwe – wykrztusił. Po raz drugi tego dnia dał się zaskoczyć. – Widziałem go w porze lunchu. Piliśmy razem piwo.

Żona, która nie wiedziała, że był w kawiarni, spojrzała na niego ostro.

– Aresztowali go na uniwersytecie – oznajmiła. – Jeszcze trwają demonstracje.

Thomas nie mógł uwierzyć w to, co dopiero usłyszał.

– Musi mieć wielu sojuszników – zauważyła Regina, teraz równie czuj na jak Elaine.

– Jezu – westchnął Thomas, wstrząśnięty, że przypuszczenie tak szybko stało się rzeczywistością. Przypomniawszy sobie obojętność, z jaką Ndegwa spoglądał na Afrykanki, i jego anegdotę o gliście.

– Pewnie będzie o tym w wieczornych wiadomościach z Londynu – dodała Regina.

Czekał w sypialni oświetlonej jedynie niebieskawym blaskiem księżyca, który wydobywał z mroku zarysy dziwacznej zbieraniny mebli zgromadzonych po włamaniu: toaletki z bawełnianą zasłonką w łączkę; podstarzałej sofie obitej skórą wielbłąda; ciężkiej mahoniowej szaty z niedomykającymi się drzwiami (w której oboje z Reginalą trzymali śmieszny garstek rzeczy). Wyobraził sobie, jak ten ozdobny mebel płynął statkiem całą drogę z Londynu do Mombasy, po czym jechał z wybrzeża wozem ciągniętym przez konie. Kobięcy skarb, mebel, bez którego nie wyobrażała sobie wyjazdu do Afryki. Co stało się z tą kobietą? – zastanawiał się Thomas. Czy umarła w połogu? Bała się podczas długich nocy, kiedy jej mąż wyruszał na safari? Tańczyła w klubie Muthaiga, podczas gdy mąż kochał się z jej najlepszą przyjaciółką na tylnym siedzeniu bentleya? Na tym właśnie łóżku zmagająca się z chroniczną malarią? A może opaliła się i stwardniała jak Elaine, a nuda i kurz wyostrzyły jej język? Dom stanowił dodatek do stypendium żony; ze zdumieniem przyjęli jego nieoczekiwany przepych. Początkowo Regina zżymała się na konieczność zamieszkania w Karen, lecz winorośl oraz duńskie drzwi w kuchni oczarowały ją, jeszcze zanim wypili na werandzie pierwszego drinka. Obecnie jego żona przepadała za tym domem, nie wyobrażając sobie powrotu do Stanów. Nie wyobrażała sobie również życia bez służby, kucharza, ogrodnika oraz ayah, którą mieli zatrudnić, jeżeli tylko Regina urodzi dziecko.

Zza drzwi łazienki dochodził szum wody lejącej się do wanny na nóżkach. Wiedział, że wkrótce Regina włoży czarną koszulę nocną z jedwabiu i koronki, którą kupił jej podczas przystanku w Paryżu, kiedy jechali do Afryki i żona nagle zatęskniła za domem. Koszulę, którą wkładała każdej rzekomo płodnej nocy, nosząc obecnie znamię porażki; koszulę, której zamierzony powab dawno się ulotnił, równie nikły jak woń perfum. Thomas chciał dać Reginalie do zrozumienia, żeby jej nie wkładała, przyszło mu nawet na myśl, żeby ją schować – żona jednak niewątpliwie mylnie wzięłaby to za przytyk do swej tuszy. Nigdy nie dał jej niczego podobnego do zrozumienia; niechęć Reginaly do własnego ciała była tak silna, że jej zdaniem wszyscy podzielali tę zafałszowaną opinię. Teraz już wiedział, że zniszczyło jej to życie w sposób, w jaki zajęcza warga bądź ułomna kończyzna mogły zaważyć na czyjejś przyszłości. Cokolwiek mówił lub robił, nie zdołał wpłynąć na jej stosunek do siebie, co przypisywał jakiemś wczesnemu urazowi, choć obwinianie o to rodziców żony uważał za bezcelowe.

Wstał z łóżka i nagi stanął w oknie. W bladym świetle dostrzegał jedynie zarys krzewów i drzew; w powietrzu unosiła się woń jaśminu. W drodze z przyjęcia naszły go, lekko wstawionego, niepohamowane wspomnienia, które nie ustały, nawet gdy rozległo się: “Thomas,

słuchasz?”, wypowiedziane cierpkim tonem przez Reginę. Wymówił się niepokojem spowodowanym aresztowaniem Ndegwy, choć nie tu leżała prawdziwa przyczyna jego nostalgii. W samochodzie oczami wyobraźni ujrzał dziewczynę – tak, była wówczas dziewczyną – która wchodzi spóźniona do klasy, gdzie znajdują się już wszyscy uczniowie i nauczyciel. Jej pewny chód zapowiadał kolejne zaskoczenie. Krótka spódnica sięgała ledwie połowy uda, w tamtych czasach była to szokująca długość. Wszyscy chłopcy, a nawet nauczyciel patrzyli na długie nogi nowej uczennicy (długie jak u bociana, pomyślał teraz) oraz białą bawełnianą bluzkę z rozpiętym guzikiem odsłaniającym dekolt ponad piersiami. (Widok bawełnianej bluzki podniecał go nawet teraz, co wydawało się niezbyt fortunne w kraju, gdzie krótkie spódniczki i białe bluzki były dla uczennic de rigueur). Nieznajoma stanęła w drzwiach z książkami w ręku i gumą do żucia w ustach; Thomas był pewien, że pan K. każe spóźnialskiej ją wypluć. Lecz nawet pan K. zaniemówił, zdolny jedynie zapytać przybyłą o jej nazwisko i drżącymi palcami sprawdzić je na liście obecności. Już wówczas Thomas jakimś sposobem zrozumiał, że ta bluzka, spódnica oraz guma do niej nie pasowały i stanowiły kostium. Natychmiast też zapytał siebie w duchu, jakim cudem jej wcześniej nie widział, gdyż z pewnością była kimś, za kim snułby się całymi dniami, aby nakłonić ją do rozmowy. Na twarzy dziewczyny malował się wyraz nie arogancji, lecz czujności i Thomas pomyślał, że pod tą maską mógł czaić się strach, że była kimś, kogo łatwo zranić. Chciał, aby usiadła obok niego na jednym z sześciu czy siedmiu wolnych krzeseł (ba, modlił się o to: “Jezu, spraw, żeby usiadła obok mnie”). I cudownym zrzędzeniem losu, jakby wola lub pragnienie miały niezwykłą moc sprawczą, a może za sprawą boskiej interwencji, dziewczyna postąpiła do przodu, zawahała się, po czym zajęła miejsce za Thomasem. Ogarnęło go uczucie tak przemożnej ulgi, że po raz pierwszy w życiu przestraszył się samego siebie.

Z łazienki doleciał bulgot wody spływającej z wanny. Skóra Reginy pewnie poróżwiała w gorącej kąpieli. Wyobraził sobie żonę nagą i próbował wzbudzić w sobie pożądanie, bez entuzjazmu ratując się dotykiem. Dawniej pragnął Reginy bezmyślnie i machinalnie, teraz jednak usiłował wymazać z pamięci jej zmarszczkę pomiędzy brwiami, wieczną pretensję w głosie, nienawiść do własnego ciała. Lecz nie mógł zapomnieć – ciąg obrazów przesunął się nieuchronnie, jedna klatka za drugą. Dziewczyna zeskakująca z molo pewnej październikowej nocy. Podręczna torba z rozmachem wrzucona do morza. Ciemny labirynt ciasnych pokoików wypełnionych zapachem cebuli i dziecięcej oliwki. Bluzka zsunięta ze szczupłego, okrągłego ramienia, której widok miał dla niego równie erotyczną wymowę jak przed laty. Mała dziewczynka na trójkołowym rowerku.

Regina otworzyła drzwi i sypialnię zalał potok światła. Nie miała na sobie koszuli nocnej, lecz jakąś tkaninę zakręconą wokół bioder. Od pasa w górę była naga. Nie wiedział, czy zrobiła to celowo, czy podświadomie, mimo to serce mu zakołatało. Stanęła prowokująco; w blasku księżycy jej piersi rysowały się jak białe kule. Od chwili, gdy dostrzeże jego wahanie i zasłoni

się, dzieliły go sekundy. Potem reszta nocy minie na przeprosinach i łzach oraz słowach, których później będą żałować. W oddali usłyszał bębny i śpiew. Wiedział, że to katolicy Kikuju powracający z mszy o północy. Gdzieś w mroku odezwał się rozbudzony ibis, zaryczał zaniepokojony osioł. Thomas podszedł do żony i przygotował się, by jej powiedzieć, że jest piękna.

- Nie rozumiem. Przecież dzisiaj niedziela.
- Obiecałem Ndegwie.
- Co mu obiecałeś?
- Że odwiedzę jego żonę.
- I co to da?
- Pewnie nic. Chodzi o obietnicę, Regino.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że piłeś z nim w barze?

Poszedł do samochodu, jak zawsze mile zdziwiony jego obecnością na podjeździe. Regina dąsała się w domu i pewnie wieczorem po jego powrocie nadal będzie obrażona. Proponował, by mu towarzyszyła, ale czy to z uporu, czy też z powodu nadmiaru nauki odmówiła jego niezbyt entuzjastycznej prośbie. Najpierw jednak poinformowała go (z rękami założonymi na piersi i wykrzywionymi ustami), że planowała na ten dzień piknik na wzgórzach Ngong, piknik, z którego teraz naturalnie trzeba będzie zrezygnować. Przyjął owo kłamstwo z niechęcią. Mimo to poczuł ulgę, kiedy powiedziała, że zwyczajnie nie ma ochoty na długą podróż. Pragnął być sam.

Opuścił zacieniony podjazd i pojechał Windy Ridge Road w kierunku centrum miasta, jak zawsze zachwycając się żywopłotami Karen – gęstymi, nieprzeniknionymi ścianami kryjącymi posesje przed wzrokiem mniej uprzywilejowanych. Karen, zawdzięczająca nazwę swej najstłynniejszej mieszkance, Karen Blixen, stanowiła niegdyś prawie wyłącznie białą enklawę w rodzaju miniaturowego Cotswolds z gospodarstwami, stajniami otoczonymi białym płotem oraz typowym dla angielskich emigrantów upodobaniem do wyścigów oraz pijaństwa. Obecnie, rozrzucone wśród tabliczek przed domami, widniały również nazwiska afrykańskie – Mwangi i Kariuki – zamożni Luo, Kikuju i Kalinijn, afrykańska elita wzbogacona osobliwym trafem dzięki polityce. I wszędzie na skraju podjazdów widniały wszechobecne znaki: “Mbwa kali”. Zły pies.

Escort wjechał Ngong Road do centrum Nairobi, anonsując zdezelowanym tłumikiem swe przybycie wszystkim od toru wyścigowego aż po puszcę Ngong. Thomas przemknął opustoszałymi w niedzielny poranek ulicami miasta i szosą A 104 ruszył w kierunku Limuru, w scenerii będącej swoistym pamiętnikiem dni spędzonych w tym kraju: klub Impala, gdzie grywał w tenisa z kenijskim członkiem zarządu Olivetti, Arboretum, gdzie kiedyś spali i kochali

się z Reginą, oraz dom przedstawiciela UNICEF, gdzie upił się nostalgicznie szkocką i drambuie. Odwiedził shamba Ndegwy tylko raz i miał nadzieję, że trafi przez wyżynę centralną, zwaną dawniej Doliną Szczęścia z powodu seksualnej rozwiązłości i alkoholowych ekscesów anglokenijskich ekspatriantów, będących właścicielami wielkich plantacji pszenicy i chryzantem. Bunt i niepodległość Mau Mau ukróciły te swobody, potężne farmy rozbito na niewielkie działki, gdzie uprawiano obecnie banany, maniok, fasolę, ziemniaki oraz herbatę. Zieleń plantacji herbacianych każdorazowo napełniała Thomasa nabożnym lękiem: opalizujący szmaragd zawierający w sobie esencję wody oraz światła.

W Limuru kupił w sklepie paczkę playersów i zapytał o drogę do shamba Ndegwy; sprzedawca udzielił mu wskazówek w tak rutynowy sposób, jakby wskazywał drogę do wielce uczęszczanej mekki turystycznej. Thomas przypomniał sobie drogę, widząc kręty szlak wiodący po wyboistym wzgórzu. Zaparkował wśród zbieraniny rozmaitych pojazdów: czarnych rowerów z zardzewiałymi szprychami i wiklinowymi koszami przytroczonymi do siodełek, peugeota 504 o siedzeniach z owczej skóry i białej ciężarówki, wyglądającej jak wóz piekarza. Za pojazdami zobaczył krąg mężczyzn, którzy obsiedli ławki jak bracia lub wujowie po posiłku przygotowanym przez krzątające się w kuchni kobiety. Odsunęli się bez zdziwienia, robiąc Thomasowi przejście i nie przerywając rozmów, prowadzonych przeważnie w rodzimym kikuju z rozpoznanymi przez Thomasa elementami suahili oraz wtrętami po angielsku. "Bromek metylu. Systemy nawadniające. Sophia Loren". Przeważali wśród nich mzee, starszyzna, w przykurzonych sportowych marynarkach wygrzebanych na anglikańskich wyprzedazach, choć jeden wysoki Afrykanin nosił wielkie okulary przeciwsłoneczne w złotych oprawkach oraz pięknie skrojony garnitur. Stał niemal bez ruchu, przyciągając spojrzenia swoim wyglądem. Według Thomasa sprawiali wrażenie, jakby przyszli na pogrzeb. Od czasu do czasu kobiety wносиły na zewnątrz matoke, iriu oraz sukimu wiki. Thomas odmówił poczęstunku, wypił jednak pombe, bananowe piwo z cukrem, którego kosztował już wcześniej. Chłodne podmuchy wyżynnego powietrza dryfowały ponad polami; w oddali szumiał cicho wodospad. Piękno i obcość oraz nasycone barwy krajobrazu przejęły go do głębi. W drzwiach stanął mężczyzna w towarzystwie jednej z sióstr aresztowanego. Kobieta popatrzyła na Thomasa, ignorując go jednak na korzyść wyróżniającego się Afrykanina. Thomas zrozumiał, że mężczyźni, podobnie jak on, czekają na audiencję u żony Ndegwy.

Kazano mu czekać półtorej godziny, lecz ku swemu zdziwieniu nie czuł zniecierpliwienia. Pomyślał o Lindzie, analizując każdy szczegół spotkania na targu: zaskoczenie na jego widok, sposób, w jaki odwróciła głowę, słysząc słowo "migrena" w ustach Reginy, drżenie palców. Wypił kilka piw i uznał, że jest pijany, co nijak nie przystawało do okazji. Od czasu do czasu któryś z afrykańskich mzee smarkał na ziemię – był to zwyczaj, do którego Thomas nie mógł przywyknąć mimo rocznego pobytu w kraju. Siedząc tam, próbował ułożyć wiersz, ale był

w stanie uformować jedynie niespójne i obce obrazy, choć, jak wiedział, nigdy nie utworzą one spójnej całości. Koszmarnie cisnął go pęcherz. “Wapi choo” – zapytał mzee siedzącego obok. Tamten roześmiał się, słysząc jego suahili, po czym wskazał mały wychodek w odległości kilkudziesięciu metrów od domu. Thomas bez zdziwienia spojrział na dziurę w cementowej podłodze, skąd bił taki smród, że musiał wstrzymać oddech. Cieszył się, że Regina tego nie widzi.

Kiedy wrócił na ławkę (od siedzenia na niej wcześniej zdrętwiały mu pośladki), czekała już na niego siostra Ndegwy. Zdumiewająco pewnym krokiem poszedł za nią do mrocznego wnętrza chaty. Przyzwyczajony do słońca wzrok musiał przywyknąć do ciemności. Młoda kobieta wzięła go za rękę i doprowadziła do krzesła. Thomas przypomniał sobie czerwony winyl, jeszcze zanim go zobaczył.

Żony Ndegwy by nie rozpoznał. Jej głowę spowijał wysoki zwój purpurowej i złotej tkaniny. Ubrana była w długi kaftan o podobnych barwach. Widok znajomych czerwonych koturnów wystających spod szaty oraz szklanego kamienia na palcu przyniósł Thomasowi pewną otuchę. Siedziała – po królewsku, pomyślał – ze szklanką wody przed sobą na stole i mówiąc, popijała małymi łykami. Nie wyglądała na udęconą żonę politycznego męczennika ani nawet na absolwentkę medycyny sądowej, która przeproszała za swoje obrzmiałe piersi. Sprawiała raczej wrażenie osoby, która zbyt wcześnie odziedziczyła insygnia władzy, jak nastoletni syn zmarłego króla.

Thomas założył nogę na nogę i zaplótł przed sobą ręce. Szukał odpowiednich słów.

– Przykro mi z powodu aresztowania twojego męża – powiedział. – Mam nadzieję, że sprawa szybko się wyjaśni. Jeżeli mogę coś zrobić...

– Tak. – Było to wypowiedziane rzeczowo, jak gdyby propozycja rozumiała się sama przez się.

– Widziałem wczoraj twojego męża – ciągnął Thomas. – Brał pod uwagę możliwość aresztowania. Nie miałem pojęcia, że to zdarzy się tak szybko.

Mary Ndegwa milczała, siedząc bez ruchu. Thomas spróbował wyobrazić ją sobie w shamba teściowej: czy obowiązywała tam pewna hierarchia, określony system dowodzenia? Czy obie kobiety spadały do niższej rangi podczas weekendowych wizyt Ndegwy?

– Powiedział, że w razie jego aresztowania mam cię odwiedzić – do dał.

– Wiem – odrzekła.

Zdezorientowany Thomas z wolna skinął głową.

– Spodziewałaś się więc mojej wizyty?

– O, tak. – Przecież on sam aż do tego ranka nie wiedział, czy przyjedzie. Jaszczurka przemknęła po ścianie. Mary Ndegwa zmieniła pozycję.

– Jak się miewa twój syn? – zapytał Thomas. Widok jej piersi przypomniawszy mu o dziecku.

– Ndegwa miewa się świetnie.

Pombe zaczynało przyprawiać go o kaca. Poczuł, że znowu musi iść do wychodka. – Mój mąż mówił, że w swoich wierszach piszesz prawdę – odezwała się Mary Ndegwa.

Komplement, ostatnio tak rzadki, mile go połechnął.

– Twój mąż jest bardzo łaskawy w swojej ocenie, umiem jednak wymyślać prawdę, kiedy mi to pasuje.

– Prawdę można przedstawiać pod wieloma kątami, panie Thomas.

Oświadczenie brzmiało, jakby je wielokrotnie przećwiczone. Wyobraził sobie usiane chatami zbocze wzgórza z wyglądającymi przez drzwi mzee, patrzącymi na pojedynczy promyk światła na odległym pagórku. Prawda postrzegana z różnych perspektyw.

Gdy oczy przyzwyczyły mu się do półmroku, zauważył ciemne obwódki wokół oczu Mary Ndegwy, świadczące o zmęczeniu. Na wpół oczekiwał, że lada chwila usłyszy dźwięki amerykańskiego szlagieru. “Leżąc na tapczanie, wypłakuję sobie oczy i mało mi serce z piersi nie wyskoczy”. Szczególnie upodobał sobie ten utwór ze względu na jego absurdalne słowa.

– Powiedzieli ci, gdzie jest Ndegwa? – zapytał Thomas.

– Trzymają go w Thika.

– Będziesz mogła go odwiedzić?

Zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć: oczywiście, że nie.

– Nasz rząd nie uwolni mojego męża. Nie przedstawi zarzutów ani nie wyznaczy daty procesu. – Thomas powoli kiwnął głową. – Powinno się to rozgłosić, prawda?

Nagle zrozumiał. Wreszcie do niego dotarło, czemu udzielono mu audiencji i w jakim celu Ndegwa przysiadł się do niego w kawiarni. Czyżby zabiegał o zainteresowanie dziennikarzy? Amerykanów? Czyżby wyreżyserował własne aresztowanie?

– To pogwałcenie praw człowieka – dodała Mary Ndegwa.

Thomas pocił się pod niebieską sportową marynarką, zdefasonowaną w wyniku pomyłkowego wyprania w wannie. Był najbardziej apolitycznym z ludzi, nawet gdy chodziło o udział w demonstracji przeciwko wojnie w Wietnamie. Poszedł jedynie, żeby tam być, obserwować zgromadzonych. Nie liczył na to, że demonstracja przyczyni się do zażegnania konfliktu.

– Rząd może więzić mojego męża latami. To niedopuszczalne.

– Nie, naturalnie, że nie – odrzekł. – Będę szczęśliwy, mogąc się przy dać w jakikolwiek sposób.

– Rozmawiałeś o tym z moim mężem?

– Wczoraj pokrótce rozważaliśmy możliwość aresztowania. Zwykle rozmawiamy o literaturze. I poezji. O słowach.

Mary Ndegwa pochyliła się do przodu na sofie.



– Aresztowano demonstrantów na uniwersytecie. Razem z moim mężem w tej chwili przetrzymują ich pięćdziesięciu. Dlaczego ich aresztowano? Powiem ci. Żeby zamknąć im usta, powstrzymać przed wypowiedaniem słów.

Thomas musnął palcami czoło.

– Opór teraz to jedynie słowa – dodała.

To jakiś katechizm, pomyślał.

– Mama Ndegwa, muszę wyznać, że żaden ze mnie polityk.

– A kto to jest polityk? – spytała ostro, z nieoczekiwaną iskrą w głosie. – Jesteś wrażliwy na cierpienie?

– Mam nadzieję, że tak.

– Niesprawiedliwość?

– Chyba tak.

– No to jesteś politykiem.

Nie było sensu oponować. Dla jej celów zostanie więc politykiem i zrobi to, co ona uzna za słuszne: skontaktuje się z konsulem? Napisze pełne pasji listy? Powiadomi prasę?

Mary Ndegwa wstała.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Thomas posłusznie udał się za nią. Opuścili dom tylnym wejściem. Matka Ndegwy, której wcześniej tego dnia nie widział, siedziała na ławce pod baobabem. Trzymając twarz w dłoniach, kołysała się w prawo i lewo, nucąc jakąś rzewną pieśń. Sprawiała wrażenie, jakby nie zauważyła ich obecności. Piersi i bezzębne usta starej kobiety. Strach o pierworodnego.

Przeszli stromą hałdą przez sad mango oraz plantację krzaków obsypanych czerwonymi ziarnami kawy. Mary Ndegwa uniosła skraj swojej szaty, twardo stawiając na ścieżce stopy w czerwonych butach. Zauważył, że były świeżo wypolerowane. Przystanąła na pagórku.

– Słyszałeś o powstaniu Mau Mau?

– Tak, oczywiście.

– Oto miejsce, gdzie stracono ojca Ndegwy – powiedziała. – Brytyjscy żołnierze strzelili mu w tył głowy.

Thomas spojrział na ziemię. Kiedyś była przesiąknięta krwią.

– Zanim go zastrzelono, musiał wykopać własny grób. Przygnano tu jego żonę i dzieci i kazano im patrzeć. Ndegwa miał wtedy dziesięć lat.

Thomas przeniósł wzrok na krzyż i inskrypcję na nim: “Njuguna Ndegwa. Bojownik o wolność. Mąż i ojciec. Idź z Bogiem”.

Jego przyjaciel Ndegwa, mając dziesięć lat, patrzył, jak żołnierz strzela do jego ojca. Rówieśnicy. Co we własnym dzieciństwie Thomasa równało się podobnemu przeżyciu?

Mary Ndegwa położyła mu dłoń na ramieniu. Wiedział, co chce powiedzieć, jeszcze zanim się odezwała. Tak, pomyślał, był poetą, poetą stojącym na progu.

Dokoła escorta kłębiło się stadko dzieci w spranych i zniszczonych szortach; zaglądały do środka, obracały kierownicą, dotykały radia. Poklepał się po kieszeniach marynarki i z ulgą przekonał się, że nie zostawił kluczyków w stacyjce. Chętnie zabrałby malców na przejażdżkę, czuł się jednak zbyt pijany i oszołomiony.

Powoli odjechał od shamba w obawie, że potrąci jakieś dziecko, i ruszył stromym zjazdem, zajęty płataniną myśli kłębiących się w jego głowie w oczekiwaniu na swoją kolej. Miał przed oczami strzępki zdań, niedopowiedziane historie, obrazy stłoczone bezładnie jeden za drugim. Regina z założonymi rękami; Mary Ndegwa z packą na muchy; Linda pochylona nad ananasami.

Dotarł do skrzyżowania w Ruiru, nie bardzo wiedząc, jak się tam znalazł. Zły zakręt? Lewe odgałęzienie drogi zamiast prawego, w które powinien skręcić? Jechał nieuważnie. Znak wskazywał: Njia na północ; Nairobi na południe. Mimo to Thomas wiedział, że umyślnie pomylił drogę. "Njia: 80 kilometrów". Dojazd szosą A 2 przy odrobinie szczęścia zająłby mu godzinę. Zjechał na pobocze i stał tam z włączonym silnikiem, obserwując, jak mija go matatu, załadowane do granic wytrzymałości ludźmi, bagażem, kurczakami i kozami. Na szkoleniu mówili, że stanowią one śmiertelne zagrożenie. W razie konieczności jazdy którymś z nich usiądź z tyłu i włóż okulary przeciwsłoneczne dla ochrony przed odłamkami szkła, jeśli pojazd się wywróci.

Niedzielne popołudnie; Linda mogła je spędzać z mężczyzną o imieniu Peter. Być może siedzą na werandzie albo (miał nadzieję, że jednak nie) leżą w łóżku. Wolał widzieć ją w myślach siedzącą samotnie z książką na progu lepianki z wiklinową strzechą. Nie próbował sobie wmawiać, że przejeżdżał w pobliżu albo że było całkowicie naturalne nadkładać godzinę drogi w celu odwiedzenia starej znajomej. Gdy ruszał z miejsca, by skręcić na północ, doskonale wiedział, co robi.

Jechał przez mroczną eukaliptusową puszcze, wśród najgrubszych łodyg bambusów, wzdłuż wrzosowisk okrytych mgłą jak całunem, by następnie znaleźć się w zielonej krainie łagodnych pagórków i rozległych dolin, nad którymi pieczę sprawował widoczny w oddali i zaśnieżony szczyt Kenii. Pośrodku drogi stał bawół; Thomas przyhamował w ostatniej chwili, cudem unikając kolizji z ogromnym zwierzęciem. Zamknął okna i znieruchomiał. Spośród wszystkich afrykańskich zwierząt, mówiono na szkoleniu, bawół jest najbardziej niebezpieczny. Mógł zabić człowieka w przeciągu zaledwie sekund, bodąc go z zabójczą precyzją i zdeptując na śmierć, jeśli atak rogami spowodował tylko rany. Należało rzucać kamieniami, co teoretycznie miało nakłonić zwierzę do ucieczki, lecz Thomas uznał, że najlepszą strategią będzie powolny odwrót. Bez ruchu siedział w samochodzie. Za nim ustawił się ciąg pojazdów, ale nikt nie

nacisnął klaksonu. Po chwili – ośmiu minutach? dwunastu? – bawół oddalił się dostojnie. Thomas wrzucił bieg. Był mokry od potu.

Njia okazało się większe, niż się spodziewał. Przejechał ulicą o nazwie Kimathi, minął wieżę zegarową oraz bar Pod Purpurowym Sercem. Zatrzymawszy się przy Wananchi Cafe, zapytał właścicielkę, szczerbatą i na wpół ślepą staruszkę, czy mówi po angielsku. Nie mówiła, zgodziła się jednak rozmawiać w suahili, co skazało Thomasa na wyartykułowanie słów oraz zwrotów, z których nie umiał ułożyć zdania. Powiedział: mzungu, “Korpus Pokoju” oraz manjano (żółty) na określenie barwy jej włosów i zuri (piękna). Potrząsnąwszy głową, staruszka gestem kazała Thomasowi pójść za sobą do znajdującego się obok sklepiku jej brata, gdzie kupił fantę. Wyszło mu w gardle; nie wiedział, czy ze zdenerwowania, czy też na skutek długiej podróży. Siostra i brat rozmawiali ze sobą we własnym plemiennym języku, klócąc się o coś zawzięcie. Podczas gdy wymachiwali rękami, Thomas przysłuchiwał się grupie muzykantów ulicznych, wyposażonych w butelki po oranżadzie oraz kapsle. W chłodnym powietrzu unosiła się wilgoć, zupełnie jak czerwcowego dnia w rodzinnym kraju. Wreszcie kobieta odwróciła się do Thomasa, mówiąc w suahili, że na Nyeri Road mieszka mzungu, która pracuje jako nauczycielka. Thomas podziękował obojgu, dokończył fantę i wyszedł.

Przy małym kościele na Nyeri Road wystarczyło jedynie powiedzieć “mzungu” oraz “Korpus Pokoju” kościelnemu, który zamiatał schody. Mężczyzna sam uzupełnił pytanie Thomasa słowem “piękna”.

Wcale nie było łatwo tam dojechać. Droga rozwidlała się dwukrotnie i Thomas sam musiał decydować się na kierunek, ponieważ w sklepie nie udzielono mu żadnych wskazówek. Krople wody z drzew niekiedy gęsto zraszały przednią szybę. Powietrze było tak rześkie, że zatrzymał się i wysiadł, by zaczerpnąć go w płuca. I uspokoić rozkołatanę serce. Przećwiczył możliwe wstępy do rozmowy, przygotowując się na każdą ewentualność. Mężczyzna o imieniu Peter pewnie też tam jest. Albo Linda właśnie szykuje się do wyjścia. A może przyjmie go lodowato, niezadowolona z odwiedzin. Przejeżdżałem w pobliżu, powie. Pomyślałem, że wpadnę. Zapomniałem cię zapytać. Regina i ja chcielibyśmy...

W stanie wzmożonego napięcia odnosił wrażenie, że droga szumi i wibruje. Daleko przed nim niebo zasnuła fioletowa kurtyna, niosąca zapowiedź obfitych opadów. Widywał już podobne ulewy, z deszczem siekącym pionowo, jak gdyby ktoś wyciągnął korek, spuszczać na ziemię i jezioro wody. Słońce za jego plecami oświetlało pola chryzantem, niesamowite połączenie żółci i bladej purpury, a dalej, u kresu drogi, widniał biały zarys domu, odcinający się wyraźnie na tle pociemniałego nieba. Thomasowi nasunęło się skojarzenie z latarnią. Omszałe dachówki tworzyły regularne wzory na dachu oraz wokół okien i drzwi, obrośniętych frangipani oraz jaśminem. Na podjeździe stał stary peugeot; Thomas zaparkował za nim, anonsując swą

obecność mieszkańcom domu, równie osamotnionym jak pustelnik na irlandzkim klifie.

Otworzyła drzwi, kiedy dochodził do schodów, mając jedynie dziesięć, może dwadzieścia, sekund na przygotowanie właściwych słów. Brała kąpiel albo pływała; długie, wilgotne pasma włosów opadały jej luźno na plecy. Miała na sobie kusą bluzkę i kanga, inną niż poprzednio. Nie próbowała zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Tylko patrzyła. Stali twarzą w twarz na progu domu położonego gdzieś na końcu świata.

Gdyby ktoś powiedział mu przed laty, że do tego dojdzie...

Thomas przywitał się niepewnie.

Z nieprzeniknioną twarzą poszukała wzrokiem jego oczu.

– Cześć, Thomas – odrzekła.

Widział ją wyraźniej niż w półmroku panującym na targu poprzedniego dnia. Jej twarz jaśniała czystością, bez śladu makijażu, nos był usiany piegami. Wokół oczu widniały zmarszczki od słońca, małe przecinki czały się w kącikach ust. Pełne i blade wargi tworzyły niemal poziomą kreskę.

– Chęć porozmawiania z tobą wzięła górę – wyznał, rezygnując z “przejeżdżałem w pobliżu” i “postanowiłem wpaść”. Było to dość nierozważne posunięcie, ponieważ wciąż nie wiedział, czy niejaki Peter jest w domu. – Choć szczerze mówiąc, nie miałem dużego dylematu.

Usunęła się z przejścia, wpuszczając go do środka. Pokój był niewielki, z dwoma oknami. Pod jednym ustawiono stół z dwoma krzesłami, naprzeciw drugiego stały fotele, relikty»z lat czterdziestych (Thomas wyobraził sobie wojenną Anglię i bakelitowe radio między nimi). Wzdłuż jednej ściany znajdowała się niska biblioteczka. Na podłodze leżał stary, perski dywan. Całości dopełniała pojedyncza lampa.

Na stole stały kwiaty, schludnie złożony skrawek tkaniny wisiał na oparciu krzesła. Na haczyku zawieszono słomkowy koszyk, na podłodze stała rzeźba plemienia Makonde oparta o ścianę.

Krople wody kapały z włosów Lindy, spadając na ramiona i parkiet. Jej nadgarstek oplatała bransoletka z włosia. W rękę trzymała bursztynowe kolczyki; machinalnie wsunęła je w uszy.

– Przyjechałeś z Nairobi – powiedziała.

– Byłem w Limuru.

Milczała.

– Musiałem się z tobą zobaczyć.

Nie dostrzegł żadnego mężczyzny, choć wszystkiego wokół było po dwa.

– Twoja obecność na targu była dla mnie prawdziwym zaskoczeniem – ciągnął. – Zupełnie jakbym zobaczył ducha.

– Nie wierzysz w duchy?

– Po rocznym pobycie w tym kraju chyba uwierzyłbym we wszystko.

Stali naprzeciw siebie, bardzo blisko. Doleciał do niego zapach jej mydła albo szamponu.

– Trzęśły ci się ręce – oznajmił śmiało; zauważył, że to spostrzeżenie ją zdziwiło. Cofnęła się o krok.

– Szok sam w sobie niewiele znaczy – odrzekła, wypierając się drżących rąk. – Nasz spędzony wspólnie czas zakończył się tak szybko, że bez względu na okoliczności zawsze będę cię kojarzyć z pewną dozą zaskoczenia.

Skuteczna linia obrony. Weszli dalej do pokoju. Na półce z książkami dostrzegł zdjęcie; wyteżył wzrok w tamtym kierunku. Rozpoznał kuzynów, z którymi Linda dorastała: Eileen, Michaela, Tommy’ego, Jacka i resztę. Fotografia rodzinna. Obok stało jeszcze jedno zdjęcie, przedstawiające Linde w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. To pewnie Peter, domyślił się Thomas. W żadnym razie nie reprezentował typu anemicznego naukowca; był dość wysoki, smagły i chłopięco przystojny. Uśmiechał się do obiektywu, oplatając ramieniem smukłą talię Lindy. Jej uśmiech wydawał się nieco mniej szeroki, co nie wiadomo czemu napełniło Thomasa otuchą.

– Chcesz coś do picia?

– Chętnie napiłbym się wody.

Na zewnątrz ptaki prześcigały się w trelach. One również ogłaszały nadciągającą burzę, która zasnuła mrokiem kuchenne okno, choć od frontu dom pławił się jeszcze w blasku słońca. Nagły podmuch zimnego powietrza szarpnął zasłonami w niebieską kratkę. Thomas patrzył, jak Linda wyjmując z lodówki karafkę z wodą i napełnia szklanekę.

– Filtrowana – powiedziała, podając mu naczynie.

Napił się lodowatej wody, dopiero teraz świadomy, jak bardzo zaschło mu w gardle.

– Jak się miewasz?

– Jak się miewam?

Po przybyciu na miejsce – i odnalezieniu jej wbrew wszelkim przeciwnościom losu – zabrakło mu słów. Rozpaczliwie szukał jakiegoś punktu zaczepienia.

– Pamiętasz coś z wypadku? – zapytał.

Milczała, być może zdziwiona, że pytanie padło tak szybko.

– Mam pustkę w głowie – odrzekła. – Zaczyna się od dziewczynki na trójkołowym rowerku, a kończy w momencie, kiedy mój nos wypełniła woda. Gdy straciłam cię z oczu, ogarnęło mnie uczucie takiej paniki, że na wet teraz pocę się na samą myśl. – Z uśmiechem potrząsnęła głową. – Ni gdy nie celowałeś w pustej wymianie zdań.

Przeszła do niewielkiego pomieszczenia z oknami od frontu i usiadła przy stole, zachęcając, by zrobił to samo. Usiadł i zdjął marynarkę. Upał dawał mu się we znaki.

– Co się stało z twoją marynarką? – spytała.

– Przez pomyłkę wyprano ją w wannie.

Parsknęła śmiechem, który wypełnił pokój, po czym zgasł równie szybko, jak się pojawił.

– To po wypadku masz tę bliznę? – zapytała.

Kiwnął głową.

– Rana musiała być paskudna – zauważyła.

– Na początku to do mnie nie dotarło. Kompletnie nic nie czułem. Nie zdawałem sobie sprawy z rozmiaru wypadku, dopóki moja matka nie zaczęła krzyczeć.

– Pamiętam, jak samochód wypadł z drogi – podjęła. – Pomyślałam wtedy, że to nie może być prawda. Rama okienna, czy jakkolwiek nazwać listwę przytrzymującą szyby, wygięła się nagle i stoczyliśmy się ze skarpy. Cały czas byłam przytomna. Wypłynęłam drugą stroną i zaczęłam krzyczeć. Nieopodal jacyś chłopcy łowili ryby przez dziurę w przerębli. Pewnie pamiętasz. Wyciągnęli cię. Tylko na chwilę straciłeś przytomność. Ale byłeś zamroczony i policjanci położyli cię na noszach.

– Wołałem cię.

– Owinęli mnie kocem i zabrali. Miałam poraniony bok. W szpitalu musieli rozcinać na mnie ubranie.

– Rany?

– Otarcia. Nie wiem, skąd. Pewnie od upadku z nasypu.

– Tak mi przykro.

Wypiła łyk wody. Sięgnawszy ręką do tyłu, wyżeła włosy, po czym przerzuciła je przez ramię.

– Już to przerabialiśmy – odrzekła.

– Mieszkasz sama? – zapytał.

Zawahała się i wytarła ręce o spódnice. Miała bosc stopy ze zgrubieniami na piętach.

– Mniej więcej. Peter dojeżdża.

– Peter?

– Shackland. Mieszka w Nairobi.

– To on? – Wskazał na zdjęcie.

– Tak.

– Czym się zajmuje?

– Pracuje dla Banku Światowego. Tutaj zajmuje się pestycydami.

– Znałaś go wcześniej?

– Poznaliśmy się tutaj.

Thomas wstał; konieczność przełknięcia niepożądanego informacji wymagała zmiany pozycji. Zaciskał i otwierał pięści, niespokojny i niebezpiecznie podekscytowany.

– Dlaczego Korpus Pokoju? – zapytał.

Wypiła kolejny łyk wody, a potem wyjrzała przez okno na nadciągającą burzę.

– Miałam tam przyjaciela – powiedziała wymijająco.

Podmuch wiatru przyniósł z sobą przejmującą woń, niczym zapach stojącej w progu kobiety.

– Nie ma w tym chyba nic niezwykłego, co? – dorzuciła. – Wydawało się, że to najlepsze z możliwych rozwiązań.

Zauważył jej brązowe, lśniące ramiona i muskularne ręce. Zastanawiał się, gdzie je tak wyćwiczyła.

– Czytasz Rilkego – odezwał się, spoglądając na niską biblioteczkę.

Rzucił okiem na tytuły i autorów. Jerzy Kosiński. Dan Wakefield. Margaret Drabble. Sylvia Plath.

– Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce.

– Domyślam się – odrzekł, wertując egzemplarz “Maratończyka”.

– Żebnąć o książki, u kogo się da. Biblioteka w Njia jest godna pożałowania. W Nairobi chodzę do biblioteki MacMillana przy British Council. Ostatnio pasjonuję się Margaret Drabble.

– Uczysz.

Skinęła głową.

– Czego?

Sięgnął po książkę Anne Sexton i przekartkował ją. Nie ufał poezji wyznań.

– Wszystkiego po trochu. Program oparto na systemie angielskim. Obowiązują egzaminy. Poziom pierwszy, drugi i tak dalej. Dzieci muszą uczyć się na pamięć nazw angielskich hrabstw. Nie mam zielonego pojęcia, na co im się to może przydać.

Thomas się roześmiał.

– Uczę trzydzieścioro dzieci w betonowym pomieszczeniu wielkości garażu. Korzystam z książek wydanych w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku, podarowanych przez jakąś angielską parafię. Są całe zabazgrane napisami typu: “Artur to palant”. Czym się zajmuje twoja żona?

Thomas oparł się o ścianę i podwinął rękawy koszuli. Pokój nasiąkł wilgocią. Huk grzmotu przyprawił oboje o wstrząs, choć nie powinien dziwić.

– Burza – powiedziała Linda.

Wstała i pozamykała okna, w chwili gdy na zewnątrz rozpętała się ulewa. Deszcz lunął pionowo z nieba, tłukąc w dach tak donośnie, że musieli podnieść głosy. Z podwórza dobiegł obłąkańczy grzechot wietrznych dzwonek.

– Ojciec mojej żony był w Kenii misjonarzem tuż po zakończeniu drugiej wojny – wyjaśnił Thomas. – Przedstawicielem episkopatu. Z nabożeństwem wspomina spędzone tu lata, twierdząc, że był to najlepszy okres w jego życiu i tak dalej. Osobiście uważam, że gdzieś w tej opowieści kryje się kobieta.

– To wyzwanie, jakie podjęłyby każda córka – odrzekła.

– Regina otrzymała stypendium na badania nad skutkami psychicznych chorób pustynnych u dzieci. To, co ogląda, nie napawa otuchą – do rzucił.

– Musi być bardzo dzielna.

Rozmowa o Reginie obudziła w nim czujność. Wolałby nie poruszać tego tematu.

– W tym wypadku, tak. Rzeczywiście.

Linda odwróciła głowę i wyjrzała na szalejącą na zewnątrz burzę. Za oknem widać było jedynie strugi deszczu. Wiedział, że po skończonej ulewie ziemię zaścieli kobierzec białych i kremowych płatków. W powietrzu unosił się zapach ozonu, który Thomas tak lubił: przypominał mu letnie popołudnia z dzieciństwa.

– Nadal nosisz ten krzyżyk – powiedział.

Machinalnie podniosła rękę do szyi.

– Sama nie wiem, dlaczego.

Uraziło go to. Ostatecznie, sam jej go dał.

– W tym kraju Bóg jest wszędzie – dodała. – Mimo to szczerze go nienawidzę.

Ostatnie słowa zaskoczyły go tak bardzo, że natychmiast zapomniał o urazie. Gniew w jej głosie zbił go z tropu. Czekał na wyjaśnienie.

– Trudno choćby patrzeć na ten deszcz, na jego nadmiar, nie myśląc o Bogu – powiedziała. – Gdziekolwiek spojrzeć, tam jest. Bezbrzeżnie okrutny.

Nawet Thomas, którego własna wiara była bliska zeru, zdumiał się tym bluźnierstwem.

– Tyle ubóstwa – ciągnęła Linda. – Tyle śmierci, chorób i cierpienia. Możemy wprowadzić winię kolonializm, jak wszyscy. Albo system plemienny, każdy powód jest dobry. Lecz w ostatecznym rozrachunku winę ponosi Bóg.

Thomas był pod wrażeniem siły jej wiary.

– Nienawidzić z całego serca znaczy cenić ponad wszystko – zauważył.

Pod wpływem wzburzenia jej policzki poróżnowiały, między brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. W istocie Linda nie była piękna, choć on i pozostali używali tego określenia. Raczej ładna. Co, jak sądził, czyniło ją w pewien nieokreślony sposób przystępną.

– Często widzisz biedę? – zapytał.

Spojrzała na niego.

– Ci ludzie nie mają butów, Thomas.

– Kenijska elita. Oni również ponoszą winę – odparł.

– Masz na myśli Wabenzich? – zapytała z nieukrywanym niesmakiem, używając powszechnego przezwiska Kenijczyków będących właścicielami mercedesów benzów. – Afrykanów, którzy przychodzą pieszo, a odlatują samolotami?

Przeczesała palcami włosy. Schły szybko, nawet pomimo wilgoci. Wstała i przeszła do drugiego pokoju, który prawdopodobnie pełnił funkcję sypialni. Wróciła ze szczotką. Usiadła na



fotelu i przystąpiła do rozczesywania włosów.

– To nie nasza walka – oświadczył Thomas.

– Staje się nią na czas, który tu spędzamy.

– Nie chciałem przyjeżdżać do Afryki – odpowiedział. – To pomysł żony. Możesz mi wierzyć lub nie, ale nauczyłem się doceniać znaczenie rutyny. – Urwał, zakłopotany. – Piszę – dodał.

Uśmiechnęła się bez zdziwienia.

– Co piszesz?

– Wiersze – rzucił lakonicznie. Zupełnie jakby nie zależało od tego całe jego życie. – Chyba tu nie pasuję – skwitował.

– Życie w tym miejscu bywa dziwne i pełne sprzeczności – zgodziła się Linda.

– Mieszkamy w Karen, w niemal luksusowych warunkach, podczas gdy wokół nas... Cóż, sama wiesz najlepiej, co się dzieje wokół nas.

Kiwnęła głową.

– Nie jest tak, jak sobie wyobrażałem – dodał. – Te wszystkie paradoksy.

Wycięcie bluzki odsłoniło obojczyk. Thomas przypomniał sobie sweter, który Linda miała na sobie ostatniego dnia. Błękitny sweter z wycięciem pod szyją. Wełniana spódnica opadała w samochodzie miękkimi fałdami na jej łydki.

– Co robiłaś po Middlebury? – zapytał.

– Poszłam na studia podyplomowe w Bostonie. Jednocześnie uczyłam w liceum w Newburyport.

– Mieszkałaś w Bostonie i Newburyport? Przez cały ten czas? – Thomas z niedowierzaniem obliczył odległość dzielącą Newbury i Cambridge.

Co najwyżej godzina drogi. Dwie z Hull. Co dopiero mówić o Bostonie.

Próbował nadać głosowi obojętny ton.

– Mieszkałaś sama? Miałaś współlokatora?

– Przez jakiś czas miałam chłopaka.

Postanowił o niego nie pytać.

– Usiłowałem porozmawiać z twoją ciotką, kiedy tylko ją spotykałem. Po skończeniu szkoły pół roku spędziłem w Hull. W ogóle nie chciała ze mną gadać. Traktowała mnie jak powietrze.

– Jest w tym dobra.

– Aby uniknąć poboru, zdecydowałem się kontynuować naukę. Ale potem padł mój numer i musiałem dać za wygraną. Ogólnie rzecz biorąc, mam za sobą kilka niezbyt szczęśliwych lat. Kursowałem z miejsca na miejsce. Jakiś czas spędziłem w Kanadzie. Potem byłem w San Francisco. Zacząłem brać narkotyki.

– Jakże?

– Trawkę. LSD. Nadal sporadycznie popalam trawkę.

Położyła szczotkę na krawędzi stołu.

– Zawsze byłam ci wdzięczna – powiedziała. – Cieszę się, że przyjechałeś, ponieważ chciałam ci o tym powiedzieć. Nie wiem, co by się ze mną stało...

Zbył jej słowa milczeniem. Nie zaprotestował, kiedy mówiła o wdzięczności. Ciągle towarzyszyła mu świadomość tego, jak łatwo można się zatracić w uczuciach.

– Zjadłbyś coś? – spytała.

– Czemu nie – odparł. – Ale nie szykuj nic specjalnego.

Poszła do kuchni. Mówił do jej pleców, kiedy kursowała pomiędzy blatem a lodówką.

– Masz elektryczność? – zapytał.

– Czasami.

W domu panował taki mrok, że równie dobrze mogliby zapalić światło.

– Jadłaś kiedyś żyrafę? – zapytał.

– Nie, ale jadłam antylopę. I krokodyla.

– Krokodyle nie są złe, smakują jak kurczak.

Położyła na talerzu chleb i ser. I coś, co przypominało wyglądem galaretkę. Poczł niespodziewany apetyt na cukier, jakby ten dzień wyczerpał jego zapasy insuliny.

– Czasem czuję się jak niewłaściwy człowiek we właściwym miejscu – wyznał. Był tak skrepowany, że nie wiedział, co mówić. – Albo odwrotnie.

– Zawsze tak się czuleś.

Kanga ściśle przylegała do jej bioder, ocierając się o łydki, kiedy chodziła.

– Życie tutaj przypomina oglądanie niekończącego się filmu doku mentalnego – oświadczył.

Roześmiała się tylko.

– Opowiedz mi o Peterze – poprosił.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie.

Odmowa zaskoczyła go, choć był pod wrażeniem lojalności Lindy. Lojalności, na jaką sam nie bardzo mógł się zdobyć.

– To niesamowite – odezwał się – że mogę z tobą rozmawiać. Pragnie nie przelania duszy w drugą osobę musi przypominać upuszczanie krwi.

– Ty nie wierzysz w duszę.

Postawiła jedzenie na stole, gestem zachęcając go, aby usiadł. Nałożył sobie na chleb dużą porcję sera i galaretki.

– Brakuje nam na to dobrego określenia, co?

– Duch? – podsunęła.

Potrząsnął głową.

– Ma zbyt religijny wydźwięk.

– Widmo?

– Zbyt nadprzyrodzone.

– Osobowość?

– Jezu, nie.

– Słowo “życie” ma chyba zbyt szerokie znaczenie.

– Przydałby mi się pieprzony słownik synonimów – powiedział Thomas. – Mój skradziono, kiedy piłem piwo Pod Cierniem.

Linda zaparzyła herbatę. Wzmianka o piwie sprawiła, że chętnie by się go napił.

– Ogarnia mnie niepoohamowane pragnienie rozlania się u twoich stóp – oznajmił.

Zamarła, nalewając herbatę.

– Przepraszam – dodał. – Zignoruj seksualny podtekst mojej uwagi.

Wzruszyła ramionami.

– Wyglądasz wspaniale – oznajmił. – Powinienem być wcześniej to po wiedzieć.

– Dziękuję.

– Czy mężczyźni oglądają się za tobą na ulicach? – zapytał.

Odstawiła imbryk.

– Kenijczycy zazwyczaj odnoszą się z wielkim szacunkiem do kobiet – odrzekła, po czym zamilkła. Deszcz ustał, jak gdyby ktoś zakręcił kran. Ich głosy brzmiały teraz zbyt donośnie. – Żona ci o tym nie powiedziała?

– Moja żona być może wołałaby, abym myślał, że to robią – odparł Thomas bez wahania, podczas gdy powinien był się zawahać.

Odwróciła twarz do okna. Była to najbardziej nielojalna rzecz, jaką powiedział o Reginie. Podwójnie nielojalna, gdyż dawał do zrozumienia, że żona skłamałaby dla własnej korzyści, chcąc celowo wzniecić w nim zazdrość. Motywy kryjące się za opowiadaniem o spojrzeniach innych mężczyzn nie budziły wątpliwości.

– Przepraszam – powiedział. Sam nie był pewien, kogo przeprasza i za co.

– Masz dzieci? – zapytała.

– Nie. – Urwał. – Regina zaszła raz w ciążę, ale poroniła w piątym miesiącu.

– Przykro mi.

– To było potworne doświadczenie, wylądowała na porodówce. Stało się to na tydzień przed naszym ślubem.

Nie wspominał, że zerwanie zaręczyn było nie do pomyślenia, choć w istocie przez chwilę nosił się wówczas z podobnym zamiarem. Od tamtej pory – jakby w ramach adekwatnej kary – Regina nie mogła zająć w ciążę, co niekiedy budziło w niej melancholię oraz nieoczekiwane przyływy macierzyńskich uczuć. To, jak traktowała kenijskie dzieci – wszystkie dzieci – było

dla Thomasa rozdzierającym widokiem. Minęły trzy lata i zbliżała się pora kolejnych badań, żona jednak – a miała w tej kwestii sporo do powiedzenia – nie pokładała wielkiej wiary w kenijskiej medycynie. Wolała poczekać do powrotu do domu. Odpowiadało mu to.

– Nie masz dzieci? – zapytał.

– O, nie.

Oczekiwał podobnej odpowiedzi, choć mimo to odczuł ulgę.

– Czy ty i Peter...?

– Jesteśmy małżeństwem? Tak.

– Czuję się, jakby rozplątano mi pierś maczetą – wyznał.

– Kolejna blizna – skwitowała lekko.

Zapadła długa cisza.

– Rich przyjeżdża – powiedział po chwili.

– Rich? – powtórzyła. Jej twarz pojaśniała. – Ile on ma już lat?

– Szesnaście.

– No proszę! – Powoli potrząsnęła głową. – Jaki jest?

– To dobry chłopak. Interesuje się żeglarstwem. Latem pracuje w jachtklubie, przy wodowaniu łódek.

– Kiedy go poznałam, miał siedem lat. Kochany był z niego dzieciak.

– Cóż, jeśli będziesz w Nairobi, możesz do nas przyjść na kolację i zobaczyć się z nim. – Co za wariacki pomysł. – Jestem pewien, że cię pamięta – dodał. – Do tej pory opowiada, jak świetnie grasz w ringo.

– Wydaje się, że to było tak dawno – westchnęła tęsknie.

– Wydaje się, jakby to było wczoraj.

Przyjrzał się jej ręce opartej na stole. Porastające ją włoski też były prawie białe. Linda chyba wyczuła jego wzrok, bo cofnęła rękę.

– Opowiedz mi o swojej pracy – poprosiła.

Zastanowił się przez chwilę.

– Nie.

Z uśmiechem podniosła oczy.

– Niedotykalski.

Thomas wiedział, że to, co pisze, jest dobre. Owo przeświadczenie nigdy go nie opuszczało. Wiedział też, że jeśli tylko wykaże cierpliwość, któregoś dnia inni również go docenią. Niekiedy zdumiewała go własna pewność siebie; zachodził w głowę, skąd się brała. I chociaż rzadko mówił o swej poezji, darzył ją niezachwianą ufnością.

Wstała.

– Masz ochotę się przejść? Mogłabym pokazać ci szkołę.

Czuł, że chętnie zostałby w tym domu na zawsze.

Kiedy wyprowadzała go tylnymi drzwiami, poczuł słabość w nogach. Wbrew jego oczekiwaniom Linda nie włożyła sandałów; zwrócił uwagę na zgrubiałe podeszwy jej stóp. Ścieżka przez gąszcz była wąska, musieli iść jedno za drugim, co uniemożliwiało rozmowę. Niska trawa, mokra od niedawnego deszczu, przemoczyła nogawki jego spodni; przystanął na chwilę, żeby je podwinąć. Przeszli przez pole jasnożółtych chryzantem, następnie minęli niewielką osadę złożoną z prawdziwych chat z dachami z trzciny, a nie wyrefinowaną wersję z blaszanym dachem i czerwonym winylowym umeblowaniem, jak w shamba Ndegwy. Obserwował plecy Lindy i jej schnące włosy. Mimo ostrych promieni słońca po burzy panował przejmujący chłód; idąc, mijali to strefę zimna, to ciepła, w zależności od padającego cienia. Linda co jakiś czas machała do mijanej kobiety lub dziecka. Thomas przyjrzałby się dokładniej otoczeniu, lecz nie mógł oderwać od niej oczu. Szła przed siebie zdecydowanym krokiem, kanga kołysała się leniwie z każdym ruchem. Jej włosy z każdą chwilą zyskiwały jaśniejszy odcień. Dotarli na skraj gęstej puszczy i na chwilę ogarnął go niepokój na myśl o ponownym spotkaniu z bawołem lub słoniem, Linda jednak nie okazywała strachu i postanowił podążyć jej śladem. Puszcza wychodziła na wioskę z zakurzonym targowiskiem, barem i szkołą. Wszystko zbudowano z cementu. Ze względu na swoją surowość i odosobnienie równie dobrze mógł to być dziki zachód.

Thomas miał zamiar zrównać się z nią z chwilą opuszczenia ścieżki, lecz kiedy wyszli na drogę, natychmiast obiegła ją gromadka dzieci – rozkrzyczanych i wyciągających ręce.

– Jambo. Miss Linda. Habariyako? Mzuri sanal Głaskała wszystkie po głowach, schylała się, żeby je uściskać. Mówiły do Lindy beładną mieszaniną suahili i angielskiego, nieśmiało dociekając tożsamości jej towarzysza. Wskazywali nań jedną ręką i zasłaniali usta drugą. Przedstawiła Thomasa jako przyjaciela; uściskał ręce całej gromadki, czując, że udziela się mu radość dzieci. Kiedy jednak jakiś chłopiec zapytał Lindę o Petera (Wapi Bwana Peter?), radość ulotniła się bezpowrotnie. Poszli dalej, z dziećmi skaczącymi wokół jak polne koniki. Thomas boleśnie zapragnął wziąć ją za rękę. Linda podała mu nazwę wioski, która dawniej stanowiła kwitnącą osadę. Obecnie większość mężczyzn przeniosła się do miasta w poszukiwaniu pracy. Niektórzy wracali do swych kobiet i dzieci na weekendy; inni wcale. Kobiety z niemowlętami w węzełkach przy piersi machały do Lindy z progów chat. Ich gest, choć przyjazny, nie miał nic z uniesienia dzieci; ich matki albo poznały już prawdę o życiu, albo mężczyźni pozostawili je samym sobie.

Z drogi bił żar. Thomas zdjął marynarkę i przerzucił ją przez ramię. Jego ubranie było obecnie równie zakurzone jak trakt. Linda otworzyła drzwi szkoły i dzieci przecisnęły się obok nich. Wewnątrz budynku panował nieoczekiwany chłód, ściany sięgały mniej więcej do wysokości barków, po czym, tuż pod blaszanym dachem, przechodziły w okna pozbawione szyb.

– Kiedy pada, krople bębnią o dach tak głośno, że muszę przerywać lekcję.

– Dzieciakom pewnie to się podoba.

– Właściwie nie. One chcą się uczyć. Zresztą nie chodzi tylko o tę szkołę. Tak samo jest wszędzie.

Podjęto pewne próby ożywienia wnętrza. Na ścianach wisiały kolorowe obrazki, niektóre śmiałe i bardzo dobre. Dzieci szarpały Thomasa za ręce i z uśmiechem dał się zaprowadzić, dokąd chciały. Żałował, że nie wziął dla nich żadnych upominków – lizaków, ciastek albo kulek. Czegokolwiek. W klasie stało jedynie biurko Lindy.

– Na czym one piszą? – zapytał. Siedziała z anemicznym chłopcem na kolanach. Na skutek przebytej choroby na jego głowie widniały łyse placki.

– Na książkach.

Za biurkiem stał grill na węgiel. Linda zauważyła spojrzenie Thomasa.

– Karmię je, kiedy przychodzę tu rankiem. Smażę im jajka i daję mleko. Raz w tygodniu jest dostawa z farmy i co rano przynoszę żywność. Nie mają tu możliwości, by ją przetrzymać w chłodzie.

Stąd te wyrobione mięśnie, pomyślał.

Chłopiec na jej kolanach zakaszłał i splunął na podłogę. Linda poklepała go po plecach.

– Czasami kobiety przychodzą do mnie po poradę lekarską – powie działa. – Przynoszą mi swoje dzieci i płaczą, a ja, oczywiście, jestem bez radna. Czasem myślę, że to jakaś próba od Boga. Że powinnam pójść na medycynę, a potem wrócić i pracować tutaj.

– Bierzesz pod uwagę taką możliwość?

– Nie czuję się na siłach, żeby to zrobić.

– Jestem pewien, że ucząc, robisz wiele dobrego.

– W ogóle nie robię nic dobrego.

Zdjęła chłopca z kolan i zaprowadziła go za rękę do wyższej dziewczynki, stojącej pod ścianą. Rozmawiały przez chwilę, a kiedy Linda wróciła do Thomasa, wyjaśniła, że siostra zabierze małego do domu. Opuściwszy szkołę, Linda i Thomas podążyli krótką ścieżką na wzgórze, gdzie stał kościół – ten sam, pod którym wcześniej Thomas spotkał kościelnego.

– To kościół katolicki – wyjaśniła, otwierając drzwi. – Jeden z kilku znajdujących się w okolicy. Pozostałość po Włochach stacjonujących tu w czasie wojny.

Kościół stanowił kontrast w zestawieniu z nagim wnętrzem szkoły – chłodne pomieszczenie rozświetlało pięć witraży o rozdzielonych grubymi liniami ołowiu nasyconych kolorach, jakby wyszły spod pędzla Picassa albo Cezanne’a. Śmiała w swej epoce sztuka, pomyślał Thomas. W powietrzu unosiła się świeża woń jakby trzciny lub pszenicy. Kościół mógł pomieścić około stu osób.

Patrzył, jak Linda żegna się święconą wodą z chrzcielnicy przylegającej do frontowych drzwi

i zgina kolana przy ławce. Przyklękła na chwilę, zanim usiadła. Czuł, jakby w piersi ziała mu ogromna dziura wypalona żarem wspomnień tak dotkliwych, że musiał przytrzymać się ławki, by zachować równowagę. Postął z tyłu, odczekawszy chwilę, zanim dołączył do Lindy. Chciał dać jej czas na ofiarowanie modlitwy Bogu, którego tak nienawidziła.

Siedzieli w milczeniu, jej głowa i stopy wydawały się zdumiewająco nagie. Przypomniał sobie szal, który zarzuciła wiele lat wcześniej na włosy na sobotnią popołudniową spowiedź, kiedy sądziła, że nie wolno wchodzić do kościoła bez nakrycia głowy. Zaprażył wziąć ją za rękę, lecz zrezygnował, zdjęty anachronicznym poczuciem przyzwoitości.

– Poznajesz ją? – zapytała.

Zmrużywszy nieznacznie oczy, wskazywała na jeden z barwnych witraży na bocznej ścianie kościoła. Przedstawiał kobietę o jednocześnie zmysłowym i pobożnym wyglądzie, ze wzrokiem skierowanym ku niebu. Miała na sobie jaskrawożółtą szatę, a jej afrykańskie włosy kłębiły się bezładnie wokół twarzy. W przeciwieństwie do pozostałych postaci była czarna.

– Magdalena.

– Pamiętasz.

– Oczywiście, że pamiętam. To wspaniały obraz. Podobny w zamyśle do malowidła Tycjana, które widziałem w zeszłym roku we Florencji. W gruncie rzeczy myślę nawet, że obraz Tycjana posłużył jako wzór. Miała niesamowite włosy. Bardzo, no cóż, tyccjanowskie. Często przedstawia się ją częściowo rozebraną, z długimi, jasnymi włosami. Bardzo piękną.

– Byłeś w zeszłym roku we Florencji?

– Jadąc tutaj. Pozostałe dwa dzieła widziałem we Włoszech. Berniniego w Sienie. To rzeźba. Ma odsłonięte piersi, na które spływają włosy. U Donatellogo jest całkiem inna: chuda, ascetyczna i pełna skruchy.

– Ciekawe, że artysta przedstawił ją jako Murzynkę.

– Rzeczywiście – powiedział. – Witraż powstał około tysiąc dziewięć set czterdziestego piątego roku?

– Mniej więcej.

– Mrużysz oczy.

– Chyba potrzebuję okularów.

– W religii chrześcijańskiej uważa się ją za wcielenie erotyzmu i kobiecości – dodał.

– Zbadałeś to – zauważyła.

– Owszem. Potrzebne mi to było do czegoś, nad czym pracuję. Czytałaś “Ostatnie kuszenie Chrystusa” Nikosa Kazantsakisa?

– Dziwne. Czytam właśnie “Raport Greco”.

– Kazantsakis przedstawia ją jako miejscową dziwkę, kogoś, kogo Jezus pożądał od dzieciństwa. Kogoś, z kim przez całe życie łączyły go intymne stosunki. Żydowskich rabinów nie

obowiązywał wówczas celibat.

Niektórzy uważają nawet, że urodziła mu dzieci.

– Wszystkie instytucje dla samotnych matek są pod wezwaniem Magdaleny.

– Pamiętam – odrzekł.

– Oglądałeś “Jesus Christ Superstar”?

– “Nie wiem, jak go kochać”.

– Nigdy nie przestałam cię kochać – powiedziała.

Oddech uwiązł mu w gardle; przymknął oczy. Za ich plecami ból utraconego czasu eksplodował jak gwiazda. Thomas złożył ręce na udach, jak gdyby przygotowywał się na kolejną falę cierpienia.

– Nauczyłam się traktować to jako coś należącego do czasów dzieciństwa – podjęła. – Coś, co nigdy więcej nie wróci.

Podniósł spojrzenie na sufit jak mężczyzna, który nie chce przyznać się do łez.

– Dlaczego milczałaś? – spytał wreszcie zachrypniętym głosem.

Założyła nogę na nogę, kuląc je w wąskiej ławce.

– Już ci mówiłam. Przyjęłam, że postanowiłeś żyć dalej, wyrzuciwszy mnie z pamięci.

– Nigdy.

– Wiedziałałam, że się ożeniłeś. Ciotka nie mogła się doczekać, żeby mi to oznajmić. Podejrzewam nawet, że zadzwoniła do mnie natychmiast po tym, kiedy się dowiedziała.

– Och, Lindo.

– Oto cała historia.

Nie mógł dotknąć jej w kościele. Bez względu na to, jak gwałtownie nienawidziła swego Boga, wiedział, że nie spodobałby się jej podobny gest. Nie mógł też tego uczynić po opuszczeniu kościoła, ponieważ dzieci czekały cierpliwie i podążyły za nimi ścieżką. Dopiero kiedy pozostawili wioskę daleko w tyle, sięgnął ręką do przodu i zatrzymał Linde. Odwróciła się natychmiast – sam miał ochotę podziękować Bogu – i objęła go. Pierwszy pocałunek nosił posmak czegoś nieznanego, a jednak Thomas poczuł, jakby po długiej nieobecności bezpiecznie powrócił do domu. I powiedziałby jej o tym, gdyby nie zamknęła mu ust drugim pocałunkiem, którego smak przypominał mu teraz tysiące innych. Oplotła silnymi palcami jego kark, przyciągając ku sobie głowę Thomasa. Potknął się, a potem przyklęknął, zawiodło go poczucie równowagi. Przyciągnęła go do siebie, otarł się o jej odsłonięty brzuch, co sprawiło mu rozkosz tak przejmującą, że jęknął. Dotknęła czołem jego czoła.

– Linda – wyszeptał pełen ulgi.

Potem znaleźli się w pokoju, który spróbował uczynić własnym. Kianga opadła luźno na ziemię, rozsznurowana bluzka ukazała piersi Lindy, szokująco białe na śniadym tle reszty ciała.



Nie pamiętał nic z tego, co łączyło ich wcześniej, a jednak ich ruchy zgrały się w jedno, jak gdyby nigdy się nie rozstawali. Świadomość nieoczekiwanego spełnienia stała się objawieniem, gwarancją upragnionego spokoju. Uniosła się nad nim, wypowiadając jego imię, z włosami tworzącymi wilgotną kurtynę wokół twarzy. Następnie, jak dawniej lub nigdy dotąd, schyliła się i podała mu piersi, które wziął w dłonie i usta, chcąc posiąść ją całą.

Słodkie zadośćuczynienie za nieprzeżyte razem dni i noce.

27 listopada

Drogi Thomasie,

Dzisiaj mieliśmy wizytę wyższego urzędnika z Nyeri. Dość nieoczekiwaną, ponieważ przyjechał z Nairobi, aby wynegocjować cenę za drugą żonę, o której nikt nie powinien wiedzieć; pierwsza, na swe nieszczęście, okazała się bezpłodna. Przyjechał mercedesem i z taką pompą, że już myślałam, iż wybór padł na mnie. Przysiadł na ławce z tyłu klasy i wysłuchał lekcji geometrii, od czasu do czasu kiwając głową, zupełnie jakby istniały kwestie, co do których można by się zgodzić lub nie. Cały czas dłużał przy tym w zębach. Spanikowane dzieci wciąż zerkały chyłkiem na wielkiego mężczyznę, który przyjechał z miasta. Nosił złoty zegarek i choć nie znam się na męskiej odzieży, jego garnitur wyglądał mi na dość kosztowny. Towarzyszyła mu ośmioosobowa świta. Podczas podróży jeden samochód jedzie z przodu, a drugi z tyłu w ramach ochrony przed złodziejami i przeciwnikami politycznymi. W razie gdyby na A 104 zatrzymał go gang opryszków, goryle mają za zadanie przyjąć na siebie ciosy. Podobno w Larington ma podgrzewany basen, kilka mercedesów, resztę gotówki trzyma zaś w szwajcarskim banku. Ciekawe, co sobie pomyślał na widok bosych dzieci?

Siedzę za domem pod ciernistym krzewem, który daje złudne wrażenie cienia. Wiatr szeleści w pobliskich chryzantemach i skrzypią drzewa. Na gałęzi nade mną siedzi gigantyczny sęp, pewnie gdzieś w pobliżu musi znajdować się świeża padlina. Wolę nie myśleć, na które zwierzę padło tym razem ani jaki drapieżnik je pochwyił. Między gałęziami połyskują przejrzyste turkusowe światełka, ale sęp wydaje się nieustępliwy. Wierzyć się nie chce, że dzisiaj Święto Dziękczynienia. Dziwnie jest świętować, kiedy wszyscy pracują.

Czuję się oszołomiona jak czasem po wyjściu z ciemnej klasy albo wnętrza domu, kiedy uderza we mnie blask afrykańskiego południa: oślepiającego i przyprawiającego o zawrót głowy, zupełnie jakbym dostała cios w głowę. Czuję się dezorientowana, męczą mnie nawet niewielkie mdłości, nie mogę jeść. Chodzę po domu, dotykając przedmiotów, ponieważ Ty ich dotykałeś. Tomik Rilkego. Talerz, na którym była galaretka. Szczotka, z której nie wyjęłam jeszcze kasztanowych włosów. To zakrawa na chorobę, prawda? Dopadła mnie choroba. Albo raczej nastąpił nawrót chronicznych dolegliwości. Tym razem zdecydowanie ze skutkiem śmiertelnym, wiem na pewno, że tak.

Czuję, że słowa krępują i rozkładają miłość. Lepiej o niej nie pisać. Chyba nawet pamięć

pełna jest rdzy i rozkładu.

Zawsze byłam Ci wierna. O ile wierność oznacza doświadczenie, do którego przykłada się wszystko inne.

Na zawsze Twoja,  
Linda

1 grudnia

Kochana Lindo,

Kiedy wychodziłem od Ciebie i ustaliliśmy, że będziemy do siebie pisać, sądziłem, że nie dotrzymasz obietnicy, że wyolbrzymione poczucie winy skłoni Cię do milczenia. Co gorsza, bałem się, że jeśli wsiądę do samochodu i odjadę, znikniesz bez śladu, jak opary mgły ponad polami nieopodal Twojego domu. Kiedy więc zobaczyłem w skrzynce Twój Ust – lawendowy papier i delikatne, pochyłe pismo – nie mogłem powstrzymać łez. Na oczach mzee żujących gałązki i uczniów rzucających kamykami w psa. I w ogóle nie czułem wstydu. Tylko radość i bezbrzeżną ulgę.

Moja Magdaleno. Piękna Magdaleno. Utracona i na powrót odnaleziona. Chyba nie znałem dotąd znaczenia szczęścia.

Co do Reginy... Czy mam Ci pisać o cichej furii, z jaką powitała mnie po powrocie, tym bardziej przejmującej, że w pełni zasłużonej? Albo o opanowaniu – zwykle nieobecnym w jej życiu – z jakim podchodzi do najbardziej wstrząsających przypadków dziecięcych chorób (kenijskie dzieci, pomimo swego losu, należą do najgrzeczniejszych na świecie; w grę wchodzi sekret wychowawczy, którego dotąd nie dane mi było zgłębić); czy też pragnieniu urodzenia własnego dziecka – wiecznym, bezbrzeżnym i dojmującym? Nie, nie zrobię tego. Naprawdę kocham Reginę. Choć to pewnie bez znaczenia. Przypuszczam, że Ty też kochasz Petera – o którym tak lojalnie milczałaś w niedzielę.

Pamiętam Twoje ciało na łóżku. I tylko to się liczy.

Jesteś dla mnie taka piękna. (Masz w domu lustro? Nie zwróciłem uwagi. My nie mamy. Regina robi makijaż, przeglądając się w czajniku).

Dowód mojej własnej stałości: wszystkie moje wiersze są o Tobie, nawet gdy pozornie dotyczą czegoś innego. Ścisłej mówiąc, są o tamtym wypadku, jeżeli wątpiłaś w szczerść mojego poczucia winy. Przypuszczam, że w bibliotece British Council nie znajdziesz ich w żadnej formie.

Pisząc do Ciebie w domu, poczułem się nielojalny – wobec Ciebie czy Reginy? Chyba wobec Was obu – pojechałem więc sfatygowanym i dwukrotnie kradzionym escortem do Nairobi, usiadłem przy stoliku w kawiarni Pod Cierniem i zamówiłem tuskera bez glisty (to długa historia). Z pomieszczenia, gdzie najprawdopodobniej jest kuchnia, snuje się dziwny, biały dym,

który zapewne powinienem zignorować, skoro wszyscy to robią (choć sprawia wrażenie, jakby miał nas wszystkich zatruć). Na tablicy ogłoszeń nigdy nie było dla mnie żadnej wiadomości, lecz dzisiaj, wiedziony obłąkańczym impulsem, sprawdziłem, czy nie zostawiłaś dla mnie zaszyfrowanej informacji. (Zrób to, kiedy następnym razem będziesz w Nairobi; choć na myśl o tym, że byłaś w mieście, nie dając mi znać, z pewnością umrę na atak serca).

Jeszcze w ubiegłą sobotę siedziałem z Ndegwą w tej samej kawiarni. (Nie wiedząc o Twoim pobycie w tym kraju. Jak to możliwe? Dlaczego na niebie zabrakło jakichś znaków bądź słyszalnych wibracji, które odebrałbym jako echo Twoich kroków?). Dzisiaj poszedłem w imieniu Ndegwy do ambasady amerykańskiej i uzyskałem widzenie z konsulem. Wyglądał – mówię to z wahaniem, bo to banał – jak podstarzały żołnierz piechoty morskiej, z tak wystrzyżoną czupryną, że więcej widać skóry niż włosów. Okazał się serdeczny i bezpośredni; ba, wręcz ucieszony moją wizytą, choć początkowo nie miał pojęcia, z czym przychodzę. Równie egalitarne powitania budzą moją nieufność. Spytał – nie nabieram Cię – “Skąd jesteś, Tom?”. “Z Bostonu” odpowiedziałem. A on na to: “Heeej, Red Sox!”. I pogadaliśmy sobie o Soxach, o których wiedziałem mniej, niż powinienem. Poczułem, że zostałem poddany swoistej próbie i nie przebrnąłem jej zwycięsko. Konsul zrobił się podejrzliwy i zdawał się zwracać uwagę jedynie na moje przydługie włosy (prawie słyszałem, jak myśli: “hipis”). Wreszcie spytał: “Co mogę dla ciebie zrobić?” i “Co cię dręczy, Tom?”. Szczerze mówiąc, prawdziwa odpowiedź brzmiała, że Ty, jak zawsze ostatnimi czasy, niemniej jednak opowiedziałem mu o swojej misji, dość mętnej, kiedy wyjeżdżałem z domu, w opowiadaniu zaś jeszcze mętniejszej. “Chciałbym dopomóc w uwolnieniu Ndegwy”, wyjaśniłem. W razie porażki miałem zamiar wyrzucić presję na kenijski rząd, aby przedstawiono zarzuty i wyznaczono datę procesu. Była to chyba absurdalna i beznadziejnie naiwna prośba, i konsul dokładnie tak ją odebrał. Uśmiechnął się pobłaźliwie. “No cóż, Tom, odrzekł, odsuwając swoje krzesło od biurka i splatając palce na brzuchu, to bardzo delikatna sprawa”. Po czym dodał: “Oczywiście wiesz, że Stany posiadają w Kenii bazę strategiczną” oraz: “Chciałbym pomóc równie gorąco jak ty, Tom, ale na to potrzeba czasu”. Poczułem się jak dzieciak, który przyszedł prosić ojca o pieniądze.

Ostudziwszy w ten sposób moje zapęły, zapytał, co porabiam w Nairobi. Najpierw wspomniałem o Reginie, potem przyznałem się, że piszę. “Dla kogo?”, spytał. Rozsądne pytanie. “Dla nikogo”, odparłem i widziałem, że mi nie uwierzył. No bo ostatecznie kto pisze dla nikogo? Napomknął, że Ted Kennedy niebawem zawita do Kenii i że on (mój konsul) odpowiada za zorganizowanie przyjęcia na cześć senatora. Wygłaszając pierwsze polityczne oświadczenie w moim życiu – ba, pod wpływem pierwszej w życiu politycznej myśli – wypaliłem: “Znam Teda Kennedy’ego”. I wreszcie udało mi się skutecznie ściągnąć uwagę rozmówcy. “Dokładnie rzecz biorąc, brnąłem dalej, mój ojciec go zna. Był kiedyś u nas na kolacji”.

“Naprawdę?”, spytał mój konsul.

I tym sposobem “sprawa Ndegwy”, jak to ujął, być może zostanie jednak rozpatrzona.

Pisz do mnie. Na miłość boską, pisz. Dzień z dala od Ciebie wydaje się dniem nieprzeżyтым, możliwym do zniesienia tylko dzięki wspomnieniom, wciąż świeżym i niezatartym w mojej pamięci.

Kochaj mnie tak jak w niedzielę. Czy proszę o zbyt wiele?

Thomas

PS Dzisiaj na pierwszych stronach gazet: “Kobieta porwana przez hienę”.

15 grudnia

Kochany Thomasie,

Piszę do Ciebie ze szpitala imienia Marii Magdaleny (nie, wcale nie zmyślam), dokąd przywiozłam Davida, chłopca, który zemdlął w klasie po ataku kaszlu. Dzielnym dzieciakiem. Nie chce słyszeć o rezygnacji ze szkoły. Cierpi na jakąś tajemniczą chorobę, a lekarze nie potrafią jej zidentyfikować – dostał przez nią zapalenia płuc i tak wychudł, że obawiam się, iż nie byłby zdolny ustać o własnych siłach. Wzięli go na badania, a ja czekam, ponieważ jego matka, również chora, nie mogła opuścić chaty. Córka zajmuje się najmłodszymi dziećmi. Thomas, nie mieliśmy dotąd pojęcia o nieszczęściu, prawda?

Mały szpital powstał w latach trzydziestych jako schronisko dla upadłych europejskich dziewcząt, których rodzice byli zbyt biedni, aby odesłać je do ojczyzny na czas porodu. (Albo żalowali pieniędzy na równie beznadziejny cel. Ciekawe, co się stało z dziećmi?). Teraz, oczywiście, nikt nie zaprzęta sobie głowy podobnymi sprawami i szpital stał się regionalną kliniką. Mają tu świetnego belgijskiego lekarza. Jest młody i dowcipny, i stanowi obiekt westchnień wszystkich kobiet. Nie wierzę, że kiedykolwiek sypia; zawsze kiedy przychodzę, czuwa na posterunku. Przypadek Davida sprawił go w zdumienie; wysłał próbki krwi do Brukseli do analizy. Jak można leczyć chorobę, której nie sposób zidentyfikować?

Siostra Mary Patrick, przerażająca i wielka, wciąż maszeruje korytarzem tam i z powrotem, mierząc mnie krytycznym spojrzeniem. Pewnie całkiem słusznie, choć podejrzewam, że chodzi jedynie o moją spódnicę. A może widzi we mnie zbłąkaną duszyczkę, gdy tak spoglądam na wiszący naprzeciwko krzyż. Duszyczkę, która roztrząsała niegdyś kwestie radości, przewinienia oraz kary. Zakonnica w milczeniu przechodzi obok, nasze spojrzenia się krzyżują – to dla mnie pokusa nie do odparcia; może czekam na znak, na wiadomość od niej? – i czuję się obnażona, bardziej naga, niż świadczyłby o tym mój strój.

Nie wspomniałam Ci, że Peter wrócił krótko po Twoim wyjściu. Druga niespodziewana wizyta w ciągu dnia zbiła mnie z tropu; cofnęłam się od drzwi. Wziął mój przestrach za zwykłe zaskoczenie, o taki efekt mu chodziło. Ty byłeś nadal obecny na mojej skórze. Musiałam udawać

chorobę, zmęczenie, cokolwiek. Czułam się zawstydzona nie Tobą i nie nami, lecz własną obawą przed zdemaskowaniem.

Ale mimo to jestem taka szczęśliwa.

Wczoraj zorganizowałam dzieciom wycieczkę do Nyeri na paradę na cześć Jomo Kenyatty. Trzydzieścioro dzieci wtłoczyło się do dwóch minibusów marki Volkswagen i jednego peugeota 504 (lepiej się nad tym nie zastanawiaj). Staliśmy na wzniesieniu, obserwując uczestników parady ubranych w stroje plemienne i adidas, i osłonięci daszkami coca-coli, zajadaliśmy lizaki. Wysłuchaliśmy przemówienia Jomo Kenyatty na temat Harambee oraz przyszłości Kenii. Rzecz jasna, w obecności dzieci należało okazać szacunek przemawiającemu i zignorować ironiczny kontekst słowa "wolność", kiedy Ngugi, Ndegwa i inni gniją w więzieniach. (Miałeś jakieś wieści od swojego wojskowego?). Mimo to trzeba przyznać, że zarówno wśród obserwatorów, jak i uczestników parady dawało się wyczuć napięcie: Kenyatta, jak wiesz, nie jest już tak uwielbiany jak kiedyś. Nagle bez ostrzeżenia w tłumie wybuchła panika. Setki ludzi puściło się biegiem, nie zdając sobie sprawy, że gnają prosto na ogrodzenie z drutu kolczastego. Histeria zataczała coraz szersze kręgi. Spędziliśmy dzieci w ciasną gromadkę i zmusiliśmy do przykłęknięcia, po czym dosłownie położyliśmy się na nich. Przyszło mi do głowy, że zastrzelono Kenyattę. A potem, że nastąpił przewrót. Peter poczuł na plecach czyjeś kolano. Żołnierze z bagnietami uklękli obok nas i wymierzili do tłumu. Nikt nie został zabity, ale mnóstwo ludzi zostało poranionych drutem ogrodzenia. Później dowiedzieliśmy się, że panikę wywołał rój pszczół. Nad głowami, nie bacząc na ogólną histerię, na cześć Kenyatty przeleciało sześć samolotów bojowych. Na naszych oczach jeden z nich odłączył się od formacji i rozbił na pobliskim polu golfowym.

Piszę o tych wydarzeniach, tak jak kiedyś pisałam o filmach i wycieczkach na plażę. Nie powiem, że do nich przywykłam, przestały mnie jednak szokować.

Szokuje mnie natomiast moja miłość do Ciebie.

Chciałabym myśleć, że to, co mamy, może istnieć poza prawdziwym czasem, samoistnie i niepodzielnie. Co za głupia i niebezpieczna logika. To, co nas łączy, zdążyło przeniknąć do każdej sfery mojego życia.

Twoja, L.

21 grudnia

Kochana Lindo,

Pisziesz o panice i hysterii, lecz jedyne, o czym mogę myśleć, to Peter stojący z Tobą na tamtym wzniesieniu i jego niespodziewany powrót (podczas gdy ja wracałam do nadąsanej Reginy). Już jestem zazdrosny. Odczuwam silną, dojmującą zazdrość, która czyni ze mnie nędzną, nikczemną kreaturę.

Spałaś z nim tamtej nocy? Gdy od naszego spotkania upłynęło tak niewiele czasu? To, że nie mam prawa być zazdrosnym, jest bez znaczenia. To ludzka namiętność: chore, białe podbrzusze miłości. Co gorsza, jestem zazdrosny o Twojego lekarza, w którym zakochują się wszystkie kobiety. Jesteś jedną z nich?

Nie odpowiadaj na moje pytania.

Wczoraj wieczorem Regina i ja wzięliśmy udział w uroczystości z okazji wydania powieści Errola Trzebińskiego pt. "Cisza przemówi". Jest to przede wszystkim biografia Denisa Fincha Hattona, kochanka Karen Blixen z czasów, kiedy mieszkała na swojej farmie. Książka opowiada też o samej Blixen, jej życiu oraz utworach na temat Afryki (Może już ją znasz? Tak czy inaczej, załączam egzemplarz, ponieważ mówiłaś, że przeczytałaś już wszystkie książki w Njia). Przyjęcie odbyło się w country klubie w Karen – co za niewiarygodny anachronizm. Prawie wszyscy goście byli biali, z jednym chlubnym wyjątkiem w postaci starszego mężczyzny w ciemnym garniturze i źle skrojonym płaszczu, siedzącego w rogu i popijającego herbatę w towarzystwie dwóch "miłych staruszek" (jakże kobiety muszą nie znosić awansu do podobnej rangi) w śliwkowych kostiumach i kapeluszach. Na pierwszy rzut oka scenka przypomniała mi niezamężne ciotki plotkujące ze starym wujaszkiem na zjeździe rodzinnym. Potem jednak poinformowano mnie, że ów mężczyzna to Kamante z "Pożegnania z Afryką", wierny kucharz Blixen, którego historia stanowi spory fragment powieści. Był zaledwie małym chłopcem, kiedy pięćdziesiąt lat temu złapała go, osamotnionego i chorego, na wypasaniu kóz na jej ziemi; teraz miałem przed sobą starego człowieka będącego naocznym świadkiem zdumiewającej transformacji własnej ojczyzny. Pewnie zaproszono go jako ciekawostkę, grał rolę swoistego gościa honorowego. Muszę jednocześnie przyznać, że sprawiał wrażenie dość obojętnego wobec losu, pozwalającego mu pić teraz herbatę z kobietami, które w czasach Karen Blixen nie dopuściłyby go do stołu.

Piszę do Ciebie z domu (zazdrość wyparła skrupuły). Nasz dom tkwi wśród wypieszczonych ogrodów, akacji oraz eukaliptusów, wznoszących się ponad kamiennymi chatami Karen i otaczającym je dymem z kominów, z czterema zielonymi garbami wzgórz Ngong w tle. Nietrudno wyobrazić sobie, że jest się w Anglii. Osiągające wysokość ponad trzech metrów zwarte żywopłoty tworzą minifortece połączone bramami pilnowanymi przez wartowników. Dzieci mogą się tu bawić jedynie w wyznaczonym czasie. Jakże dziwne wydają się to całe uporządkowane piękno i łagodny zarys krajobrazu – gdyż trudno nie myśleć o tym jak o złośliwym wrzodzie, który z biegiem czasu trzeba będzie usunąć.

Nie, nie uwierzę w Twój szpital, dopóki nie zobaczę go na własne oczy. Napisz, że mogę tam przyjechać. Albo spotkajmy się gdzieś. Nie wytrzymam, nie widząc Cię. Kiedy przyjeżdżasz do Nairobi??

Stany wystosowały oficjalną skargę w związku z zatrzymaniem Ndegwy. Pochlebiam sobie, że miałem z tym coś wspólnego. I łudzę się nadzieją, że to pomoże. Napisałem do stowarzyszenia Amnesty International, lecz na odpowiedź poczekam pewnie kilka tygodni. Ależ ta poczta jest powolna! Masz telefon? Zapomniałem zapytać. My nie. Po włamaniu sprzeciwiłem się jego podłączeniu (kolejna długa historia), ale od jakiegoś czasu Regina czyni w tym kierunku pewne starania. Podczas gdy ja, niewierny małżonek, gdybym wiedział, że połączy mnie z Tobą, zrobiłbym to w minutę.

Żartuję sobie, ale nasza sytuacja jest bolesna. Nie rozmawiamy o przyszłości. Czy w ogóle ją mamy?

Chodzą słuchy o masowym grobie pięćdziesięciu studentów. Trudno mi w to uwierzyć, choć to możliwe.

Zbliżają się Święta. Jakie to dziwne, zważywszy na upał, prawda? Pragnąłbym spędzić je z Tobą.

Twój, Thomas

PS Dziś w gazetach: "Leopard atakuje w Karen".

4 stycznia

Kochany Thomasie,

Peter i ja właśnie wróciliśmy z Turkany, gdzie spędziliśmy świąteczny tydzień. Jechaliśmy przez rzeki i prawie padliśmy, zmożeni koszmarnym upałem. Mijaliśmy tak opustoszały krajobraz, że trudno sobie wyobrazić, jak turkańczycy, wędrując z jednej wyludnionej okolicy do drugiej, zdołali przetrwać. Jezioro, ku naszemu zdziwieniu, przypominało morskie wybrzeże obramowane długą piaszczystą plażą porośniętą palmami. Lekceważąc groźbę pasożytów i krokodyli, kapaliśmy się w wodzie o temperaturze czterdziestu kilku stopni. Rankiem budziliśmy się o krwistym wschodzie słońca – łuna ciągnąca się setkami kilometrów pomimo swego porażającego piękna niosła na resztę dnia obietnicę kolejnej spiekoty. Krajobraz jest urzekający, dziki i nieobliczalny – niczym na innej planecie, gdzie wdycha się trujące gazy pośród kolorów zapierających dech w piersi.

Thomas, jesteśmy ze sobą złączeni, choćbyśmy temu zaprzeczali. Co do przyszłości, trudno powiedzieć.

Tyle spraw zostało niedopowiedzianych.

Kiedy mnie zabierali, słyszałam, jak mnie wołasz. Byłam w szoku i nie mogłam wydobyć głosu, inaczej na pewno bym Ci odpowiedziała. Ciotka przyjechała do szpitala tuż po mnie. Rozplakała się, po czym spędziła resztę czasu, powtarzając, że mnie ostrzegała. Jej nieufność w stosunku do Ciebie zawsze mnie zdumiewała. Może nienawidzi wszystkich mężczyzn. Byłam raczej skłonna myśleć, że z wdzięcznością powita każdego, kto mnie od niej zabierze.

Spędziłam w szpitalu pięć dni. Wujowie i kuzyni czuwali bez przerwy, cały czas ktoś przy mnie był. Dziwnego skarbu pilnowali, skarbu, który już został skradziony.

Na jeden dzień przyjechałam do domu, po czym wysłano mnie samochodem do Nowego Jorku, z wujkiem Brendanem za kierownicą (w samym Connecticut odwiedziliśmy trzy bary). Pamiętam, że podróż okazała się koszmarem, ponieważ z boku miałam jedną wielką ranę. (Nie licząc tej w środku). Mijały dni. W marcu zdjęli mi opatrunek. Eileen pracowała jako masażystka i nie było jej całymi dniami. Kiedy tylko mogłam, chodziłam ulicami, myśląc o Tobie. Siedziałam godzinami i wyglądałam przez okno, pochłonięta wspomnieniami o Tobie. Przez kilka dni po wstaniu z łóżka dzwoniłam do Ciebie bez przerwy, ale telefon nie odpowiadał. Potem ciotka napisała, że pojechałeś z rodziną na wycieczkę do Europy. Czy to prawda? Zapomniałam Cię zapytać w niedzielę. Następnie ciotka napisała, że spotykasz się z Marissą Markham (i bardzo dobrze). Choć motywy ciotki były dla mnie oczywiste, nie mogłam wiedzieć na pewno, że kłamie. Ludzie się zmieniają, prawda? Mogłeś być zły, że wyjechałam, nie mówiąc Ci dokąd. Tobie ciotka też mogła nakłamać.

Pomyślałam: szybko o mnie zapomniał.

Nigdy nie dostałam Twoich listów. Nietrudno zgadnąć, co się z nimi stało. Zostały przeczytane i wyrzucone, ot co. Jakżebym chciała je odzyskać. Czuję, że jesteśmy ciałem i krwią jednej osoby. Kocham Cię z tymi odrośniętymi włosami. Kocham Cię.

Proszę, przyslij mi swoje wiersze. Mam nadzieję, że na pewno tylko Ty odbierasz pocztę.

Całuję,

Linda

PS Dziękuję za Trzebińskiego. Przeczytałam go w jeden dzień. Żałuję, że nie czytam wolniej, żeby książki wystarczały mi na dłużej.

10 stycznia

Kochana Lindo.

Cierpię na myśl o tym, że uważałaś, że o Tobie zapomniałem.

Nigdy.

Gdybym wtedy nie przejmował się Twoją ciotką i próbował dalej! Gdybym tylko zadzwonił do Eileen. Gdybym wsiadł do samochodu i pojechał do Middlebury. Nie jestem w stanie dłużej o tym myśleć. Czuję się chory, dosłownie.

Gasi to radość z otrzymanych wiadomości, bez względu na to, jak wspaniałe wydawały się nie dalej niż godzinę temu. Wczoraj dostałem list (szedł kilka tygodni) od redaktora z "New Yorkera". Chce opublikować moje dwa wiersze! Ogarnięty paniką, że z uwagi na moje długie milczenie pomyśli, że nie jestem zainteresowany, pojechałem do Nairobi i natychmiast do niego zadzwoniłem. Wydawał się trochę zaskoczony, że zadałem sobie tyle trudu, by zadzwonić



z Afryki (najwyraźniej nie przykłada do tego takiej wagi jak ja), ale wyjaśniłem mu, jak tu jest z pocztą. Tak czy inaczej, wiersze zostaną opublikowane i nawet dostanę za nie pieniądze (fakt zdumiewający sam w sobie). Regina nie kryje zadowolenia. Chyba uważa, że to usprawiedliwia moje istnienie. Szczerze mówiąc, jestem tego samego zdania.

Mam też inne wieści. Mój konsul (naprawdę nazywa się Lucas Smollett) zostawił dla mnie liścik z informacją, że zamierza wydać przyjęcie, na które zostanie zaproszonych kilka wpływowych osób (wraz z panem Kennedym), i zastanawia się, czy mógłbym namówić do przyjścia Mary Ndegwę. Uważa, że to dla mnie najlepsza szansa nagłośnienia jej sytuacji. W gruncie rzeczy ucieszył mnie, gdyż oznacza to, że nie zapomniał o “sprawie Ndegwy”. (Kennedy oczywiście nie będzie mnie pamiętał, co pewnie okaże się dość kłopotliwe, lecz w tej chwili o to nie dbam). Nie znam jeszcze dokładnej daty tego przyjęcia, ale kiedy się dowiem, zaraz dam Ci znać. Może Ty i Peter moglibyście przyjechać? (Czy to szaleństwo wyobrazić sobie, że jesteśmy w tym samym pomieszczeniu, nie mogąc się dotykać? Chyba bylibyśmy w stanie się opanować? A może nie?).

Rich przyjeżdża we wtorek; pojedziemy na kilkutygodniowe safari. Cieszyłem się na ten wyjazd (i chyba nadal się cieszę), choć przygnębia mnie myśl, że przez ten czas nie będę otrzymywał Twoich listów. (Może lepiej nie pisz do mnie przez dwa tygodnie. Albo nie, pisz, tylko nie wysyłaj listów do mojego powrotu. Mierzi mnie ta pieprzona konspiracja. Poniżej nie tylko nas, ale i Petera oraz Reginę. Nie widzę jednak sposobu, aby jej uniknąć, a Ty?).

Idąc za radą przyjaciela (znajomego), złożyłem wizytę pewnemu człowiekowi z Nairobi, który wydaje gazetę – z zamiarem zainteresowania go swoimi wierszami. Sprawa wydawała się z góry przegrana, lecz akurat byłem w Nairobi (dzwoniłem do “New Yorkera”, dwanaście dolarów za minutę – pewnie poszło na to całe moje przyszłe honorarium), więc pomyślałem, dlaczego by nie spróbować. Ta gazeta stanowi dziwną hybrydę, coś pomiędzy “McCalls” i “Time” (wywiady z osobistościami z życia politycznego obok przepisów kulinarnych), mimo to wydawca przypadł mi do gustu. Kształcił się w Stanach – w Indianie – i zaprosił mnie na lunch. Opublikuje kilka wierszy. (Nawiasem mówiąc, za nie też dostanę pieniądze. Los mi sprzyja). Podczas naszej rozmowy wspomniał, że potrzebuje reporterów, i zapytał, czy nie przygotowałbym dla niego jednego czy dwóch materiałów. Powiedziałem mu, że nigdy nie byłem dziennikarzem, ale mam wrażenie, że niezbyt się tym przejął. (Dochodzę do wniosku, że fakt, iż jestem na miejscu i znam angielski, przesądził sprawę). Czemu nie, pomyślałem i zgodziłem się. I tak wyjeżdżam jutro z fotografem, by napisać relację z sikukuu (w dosłownym tłumaczeniu “wielkiego dnia”) Masajów. To może być całkiem interesujące.

Lindo, ja umieram. Muszę się z Tobą zobaczyć. Jest szansa, żebyś wyrwała się na kilka dni? Łudzę się myślą o spotkaniu gdzieś na wybrzeżu. Regina, która jedzie z nami na safari, ma zamiar wrócić wcześniej, kiedy dotrzemy do Mombasy (nie znosi wilgoci w powietrzu).

Mógłbym przekonać Richa, by jej towarzyszył (pewnie do tamtej pory będzie miał dość starszego brata i zapragnie odrobiny niezależności). Być z Tobą w Łamu to być w niebie. Widziałś kiedyś to miasto? W ostatecznym razie zapomnij o wybrzeżu i po prostu przyjeźdź do Nairobi. Albo daj znać, kiedy mogę przyjechać do Njia. Czy moglibyśmy się spotkać w Limuru? Cały jestem bólem.

Całuję,

Thomas

PS Nie znoszę pozdrowień. Są albo mdłe, albo niestosowne do okoliczności.

PPS Dzisiejszy nagłówek: "Szalejące słonie niszczą zbiory".

17 stycznia

Kochany Thomasie.

Dzisiaj jestem bardzo smutna. David umarł rano w szpitalu Marii Magdaleny. Doktor Benoit robił wszystko, co w jego mocy, ale infekcja zaatakowała oba płuca i chłopiec nie miał siły, aby ją zwalczyć. Właśnie wróciłam od jego matki, która sama jest ciężko chora; sprawiała wrażenie, jakby nic do niej nie dotarło. Co to za straszna choroba, Thomas? Benoit jest wściekły na siebie i na Brukselę, bo tak długo ociągano się z odesłaniem wyników badań. Zresztą oni tam też rozłożyli ręce i wysłali próbki do Ameryki. Doktor Benoit twierdzi, że widział podobne przypadki, i martwi się, że choroba rozprzestrzeni się, zanim zdoła dociec jej przyczyn.

David był dzielnym chłopcem. Jutro odbędzie się pogrzeb.

Spotkanie na wybrzeżu chyba da się zorganizować. Będę musiała pojechać z Peterem albo z nim wrócić, ale może zdołam wygospodarować dwa dni dla Ciebie. Ja też cierpię, choć myśl o naszym ponownym spotkaniu napawa mnie lękiem. Winę za to ponosi prawdopodobnie dzisiejsze wydarzenie, ale obawiam się, że nasz związek nie spowoduje nic dobrego. Ktoś – chyba musimy mieć nadzieję, że wpadnie na nas – dotkliwie na tym ucierpi.

W Twoim imieniu cieszę się z wiadomości z "New Yorkera". Musisz mi przysłać wiersze, które zostaną opublikowane.

Thomas, kocham Cię ponad wszystko. Przykro mi z powodu Petera, za to, czego nigdy ode mnie nie otrzymał.

Opuszczę mdłe pozdrowienia. Nie znajduję właściwych słów.

Linda

PS Skorzystałam z okazji, by napisać ten list przed Twoim wyjazdem. Modłę się, żebyś to Ty go odebrał.

26 stycznia

Kochana Lindo,

Tak mi przykro z powodu Davida. Mam nadzieję, że nie cierpiał. Odczuwam pewną ulgę na myśl, że jego matka nie jest w pełni świadoma tego, co się stało. Zawsze stanowiło to według mnie najgorszy aspekt śmierci dziecka: matka ponosi niepowetowaną stratę. Wołałbym, żebyś nie nienawidziła swego Boga tak gorąco, ponieważ świadomość, że David jest teraz z Nim, mogłaby być dla Ciebie pocieszeniem.

Co za niezwykle emocje w tych kilku krótkich akapitach! Szaleję z radości, że może spotkamy się na wybrzeżu. Czy Łamu wchodzi w grę? Jutro podam Ci dokładne daty i znajdę miejsce, gdzie moglibyśmy się spotkać. Boże, Lindo, to się musi udać. Inny mężczyzna potrafiłby przedłożyć skrupuły ponad własne pragnienie, ale nie ja. Czasami myślę, że jesteśmy to sobie winni za te wszystkie stracone dni i noce, choć jednocześnie wiem, że brakuje w tym moralnego sensu. Ktoś inny (na przykład Twoja zakonnica) powiedziałaby po prostu “trudno”, mamy pewne zobowiązania wobec innych ludzi i musimy wszystkiego tego dotrzymać. Zastanawiam się jednak, czy Ty i ja nie podjęliśmy mocniejszych zobowiązań dziewięć lat temu przed niebieskim domkiem? Czy przez resztę życia mam płacić za chwilę nieuwagi na śliskim zakręcie? Czy wykazałbym zrozumienie, gdyby podobna rzecz przydarzyła się Reginie? Chryste, mam nadzieję, że tak.

Właśnie skończyłem pisać pierwszy artykuł do gazety, o której Ci wspominałem. Sikukuu okazało się niezwykle wydarzeniem – jest to ceremonia, podczas której tysiąc Masajów zbiera się w jednym miejscu, by namaścić kobiety piwem miodowym w celu przedłużenia płodności plemienia. Dzieje się to raz na dwadzieścia lat – i mam nadzieję, że moja relacja jest adekwatna do okazji. Wprawdzie wolałbym napisać wiersz, ale wydawca w tej chwili nie jest tym zainteresowany. Nie będę Cię zanudzał, więc przedstawię rzecz w dużym skrócie: do Magadi Ro dotarliśmy z nastaniem bladego świtu. Senna wymiana zdań z towarzyszącym mi fotografem. Dwustu pięćdziesięciu manyatta i dwa tysiące Masajów w jednym miejscu. Czerwonobrunatne stroje kobiet, ich maridadi, kolczyki z pionowymi ozdobami, opakowania po filmach wetknięte w uszy. Setki dzieci-ciekawskich, badawczych, przyjaznych i roześmianych. Mężczyzna o biblijnym wyglądzie i imieniu Zachariasz, który cierpliwie wyjaśniał nam kolejne punkty ceremonii. Kobiety, niektóre zrezygnowane, inne w uroczystym nastroju, jeszcze inne na wpół obłąkane, w stanie katatonii lub ataku epilepsji. Rozdzierające jęki. Włożyłem na głowę dziecięcą czapkę dla ochrony przed słońcem, bo zapomniałem własnej. Krążące dokoła papierosy. Sikając na uboczu, zastanawiałem się, czy nie sikam na świętą ziemię Masajów. Rozdawane hojnie śliwki. Okrutne twarze niektórych spośród młodszych mężczyzn, niczym twarze dekadentkich Rzymian. Długie negocjacje o kobiety, które, zważywszy na ich los, sprawiały wrażenie zatrwająco biernych.

Nie wiem, jaką rolę odgrywa tu miłość. Patrząc z zewnątrz, nie sposób tego dociec.

Byłoby najlepiej, gdybyśmy spotkali się między dwudziestym ósmym a trzecim. Może

pierwszego? Odliczam godziny, dosłownie.

Thomas

PS Dzisiejszy nagłówek: "Pawian porywa dziecko"

27 stycznia

Kochana Lindo.

Oszukujemy się. Tak, oszukujemy się. Mimo to spotkaj się ze mną, proszę. Przed hotelem Petley, w Łamu, pierwszego o dwunastej w południe. Pójdziemy na spacer.

T.

Pod nimi rozciągały się połacie zarośli, które zaczynały już rzucać na nagą ziemię precyzyjne cienie. Trawy falowały niczym znajome łąny w sercu nieznanego kraju, porośnięte papirusem bagna groziły zaś pochłonięciem całych państw. Pilot, bezgranicznie wyluzowany: nogi na konsolce, papieros w dłoni (czy to nie zabronione?), leciał tak nisko nad ziemią, że Thomas widział słonie i drapieżniki oraz samotną żyrafę, która wyciągnęła szyję, słysząc pyrkoczący dźwięk nad głową. Ubrany na błękitno moran z włócznią przeszedł z jednego pozornie opustoszałego miejsca w drugie; nieopodal pojawiła się kobieta w czerwonym szalu, z amforą na głowie. Thomas widział to wszystko; obserwował, jak różane światło nadaje jeziorom turkusowy odcień, a słońce wschodzi niczym estradowy reflektor, myśląc, za sześć godzin ją zobacze.

Lecieli bez generatora, co, jak zapewnił Thomasa pilot, było jak najzupełniej możliwe, jeśli lecieli bez przystanku, bez konieczności ponownego zapuszczenia silnika. Pilot, z przydługimi włosami i w zwężanej w pasie marynarce o krótkich rękawach (jak Beatlesi przed laty), wykazywał całkowitą obojętność, przekazując swemu pasażerowi swobodę decyzji, czy w razie braku dopływu mocy mają zawrócić, czy nie. Na myśl o Lindzie stojącej o dwunastej przed hotelem Thomas czuł, że nie ma wyboru. Gdzieś nad Voi uznał, że samolot jednak nie runie z nieba jako kara za zamierzoną zdradę – zupełnie jakby nie był niewierny od momentu, kiedy zobaczył Linde na targowisku. Mimo to nie mógł się opędzić od myśli o gwałtownej śmierci na odludziu, gdzie nikt nigdy nie znajdzie jego szczątków.

W oddali dostrzegł skupisko chat o strzechach z trawy oraz pasące się nieopodal stadko zwierząt. Pewnie bydło, przypuszczał. I pomyślał, jak już nieraz, że Afryka bądź co bądź jest jednak nieprzenikniona. Wiekowa i dostojna jak żaden inny kontynent, o nieskalanej duszy, nawet mimo Wabenzich, szwajcarskich kont i chłopców parkingowych. Pełna niezachwianej godności, którą widywał w twarzach kobiet oraz ich oczach, nie naturalnie spokojnych w obliczu klęski, i w nieśmiałych uśmiechach dzieci, wiecznie rozbawionych żartem zrozumiałym tylko dla nich. I pojął – w przeciwieństwie do Reginy z jej akademicką misją oraz wszechwiedzącego Rolanda – że on, Thomas, nie był w tym kraju ważniejszy od pojedynczego przedstawiciela

dzikiego plemienia wędrującego na zachód (ściślej rzecz biorąc, był nawet mniej ważny). Był tu jedynie gościem, z góry skazanym na wyjazd. Dlatego nigdy nie mógł do końca poznać Ndegwy ani jego żony, ani nawet kobiety, która prała mu w wannie koszule (zwłaszcza jej). Mimo to czuł, że oni go znają, że jest – jak powiedziała kiedyś Regina – przejrzysty niczym szkło, a jego własna dusza, bez względu na obecnie panujący w niej zamęt, pozostała równie krystaliczna co woda w naczyniu.

– Niech pan lepiej zapnie pas – poradził mu pilot.

Szykując się do lądowania, mężczyzna wyprostował się i położył obie ręce na sterach, co nie wiadomo czemu przyniosło Thomasowi otuchę. On nie mógłby być pilotem, choć samo zajęcie, pomijając troskę o zepsuty generator, wydawało się dość przyjemne, a nawet ekscytujące. Pilot wskazał na wybrzeże, jasnobrzoskwiniową muszlę na tle błękitu Oceanu Indyjskiego, i podczas gdy serce Thomasa zabiło gwałtownie na myśl o rychłym spotkaniu z Lindą, on sam nie był w stanie uwolnić się od myśli o nierealności całego przedsięwzięcia i o tym, że niewiele brakowało, a w ogóle nie doszłoby do skutku. Rich, ku swej rozpacz, podczas safari zaraził się malarią i musiał wrócić do Nairobi z Reginą i Thomasem. Ten ostatni, po tym jak brat został przyjęty do szpitala, a później odesłany do domu z całą baterią leków, musiał wymyślić w miarę wiarygodny powód powrotu na wybrzeże, które właśnie opuścił, zasłaniając się nagłym służbowym wyjazdem. To nie potrwa długo, zapewnił Reginę; wróci przed czwartkiem. Ta zaś, zmęczona uciążliwym safari, nie tylko nie miała nic przeciwko rozstaniu, ale chyba było jej to całkowicie obojętne.

Samolot wyleciał poza granicę lądu, zatoczył koło ponad archipelagiem Łamu i wylądował na podmokłej równinie pobliskiej Mandy. Thomas podziękował pilotowi, życząc mu szybkiej naprawy generatora. Pilot (Thomas był pewien, że jego alkoholowy oddech pochodzi z poprzedniego wieczora) tylko wzruszył ramionami. Thomas skierował się na brzeg, skąd czółnami przeprawiano się na drugi brzeg do Łamu. Wsiadł na zatłoczoną łódź, której widok przypominał mu uciekinierów z Wietnamu, i zapłaciwszy przewoźnikowi, usiadł obok kobiety od stóp do głów odzianej w bui-bui, spod którego widać było tylko jej oczy – ciemne i obwiedzione czarną kreską.

Kiedy postawił stopę na drugim brzegu, doleciał go śpiew muezinów – przejmujący i melodyjny ciąg dźwięków w tonacji molowej – który odtąd miał zawsze kojarzyć mu się z miłością i zapowiedzią straty (do tego stopnia, że słysząc go w tle wiadomości z Palestyny lub Iraku, czuł, jak głos więźnie mu w gardle). Zarzucił plecak na ramię. Uderzyła go natychmiastowa fala upału – paradoksalnie osłabiająca i uwodzicielska. Wędrownica przypominała przejście wplaw na stromy brzeg; minął aleję Harrabee, kierując się w stronę muzeum, gdzie – jak zapewnił go wydawca (chcąc zamienić kłamstwo w prawdę, Thomas poprosił o zlecenie i otrzymał je) – będzie mógł wynająć pokój. Thomas podążył za wskazówkami mapy, gubiąc się

w labiryncie wąskich uliczek ze sklepami, kawiarniami oraz domami ukrytymi za bezpieczną osłoną kunsztownie rzeźbionych drzwi. Po brukowanych ulicach biegnących od portu (po których nigdy nie jeździł żaden samochód) wionął rześki podmuch, który kazał mu zboczyć z trasy. Mężczyźni w kanzach i kofiach mierzyli obcego przybysza badawczymi spojrzeniami, podczas gdy kobiety w czarnych bui-bui w milczeniu przemykały obok, tuląc do siebie małe dzieci. Zewsząd dobiegało ryczenie osłów, a zabłąkane koty uskakiwały mu spod stóp. Nieosłoniętymi rynsztokami spływały ścieki, roztaczając wokół mdlący, słodkawy odór.

Zapytał o drogę do muzeum chłopca, który pobiegł przed nim z laską w ręku. Chcąc za nim nadążyć, Thomas musiał przeciskać się przez tłum. Przewodnik czekał nań cierpliwie na każdym rogu, a gdy dotarli do celu, w milczeniu wyciągnął rękę po zapłatę. Thomas wszedł do środka. Nie zdążył dobrze rozejrzeć się po replikach starożytnych żaglowców i srebrnej zastawy, kiedy kobieta o dość oficjalnym wyglądzie spytała, czym może służyć. Odparł, że szuka mężczyzny o nazwisku Sheik. Ach, zawołała kobieta, Bwana Sheik wyszedł. Thomas przedstawił się, a w odpowiedzi otrzymał uśmiech i wręczono mu kopertę. Na wierzchu wyrysowano trasę, wewnątrz zaś znajdował się klucz, co zdziwiło Thomasa; nie wiedział bowiem, że zawczasu poczyniono jakiegokolwiek przygotowania do jego przyjazdu. Nie było tam ani słowa o zapłacie i Thomas doszedł do wniosku, że na razie lepiej się nie pytać.

Jego przewodnik czekał przed wejściem i Thomas z ulgą przekazał mu kopertę z adresem. Chłopiec poprowadził go labiryntem, gdzie kuchenne zapachy mieszały się z fetorem ze ścieków, do wąskiego budynku z mało zachęcającym wejściem. Thomas, który spodziewał się pokoju albo nawet apartamentu, ze zdumieniem przyjął fakt, że chłopiec otworzył kluczem drzwi i wprowadził go na podwórko czegoś, co wyglądało na dom mieszkalny. Jednakże klucz pasował do zamka, w związku z czym Thomas zaniechał jakichkolwiek pytań.

Z cienia wyszedł łysy muzułmanin w fartuchu – zapewne służący – warknięciem odprawił chłopca, po czym przedstawił się jako pan Hussein (Thomas ujęła duma zawarta w prezentacji). Czy Thomas chciałby się rozejrzeć, zanim pan Hussein poda mu schłodzoną herbatę? Thomas spojrzął na zegarek, co uczynił nie dalej jak dziesięć minut wcześniej, zdjęty niejasnym lękiem, że w tym egzotycznym miejscu czas rządził się własnymi prawami. Tak, odpowiedział, rozejrzy się i z przyjemnością wypije herbatę.

Służący zniknął w półmroku, tam skąd przyszedł. Thomas stał przez chwilę na otwartym dziedzińcu; otaczające go ściany rzucały na kamienną posadzkę chłodne cienie. Pośrodku widniała niska studnia otoczona żółtymi kwiatami, w rogu zaś rosło drzewo paw-paw. Kuchnia chyba znajdowała się na parterze, lecz Thomas nie odważył się zapuścić dalej, nie chcąc przeszkadzać panu Husseinowi w jego poczynaniach. Zamiast tego wszedł na klatkę schodową, gdzie w ściennych wnękach ustawiono rzeźby. Schody prowadziły na piętro, i tu znajdował się salon z niskim rzeźbionym umeblowaniem o spłowiałych bawełnianych obiciach. Ściany i nisze

zdobiły grawerowane tabliczki z miedzi i srebra oraz ceramiczne urny. Schody wiodły dalej w górę i na trzecim piętrze, otwartym na niebo, Thomas ujrzał sypialnię z łózkami z baldachimem i moskitierami. Nieopodal jednego z łóżek rosły jaśmin i frangipani na tarasie. Woń kwiatów wypełniała pokoje, skutecznie tłumiąc zapachy dolatujące z ulicy. Spojrzawszy na pozbawioną dachu sypialnię, doszedł do wniosku, że w Łamu zapewne nigdy nie pada deszcz, i zastanowił się, jakim cudem to możliwe. Idąc dalej, odnalazł pokój z miednicą świeżej wody i umył twarz i ręce. Ponad toaletką z marmurowym blatem, na którym stała miska, rósł hibiskus o jaskrawych kwiatach, odcinających się wyraźnie na tle nieba. Opuszczając pokój, Thomas zobaczył, że ktoś (pan Hussein?) ułożył na poduszce kwiaty jaśminu.

Służący przygotował posiłek, składający się z jajek, jogurtu i schłodzonej herbaty, który Thomas zjadł chętnie przy stole na dziedzińcu. Żałował, że mężczyzna nie został dłużej, gdyż chciał zadać mu kilka pytań: kto był właścicielem domu? czy często zatrzymywali się tu podróżni? – ale pan Hussein zniknął w kuchni. Thomas pochłonął jajka i jogurt, mając wrażenie, że jakiś dobrotliwy duch (a przynajmniej duch choć częściowo mu sprzyjający), który bytował w świecie równoległym do jego własnego, zaaranżował to wszystko, udzielając mu w ten sposób rozgrzeszenia.

Zaraz jednak przypomniał sobie Reginę opiekującą się w domu chorym Richeem i zasłonił ręką oczy. Wiedział, że nadzieja na rozgrzeszenie była w jego wypadku czystym złudzeniem.

Zobaczył, jak podąża ku niemu, i zgniótł butem papierosa. Miała na sobie białą płócienną sukienkę do pół łydki i szal na ramionach. Ubrała się skromnie, jak nakazywał kobietom zwyczaj w Łamu, mimo to Thomas widział, że każdy mężczyzna podnosił wzrok, odprowadzając spojrzeniem jasnowłosą mzungu. Związała włosy w węzeł nad karkiem, lecz w regionie śniadej skóry i bui-bui ich kolor i tak przykuwał ogólną uwagę. Złoty krzyżyk w muzułmańskiej osadzie wydawał się całkowicie nie na miejscu, lecz Thomas poczuł zadowolenie, że nie pomyślała o tym, by go zdjąć. Idący obok tubylec, który niósł bagaż, wydawał się przy niej wyjątkowo niski. Podeszła do Thomasa czekającego przed hotelem. Przez chwilę oboje milczeli, świadomi obecności portiera oraz obecnych na ulicy mężczyzn, którzy nadal nie spuszczaali z niej wzroku.

– Linda – powiedział Thomas.

Objęli się bez wylewności jak para spotykająca się w miejscu publicznym, bez pocałunku i długiego uścisku. Thomas poczuł pod palcami chłodną skórę jej ramion. Bez słowa odwrócił się i wręczył napiwek chłopcu, który czekał z walizką. Chwycił jej bagaż.

– Mam pokój – oznajmił.

Kiwnęła głową, co uznał za przyzwolenie. Szli w milczeniu drogą, której nauczył się na pamięć, i żadne nie kwapiło się złamać czaru rzuconego przed hotelem, czaru oczekiwania obleczonego ramą powściągliwości. Obserwował jej stopy w sandałach, wysuwające się spod

sukienki, czuł łokieć ocierający się niekiedy o jego ramię. Nad nimi muezini w minaretach rozpoczęli na nowo swe pieśni, a świat wydawał się przesiąknięty religią i zmysłowością – cechami, zawsze utożsamianymi przez Thomasa z towarzyszącą mu kobietą. Nie okazywali sobie nieśmiałości, choć był pewien, że oboje odczuwają tak samo atmosferę tej chwili, i że pod chłodną maską opanowania analizują podejmowane wybory oraz dożywotnie kontrakty, które być może przyjdzie im respektować. Dwoje kochanków, na skutek zrzędzenia losu umieszczonych z dala od siebie.

Odnalazł wśród setek te jedne drzwi i obracając klucz w zamku zastanawiał się, jak załatwić sprawę pana Husseina, który niechybnie zaraz się zmaterializuje, żądając przedstawienia mzungu, i zaoferuje jej szklankę schłodzonej herbaty. Pan Hussein nie pojawił się jednak i Thomas sam musiał zaproponować Lindzie coś zimnego do picia. Lekko potrząsnęła głową, nie odrywając od niego oczu. Przez chwilę stał bez ruchu, odwzajemniając spojrzenie, po czym ujął ją za rękę i poprowadził po schodach na trzecie piętro do sypialni. Muezini przerwali swą pieśń, a ptaki, osobliwe stworzenia o zawodzących głosach, podjęły ją na nowo, jak na przedrzeźniacze przystało. Zamknął ciężkie drewniane drzwi sypialni.

Dotknęła jego blizny, przesuając delikatnie palcami wzdłuż jej brzegu.

Jeśli istniały teraz jakieś słowa, były to jedynie imiona, może wykrzykniki. Szepty wyrażające zdumienie z powodu spotkania, które mimo wszystko doszło do skutku. Thomas przysunął twarz do twarzy Lindy i nie puszczał jej, choć próbowała się uwolnić. Płakał, a może płakali oboje – co było do przewidzenia – poruszony dojmującą ulgą, jakiej nagle doznał. Tak czuł się spragniony, tak łapczywy, że nie starczyło mu czasu na wymianę zdań. Upłynęła godzina, zanim będą mogli rozmawiać, pomyślał, teraz jednak liczyła się tylko skóra, piersi i długie nogi, bezładna szarpanina z sukienką i paskiem. Zupełnie jakby na powrót stali się nastolatkami w buicku skylark. Pragnęli być tylko tu i teraz, nigdzie indziej.

Pościel była szorstka, lecz czysta, z grubej, włóknistej bawełny. Czuł pożądanie, choć miało ono rolę drugorzędną – nie jak z Reginą, gdy wydawało się nieodzowne, konieczne do odparcia niechęci czy nawet sympatii. Pod baldachimem nie było miejsca na nic innego prócz euforii z odzyskanej miłości i poczucia znikomego wydzielonego im czasu. Owa świadomość upływu czasu wzmogła doznania, spotęgowała znaczenie i na godzinę, a może dwie, łóżko z szorstkimi prześcieradłami stało się jedynym znanym wszechświatem.

Obudził się, czując na powiekach słońce. W pokoju panował upał, pościel zaś, jeszcze przed chwilą pachnąca świeżością, była wilgotna i zmięta. Zrzucił ją na podłogę, tak że oboje leżeli nadzy, osłonięci jedynie baldachimem, z lekka wydymanym prawie niezauważalnym powiewem. Thomas odwrócił twarz od słońca, budząc Linde. Woń roztartych na poduszkach płatków jaśminu mieszała się z zapachem jej włosów oraz zgrzanych ciał. Leżeli jak w jego marzeniach



i ciasno objęci, jej głowa na jego ramieniu, przeplecione nogi i ręce. Pozycja przybierana tysiące – nie, miliony – razy dziennie, a mimo to tak niewiarygodna, że oddech zamierał mu w piersi. Zastanawiał się, ile czasu im pozostało: godzina, dzień, rok? Zapytał ją. Zdeterminowany, by nie odejść pierwszy, fizycznie niezdolny, aby ją opuścić.

– Mam dzień – powiedziała.

– Jeden dzień.

– Właściwie dzień i noc.

Poczucie upływu czasu było tak zniewalające, że musiał powtórzyć to na głos. Słońce się przesunęło, podczas gdy oni znieruchomieli, jakby w nadziei, że skryją się przed nieubłaganym okiem czasu. Wreszcie Linda poprosiła o szklankę wody. Wciągnął spodnie i wyszedł. Przy kuchennym stole zastał pana Husseina, który poproszony w suahili o szklankę wody wyjął karafkę z chłodziarki jakby rodem z lat trzydziestych. Najwyraźniej zadowolony, że może spełnić prośbę, dodał porcję słodyczy i orzechów. Thomas zabrał tacę na górę, mimochodem zauważając dwie szklanki zamiast jednej.

Zupełnie jakby piła pierwszy raz w życiu. Usiadła na łóżku, zupełnie naga, dzięki czemu mógł podziwiać jej piersi i płytkie zagłębienie brzucha. Równie łapczywie pochłonęła słodycze; ze śmiechem zaproponował jej swoją porcję. Zjadła ją, nie zastanawiając się długo.

– Masz po seksie wilczy apetyt – zażartował, po czym natychmiast po żałował swych słów. Sprowadził ich przeżycie do tego, co mogła dzielić z każdym innym mężczyzną, choćby z tym o imieniu Peter.

– To nie był seks – sprostowała.

Usiadł obok niej na łóżku i zapragnął znowu się kochać. Chciał dotykać jej ramion i miejsca między udami. Czy tak wygląda miesiąc miodowy, zastanowił się w duchu. Nie wiedział, bo sam nigdy go nie miał. Tydzień poprzedzający ślub Regina opłakiwała utratę dziecka. Potem wcale nie było lepiej. Żal, aczkolwiek zrozumiały, pojawił się zupełnie nie w porę. Mimo to Thomas odczuł wtedy ulgę, świadomy toczącej się gry pozorów.

– Obiecałeś mi spacer – przypomniała Linda.

Ramię w ramię szli przez miasto, patrząc na islamskie ornamenty i lokalną srebrną biżuterię, ale nie widzieli ani ornamentów, ani biżuterii, lecz tylko dawną i niedawną przeszłość, żonę lub męża, ślub, nigdy niezamieszkałe domy i mieszkania oraz przyszłość z dzieckiem, pustą, nieznaną i niewyobrażalną. Nie mógł przestać myśleć, że to ich tylko jeden dzień i tylko jedna noc, kilkakrotnie bliski przekroczenia granicy między tym, co prawdopodobne, a tym, co możliwe. Lecz nie zrobił tego, w obawie że jakikolwiek plan oparty na krzywdzie innych przerazi Linde. Był to rachunek, którego nie umieli rozwiązać – jak być razem, nie powodując jednocześnie katastrofy – i Thomas poczuł, że rodzi się w nim sprzeciw.

Choć nie byli głodni, zjedli lunch u Petleya, zamawiając nadmierne ilości jedzenia: Pweza; supaya saladi; kuku na kupaka (koktajl z homara; zupa z wodorostów; kurczak w kokosowym sosie). Pozostali goście dawno już się oddalili, podczas gdy oni w nieskończoność zwlekali z odejściem, mimo że zdezorientowany kelner zabrał ze stolika prawie nietknięte talerze. Wypili zbyt dużo drinków (ona więcej), i kiedy wreszcie Thomas podniósł głowę, zorientował się, że obsługa niecierpliwie czeka na swoją przerwę. Wstał, lekko oszołomiony alkoholem (naprawdę wypił aż cztery szkockie?), i zaproponował spacer do Sheli, co z uwagi na upał i ilość drinków oraz brak cienia po drodze było dość szalonym pomysłem. Zwłaszcza że w gruncie rzeczy pragnął wrócić do sypialni z kwiatami jaśminu wtartymi w poduszki i zasnąć ciasno wtulony w ciało Lindy.

Podążyli za ręcznie wymalowanymi drogowskazami, zabierając się po drodze wojskową ciężarówką, która z wolna pełzła piaszczystym szlakiem. Usiedli na ławkach w tyle pojazdu i Linda zdrzemnęła się z głową na jego kolanach. Zanim dotarli na plażę, słońce zdążyło spiec jej jedno ramię, nieosłonięte szalem pozostawionym u jubilera albo w restauracji. Usiedli na werandzie Peponi, jedyne go plażowego hotelu, po czym wypili wodę i zjedli grejpfruta – wreszcie głodni – odzyskując w cieniu jasność myśli.

– Jak się tu dostałaś? – zapytał, dotychczas zbyt zaabsorbowany, by zastanowić się nad okolicznościami, które umożliwiły jej przyjazd.

– Przyjechałam z Malindi.

– To musiało być ciekawe przeżycie.

Odwróciła wzrok, jakby przewidując kolejne pytanie.

– Dlaczego Malindi?

– Peter tam jest – zawahała się chwilę.

Fakt, że była na wybrzeżu z mężem, nie powinien dziwić Thomasa – przynajmniej nie bardziej niż to, że sam poprzedniego ranka pożegnał się z Reginą – mimo to dotknął go do żywego.

Linda nie wdawała się w szczegóły. Wypiła łyk wody – butelkowej, w przeciwieństwie do wody w hotelu. Przypomniał sobie, że Linda osuszyła wtedy prawie całą karafkę.

– To dlatego musisz jutro wracać? – zapytał.

Wiedział, że odpowiedź bez względu na treść sprawi mu ból. Chyba że usłyszy, że Linda nigdy więcej go nie opuści.?

Lecz ona, być może rozsądniejsza w tej kwestii niż on albo bardziej świadoma przyszłości, nie odpowiedziała. I sama nie zadawała też żadnych pytań. Jej włosy – rozpuszczone, kiedy się kochali – ponownie zostały spięte nad karkiem. Widząc niezręcznie spleciony węzeł, Thomas zrozumiał, z jaką dbałością musiała przygotowywać się do ich powtórnego spotkania.

– Inaczej nie było można – powiedziała.

Poczuł ukłucie zazdrości.

– Spałaś z nim poprzedniej nocy? – spytał, zaskoczony własnym pytaniem. W obronnym geście skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie, Thomas.

– Pytam poważnie – brnął dalej, choć nawet głupiec wiedziałby, że nie powinien. – Czy spałaś z nim poprzedniej nocy? Tak tylko chcę wiedzieć.

– Po co?

– Żeby wiedzieć, na czym stoję – odparł. Wyjął z kieszeni przepoconej koszuli paczkę papierosów. Naprzeciw niego jakaś para sączyła pimma.

Zazdrościł im znudzonego rozleniwienia. – Żeby poznać parametry.

– Nie ma żadnych parametrów. – Spojrzała w bok.

– A więc jednak z nim spałaś – skwitował ponuro Thomas, zaglądając do swojej szklanki z wodą.

Sam nie wiedział, czy jest zawstydzony, czy wystraszony prawdą. Nadal rozpraszał go widok jej ciała.

– Tylko tak mogłam to załatwić – odrzekła. Zauważył lśniący pot na jej czole. – Nie róbmy tego, Thomas – dodała. – Mamy tak mało czasu. – Rozplotła ręce i oparła się na krześle. Przyłożyła palce do czoła.

– Boli cię głowa? – zapytał.

– Trochę.

– Kochasz go?

Pytanie, dotąd ukrywane, wreszcie ujrzało światło dzienne.

– Oczywiście, że tak – odrzekła niecierpliwie i urwała. – Inaczej niż ciebie.

– A jak mnie kochasz? – zapytał, spragniony nieustannych zapewnień.

W zastanowieniu zdjęła z sukienki jakąś nitkę.

– Wciąż o tobie myślę – odpowiedziała, starannie dobierając słowa.

– Wyobrażam sobie świat, w którym moglibyśmy być razem. Żałuję, że nie napisałam do ciebie po wypadku. Wierzę, że zostaliśmy sobie prze znaczeni.

Zrobił głęboki oddech.

– Wystarczy? – spytała.

– Jezus. – Ukrył twarz w dłoniach. Patrząc na nich, lekko znudzona para z naprzeciwnika mogła odnieść wrażenie, że to jemu dokucza migrena.

Linda sięgnęła ręką przez stół i dotknęła jego ramienia. Szybko chwycił jej dłoń.

– Co się z nami stanie? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem – szepnęła. Chyba za mocno ścisnął jej rękę, sprawiając ból. – Lepiej o tym nie

myśleć.

Puścił jej dłoń.

– Mogliśmy się odnaleźć, gdybyśmy naprawdę spróbowali – rzucił prowokująco. – To nie było do końca niemożliwe. Dlaczego więc tego nie zrobiliśmy?

Rozmasowała palcami skronie.

– Może nie chcieliśmy popsuć tego, co mieliśmy – odpowiedziała.

Odsunął się, przyciskając butem niewypalonego papierosa. Tak, pomyślał. To pewnie to. Ale przecież skąd mogli wiedzieć? Przypomniawszy sobie ich razem – przed domkiem, w barze, na spacerze pustymi ulicami Bostonu.

– O czym myślisz? – spytała na widok jego nieoczekiwanego uśmiechu.

– Przypomniałem sobie, jak cię zmuszałem, żebyś mi mówiła, co wy znałaś na spowiedzi.

– To było wstrętne – oświadczyła.

– To jest wstrętne – przytaknął.

Spoglądał, jak piła wodę, obserwując ruch delikatnie zarysowanej szczęki i pulsowanie długiej szyi. Za Lindą rozciągała się biała plaża i ocean tak jasny, że Thomas ledwo mógł na niego patrzeć. Wysoko nad nimi górowały palmy, a gazowe firanki wydymały się w otwartych oknach i ginęły, wciągnięte do środka, jak za sprawą przyczajonego w cieniu olbrzyma. Był to niezwykle hotel, jedyny w Sheli. I jedyny w Łamu, jak twierdził wydawca Thomasa, z przyzwoitą łazienką.

Wyjął z paczki kolejnego papierosa i zapalił. Za dużo palił, jedząc jednocześnie tak niewiele.

– Bierzemy życie zbyt poważnie, ty i ja – oświadczył.

Wyjęła spinki z fryzury, zwyczajnym, choć w tamtej chwili tak niezwykle ruchem i strząsnęła włosy na plecy. Patrzył, jak rozsypane pasma nieruchomieją. Widok ich gęstwiny, wydobytej z węzła nie większego niż brzoskwinia, wywołał kolejną falę wspomnień.

– Właśnie to zawsze w tobie kochałam – powiedziała.

– Inni mogą się zwyczajnie pieprzyć i mieć to z głowy. Byle było fajnie.

– Nam też było fajnie.

– No tak – przyznał z uśmiechem.

Przeniósł spojrzenie na plażę. Coś zwróciło jego uwagę, coś, czego wcześniej nie zauważył: po obu stronach kąpieliska rozłożyli się nudyści. Mężczyzna o obwisłych pośladkach siedział odwrócony plecami, rozmawiając z kobietą leżącą na kocu. Thomas widział tylko jej włosy.

– Czy to kiedykolwiek było łatwe? – zapytał.

– Masz na myśli lekkie?

– Mam na myśli niepoważne.

– Nie.

Potarł twarz. Oparzenie słoneczne ściągnęło mu skórę. Pochylił się, opierając łokcie na

kolanach. Tracili dany im cenny czas. Chciał wrócić do hotelu, gdzie znów mogliby się kochać, ale wiedział, że pewnie będą musieli poczekać, aż się trochę ochłodzi. Może wojskowa ciężarówka będzie wracać do wioski.

– Jedyne, za czym tęsknię – powiedział – to muzyka.

– Nie masz żadnych kaset? – zapytała.

– Miałem, ale zostały skradzione. Magnetofon też. Ciekawe, co teraz jest na fali.

Milczeli. Na horyzoncie pojawił się zarys łodzi. Wiekowy, niezmienny od stuleci krajobraz.

– Jak tam wizyta Richa?

– Ach, świetnie, poza tym, że zachorował na malarię. Mówiliśmy mu, żeby profilaktycznie łykał tabletki, ale w końcu ma dopiero szesnaście lat.

– Nic mu nie jest?

– Nie. Dochodzi do siebie w Nairobi.

– Jakies postępy w sprawie Ndegwy? – spytała.

– W ambasadzie ma się odbyć przyjęcie. Przyjdiesz?

– Sama nie wiem.

– Przyszłabyś z Peterem? – zapytał.

Linda uciekła spojrzeniem w bok. Sprawiała wrażenie wyczerpanej. Powrót autobusem z Malindi będzie nie do zniesienia. Pamiętał długą podróż autobusową z Reginą, kiedy kierowca przystanął, żeby wszyscy pasażerowie mogli się załatwić. Kobiety, łącznie z Reginą, kucnęły, zasłaniając się długimi spódnicami.

– Nie miałeś kłopotu z listami? – zapytała Linda.

– Nie – odrzekł. – Uwielbiam je.

– Według mnie są przygnębiające – odrzekła. – Nieadekwatne do tego, co czuję.

Wyprostował się, przejęty nieoczekiwaną złością.

– Jak mogłaś? – powiedział, rzucając papierosa na cementową podłogę.

Linda drgnęła, zaskoczona nagłą zmianą nastroju.

– Jak mogłam co?

– Spać z Peterem.

– Spać z Peterem?

Thomas nie odpowiedział. Według niego zarzut miał sens: jak mogła, po tamtej niedzieli w Njia, być z innym mężczyzną?

Przejechał włosy palcami. Powinien się wykapać. Jezu, ależ musiał śmierdzieć. Nagła świadomość brzydoty, dla której nie było miejsca przy tym stole, smrodu bardziej mdlącego niż rynsztok w Łamu, sprawiła, że zabrakło mu tchu. Z wysiłkiem wciągnął w płuca morskie powietrze.

– Uważasz, że jedno spotkanie po dziewięciu latach upoważnia mnie do przekreślenia

małżeństwa z Peterem? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak – odparł. – Właśnie tak.

– Trudno mi uwierzyć, że mówisz coś takiego.

– Dlaczego nie? – zapytał. – Możemy zwyczajnie z tym skończyć. Tylko powiedz, że mogłabyś wrócić do życia z Peterem, a więcej mnie nie zobaczysz.

Milczała dłuższą chwilę.

– No więc? – ponaglił.

Przyłożyła palce do czoła. Zobaczył, że poblądła jak ściana.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Muszę się położyć.

Zawiniły albo woda, albo homar, nadmiar alkoholu, spacer w upale bądź też niedorzecznie bolesne pytania, które jej zadawał. Zbladła tak nagle, że pomyślał, że Linda zaraz zemdleje. Powiedziała: “Proszę” – i nie wiedział, czy prosi o pomoc, czy o to, żeby zamilkł. Uczynił jedno i drugie. Oparta o niego całym ciężarem pozwoliła, by wprowadził ją do środka. Tam jednak wyrwała się, po czym zamieniwszy kilka słów z blondynką z recepcji, znikła za rogiem korytarza. Thomas stał na środku małego holu, zachodząc w głowę, co się dzieje.

– Jest chora? – zapytała kobieta. Usłyszał brytyjski akcent. Miała na sobie sukienkę w kropki.

Thomas pokręcił głową.

– W ciąży?

Pytanie wstrząsnęło nim. Upłynęła chwila, zanim zdobył się na odpowiedź.

– Nie wiem – odrzekł. Zrozumiał, jak mało o niej wie.

– Co jadła?

– Tutaj? Grejpfruta i wodę.

– To chyba nie grejpfrut. Woda jest butelkowana. A wcześniej?

Thomas pomyślał o lunchu u Petleya.

– Kurczaka – wyjaśnił. – I homara – przypomniał sobie. – Jadła koktajl z homara.

– Gdzie?

– U Petleya.

– Aha – odpowiedziała kobieta, jak gdyby to wyjaśniało sprawę. Czy jednak Linda rzeczywiście zjadła tego homara? Wyteżył pamięć.

Poza tym, jak w ogóle mogli go zamówić? Nigdy nie jedz skorupiaków, o których nie możesz na sto procent powiedzieć, że są świeże, mówili na szkoleniu.

– Zajrzę do niej – oświadczyła kobieta.

Siedział na sofie, obserwując przechodzących plażowiczów w rozmaitych stadiach neglizju.

Jedna z kobiet zawiązała pareo na wysokości piersi; pod spodem była naga i chusta ledwo ją osłaniała. Starszy pan w błękitnym staromodnym stroju kąpielowym usiadł obok Thomasa.

– Cudowny dzień – zagadnął uprzejmie.

– Owszem – zgodził się Thomas bez przekonania. Przychodziło mu do głowy wiele określeń – doniosły, bolesny, tragiczny – lecz cudowny na pewno nie było jednym z nich.

Oczy mężczyzny zwilgotniały. Miał rumianą twarz i białe włosy; stary dżentelmen, pomyślał Thomas. Zalatywał specyficzną wonią starości, tuszowaną wodą kolońską lub tonikiem do włosów. Jego twarz oplatała siateczka popękanych naczynek. Do holu weszła starsza kobieta i mężczyzna wstał. Zbliżała się ku niemu wolnym krokiem, z lekko przygarbionymi plecami. Jej siwe włosy były starannie uczesane i upięte, na brzoskwiniowej jedwabnej bluzce wisiały długie sznury pereł. Miała wysoką talię dojrzałej kobiety, mimo to jej sylwetka zachowała właściwe proporcje. Zielonkawe lakierki drobiły do przodu babcinym kroczkiem.

Ujęła mężczyznę pod ramię i Thomas zauważył, że ten przykrył dłonią jej dłoń. Razem wyszli na werandę. Wdowa i wdowiec? Małżeństwo?

Jezu, pomyślał, odwracając się w drugą stronę.

Inny mężczyzna, mniej więcej jego rówieśnik, ciemnowłosy i przystojny, przeszedł z werandy do holu. Przymierzał się chyba do zrobienia zdjęcia oceanu. Jakiś czas majstrował przy aparacie, wciskając guziki i przestawiając ostrość, lecz naraz ku jego zaskoczeniu aparat się otworzył. Mężczyzna wyjął kliszę i wyrzucił beużyteczną rolkę do kosza.

Z toalety powróciła blondynka z recepcji i podeszła prosto do biurka. Otworzyła kluczem szafkę.

– Jak ona się czuje? – zapytał Thomas, wstając.

– Niewesoło – odparła kobieta.

Thomas zastanawiał się, czy potraktować to jako przejaw brytyjskiej lakoniczności. Nalała brązowego płynu z butelki do małego papierowego kubka.

– Co to jest? – zapytał Thomas.

– Och – odrzekła kobieta, odwracając się – lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Czyste opium, uznał Thomas, nie stosując się do jej rady.

– Jest tutaj jakiś lekarz?

– Chyba nie – odpowiedziała. – Trzeba ją będzie odwieźć do domu. Nie dzisiaj, ale jutro z samego rana. Możecie pojechać ciężarówką dostawczą, odjeżdża do wioski za kwadrans siódma. Zdążycie na wpół do ósmej, na autobus do Nairobi.

Przecież Linda nie jedzie do Nairobi, pomyślał Thomas.

– Tak czy siak – ciągnęła kobieta, wciąż trzymając buteleczkę w dłoni – ma pan szczęście. (Nieprawda, pomyślał Thomas). Dwie osoby, które przyjechały oddzielnie, postanowiły zamieszkać w jednym pokoju.

– To bardzo dobrze się składa – powiedział na głos.

– No tak. W każdym razie pokój macie za darmo.

– Dziękuję. Jest już gotowy?

– Niech pan weźmie klucz – rzuciła przez ramię kobieta, idąc do łazienki. – Wisi w przegrodce. Numer dwadzieścia siedem. Sama ją przy prowadzę.

Zakodowana wiadomość: nie chce, żebyś ją teraz oglądał.

Pokój był zaskakujący skromny i przyjemny, urządony prawie wyłącznie na biało. Białe ściany, biała pościel, białe zasłony, mata z sizalu w kolorze khaki na podłodze. Toaletka z kremową zasłonką. Brak innych kolorów kierował uwagę ku rozciągającemu się za oknami oceanowi, turkusowogranatowej płachcie wody. Pokój w sam raz dla chorego, uznał Thomas, miły dla oka. Lecz jednocześnie nie mógł uwolnić się od myśli, jak by to było: noc w tym pokoju ze zdrową Lindą. Z Lindą szczęśliwą.

Podszedł do okna i wyjrzał. Czy kiedykolwiek będą szczęśliwi, zastanowił się. Wszystkie ich spotkania – o ile w ogóle nastąpią – z konieczności staną się bezowocną konstrukcją, w której żadne z nich nie może czuć się w pełni szczęśliwe. Gdyby zaś dopuścili do katastrofy, czy potrafiliby żyć z konsekwencjami? Jakaż więc mieli przed sobą szansę na szczęście?

Przy stoliku nieopodal jego okna starszy mężczyzna w błękitnym staromodnym stroju plażowym spoglądał na siedzącą naprzeciwko kobietę.

Nie ulegało wątpliwości, że ją kocha. Thomas mógł zaciągnąć zasłony, wołał jednak nie rezygnować z bliskości tamtej pary, którzy również mogli być potajemnymi kochankami. Ich widok dodawał otuchy i Thomas uznał go za dobry znak.

Łatwo było mówić o niesprawiedliwości tego, co się stało. Mimo to właśnie on nie pojechał wtedy do Middlebury; ona zaś nie napisała tamtego listu. Dlaczego nie wyłamał drzwi, żeby się do niej dostać?

– Przepraszam – zabrzmiał z tyłu głos Lindy.

– Nie przepraszaj – odrzekł, podchodząc do niej.

Odwróciła się, nie chcąc, by ją pocałował, nawet w policzek, a potem usiadła na łóżku. Angielka, która jej pomogła, postawiła na toalecie otwarte butelki z wodą mineralną i colą.

– Niech pan da jej parę łyków coli – poradziła. – To pomoże uspokoić jej żołądek. Choć bardzo bym się zdziwiła, gdyby zaraz nie usnęła.

Po wyjściu tamtej kobiety Thomas zdjął Lindzie sandały. Zauważył jej brudne stopy, pobrużdżone na piętach. Nogi o barwie spieczonych tostów ostro kontrastowały z mlecznobiałą cerą; nogi i twarz zdawały się należeć do dwu różnych osób. Zauważył, że miała wyschnięte i popękane wargi.

– Powinnaś się napić – powiedział.



Przyniósł jej szklankę wody i podtrzymał głowę, Linda była jednak niemal zbyt zmęczona, żeby przetykać. Strużka wody spłynęła jej na szyję; wytarł ją skrajem prześcieradła. Nie próbowała zdjąć sukienki i znowu położyła się na łóżku. Traciła i odzyskiwała świadomość, wypowiadając jego imię i powtarzając “przepraszam”. Oparł poduszkę o wezglowie i usiadł z ręką na włosach Lindy – raz głaszcząc je, innym razem po prostu ich dotykając. Wydawało się, że kryzys minął, choć Thomas wiedział, że mogą upłynąć dni, zanim Linda będzie w stanie cokolwiek przełknąć. Miał nadzieję, że to nie zatrucie skorupiakami. (Pewnie została zaszczepiona przeciw cholerze, pomyślał). Mimo to cieszył się, mogąc przy niej posiedzieć, podobnie jak cieszył się chwilami spędzonymi w pensjonacie w Łamu. Myśląc o pensjonacie, przypomniał sobie pana Husseina, który może się niepokoić, kiedy Thomas nie wróci na noc. Pomyślał, żeby zadzwonić, ale potem uświadomił sobie, że nie zna ani numeru telefonu ani nazwiska właściciela pensjonatu. Spojrzawszy na zegarek, uznał, że wszystkie muzea są już pewnie zamknięte.

Obudził ją atak mdłości. Zerwała się, jakby coś ją przestraszyło, po czym popędziła do łazienki. Thomas nie ruszył się z miejsca; wiedział, że wołała, aby ją teraz zostawić w spokoju. Miał nadzieję, że kiedyś o tym porozmawiają (“Pamiętasz tamten dzień w Łamu? Kiedy zachorowałam?”. “To jeden z pięciu czy sześciu najważniejszych dni w moim życiu”. “A pozostałe?”. “Na przykład dzisiejszy”). Może nawet będą się z tego śmiać. Każda minuta niosła zapowiedź przyszłości, jednocześnie zawierając w sobie przeszłość.

Właścicielka przyniosła mu posiłek (zapobiegliwie postarała się, by jedzenie nie miało mocnego zapachu), ale Thomas pozostawił jedzenie pod serwetką, dopóki Linda ponownie nie zapadła w sen. Jego też rozboleła głowa, był to skutek nadmiaru alkoholu. Linda obudziła się po północy, podczas kiedy on drzemał. Kiedy się ocknął, usłyszał szum wody napuszczanej do wanny. Postanowił nie wchodzić do łazienki, chociaż bardzo chciał zobaczyć Linde w kąpieli. Uzmysłowił sobie, że nigdy nie widział, jak się kąpała, po czym pomyślał o wszystkich innych rzeczach, których razem nie robili – o gotowaniu, chodzeniu do teatru, czytaniu niedzielnej gazety. Skąd to przytłaczające pragnienie dzielenia z nią monotonnej rutyny codziennego życia?

Wyszła z łazienki w hotelowym szlafroku i usiadła obok niego. Miała zapadniętą twarz. Ogarnął go wstyd z powodu własnego nieumytego ciała.

– Muszę się wykapać – powiedział.

– Nie teraz – szepnęła. – Przytul mnie.

Zsunął się z łóżka i wtulił w jej plecy.

– To było głupie – dodała. – Ten homar.

– Myślisz, że to to?

– Wiem, że tak.

Pokój oświetlony był jedynie światłem padającym z łazienki.

– Rano wsiądziesz w samolot – oświadczył Thomas.

– Peter spodziewa się, że wrócę autobusem.

– Nie możesz jechać autobusem. To wykluczone.

Nie oponowała.

– Dopilnuję, żeby zadzwonili do niego z hotelu.

Poczuł, jak z jej ciała ustępuje napięcie.

– Wiesz, gdzie się zatrzymał? – zapytał.

– W Ocean House – odrzekła, przymykając oczy.

Leżał przy niej aż do świtu, przysypiając od czasu do czasu. Następnie ostrożnie wstał, wziął klucz i wyszedł z pokoju. Hol świecił pustkami. Thomas poszukał książki telefonicznej, ale jej nie znalazł. Nic dziwnego. Podniósł słuchawkę – czarnego, staroświeckiego aparatu – poprosił o numer informacji w Malindi. Kiedy go uzyskał, zadzwonił i poprosił zaspaną recepcjonistkę o połączenie z pokojem Petera Shacklanda. Czekał, postukując nerwowo piórem w drewniany blat biurka.

– Słucham? – Wypowiedziane brytyjskim akcentem, słyszalnym na wet w pojedynczym stawie. Nic mu o tym nie wspominała.

– Peter Shackland?

– Tak jest. – Brytyjski i pełen chłopięcego wdzięku. Niezawodne połączenie.

– Dzwonię z Hotelu Peponi na Łamu.

– Naprawdę? Peponi? Czy z Lindą wszystko w porządku?

– Miała drobne zatrucie – powiedział Thomas. – Uważa, że przez ho mara, którego zjadła. Prosiła, żebyśmy poinformowali pana, że rano przy leci do Malindi. Samolot wylatuje za kwadrans ósma. Przykro mi, ale nie wiem, o której będzie na miejscu.

– Pewnie około wpół do dziewiątej. – Cisza. – O Boże. Biedactwo.

Oczywiście, że tam będę. Czy wezwano lekarza?

– Może w Malindi będziecie mieć więcej szczęścia.

– No tak, rozumiem. Dobrze. Czy ona teraz śpi?

– Chyba tak.

– No dobrze. Cóż, dziękuję panu. Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska...?

Pytanie zbiło Thomasa z tropu.

– John Wilson – rzucił pośpiesznie, zapożyczając z nazwy lotniska.

– Amerykanin.

– Tak.

– Pracuje pan u Marguerity?

Thomas nie zapytał nawet właścicielki hotelu o imię. – Tak.

– Cudowna kobieta. Nie ma pan pojęcia, w jaki sposób Linda tam trafiła, co? Miała się

zatrzymać w Petley. Pewnie hotel był pełny?

– Chyba tak.

– Nieważne. Jutro sam ją zapytam. Dzięki za opiekę – powiedział mężczyzna o imieniu Peter.

– Nie ma za co – odparł Thomas.

Odłożył słuchawkę na widełki i przeszedł z holu na werandę. Powietrze było rześkie, ocean prawie bez jednej zmarszczki. Peter, który był Anglikiem, znał Margueritę. Peter, który znał Peponi, musiał kiedyś zabrać tu Linde na wakacje.

Thomas zdjął buty. Niebo na horyzoncie poróżwiało. Ruszył przez plażę, wilgotny piasek przyjemnie chłodził mu stopy. Nie zapyta Lindy, dlaczego nie powiedziała, że Peter jest Anglikiem, nie zapyta też, czy kochała się z nim w jednym z pokoi znajdującego się za nim hotelu. Łódź rybacka płynęła wzdłuż brzegu; siedzący w niej mężczyzna zwinnie wychylił się przez burtę, zarzucając sieć.

Nie pójdzie daleko. Za półtorej godziny – teraz już mniej – wsadzi do samolotu kobietę, którą utracił, po czym znów odnalazł.

15 lutego

Kochany Thomasie,

Chciałam Ci podziękować i przeprosić Cię, choć wiem doskonale, że nie chcesz ani mojej wdzięczności, ani przeprosin.

Czuję się tak, jakbym całą siebie zostawiła w Łamu. Czuję się wydrażona i pusta bez Ciebie.

Kilka dni, które upłynęły od powrotu do Malindi, jest niewarte wzmianki. Mieszkałam w hotelu, dopóki nie wyzdrowiałam na tyle, by wrócić do Nairobi, a potem do Njia. W Malindi Peter wezwał lekarza – zapijaczonego konowała, za wszelką cenę pragnącego porozmawiać o starych dobrych czasach – i nie licząc pigułek, których nazwy nie zapamiętaliśmy, a które, o dziwo, podziałały, okazał się całkiem bezużyteczny i nie zdołał nawet postawić jakiegokolwiek diagnozy. Mimo to nadal uważam, że to musiał być tamten homar. (Chyba mogę Ci obiecać, że do śmierci nie wezmę homara do ust!).

Ach, Thomasie, umieram z tęsknoty za Tobą. Zadawałeś mi pytania zrozumiałe w kontekście świata, który oboje zamieszkujemy, ja zaś zbyłam Cię krótkimi odpowiedziami, ponieważ nie chciałam myśleć o tym, jak to się wszystko skończy. Nasza sytuacja wydaje mi się tym bardziej niesprawiedliwa, że mieliśmy dla siebie tak niewiele czasu. A może łudzę się, myśląc, że mamy prawo do choćby minuty wykradzonej z małżeńskiego życia? Czasem żałuję, że tak bardzo nienawidzę Boga; gdybym była Mu posłuszna, życie stałoby się o wiele łatwiejsze.

Prawie nie pamiętam naszej ostatniej wspólnej nocy, pamiętam jednak doskonale czas

spędzony w uroczym pensjonacie. (Pamiętam też, że nie zapytałam, jak go znalazłeś). Co za niezwykle pokój! Otwarty na niebo, zupełnie jakbyśmy nie mieli nic do ukrycia. Płatki jaśminu na poduszce niczym pamiątka nocy poślubnej. Jakżebym chciała tam wrócić i bez końca siedzieć w tym domu, będącym zapewne najbardziej wyjątkowym miejscem w całym Łamu. Czy może one wszystkie są równie zmysłowe i piękne?

Budzę się rano i idąc do pracy, myślę o Tobie. Wieczorem wracam do domu, za dużo piję. Próbuję utopić podniecenie, zagłuszyć emocje. Peter wchodzi i wychodzi, czeka, aż dojdę do siebie, tymczasem ja nie mam serca powiedzieć mu, że to nigdy nie nastąpi. Nie spaliśmy ze sobą od dnia, kiedy Cię zobaczyłam, co przypisuje mojej chorobie. Masz, co chciałeś wiedzieć. Nie musisz mówić o Tobie i Reginie. Ja nie chcę wiedzieć. Jeśli ze sobą nie spaliście, będę się czuła winna z jej powodu. Jeśli tak, nie jestem pewna, czybym to zniosła.

Tak bardzo się od siebie nie różnimy, Ty i ja.

Nasze problemy wydają się jednak takie nikłe wobec tego, co oglądamy na co dzień, prawda? Nie dalej jak wczoraj poznałam kobietę o imieniu Dymphina; ma dwadzieścia cztery lata i trójkę dzieci, których do zeszłego tygodnia nie widziała ponad rok. Mieszka w jednoizbowej chałupie dobudowanej do długiego drewnianego budynku w Nairobi. Zostawia dzieci z matką w Njia, żeby zarobić pieniądze na ich szkołę albo, jak to określa, “poszukać swojej fortuny”. Owa “fortuna” wynosi czterdzieści dolarów miesięcznie, które otrzymuje jako służąca u europejskiej rodziny. Haruje od szóstej rano do siódmej wieczorem, sześć dni w tygodniu, wyciągając dniówkę w wysokości dolara pięćdziesiąt. Z tych czterdziestu dwadzieścia wysyła dzieciom, a dziesięć płaci za pokój, choć nie ma w nim ani elektryczności, ani bieżącej wody. Często boi się w nocy, ponieważ pijani mężczyźni z pobliskich barów próbują sforsować jej zamknięte na klucz, ale dość słabe drzwi. Poznałam tę kobietę, kiedy jej matka przyprowadziła ją do mojej klasy; chciała, abym pomogła jej córce, bo jest chora. “Cycki mnie bolą” – poskarżyła się Dymphina.

Fakt, że się nie widzimy, jest niczym wobec tego wszystkiego. Dlaczego więc nie potrafię myśleć o niczym innym?

Wraz z listem wysyłam Ci pudełko, które kupiłam w Malindi. Nie jest z alabastru, choć udaję, że jest.

Całuję,

L.

20 lutego

Kochana Lindo,

Czekałem i czekałem na jakieś wieści od Ciebie, chory z niepokojem o Twoje zdrowie. A także przekonany, że więcej nie napiszesz. Że potraktujesz incydent z Łamu jako to, czym się

wydawał, a czym nie był: karę za naszą miłość.

Muszę się z Tobą zobaczyć. Pozwolisz mi przyjechać do Njia? Możesz wskazać dzień, kiedy Petera nie będzie?

Z trudem pozostaję przy zdrowych zmysłach. Palę i piję za dużo. To chyba jedyne antidotum. Regina zauważyła moje rozdrażnienie, lecz bierze je za ogólne niezadowolenie, które już wcześniej mnie nachodziło i które przyjmuje jako normę. Prawie nie mogę rozmawiać ani z nią, ani z kimkolwiek innym. Jestem zbyt niecierpliwy; pragnę rozmyślać jedynie o Tobie.

Pracuję. Piszę o Tobie. Co dziwne, nie o Tobie w Afryce, lecz w Hull. Nie rozumiem Afryki. Widzę to czy tamto (kwitnące lobelie, turystę krzyczącego na azjatyckiego sprzedawcę, hienę przyczajoną na skraju lasu) i odnoszę wrażenie, że oglądam jakiś egzotyczny, sugestywny film. Film, który mnie samego nie dotyczy. Nie jestem częścią obsady, tylko siedzę na widowni. Przypuszczam, że upoważnia mnie to do krytykowania tego filmu, lecz nie czuję się na siłach nawet do tego.

Dziękuję za kamienne puderko Kisii. Zachowam je na zawsze. Wyobrażam sobie, że ma ono nawiązywać do pudelka, w którym Magdalena podobno nosiła cenne olejki? (Widzę, że przeprowadziłaś własne badania). Znam Cię zbyt dobrze, by uznać, że tym gestem gloryfikujesz mężczyzn albo jednego mężczyznę, przyjmuję je więc jako dowód miłości, i wiem, że tak jest. Tak czy inaczej, Bóg mieszka w nas wszystkich. Czyż nie to właśnie mówiłaś?

Plany dotyczące Ndegwy “rozkrecają się”, używając tutejszego sformułowania. Czy piątego będziesz w Nairobi? Załatwię Ci zaproszenie na przyjęcie. Przyjdzie wiele osób, które warto poznać, na czele z Mary Ndegwą. Właśnie wydała pierwszy tomik poezji – bojowej, nieoszlifowanej i głęboko rytmicznej, co lubię. Byłoby nie fair mówić, że skorzystała z rozgłosu, jaki wywołało aresztowanie jej męża, ale taka jest prawda. Wydaje się niewzruszonym okrętem pośród burzy i brnie naprzód bez względu na kontrowersje. Interwencja w sprawy rządowe powoduje sytuację podobną do wkładania kija w gniazdo węży. Na tym etapie Mary ryzykuje własną wolność. Ja zaś ryzykuję ewentualną deportację (zanim Cię spotkałem, było mi to obojętne; teraz jednak stałoby się torturą i nalegałbym, żebyś też wróciła do domu. Pewnie nie mogłabyś tego zrobić przed wygaśnięciem Twojego kontraktu; do jakiego stopnia przestrzega się jego ustaleń?). Regina krzywo patrzy na moje zaangażowanie w tę sprawę. Uważa je za nieszczerze, co – pomimo mojego podziwu dla Ndegwy i oburzenia na to, jak został potraktowany – jest całkowicie zgodne z prawdą. Nie mam pojęcia, po co to wszystko robię. Odnoszę wrażenie, że podchwyciłem to tak, jak podchwytuje się najnowszy trend, zwłaszcza że jakakolwiek zmiana sytuacji będzie możliwa dzięki uczestnictwu w wystawnych przyjęciach. Ścisłej rzecz biorąc, Regina boi się, że moje działanie doprowadzi również do jej deportacji albo tutejsze władze odbiorą jej stypendium. (W kraju podobnego bezprawia wszystko jest możliwe). Ndegwa, gnijący w więzieniu za napisanie marksistowskich wierszy w narzeczu kikuju (więźniowie

polityczni nie są traktowani najlepiej; zresztą nawet “dobre” traktowanie w kenijskim więzieniu nie byłoby doświadczeniem, z którego Ty i ja wyszlibyśmy bez szwanku), ryzykuje życie. Mam nadzieję, że wiemy, co robimy.

Mój wojskowy w ambasadzie oczywiście nie ryzykuje nic.

Kennedy ma przyjechać piątego. Mój wojskowy jest w siódmym niebie. Popołudniu odbędzie się przyjęcie, wieczorem zaś spotkanie charytatywne, po którym Kennedy ma pojechać na safari (podejrzewam, że stanowi to zasadniczy cel jego wizyty). Następnego ranka spotka się z Mary Ndegwą. Ja będę dyskretnie czuwał nad przebiegiem wydarzeń, myśląc cały czas tylko o Tobie.

Dostałem wiadomość od Amnesty International. Zgodnie z moimi oczekiwaniami wystosowali już oficjalny protest.

Chciałbym kiedyś napisać o odwadze Ndegwy. Mówiłem Ci, że urodziliśmy się tego samego dnia w tym samym roku, dwanaście tysięcy kilometrów od siebie? To niesamowite, że gdy ja znalazłem się w sterylnych objęciach lekarza matki, Ndegwa przyszedł na świat na trzcinowej macie w glinianej lepiance, z pomocą pierwszej żony swego ojca. Pamiętam, że kiedy go poznałem, traktowałem nas obu jak równoległe linie, które zrzędzeniem losu splotły się w Nairobi. Dorastał podczas powstania Mau Mau i z powodu panującego wówczas chaosu rozpoczął edukację, dopiero mając dziesięć lat. Jako dziecko uczestniczył w egzekucji swego ojca, zastrzelonego nad własnoręcznie wykopanym grobem. Zanim się poznaliśmy, dogonił mnie pod względem wykształcenia: ba, pozostałem daleko w tyle. Na uniwersytecie wiele się nauczyłem od niego o czystej naturze klasycznej formy, czego się nie spodziewałem. Chciałbym stworzyć jego portret, uwypuklając kontrasty pomiędzy jego przeszłością pastucha i obecnym statusem na uniwersytecie; bataliami prawnymi, mającymi na celu uniknięcie konieczności zapłacenia za żonę daniny złożonej z kóz i owiec; opisując jego potajemną poligamię, a także zdradzenie mi, że wymienianie żon jest uświęconym tradycją obyczajem Kikuju, oraz wieczny marazm, związany z poczuciem ryzyka i straty wynikającym ze zbyt pośpiesznej podróży przez historię.

A jednak wiem, że to nie ja stworzę ten portret. Zawsze, zawsze istniała między nami bariera, swoista niemożność przekroczenia granicy dzielącej nasze kultury, linia demarkacyjna najeżona drutem kolczastym błędnie odczytanych symboli, przepaść dzielących nas doświadczeń. Raz po raz gubiliśmy się po drodze, i kiedy zdawało się, że jesteśmy tuż-tuż, grunt usuwał się nam spod nóg, stawiając nas po przeciwnych stronach barykady.

Napisz jak najszybciej. Powiedz, że przyjedziesz, albo pozwól mi przyjechać do Ciebie. Kocham Cię. T.

PS Z dzisiejszych stron gazet: “Kurczą się zapasy żywności i paliwa”.

24 lutego

Kochany Thomasie,

Dostałam Twój list razem z zaproszeniem na przyjęcie w ambasadzie i od tamtej pory nie mogę myśleć o niczym innym. Wiem, że w ten weekend nie powinnam zbliżać się do Nairobi, że zamiast tego powinnam uciec do Turkany lub Tsavo, jak najdalej. Lecz – zrzędzeniem losu – Peter chce, żebym właśnie wtedy pojechała z nim do miasta, ponieważ przyjeżdża jego dawny przyjaciel ze szkoły i mam go poznać. Jeśli zdecyduję się przyjąć zaproszenie na przyjęcie, będę musiała zabrać ze sobą Petera; w gruncie rzeczy nie mogłabym pójść bez niego. Może nawet wybierze się z nami jego przyjaciel, zobaczymy. To chyba nie byłby problem? Naprawdę chciałabym poznać Mary Ndegwę i okazać swoje poparcie dla sprawy, choć przede wszystkim przyjdę z Twojego powodu.

Nie mogę jednak nic obiecać.

Piszę do Ciebie z jeziora Baringo. Peter już dawno chciał odwiedzić tę dziurę i postanowiłam przyjechać tu na weekend wraz z nim. Od pewnego czasu skaczemy sobie do oczu – to wyłącznie moja wina, taka jestem roztrzęsiona – i miałam nadzieję, że dzięki temu emocje nieco opadną. (Byłam w błędzie: tu nie pomoże nic prócz tego, czego zrobić nie mogę, a mianowicie pójścia z nim do łóżka. Zrobiłabym to jedynie z czystej litości, choć obawiam się, że nie poprawiłoby mi to nastroju. Dlaczego miłość zmusza nas do podłych wyznań?).

Znajduję tu więcej powodów do strachu niż wszędzie, gdziekolwiek byłam. Okolice jest mało sympatyczna i niegościnna, twardą i szaroburą ziemię porastają jedynie krzewy cierniowe. Szczątkowa zieleń wydaje się równie przykurzona jak czarne ciała malutkich dzieci, które z tego powodu sprawiają wrażenie starców. Jezioro, z wyspą pośrodku, jest brunatne i aż roi się w nim od krokodyli. Wczoraj wieczorem Peter pływał o zachodzie słońca, a dzisiaj rano słyszałam chłopot potężnego cielska w wodzie. To pewnie hipopotam. Mimo to wszędzie, nawet w tym krajobrazie, którego wygląd wyklucza jakiegokolwiek przejawy młodości, tętni życie – głośne, kakofoniczne, pulsujące i wartkie. Jaszczurka właśnie przemyka po moskitierze, pożerając komary. Kormorany, niczym starzy kpiarze, łążą po gałęziach przed i naszą “chatą”, która bardziej przypomina drewniany namiot z osłoniętym gankiem niż prawdziwy dom, a oka moskitiery są tak szerokie, że rzesze latających owadów bez trudu przedostają się do środka. Na moim stoliku piętczą się butelki po piwie, krążki odstraszaające komary, papier listowy i długopisy. Po drugiej stronie drogi cztery kobiety w spłowiałych czerwonych kaftanach rozczesują włosy. Panuje nieznośny upał; skórę muska mi jedynie prawie niewyczuwalny powiew wiatru. Powietrza zdaje się wystarczać tylko po to, by oddychać, lecz na niewiele więcej. Żar osłabia, światło paraliżuje, moskity przenoszą malarię. Znikąd wytchnienia.

Kilka minut temu drogą przetoczyła się ciężarówka, wzbijając wielki obłok kurzu. W szarej chmurze dojrzałam małą, skaczącą postać, przypominającą ptaka, który próbuje poderwać się

z ziemi. Kiedy jednak kurz opadł, zobaczyłam, że to tylko chłopiec, goniący ciężarówkę ze swoim koszykiem. Pojazd stanął i chłopiec wyciągnął koszyk, czekając, aż jadący napelnią go resztkami nienadającymi się na targ, nad których jakością lepiej się nie zastanawiać. Mogłam wyjść na drogę, by przyjrzeć się temu z bliska, lecz nie zdołałam wykrzesać z siebie dość energii. Wołałam uchwycić ten obrazek w locie, dokładając do niego własną wizję. Czy na tym polega bycie pisarzem? I na jakiej płaszczyźnie życia jest to istotne przedsięwzięcie? I co tego typu ćwiczenie daje ludziom – prócz pochopnego zniekształcenia rzeczywistości? Chcąc przekazać czytelnikowi pełnię zdarzenia, musiałabym przedstawić tę scenę z najdrobniejszymi detalami albo zrekonstruować ją tak, aby oddawała część prawdy o naturze kobiet, małych dzieci oraz sprzedawców mięsa. A tego nie potrafię.

Sądziłam, że to Ty kochasz bardziej. Ale to nieprawda, bardziej kocham Cię ja.

Ciągle płaczę. Właściwie cieszę się, że jesteś daleko i nie możesz tego widzieć. Peter jest zbity z tropu; nic dziwnego. Pozwoliłam mu myśleć, że to przedłużona burza hormonów. On na to wszystko nie zasługuje.

Zostawię Ci wiadomość na tablicy ogłoszeń. Ty będziesz Roger, ja Gabrielle. Zawsze marzyłam o bardziej egzotycznym imieniu.

\* \* \*

Drzemał na łóżku w ubraniu, kiedy obudziły go ibisy. Drzemał, ponieważ marzył o odpoczynku, niezdolny znieść tych wszystkich godzin popołudniowych, które dłużyły się w nieskończoność, dzieląc go od chwili, gdy wraz z Reginą wsiądzie do escorta i pojedzie do ambasady amerykańskiej na przyjęcie. Bezskutecznie spróbował uciszyć pisaniem mętlik w głowie i rozkołatanę nerwy. Wcześniej tego dnia powrócił do Karen z miasta, gdzie na tablicy ogłoszeń kawiarni Pod Cierniem znalazł wyczekiwaną wiadomość. “Kochany”, napisała Linda i Thomas poczuł, jak ogarnia go fala czułości, choć wiedział, że była to z jej strony fałszywa wesołość, prawie nie do pomyślenia w równie desperackiej sytuacji. Pozory wesołości. Wesołość udawana. Czy w ogóle istnieli ludzie, zastanawiał się Thomas, którzy potrafili zdobyć się w miłości na nieustającą, autentyczną radość? Ich przedsięwzięcie wydawało się zbyt brzemienne w następstwa, by zagwarantować lekkość ducha. “Kochany, napisała, odliczam godziny do naszego dzisiejszego spotkania. To istne szaleństwo. Ale będę tam. Twoja Gabrielle”.

Odpisał: “Kochana Gabrielle. Żaden inny mężczyzna nie kochał bardziej kobiety. Roger”.

Psy z dużego domu, Cygan i Torca, jak zwykle spały w kuchni. Regina gotowała dla nich jedzenie, wpuszczała oba do mieszkania i urządziła im w kącie legowiska, przenosząc swój instynkt macierzyński na zwierzęta. Thomas lubił psy i musiał przyznać, że państwo Keefe, właściciele dużego domu, wykazywali daleko idącą obojętność wobec swoich podopiecznych,



którzy podobnie jak każde inne stworzenie lubili pieśczoćoty. Thomas widział przez okno Michaela, jak beczynnie przysiadł na kamieniu, jedząc gotowane mięso. Trawa zbrązowiała, drzewa zrzuciły liście i ogrodnik nie miał nic do roboty. Cały kraj czekał na deszcz.

Thomas odkręcił kran w kuchni (myśląc o filiżance herbaty) i ze środka wypadł z tuzin mrówek, topiąc się w strumieniu bieżącej wody. W porze suchej wszędzie roiło się od mrówek. Drażniły psy śpiące pod drzewami i gdy czasem wchodził do łazienki, widział szlak mrówek rozgniecionych przez Reginę. Gdzie ona się w ogóle podziewa? To do niej niepodobne, tak się spóźniać. Do niej, która zawsze przed przyjęciem spędzała półtorej godziny na przygotowaniach.

W ogóle dziwnie się ostatnio zachowywała. Zwykle przewidywalna i niezbyt skomplikowana, ostatnio wydawała się lżejsza, jakby straciła na wadze albo nauczyła się lewitować. Mówiła łagodnym, melodyjnym głosem, nawet podczas sprzeczki na temat sensu publicznego udzielania się w sprawie Ndegwy. "Rób, jak chcesz. Zawsze tak robiłeś". Thomas szczerze zdumiał się na te słowa. Naprawdę? Było to nieoczekiwane frapujące pytanie, jakby odkrył, że ktoś nakręcił film z jego życia i zaprosił go na premierę. Szczerze powiedziawszy, zawsze uważał, że wiecznie psuto mu szyki, nawet jeśli nie potrafił jednoznacznie określić, do czego właściwie dążył.

Rozłożył ubranie na łóżku. Dziś wieczorem ubierze się starannie. Kupił na tę okazję nowy szary garnitur i białą koszulę – ponieważ uświadomił sobie, że jego sprany i wypłowiały blezer nie nadaje się na równie uroczyste przyjęcie. Nie miał pojęcia, co powie Kennedy'emu. Człowiekowi interesującemu za sprawą procesów oraz ciężkich przepraw, które czyniły go zajmującym bez względu na jego kolosalne dziedzictwo. Kennedy nie będzie go pamiętał; Thomas miał zaledwie osiemnaście, dziewiętnaście lat, kiedy go poznał. Było to po śmierci Jacka i Roberta – i cała władza skoncentrowała się w jedynym żyjącym bracie. Ojciec Thomasa – utajony katolik pomimo domowej tyranii agresywnego kalwinizmu matki – odprawiał pokutę za pomocą polityki, zbierając na partię spore sumy pieniędzy od okolicznych demokratów, zamożnych bankierów i przedsiębiorców z południowego wybrzeża Bostonu. Sumy były na tyle duże, by zagwarantować wdzięczność oraz królewską wizytę. Wezwany przez ojca zaraz po powrocie ze szkoły – Cambridge leżało niedaleko Hull – Thomas widział senatora podczas obiadu, onieśmielony swym oczywistym brakiem politycznego zacięcia.

Na jego biurku w rogu sypialni stało kamienne puzderko Kisii. Kupił je podczas safari, powiedział Reginie. Wtedy, kiedy Rich kupił figurkę kobiety, pamiętasz? Tak, odrzekła, że coś sobie przypomina. Puzderko dotarło lekko nadtłuczone, co uczyniło je dla Thomasa jeszcze cenniejszym; niedoskonałość nadawała przedmiotowi pozory rzeczy używanej przez Linde. Przez chwilę chciał je ukryć i chować w nim jej listy, zaraz jednak porzucił ten niemądry pomysł, wiedząc, że schowane pudełko niewątpliwie wzbudziłoby niepotrzebną ciekawość. Włożył listy w jedyne miejsce, w którym Regina z całą pewnością by nie szperała – pomiędzy setki kartek

z brudnopisami wierszy. Jego poezja stanowiła ostatnią rzecz, do której Regina chciałaby zaglądać. Nie chodziło o to, że nie ceniła osiągnięć Thomasa; lubiła je, na swój sposób. Po prostu poezja ją nudziła, do przepisywanych zaś w nieskończoność brudnopisów zwyczajnie nie miała cierpliwości.

Czekali na deszcz. W kraju panowała taka susza, że ziemia zdawała się trzeszczeć. Mówiono, że bydło pada i niebawem wyczerpią się zapasy wody. W gazetach krzyczały nagłówki: “Wodny kryzys przyczyną zamykania hoteli”. Thomas zaczął, tak jak wszyscy, marzyć o deszczu i śnić o nim nocami. Deszcz jednoczył kraj na niespotykaną skalę; mzungu, Azjaci i członkowie walczących plemion wypatrywali w górze zabłąkanego obłoku, gotowi jednak świętować chwilę, gdy otworzy się niebo. Atawistyczna tęsknota zapadała głęboko w serce i ulewa jawiła się jako szczyt luksusu. Kurz pokrywał wszystko – buty, psy, włosy – i wdierał się w nozdrza. Dzienna racja wody wynosiła jedną wannę. Thomas ograniczył się do obmywania gąbką, żeby zapewnić Reginie przynajmniej pół wanny dziennie. Czasami jednak, chcąc się porządnie umyć, prosił, aby nie wypuszczała wody (uznał w duchu, że kąpiel w cudzej wodzie stanowi szczyt zażyłości). W gruncie rzeczy dziś też nosił się z tym zamiarem, lecz Regina bardzo się spóźniła – było już wpół do szóstej – zastanawiał się, czy po prostu nie napuścić sobie wody do wanny i nie wykąpać się pierwszy. Po namyśle jednak doszedł do wniosku, że w tym upale byłoby to skrajnie nieeleganckie.

Pomyślał o Lindzie w hotelowym pokoju z chłopięco przystojnym Peterem, przygotowujących się do wyjścia. Pomimo starań nie mógł wyobrazić sobie jej spokojnej; widział ją na granicy łez. Jej listy utrzymane były w dziwnym, rozpaczliwym tonie, który nie dawał mu spokoju; traciła panowanie nad sobą nawet szybciej niż on sam, jeżeli to w ogóle możliwe. Ich sytuacja była nie do zniesienia – nawet więcej, była niehonorowa, tak jakby pozostając z Regina i z Peterem, wykazywali brak godności i odwagi. Ale to niebawem musi się zmienić. Wyznania były nieuniknione, choć wzdragał się przed wynikającym z nich chaosem: pewnego dnia on powie Reginie (nie mógł sobie nawet wyobrazić tego poruszenia), a Linda Peterowi, który wyglądał na kogoś, kto mógłby przyjąć taką wiadomość z godnością, a nawet zbyć ją na swój chłopięco przystojny sposób (czysta mrzonka). Na co Thomas czekał? Na chwilę, kiedy Regina wyda mu się dość silna, by przetrwać tę sytuację bez uszczerbku, bez poddania się fali hysterii? Taka chwila może nigdy nie nastąpić, bez względu na nowy, łagodniejszy sposób bycia żony. Mimo to wiedział, że ludzie nie załamują się ot tak, nie rozsypują na kawałki. Żyją dalej. I wmawiają sobie, że tak jest lepiej, prawda?

Zapinając koszulę, usłyszał samochód Reginy na ubitym podjeździe. To niepodobne do niej tak się spóźniać. Przecież potrzebowała na przygotowania co najmniej godzinę! Czekał na wybuch paniki, hałaśliwe niezadowolenie spowodowane długim stanem w korku. Drogi po prostu się sypią, powie; na Al była burza piaskowa.

Ale nie to usłyszał.

– Jestem w ciąży – powiedziała od progu jego żona. Była rozpromieniona i zaróżowiona, jakby biegła, chcąc jak najszybciej oznajmić mu radosną nowinę. Wyglądała pięknie; sekret przydał jej blasku, jakiego Thomas nie widział u niej dosłownie od lat. – Pewne wyniki będą dopiero w piątek, ale doktor Wagnari uważa, że to trzeci miesiąc.

Stał jak wrośnięty w podłogę.

Poczuł, jak przez rysę we wszechświecie uchodzi wszystko to, co uważał za swoje życie, esencję i duszę, choć co do istnienia tej ostatniej nie miał dotąd stuprocentowej pewności. Fizyczne poczucie druzgoczącej straty oładnęło nim bez reszty, przynosząc jednocześnie osobliwą ulgę, jak na wskroś melancholijna refleksja. Nie mógł drgnąć ani przemówić, choć wiedział, że milczenie jest niewybaczalne i nigdy nie zostanie mu odpuszczone. W ciszy poczuł w sobie narastający krzyk, niemą skargę, która momentalnie wyparła ową dziwną ulgę, zastępując ją bezgłośnym lamentem. Jego życie się skończyło. Po prostu. Wraz z rozpoczęciem nowego istnienia.

– Co z tobą? – zapytała Regina, słysząc być może dalekie echo tego niemego krzyku. – Czemu tak stoisz?

– Jestem... – Nie wiedział, co powiedzieć. Jego mózg w rozpaczliwym akcie samoobrony zawiesił wszelkie procesy myślowe.

– Zamurowało cię – stwierdziła.

Stał nieruchomo. Ruch oznaczał przejście do kolejnego życia, życia, które nastanie po obecnym. To straszne, że równie radosna wieść była tak bolesna.

– Tak – wykrztusił z siebie.

To chyba wystarczyło. Regina objęła go jak znieruchomiłą figurę, a ramiona Thomasa, bezwładne dodatki, również odpowiedziały czymś w rodzaju uścisku.

– Och, mnie też zamurowało! – wykrzyknęła. – Kto by pomyślał? Bo że, czy to nie wspaniałe?

Jego dłoń, bez pośrednictwa sygnału z mózgu, poklepała ją po plecach.

– Tego zawsze pragnęliśmy – dodała z płaczem, chowając twarz w ramieniu Thomasa.

Ku własnej zgrozie sam też poczuł łyż pod powiekami i zamrugał, chcąc je powstrzymać. Mogły zostać poczytane za zdradę. Albo też błędnie odebrane jako sygnał radości.

Oderwała się od niego na wspomnienie upływającego czasu i codziennych spraw. Granica do nowego życia została przekroczona.

– Ale się spóźniłam! – zawołała wesoło.

Siedział na łóżku w bieliźnie i skarpetkach, w do połowy zapiętej koszuli, zaskoczony przez kataklizm niczym odnaleziona w Pompejach kobiety z garnkami w rękach. Od czasu do czasu, niezbyt często, przelatywała mu przez głowę niedokończona myśl, po czym ginęła w mglistej

pustce. Muszę ostrzec... i Gdybym tylko nie... W nielicznych chwilach szczególnej jasności umysłu myślał, podobnie jak wszyscy mężczyźni w podobnych okolicznościach: noc po przyjęciu u Rolanda. Za posłuszeństwo zegarowi biologicznemu on i Regina zostali nagrodzeni dzieckiem. Zaraz jednak mgła w jego głowie zawirowała i ponownie osunął się w nicość. Gorzka ironia. Czy przed chwilą nie zdecydował, że zachowa się odważnie i z honorem? Teraz to nie do pomyślenia. Niemożliwe. Honor i odwaga runęły na łeb na szyję.

Regina wyszła z łazienki, bardziej przestraszona niż zirytowana jego bezruchem i niedopiętą koszulą.

– Boże – powiedziała. – Naprawdę cię замуrowało.

Wyglądała kwitnąco. Miała na sobie prostą, czarną sukienkę na cienkich ramiączkach. Jej piersi uniosły się nieco i wysunęły do przodu, eksponując białe wypukłości. Rosła Regina, która z każdym dniem będzie stawać się coraz większa, nosząc w sobie jego dziecko.

– Jak wyglądam? – zapytała, obracając się radośnie.

Spóźnili się. Mógł powiedzieć “zenująco się spóźnili”, choć zażenowanie stanowiło aspekt poprzedniego życia. Weszli po schodach i wtopili się w tłum, gdzie głosy przekroczyły już przyzwoity poziom decybeli. Przyjęcie odbywało się w kilku pomieszczeniach podobnych do sal muzeum – napoje tu, przekąski tam. Ubrani na biało kelnerzy, dyplomatycznie jasnoskórzy, krążyli od sali do sali ze srebrnymi tacami. Idąca u boku Thomasa Regina w niecodzienny sposób przyciągała spojrzenia; blask emanował z niej jak pluton o wysokim izotopie. Jego własny radar był zwrócony w innym kierunku, uruchamiając osobisty system wczesnego ostrzegania. Musiał znaleźć Linde, zanim Regina otworzy usta. Wypatrywał jasnych włosów i krzyżyka; odnajdywał te pierwsze w ilości, która zaskoczyłaby naturę, za to drugiego było jak na lekarstwo. W obliczu katastrofalnych okoliczności pragnął jedynie zobaczyć Linde – choćby w przelocie – choć to zapewne mogło jedynie podsycić jego tęsknotę. Ze zdziwieniem przyjął cierpienie towarzyszące powrotowi do życia. Zdrętwiałe kończyny pulsowały wspomnieniem bólu.

Zamiast Lindy znalazł swojego konsula. Był wyraźnie przygnębiony, co w połączeniu z jego wojskowym wyglądem stanowiło smutny widok.

Nastąpiła wymiana uprzejmości, przedstawiono obie żony; Regina górowała wzrostem nad drobną, szarą kobietką w niebieskim kostiumie.

– Pański chłopak nie przyszedł – oznajmił konsul.

Początkowo nie wiedząc, o kogo chodzi, Thomas uznał, że gospodarz przyjęcia pomylił go z kimś innym. Naraz zrozumiał:

– Kennedy? – spytał.

– Nie przyjdzie. – Wojskowy solidnie pociągnął łyk czegoś, co wyglądało na czystą whisky. Bez lodu. Miał pobladłą i zapadniętą twarz.

– Co się stało?

– Coś mu wypadło. Tak przynajmniej mówią. – Konsul mówił przez zaciśnięte usta. Nie mógł się pozbierać. Jego żona wyglądała, jakby dała za wygraną już dawno temu.

– Jest w Kenii? – zapytał Thomas.

– Nie – odparł tamten w kolejnym przypiływie rozdrażnienia. – Właśnie o to chodzi.

Wypadało tylko okazać współczucie.

– Przykro mi – powiedział Thomas.

– To pańska balanga – odrzekł niepocieszony dyplomata.

Thomas potowarzyszył mu przez chwilę z grzeczności jak komuś, kto właśnie został zwolniony z pracy albo utracił cenny kontrakt. Jednocześnie mimowolnie lustrował tłum, starając się pogodzić uprzejmość ze sporadyczną nieuwagą. Wbrew oczekiwaniom Regina zachowała swą tajemnicę dla siebie; ostatecznie jednak nie знаła żony konsula. Thomas nastawił się na radosny słowotok, który niechybnie trafi do niepowołanych uszu. Może Regina po prostu zachowywała się rozsądnie, czekając na potwierdzenie diagnozy. W końcu kiedyś już straciła jego dziecko. Albo była przesądna, czego wcześniej nie zauważył.

Uwolnwszy się od zmartwionego dyplomaty (Regina została; najwyraźniej znalazła wspólny język z małżonką wojskowego), Thomas wyruszył na bardziej zdecydowane poszukiwanie Lindy. Pomimo że nie było to oficjalne przyjęcie, większość gości stawiała się w strojach wieczorowych. Zobaczył swego wydawcę i byłby go nawet zagadnął jako jednego z najbardziej interesujących tutaj ludzi, ale przejęty obecną misją, tylko mu pomachał. Dostrzegł też Rolanda, który go na szczęście nie zauważył, i znanego mu skądś – z uniwersytetu albo z Ciernia – dziennikarza. Mężczyźni i kobiety wydawali się pochłonięci rozmowami, których prowadzenie wymagało podnoszenia głosów do krzyku. Thomas wziął ze srebrnej tacy kieliszek szampana i odgadł, że kelnerzy są żołnierzami. Czy to możliwe? Przez chwilę rozważał prawdopodobieństwo, że byli szpiegami – pomysł rychło porzucony, przyjęcie stanowiło dość marną okazję do wyśledzenia czegokolwiek. Wciąż nigdzie nie widział Lindy. Mary Ndegwa zamachała do niego ze środka sali. Podszedł do niej jak służący przywołany przez ważną osobistość. Wyglądała majestatycznie w złotym turbanie i szacie, której barwa nasuwała skojarzenie z mirrą. Thomas nie mógł pozbyć się myśli, że uwięzienie męża pozwoliło jej ujawnić to, co być może stanowiło nieodłączny element jej natury, a mianowicie instynkt przywódcy. To z kolei nasuwało pytanie, co będzie, jeśli i kiedy Ndegwa zostanie wypuszczony.

– Panie Thomas – powiedziała. – Atrakcyjnie pan dzisiaj wygląda.

Poczucie władzy napełniło ją ochotą do flirtu.

– Nie bardziej niż pani – odrzekł zgodnie z oczekiwaniami.

– Miałam nadzieję, że poznam pańską żonę.

– Gdzieś tu jest – odparł Thomas, z wysiłkiem przeszukując wzrokiem gęstniejący z każdą

chwilą tłum. – Zaraz ją znajdę i przyprowadzę.

– Już panu dziękowałam za zorganizowanie tego wszystkiego – ciągnęła. – Pozwoli pan jednak, że zrobię to raz jeszcze?

– Nie trzeba – uciał Thomas, machając ręką. – Prawdę mówiąc, miałem w tym niewielki udział.

– Pan Kennedy nie przyjechał.

– Rzeczywiście. Bardzo mnie to dziwi.

– Nieważne.

W sumie nie, pomyślał Thomas. Teraz Mary Ndegwa stała się największą osobistością, choć gościli tu również chyba dwaj parlamentarzyści. Lista gości składała się głównie z osób, które konsulat chciał uhonorować zaproszeniem na przyjęcie uświetnione obecnością Kennedy'ego (którego, niestety, zabrakło).

– Jak się czuje Ndegwa? – zapytał Thomas.

– Boję się o niego – odrzekła, choć Thomas uznał, że nie wyglądała na przygnębioną.

– Pani książka dobrze się sprzedaje – zauważył.

– Tak. Bardzo dobrze. Ona również kiedyś zostanie zakazana.

– Jest pani tego pewna?

– Och, naturalnie, że tak – oświadczyła, rozbawiona faktem, że wątpi w coś tak oczywistego.

– Przykro mi to słyszeć.

– Panie Thomas, nie wolno ci nas opuszczać – powiedziała, dotykając jego ramienia.

Jej słowa trochę go zdziwiły. Nie miał zamiaru nikogo opuszczać, choć szczerze mówiąc, ostatnio nie poświęcał Ndegwie zbyt wiele uwagi. Szukał właściwej odpowiedzi, ale Mary Ndegwa nagle przestała się nim interesować i skierowała ponad jego ramieniem wzrok ku kobiecie, w której Thomas rozpoznał włoską dziennikarkę. Audiencja definitywnie dobiegła końca.

Przecisnął się na skraj zgromadzenia, próbując wyjść z budynku na papierosa, choć wewnątrz unosiły się już kłęby dymu i nie musiał zadawać sobie trudu. Chciał dalej wypatrywać Lindy, przejęty obawą, że w ogóle nie przyszła. Co się wtedy stanie? Czy jutro będzie musiał iść do hotelu Norfolk tylko po to, aby jej powiedzieć, że jego żona jest w ciąży? To nie do pomyślenia, zupełnie jakby Ziemia miała raptem zmienić swą trasę po orbicie.

Oparł się o ścianę na szczycie schodów i zapalił papierosa. Niektórzy wychodzili, inni dopiero pojawiali się na przyjęciu. Dochodziła ósma; wiedział, że niebawem wszyscy zaczną się rozchodzić na kolację. U stóp schodów stali wyprostowani żołnierze jako swoista gwardia honorowa, obok której paradowali goście w niewygodnych butach. Zobaczył ją, jeszcze zanim przekroczyła ulicę, w towarzystwie mężczyzny, który rozejrzawszy się dla bezpieczeństwa na prawo i lewo, ponaglił ją do przejścia. Na ramionach miała szal, przyciskała go do siebie na

wysokości talii; stanowiło to tak wierną analogię ich spotkania w Łamu, że zabrakło mu tchu z wrażenia. Zanim go spostrzegła, doświadczył słodkiej mieszaniny rozkoszy i bólu, obserwując, jak idzie przez ulicę, przebiega ostatni odcinek (niegrzeczny kierowca), po czym unosząc skraj białej płóciennej sukienki (uświadomił sobie, że na spotkanie w Łamu włożyła najlepsze rzeczy), wchodzi na krawężnik. I spoglądając na nią, zrozumiał przyczynę spóźnienia: piła. Skąd wiedział? Lekka utrata równowagi, kiedy Linda weszła na chodnik, podsunięta ręka towarzysza, tak jakby wiedział o jej stanie. To musiał być Peter, choć wyglądał dojrzej niż na fotografii.

Z pochyloną głową wkroczyła na schody, patrząc pod nogi. Nie zauważyła go. A jeśli zauważyła, odegrała bezbłędne przedstawienie. Musiał wyjść z cienia i wypowiedzieć głośno jej imię. Jej bardzo pospolite imię.

– Linda.

Nie, nie wiedziała, że tu był. Od razu to zauważył – na jej twarzy odmalowały się emocje, teraz już nie tak pilnie strzeżone. Zdumienie. Radość. Następnie przypomnienie. Postąpiła krok w jego kierunku. Poruszała się pewnie; może mylił się z tym piciem.

Jej towarzysz, lekko zdziwiony, również się odwrócił.

– Thomas – powiedziała. – Thomas – powtórzyła.

Pierwszy wyciągnął rękę, przedstawiając się mężczyźnie. Peterowi. Wyglądało na to, że Linda nie czuje się na siłach, by wypowiedzieć słowo “mąż”.

– Peter – powiedziała, dochodząc do siebie. – Thomas i ja znamy się od liceum.

– Doprawdy? – odezwał się, nieświadomie naśladując Reginę.

– Kilka miesięcy temu wpadliśmy na siebie na targu – dodała. – Pierwsze zaskoczenie mamy już za sobą.

Zapadła cisza, całkowicie zrozumiała w podobnych okolicznościach, nawet zwyczajna i obojętna, choć rzeczywiście. Przecież dziwili się swoją obecnością, przypadkowym spotkaniem. Tak bardzo się dziwili.

– Nadal mieszkacie w Njia? – zapytał Thomas, ni w pięć ni w dziewięć nawiązując rozmowę. Czy gdyby zamiast poety był dramaturgiem, stałby się przez to lepszym rozmówcą?

– Właściwie to Peter mieszka w Nairobi – odrzekła, tłumacząc to, co już zostało wyjaśnione.

– Plan pestycydowy – domyślił się Thomas.

Mężczyzna miał nieco szerszą szczękę niż na zdjęciu i wąskie ramiona, częste u Anglików. Mimo to był niezaprzeczalnie przystojny, jego gesty zaś – odgarnianie kosmyka włosów, dłonie do połowy wsunięte w kieszenie – sugerowały, że umiał też być czarujący. Naraz jednak Thomas dostrzegł zaskoczenie na twarzy Petera, jak gdyby mąż Lindy odebrał dziwny, a nawet alarmujący sygnał. Thomas zrozumiał, że usiłuje przypomnieć sobie, skąd zna ów głos; zastanawiał się, ile tamten potrzebuje czasu, by go zlokalizować w pamięci. Jakby w oczekiwaniu na to olśnienie Peter objął Linde ramieniem, zakrywając dłonią jej odsłonięte

ramię.

Fala cofnęła się niespodziewanie, pozostawiając Thomasa na brzegu jak bezradną fokę.

– A co ty robisz w Nairobi? – zapytał Peter.

– Moja żona pracuje dla UNICEF – odrzekł Thomas. I jest w ciąży, dokończył w myślach.

Chciał spojrzeć na Linde i jednocześnie bał się to zrobić. Walczył ze sobą jak zakochany małolat.

– Mają tam szampan i jedzenie – powiedział w końcu, uwalniając tam tych dwoje. Wskazał na drzwi, czując, jak wali mu się świat.

Poszła – z lekkim ociąganiem – z Peterem, Anglikiem. Thomas podążył za nimi, nie chcąc stracić jej z oczu, ledwo odnalezionej. Peter zachowywał się swobodnie. Thomas patrzył, jak Linda sięga po kieliszek szampana (przyciskając do siebie szal jedną ręką) i pije duszkiem, jakby gasiła pragnienie. Obserwował Petera pograżonego w rozmowie, nienawidząc go za jego urok, za sposób, w jaki schylał głowę, przysłuchując się komuś, kto go zawołał. Thomas zachowywał odległość na granicy bezpieczeństwa, nadal jednak zbyt dużą. Linda miała doskonałą sylwetkę, sukienka głęboko odsłaniała plecy (przypominał sobie skomplikowany stanik); ona nie wie, pomyślał. Ona nie wie.

Dostrzegł, że Roland, który torował sobie drogę przez tłum jak pyton (nie, to było niesprawiedliwe; Roland nie był taki zły), zmierza w jego kierunku. Rozejrzał się w poszukiwaniu drogi ucieczki, nie znalazł jednak żadnej, po czym uznał, że musi okazać uprzejmość szefowi Reginy bez względu na to, jak bardzo go nie znosił.

– Kim jest twoja przyjaciółka? – zapytał ku jego zdumieniu Roland.

– Jaka przyjaciółka? – Thomas udał, że nie rozumie.

– Ta, z którą rozmawiałeś na schodach. Za którą ciągle łązisz.

Thomas milczał.

– Ładna – zawyrokował Roland, spoglądając na Linde.

Stała bokiem do Thomasa; w pewnej chwili spojrzała na niego i uśmiechnęła się przyjaźnie. Uśmiechem, który w normalnych okolicznościach nie znaczył nic, teraz jednak oznaczał wszystko.

Roland znacząco pokiwał głową.

– No więc – naciskał, żądny sensacji.

– Po prostu chodziliśmy razem do szkoły – wyjaśnił Thomas. – Któregoś dnia po prostu na siebie wpadliśmy. – (Pomyślał, że powtórzenie zwrotu “po prostu” go zdradziło).

– Jasne – skwitował Roland, dając do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno słowo. – Jak chcesz.

– Jest tutaj Jane? – zapytał Thomas, nedorzecznie chcąc mu odpłacić podobną złośliwością.

Szef Reginy z lisim uśmiechem zmrużył oczy.



– A Elaine? – wypytywał Thomas.

– Oczywiście – odparł gładko Roland. – Och, a gdzie Regina?

Thomas zobaczył, jak żona podąża przez salę w jego kierunku.

– Właśnie tu idzie – odpowiedział.

– Zatem Kennedy nie przyjechał? – zapytał Roland.

– Niestety nie.

– Mam nadzieję, że nie przeżyłeś wielkiego zawodu.

– O dziwo, nie – odrzekł Thomas, porywając z tacy kolejny kieliszek szampana.

– Ach, piękna Regina – powiedział Roland, nadając pozornie zwyczajnemu komplementowi odpychające brzmienie.

Regina i Roland pocałowali się na powitanie jak ludzie, których łączy coś więcej niż zwykła przyjacielska zażyłość. Spojrzała na Thomasa i rozpromieniła się – wszystko wskazywało na to, że ich wspólny sekret pozostał nienaruszony.

– Szkoda, że Kennedy nie przyjechał – powiedziała współczująco do Thomasa. Jej rumieniec obejmował okolice dekoltu, przyciągając wzrok.

Thomas zobaczył, że spojrzenie Rolanda natychmiast powędrowało w tamtym kierunku.

– Jadłeś coś? – zapytała z niespotykaną troskliwością Regina.

– Nie jestem głodny – odrzekł Thomas, siląc się na spokój.

Kosztowało go to wiele wysiłku. Kątem oka dojrzał, że w wyniku jakiegoś nieznanego mu prawa fizyki tłumy przestrzeń dzieląca go od Lindy zmaląła, i wraz z Peterem nieuchronnie zmierzali w jego kierunku. Zauważył, że Linda pije szkocką (podobnie jak wcześniej wojskowy) bez lodu. Przez głowę przebiegło mu tysiąc powodów, dla których spotkanie Lindy z Reginalą i Rolandem było wysoce niewskazane.

– Poszukajmy Elaine – zaproponował Thomas, skupiając na sobie zdziwione spojrzenia tamtych dwojga. Ale było już za późno. Linda stała obok niego.

– Cześć – powiedziała z zaskoczeniem Regina. – Linda, prawda?

– Tak. Cześć. – Nagie ramię Lindy znalazło się obok łokcia Thomasa.

– Linda, to Roland Bowles. Przełożony Reginy w UNICEF.

– Miło mi. – Linda wyciągnęła rękę.

– Thomas i Linda chodzili razem do szkoły – wtrąciła Regina.

– No proszę – zdziwił się Roland. Obcesowo zmierzył Linde od góry do dołu spojrzeniem. Jezu, ten człowiek był nie do wytrzymania.

– Mieli też razem wypadek samochodowy – ciągnęła Regina. – Praw da, Thomas?

Na wzmiankę o wypadku serce na chwilę zamarło mu w piersi. Był pewien, że z Lindą dzieje się to samo.

– Stąd ma tę bliznę – uzupełniła niepotrzebnie głośno Regina, krzycząc jak wszyscy

zgrupowani na sali.

– Byłem ciekaw, skąd ją ma – powiedział Roland.

– To musiało być straszne – dorzuciła Regina, przenosząc wzrok z Thomasa na Linde i z powrotem. Nagle jednak na wspomnienie radosnej nowiny jej twarz złagodniała. Regina rozjaśniła się cała – do tego stopnia, że Thomas myślał, że zaraz coś powie.

– Prawie nic nie pamiętam – oświadczyła Linda.

Zupełnie jakby pomieszczenie wypełniło się maksymalnie, a temperatura wzrosła o sześć lub siedem stopni, nagle Thomas spociał się niemłosiernie pod białą koszulą i garniturem. Widział, że nad górną wargą Lindy perliły się krople, tworząc delikatny wąsik, który chciał zlizać językiem. Wraz z odczuwalnym wzrostem ciepła podskoczyła również temperatura jego emocji, potęgując doznania. I tak, kiedy spoglądał na Reginę, owładnęło nim klaustrofobiczne uczucie, które pozbawiło go tchu. Zastanawiał się, co nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, czy w gruncie rzeczy jej nie nienawidził, podobnie jak zadowolonego z siebie Rolanda. Przemądrzałego Rolanda, właśnie opowiadającego coś o Kingsleyu Amisie, swoim sąsiedzie czy kuzynie, wypytując, czy Thomas go zna. Thomas zastanawiał się też, czy przypadkiem nie nienawidzi chłopięco przystojnego Petera za sypianie z kobietą, którą kochał, i wiedział, że jest mu przeznaczona. Powietrze zgęstniało do tego stopnia, że nie był wcale pewien, czy nie nienawidzi i samej Lindy – za to, że zbyt późno powróciła do jego życia, budząc dawne emocje, które lepiej było pozostawić w spokoju. (Choć ściśle rzecz biorąc, to on powrócił do jej życia).

Cofnąwszy się od nich, ruszył przed siebie i brnął wśród wydekoltowanych sukni i wykrochmalonych gorsów. Ignorując wołanie, minął Azjatkę w jedwabistym sari i szczupłego Francuza (z tymi ustami mógł być tylko Francuzem); odniósł wrażenie – a może mu się jedynie wydawało? – że gdzieś z głębi tłumu słyszy uniesiony kłótlivy głos. Wiedział, że to przez pogodę – suchą jak wiór i przytłaczającą – która napinała skórę, zaciskała szczęki i uwalniała gniew tam, gdzie wcześniej byłby nie do pomyślenia. Dotarłszy do stołu, zatrzymał się, stojąc plecami do ludzi i nie chcąc nikogo oglądać.

Odwrócił się, słysząc swoje imię.

– Idź – powiedziała Linda, dotykając go wyciągniętą ręką.

Usłuchał; szukali jakiegoś pustego zakamarka wolnego od tłumu i wreszcie znaleźli się na korytarzu, skąd przeszli do pogrążonego w ciemności gabinetu. Linda otwarcie szła za nim, na oczach tych, którzy na nich patrzyli, lecz odczuwał taką radość, że omal nie pękło mu serce.

Wślizgnęła się do gabinetu i zamknęła drzwi na klucz.

Zrozumiał, że jest pijana, ale nie był w stanie się powstrzymać. To mógł być ostatni raz – to był ostatni raz – kiedy znaleźli się razem. Chwila podwójnie skradziona, jak pożyczka z rachunku bez pokrycia po wyczerpaniu pierwotnego kapitału. I nie myśląc o tym jak o oszustwie, potraktował jej nieświadomość jako łaskę. Jego własna rozpacz wystarczyła dla nich obojga.

W mroku odnalazł jej włosy i usta, całując na oślep. Ledwo widział jej twarz w świetle latarni padającym z ulicy. Napierała na niego, bardziej namiętna niż kiedykolwiek, bardziej doświadczona. Szarpali na sobie odzież, deptali po niej, nie tracąc czasu na guziki. Zdjęła buty i nagle stała się niższa, bardziej wiotka; oparli się o ścianę, a potem opadli na skórzany fotel. Przyklękli na dywanie pomiędzy fotelem i stołem; Thomas zawadził plecami o kant, myśląc, że kieruje nią jakiś wielki gniew, gdyż nie przypominała tamtej Lindy z wcześniejszych spotkań – zdesperowana jak on, kiedy chwilę wcześniej oderwał się od pozostałych. Odsunął od siebie pytanie, co mogą pomyśleć Regina, Peter i Roland. Ci teraz się nie liczyli. Nie teraz. Liczyłoby się tylko to, gdyby miało szansę przetrwać. Co tam, musi przetrwać. I powiedział albo to ona powiedziała: “kocham cię”, jak powtarzają sobie kochankowie, chociaż wiedział, że zdewaluowane słowa (czy nie mówił tak Reginie? A ona Peterowi?) nie tłumaczyły tego, co ich łączyło, na co miał tylko jedno określenie, jednocześnie puste i precyzyjne, które nieustannie kołatało mu w głowie: To, pomyślał. To.

I znowu: To.

Leżeli w ciemności gabinetu. Czuł pod głową zmięte ubranie, jej obcas kłuł go w udo. Ich nagie biodra zaklinowały się między nogą od stołu a fotelem. Może nie będą w stanie się podnieść, zmuszeni tu zostać, dopóki ich nie znajdą. Po omacku odnalazła jego rękę; splelił palce. Ów gest i sposób, w jaki opuściła ich złączone dłonie na podłogę, powiedział mu, że wiedziała. Wiedziała, że to ostatni raz. Gest wystarczył za wszystkie słowa. Albo po prostu Thomas był zbyt wyczerpany, aby szukać właściwych określeń.

Wstała i pozbierała swoje rzeczy. Patrzył, jak zapina skomplikowany stanik, wsuwa wygniecioną płócienną sukienkę, wkłada buty – odwrócenie porządku miłości, odwrócenie oczekiwań. Następnie, w chwili, którą miał zapamiętać na całe życie, uknęła i pochyliwszy się nad nim, tak że włosy utworzyły kurtynę oddzielającą ich od reszty świata, wyszeptła coś prosto w usta Thomasa.

To mogła być spowiedź.

Roland otaczał Reginę ramieniem. W rogu zakłopotany Peter mówił coś do odwróconej Lindy. Goście wychodzili – zwyczajnie, obojętnie, nieświadomi katastrofy, a jeśli nawet, to skwitowali ją kpiącym spojrzeniem z ukosa. Ta historia dołączy do panteonu frywolnych anegdot o cudzołożnej miłości w Kenii, jako dodatek do epoki Doliny Szczęścia. Albo nawet i nie. Wkrótce zostanie zapomniana, nie dotyczy bowiem osób dość ważnych, aby zapewnić sobie dłuższą egzystencję.

Thomasa ominął główny dramat.

W końcu świadomość sytuacji dotarła w głąb jego duszy. Duszy człowieka, który nie sądził, że ją posiadał. W głąb czegoś, czego nie potrafił nawet nazwać. Było to bajecznie proste: nie

mógł dopuścić, żeby Regina straciła dziecko.

Jej zawrodozenie rozbrzmiewało głośno na ulicy; w samochodzie rzucała się na boki, tłukła o drzwi i powtarzała bez końca: “spaleś z nią” i “jak często?”, wrzeszcząc na odpowiedzi i ich brak. Żądała dat i szczegółów, których nie chciał jej podać. W domu skuliła się w kącie, a gdy próbował jej dotknąć, zachowywała się jak szalona; pomimo swego stanu za dużo wypila. Zwymiotowała w łazience; chciała, żeby jej pomógł, jednocześnie życząc mu śmierci. Tymczasem on cały czas myślał: nie mogę dopuścić, żeby straciła dziecko.

Potrząsnął żonę, chcąc ją uspokoić. Perswadował jej łagodnie, żeby poszła spać. Szlochała, błagając, by ją objął; zrobił to, po czym zapadł w płytki sen, by po chwili obudzić się, słysząc nową serię łkań. Wściekłość, oskarżenia i groźby. Zabije się, powiedziała, i będzie miał na sumieniu dwie śmierci. Trwało to godzinami i było pozornie nie do wytrzymania – dla obojga. Zdumiewała go siła jej gniewu. Wreszcie zasnęła; na jakiś czas nastąpiła błoga cisza.

Rano Thomas postanowił, że musi to zrobić osobiście, a nie za pośrednictwem listu. Jedynym teatralnym gestem było wyjęcie jej listów z pudełka i schowanie ich do kieszeni.

Przebył najsmutniejszą drogę w swoim życiu. Kiedy zajechał na miejsce, Linda siedziała przy stole. Mogła tak siedzieć od wielu godzin, czekając i paląc. Nietknięta filiżanka kawy stała na wprost niej. Spojrzał na nieumytą twarz i włosy Lindy. Pewnie miała za sobą własny horror.

– Dlaczego? – zapytał w prawie pustej kawiarni.

Nie umiała znaleźć odpowiedzi.

– To musi się skończyć – powiedział. – Nie mam wyboru.

Nie musiał wspominać o ciąży Reginy, to zostało powiedziane poprzedniego wieczora, pod jego nieobecność. Linda nie musiała powtarzać, że go kocha; te słowa również już padły. Pod jego nieobecność. Choć słyszał je wystarczająco często w piskliwym głosie Reginy, kiedy miotła się po pokoju.

– Zawsze będę... – zaczął Thomas. Nie mógł dokończyć zdania.

Wówczas zabrzmiał potężny grzmot – błazen klasnął w dłonie na królewskim przedstawieniu (uwaga, panie i panowie!) – i lunął deszcz, nagły potop z nieba, który w jednej chwili rozwiązał tysiąc, nie, sto tysięcy splecionych węzłów emocji. Deszcz był ciepły, prawie gorący, kawiarniany parasol zatrzepotał, nie dając im żadnej osłony. Linda nie wstydziła się płaczu. Położył listy na stole i wsunął je pod jej rękę.

Zmusił się do odejścia, myśląc po drodze: to najgorsze, czego kiedykolwiek zaznałem. Już nic nie sprawi mi tyle bólu.

**Część trzecia**

**Siedemnaście**

Stoi na skraju moła w październikowym wietrze. Księżyc wisi wysoko na niebie i świeci tak jasno, że mogłaby czytać książkę. Chłopcy stoją w milczeniu za jej plecami, nie wierząc we własne szczęście. Jeden z nich woła: “nie”, ale ona wie, że nie wierzy we własne słowa, po prostu nie może się powstrzymać. Woda marszczy się w dole; dziewczyna wyobraża sobie, że dopłynie aż po sam horyzont. Podchodzi do krawędzi i w następnym momencie płynnym ruchem skacze.

Ocean zamyka się nad jej głową, woda otacza ją jak jedwab, co potem powie chłopcu, który wołał: “nie”. Sól kłuje w oczy. Przed powrotem na powierzchnię odpływa od moła, ciesząc się krystaliczną czystością wody, choć wie, że na dnie pewnie leżą stare buty, rozbite butelki, zużyte opony i strzępy bielizny.

Za chwilę wypłyne na powierzchnię przy wtórze okrzyków urzeczonych chłopców. Teraz jednak istnieją tylko czystość i mrok, stanowiące idealne połączenie.

\* \* \*

Zostaje odesłana na wiele lat. Słowo “szmata” leci przez pokój i uderza w nią jak kamień. Ciotka wraca za wcześnie i wrzeszczy na dziewczynę i mężczyznę, który ucieka jak przerażony owad. Ciotka podchodzi bliżej i wymachuje rękami, cała jest gniewem i cnotą, wykrzykując “dziwka” i znowu “szmata”, a potem “niewdzięcznica” i “suka”. Słowa dźwięczą w powietrzu jak uderzenia dzwonu.

Miejsce, do którego zostaje wysłana, jest piękne i surowe. Dom wznosi się ponad oceanem. Fale kojąco biją o brzeg, szepecząc coś obojętnie.

Dom przypomina jaskinię; mieszkają w nim dziewczęta kiedyś również nazwane dziwkami i szmatami. Mają nieduże sypialnie i chodzą do pobliskiej katolickiej żeńskiej szkoły, lecz centrum ich życia stanowi pranie. W piwnicy stoi sto balii i pralek, i gdy tylko dziewczęta nie są zajęte czym innym – lekcjami, nauką, snem, jedzeniem lub, w rzadkich wypadkach, oglądaniem telewizji – robią pranie. Dziewczęta takie jak ona, o rozgrzanych twarzach i zaczerwienionych od wody i proszku rękach, piorą rzeczy bogatych i znękanych: pościel i prostokątne obrusy, oksfordzkie koszule i sukienki, dziecięce śpiochy i brudne pieluchy. Linda odgaduje historię każdej rodziny, która oddaje tu rzeczy. Męskie i chłopięce kombinezony oraz sztruksowe koszule mówią o gospodarstwie bez kobiety. Prześcieradła poplamione podczas porodu świadczą same za siebie. Bokserki o zeszywniałym kroczu sugerują ukradkowe przyjemności, a zakrwawione kobiece majtki nie powiedzą nic, czego dziewczęta same by już nie wiedziały. To, że jakiś dom

nieoczekiwanie przestaje przysyłać dziecięce śpiochy, oznacza tragedię, którą należy przemilczeć.

Ręce dziewcząt są zawsze czerwone i nie sposób temu zaradzić żadną maścią. Pozostaną zniszczone przez lata, powtarzają im zakonnice, jako przypomnienie ich występków. Na długo staną się czerwonym symbolem wstydu.

“Dobra pogoda”. To zdanie stanowi hasło. Wilgotne pranie, które nigdy należycie nie wysycha w piwnicy, zostaje przypięte drewnianymi klamerkami do sznurków i łopocze na wietrze. Kiedy przynoszą bieliznę z powrotem do domu w wiklinowych koszach, rozsiewa wokół zapach słońca.

Wracając z lekcji, Linda widzi pranie na sznurku: akry kolorowych i białych plam drżących na wietrze. Widok zapiera dech w piersi; schnące rzeczy wyglądają jak pole bujnych kwiatów, czarodziejski łąk. Zakrwawione prześcieradła są czyste, bóle porodowe zostają zapomniane, a plamy żądz znikają bez śladu. Wydęte powietrzem koszule poruszają się jakby pochłonięte własnymi sprawami. Kombinezony prężą nogawki, koszule nocne falują ponętnie. Prześcieradła furkoczą na wietrze, żyjąc własnym życiem niezależnie zarówno od właścicieli, jak i dziewcząt.

Patronką domu jest Magdalena, jak zawsze, gdy chodzi o instytucje, które przyjmują zbłąkane dziewczęta, mające pokutować za popełnione bądź wymagane grzechy. Różnica jest niewielka: rodzice sami je tu oddają i płacą za ich pobyt. Gdzie indziej nieprzydatne pieniądze z ubezpieczenia są przysyłane przez bank na pokrycie rachunków Lindy.

Zdarza się, że jakaś zakonnica nazywa ten dom internatem dla młodych katoliczek. Nikt nie daje się na to nabrać.

Czasem jedna z dziewcząt ucieka – któż wie, dokąd? Inne rodzą dzieci, które im się odbiera. Niekiedy – rzadko – rodzina, której rzeczy są regularnie prane i dostarczane przez tę samą dziewczynę, przyjmuje ją pod swój dach.

Żadna z tych możliwości nie dotyczy Lindy.

W sumie nie ma ochoty uciekać. Nie widzi w tym żadnego sensu. Szkołę toleruje, ale lubi widok prania rozwieszonego na sznurku. Nauczyła się cenić jednostajny hałas białych przybrzeżnych fal, frontowy ganek i miłą zakonnice, która zaskarbiła sobie jej sympatię.

Na początku przychodzą listy od ciotki. Oficjalne sprawozdania z bieżących wydarzeń, lakoniczne notatki, tak jakby nic poważnego się nie stało. Jednakże miesiąc przed jej siedemnastymi urodzinami do domu dla zbłąkanych dziewcząt przychodzi inny list. Linda ma wrócić do domu. Linda Fallon wraca do domu. Tłumaczy zakonnicom, że nie ma domu, że jest

tam obca, że do skończenia katolickiej szkoły dla dziewcząt pozostał jej niespełna rok. Siostry tylko na nią patrzają.

“Musisz jechać, mówią, sprawdzając swoje księgi rachunkowe. Pieniądze się skończyły”.

Linda zachowała niewyraźne wspomnienia o matce i zgoła żadnych o ojcu. Jest pewna, że matka miała długie, ciemne loki. Śmiejąc się, zasłaniała usta dłonią. Nosiła cienkie wełniane sukienki ze zdobionymi kołnierzykami. Ubrana w futro szła ulicą, ściskając za rączkę małe dziecko. Na małe stopy wkładała zgrabne brązowe buciki.

Na zdjęciach ojciec jest wysokim blondynem o przerezedzonych włosach i pomimo krzywych zębów w pewien anemiczny sposób przypomina gwiazdora filmowego. Na przykład Lesliego Howarda. Na zdjęciach ojciec zawsze nosi filcowy kaszkiet i uśmiecha się łagodnie.

W sypialni na piętrze domu dla zbłąkanych dziewcząt Linda płacze z innymi mieszkankami. Histerycznie, jak wszystkie nastolatki w obliczu katastrofy. Obiecuje pisać i dzielnie uśmiecha się przez łzy, jak nauczyła się z jednego z nielicznych optymistycznych filmów, które pozwolono im obejrzeć.

Kiedy wraca do domu, odkrywa, że przyjaciel ciotki, mężczyzna, którego zawsze nazywali “wujkiem”, odszedł z inną kobietą, porzucając kochankę z szóstką jej własnych dzieci i jednym w szkole dla zbłąkanych dziewcząt. W wyniku tej zdrady ciotka z kuzynostwem przenosi się do coraz mniejszych domów, i po powrocie Linda zastaje ich w mieszkaniu w trzypiętrowym budynku.

Mieszkanie tworzą klitki pachnące dziecięcą oliwką i cebulą. Linda dzieli pokój z dwiema kuzynkami, Patty i Erin, których nie widziała przez trzy lata i które prawie jej nie pamiętają. Ciotka postanawia, że Linda będzie nosić rzeczy Eileen; na nowe nie ma pieniędzy. Ubrania niegdyś pasujące na Eileen, która wyjechała do Nowego Jorku szukać szczęścia, są trochę za małe na Linde, wyższą od kuzynki. Spódniczki o długości akurat mieszczącej się w wymaganiach publicznej szkoły oraz ciasne swetry z głębokimi wycięciami w serek. Lindzie, która od lat nosiła mundurek, ubrania wydają się dziwne i w osobliwy sposób ekscytujące, jak przymierzany kostium. Teoretycznie może stać się kimś innym.

W czterech ścianach wciąż pobrzmiwa słabe echo słowa “szmata”. Linda maluje usta jaskrawą szminką pożyczoną od Patty i uczy się układać włosy. Ciotka zaciska wargi, widząc jej młodość i urodę.

Kuzyni albo ignorują Linde, albo okazują jej ostrożne zainteresowanie. Wyczuwają w niej jakąś skazę, choć nie wiedzą, i nigdy się nie dowiedzą, czym właściwie zawiniła. Jest to tajemnica pomiędzy ciotką i Lindą.



Ciotka dobiega niewyobrażalnego wieku pięćdziesięciu dwóch lat. Ma pergaminową skórę, promieniste zmarszczki i lekko posiwiałe brwi. Od górnej wargi odchodzą głębokie bruzdy. Chcąc nadać sobie młodszy wygląd, ufarbowała włosy na blond, uzyskując dziwne połączenie miedzianego złota z ciemnosrebrnymi odrostami.

Codziennie chodzi do kościoła. Jej modlitewnik leży na poręczy sofy i jest jak bomba – bomba, która lada chwila wybuchnie liturgią oraz złowieszczą zapowiedzią konsekwencji grzechu.

W pierwszym tygodniu października Linda rozpoczyna ostatni rok w ponadpodstawowej szkole publicznej. Wkłada ciemną spódniczkę i białą bluzkę Eileen, ale odmawia, kiedy Patty proponuje, że pomaluje jej paznokcie.

Szkoła znajduje się na końcu długiego półwyspu. Na pierwszy rzut oka wygląda jak więzienie. Niski dom z cegły i stali ma płaski dach i otoczony jest parkanem, aby utrzymać uczniów z dala od wody. W pozbawionej drzew okolicy rozciąga się tylko asfaltowy parking. Jest to ten rodzaj budynku, gdzie człowiek podświadomie oczekuje widoku wieży wartowniczej.

Szkoła ma z otoczeniem niewiele wspólnego, jak gdyby celowo je ignorowała. Tego październikowego ranka ocean lśni, a niebo zyskuje barwę nieskalanego błękitu. W oddali Linda widzi Boston. Szkoła, podobnie jak samo miasto, stanowi swoistą anomalię: zupełnie jak gdyby robotnicza społeczność została przesiedlona na teren, który w innych okolicznościach stałby się najdroższą dzielnicą mieszkalną Bostonu.

Szyby wewnątrz budynku zmatowiały od morskiej soli oraz drucianej siatki założonej dla ochrony przed mewami, sporadycznie próbującymi sforsować okna, aby dostać się do środka. Chciałyby dostać się do uczniowskich śniadań. Jedną z najważniejszych zasad obowiązujących w szkole brzmi: nie karmić mew.

Kuzyni nie zachowali dyskrecji i plotki na temat Lindy huczą jeszcze przed jej przybyciem. Wicedyrektor, mężczyzna o nazwisku Constanza, mierzy ją baczny spojrzeniem, z miejsca odnotowując wszelkie odstępstwa od regulaminu.

– Nie noś tej spódnicy – mówi.

Pokazał, gdzie jej miejsce. Żeby sobie nie myślała.

Linda idzie korytarzami i staje przed pomarańczowymi drzwiami z wąską szczeliną szkła. Widzi przez nią nauczyciela oraz grupę uczniów – chłopców w kolorowych sportowych koszulkach, dziewczęta z kręconymi włosami. Kiedy otwiera drzwi, nauczyciel milknie. Twarze uczniów są zamazane. Następuje długa cisza, dłuższa, niż powinna – zdaje się przeciągać ponad wytrzymałość obecnych, choć z pewnością nie trwa dłużej niż dziesięć lub dwanaście sekund.

Nauczyciel, który nosi okulary w czarnych oprawkach, pyta o jej imię.

– Linda – odpowiada, żałując, że nie nazywa się Gabrielle albo Jacqueline. Jakkolwiek, byle nie Linda.

Nauczyciel wskazuje, by usiadła. Stukając obcasami butów Eileen, idzie i siada przy biurku za jednym z chłopców.

– Omawiamy Keatsa – mamrocze nauczyciel.

Linda patrzy na profil chłopca. Arystokratyczny i arogancki, myśli. Ma brązowe włosy, trochę tłustawe i dość długie, a kiedy się odwraca, widać męski zarys szczęki. Linda usiłuje nie patrzeć na okazały pryszcz na jego karku. Musi być bardzo wysoki, myśli, ponieważ nawet zgarbiony wydaje się wyższy niż ona na swoim krześle.

Chłopiec zastyga w półobrocie, jakby dopuszczał ją w głąb swojej sfery, i od czasu do czasu przekazuje jej *sotto voce* strzępki informacji: “Keats zmarł w wieku dwudziestu trzech lat”; “Pan K. to niezły facet”; “Musisz wybrać sobie poetę do eseju”.

Ale Linda wie wszystko o Keatsie i romantykach. Oprócz umiejętności obsługi pralki odebrała u zakonnic solidne wykształcenie.

Po lekcji chłopiec przedstawia się Lindzie jako Thomas. Ścisną pod pachą książki, emanując wonią ciepłych tostów. Ma granatowe oczy i jak większość chłopców w jego wieku w umiarkowanym stopniu cierpi na trądzik. Buty uwierają ją, kiedy wychodzi z klasy. Nie włożyła rajstop i jest dotkliwie świadoma swoich gołych nóg.

Po szkole idzie na wzgórze Allerton i siada na skale z widokiem na ocean. Jest to dobrze znana czynność, nasuwająca wspomnienie domu dla zbłąkanych dziewcząt, o którym Linda myśli obecnie nie bez pewnej nostalgii. Widzi stąd również znaczną część miasta: samo wzgórze wznoszące się w koncentrycznych okręgach; domy, jeden wspanialszy od drugiego, choć większość została zabita deskami na zimę i ma zaniedbane podwórka; wioskę, oddzieloną od reszty miasta, gdzie wybudowane w latach trzydziestych i czterdziestych chaty podczas huraganów bywają niekiedy zabierane przez morze; Bayside, dzielnicę bungalowów i domków schludnie pogrupowanych od A do Z według alfabetycznych nazw ulic; jej własne sąsiedztwo trzypiętrowych budynków z chwiejnymi zejściami przeciwpożarowymi i oszałamiającymi widokami; i park rozrywki wzdłuż Nantasket Beach z jego melodyjną arkadą. Główną atrakcją lunaparku jest stroma trasa kolejki.

Po powrocie do domu idzie do dziupli, żeby porozmawiać z ciotką o ubraniach. Ale ciotki tam nie ma. Zamiast niej Linda widzi na poręczy sofy modlitewnik i podnosi go. Jest to mała, oprawiona w skórę książeczka o złożonych krawędziach kartek, pozakładana żółtą, czarną,

czerwoną i zieloną wstążką. Na okładce widnieje tytuł: "Codzienny modlitewnik świętej Anny", a w dolnym prawym rogu wyryto nazwisko: "Nora F. Sullivan". W książeczkę wetknięto obrazki oraz upiorne przedstawienia Pięciu Tajemnic Radosnych, Pięciu Tajemnic Bolesnych i Pięciu Tajemnic Chwalebnych. Gdy Linda ogląda obrazki, jej uwagę przykuwa imię Thomas. Patrzy na wizerunek pokutującego świętego o chorobliwym wyglądzie, ukoronowanego cierniem. Pod obrazkiem widnieje napis: "Ukoronowany cierniem za odwagę moralną".

Otwiera modlitewnik na stronie zaznaczonej czerwoną wstążką i czyta zapisaną tam modlitwę: "Boże, który ukorzeniem Syna Swego podniosłeś upadły świat, ześlij radość Swym wiernym, aby ci, których uwolniłeś od przekleństwa wiecznej śmierci, mogli się radować wiecznym szczęściem. W imię Ojca, etc. Amen". Z trzaskiem rozlegającym się po mieszkaniu Linda zamyka modlitewnik, tak aby ani jedno słowo nie wydostało się na światło dzienne.

Ciotka pracuje jako szwaczka w domu towarowym w Quincy. Kuzyni i kuzynki zwykle troszczą się sami o siebie. W trzypiętrowym budynku nie ma czegoś takiego jak godzina obiadu, w związku z czym nie ma jadalni, tylko stół kuchenny przykryty ceratą. W każdym tygodniu ktoś zostaje wyznaczony do przygotowywania posiłków, lecz skoro Jack i Sean są za mali, a Tommy nieodpowiedzialny, to zadanie z reguły przypada Lindzie, Patty i Erin. Za zgodą wszystkich przyjęto, że każdy je przed telewizorem w dziupli, gdy jest głodny.

W mieszkaniu panuje bezustanny hałas. Jack i Sean bez przerwy włączają pod nogi, Michael głośno słucha radia, Patty i Erin walczą ze sobą jak kocice.

Sypialnia, którą Linda dzieli z kuzynkami, jest wyłożona zieloną tapetą w kratkę; stoją tam dwa identyczne łóżka. Między nimi mieści się materac dla Lindy. Rano prawie niemożliwością jest poskładać pościel, co w normalnych warunkach Linda potrafi robić nie najgorzej (szkoła zakonnica). Kiedy Patty i Erin wstają z łóżek, czasami niechcący na nią nadeptują. Aby czytać, Linda musi opierać się o szafkę.

Ulubionym elementem pokoju jest dla Lindy małe okno. Siedząc na łóżku Patty, widzi port, a za nim plażę i otwarte wody oceanu. Widzi też kolejkę.

W tym pokoju Linda czyta Keatsa i Wordswortha, przerabia algebrę, wkuwa czasowniki francuskie, wypisuje przyczyny Wielkiego Kryzysu i potajemnie przegląda rocznik licealny Eileen, gdzie znalazła zdjęcie chłopca, który rok wcześniej był w niższej klasie: "Thomas Janes, redaktor «Nantasket» 2,3; reprezentacja w hokeju 2,3; reprezentacja w tenisie 2,3".

W sobotnie popołudnie Linda idzie do spowiedzi. Ma na sobie granatową spódnicę i czerwony sweter, dwurzędowy płaszcz i chustkę na głowie. Mówi księdzu, że miała nieczyste myśli. Nieczyste myśli, wyjaśnia, przeważnie dotyczą jej ciotki, zimnej kobiety ze skłonnością do migreny. Nie wspomina o wuju.

Tego samego wieczora Linda oznajmia, że idzie z wizytą do nowo poznanych przyjaciół (kłamstwo, z którego będzie się musiała wypowiadać w następną sobotę). Wywołuje tym

poruszenie wśród kuzynów, ponieważ nie przedstawiono jej żadnych zasad i nie wyznaczono godziny policyjnej, choć i tak nikt jej nie przestrzega. Wychodzi z domu w tej samej niebieskiej spódnicy, czerwonym swetrze i dwurzędowce, w których szła do spowiedzi. Na głowie ma jedwabny szalik pożyczony od Patty, ponieważ wiatr łopoce flagami.

Linda schodzi ze wzgórza, mijając inne trzypiętrowce z aluminiowym sidingiem, płaskimi dachami oraz rzędami balkonów, na które wystawiono węglowe grille oraz rowery. Idzie wzdłuż bulwaru i przecina Nantasket Avenue. Trzyma ręce w kieszeniach, żałując, że nie jest dość zimno, aby nosić rękawiczki. Przed snem Patty bezskutecznie wciera krem w spierzchniętą i chropowatą skórę jej dłoni.

Światła parku rozrywki są oślepiające. W ostatni weekend sezonu oświetlają go dziesiątki tysięcy żarówek. Prawie wszystkie lampki się poruszają – te na Gigantycznym Torze kolejki i diabelskim młynie, na karuzeli, gąsienicy, pętli i latających skuterach. Wejście jest jednak zaskakująco brzydkie: tylko ogrodzenie z łańcucha i tablica. Flagi łopoczą na wysokich masztach, szalik Lindy podskakuje. Dziewczyna płaci za bilet i wchodzi do środka.

Wie, że gdyby poprosiła, Michael zabrałby ją do lunaparku. Spośród wszystkich kuzynów, łącznie z Patty traktującą ją jak siostrę, właśnie on wydaje się najbardziej poruszony losem Lindy i co za tym idzie, najbardziej skłonny zabiegać o jej względy. Na powitanie podarował jej plakat z Johnem Lennonem i własną dzinsową poduszkę. Rano zawsze pyta, czy ją podrzucić. Wprawdzie jest za wcześnie, aby to przesądzać, ale Tommy i Erin nie są tak wspaniałomyślni, być może za sprawą odziedziczonego po matce charakteru albo po prostu niechętnie odnoszą się do kolejnej gęby do wyżywienia.

Najmłodszy Jack jest oczarowany nową kuzynką. Każdy, kto poświęca uwagę czterolatкови w rodzinie z siedmiorgiem dzieci, jest w jego mniemaniu wspaniały.

Linda bawi się na strzelnicy, rzuca piłką i kupuje słodycze w stoisku koło arkady. Skończywszy krówkę, idzie prosto na Gigantyczny Tor i staje w krótkim rzędku ludzi z podniesionymi kołnierzami. Nigdy nie jechała taką kolejką, ale logika podpowiada, że jakoś to przeżyje.

Dreszcz zgrozy na stromym podjeździe to wręcz niesamowite wrażenie. Wie, że za chwilę polecą w dół i nic nie może na to poradzić.

Jeździ na Gigantycznym Torze siedem razy, płacąc pieniędzmi zaoszczędzonymi w domu dla zbłąkanych dziewcząt (trzydzieści pięć centów na godzinę za prasowanie; dwadzieścia pięć za roznoszenie przesyłek). Jazda trwa tylko minutę, Linda uważa jednak, że było to najwspanialsze siedem minut w jej życiu.

Na diabelskim młynie, skąd widać Przyładek Dorsza, wiatr trzęsie wagonikami i ludzie krzyczą. Okrzyki dobiegają zresztą ze wszystkich stron. I o to w sumie chodzi, myśli Linda.

Po jednej stronie lunaparku znajduje się pomost z grubych desek biegnący nad wodą. Ponad nim świeci pojedyncza latarnia. Linde trochę mdli od waty cukrowej i gorącej czekolady, nie wspominając o krówkach i kolejce, dziewczyna idzie więc na molo, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Stąpa po mokrych deskach, nasłuchując krzyków i pisków, stłumionych nieco szumem łagodnych fal. Dociera prawie do końca pomostu, kiedy dostrzega grupę palących chłopców w swetrach i wiatrówkach. Trzymają papierosy między palcem wskazującym i kciukiem, na wysokości ud, i zaciągają się głęboko jak James Dean. Wala się nawzajem po plecach otwartymi dłońmi dla podkreślenia swych słów, sporadycznie wybuchając wysokim śmiechem, który wznosi się w powietrze jak cienka smuga dymu. Podeszła zbyt blisko nich i teraz jest w niezręcznej sytuacji: może albo iść dalej, albo zawrócić. Ostatnia myśl budzi w niej gwałtowny sprzeciw – nie chce, żeby pomyśleli, że boi się chłopców, poza tym głupio tak uciekać jak pies z podwiniętym ogonem.

Dochodzi do krawędzi pomostu i zerka w dół. Fale przyływu rozbijają się wysoko na słupach. Chłopcy zauważyli ją i przycichli, choć nadal uderzają się po plecach. Linda obserwuje, jak jeden z nich rzuca papierosa do morza i wkłada ręce w kieszenie. Nie sposób pomylić go z kimś innym. Postanawia wytrwać na swoim miejscu przynajmniej minutę, po czym oddalić się obojętnie, jak gdyby ich tam nie było.

Ale chłopiec z rękami w kieszeniach odłącza się od reszty i podchodzi do niej.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiada Linda.

– Jesteś Linda.

– Tak.

Kiwa głową, jakby musiał przemyśleć ten istotny fakt. Za nim stoi grupa obserwatorów.

– Byłaś w lunaparku? – pyta.

– Tak.

– Na torze?

– No.

– Ile razy?

– Siedem.

– Naprawdę? – Wydaje się szczerze zdumiony.

Linda wyobraża sobie uniesione brwi; mimo że stoją naprzeciwko siebie, w mroku nie widzi jego twarzy.

– Chcesz zapalić?

– Pewnie.

Przypalając papierosa, chłopiec musi odwrócić się od wiatru. Wyjmuje go z ust i podaje Lindzie. Ta zaciąga się głęboko, tłumiąc kaszel. W domu dla zbłąkanych dziewcząt często paliła.

Wiatr znad oceanu niemal natychmiast rozwiewał dym. Był to jedyny grzech, którego popełnienie nie kosztowało dziewcząt wiele trudu.

- Wybrałaś już poetę?
- Wordswortha – mówi Linda.
- Lubisz go?
- Niektóre kawałki.
- Podoba ci się “Preludium”?
- Lubię “Opactwo Tintern”.

Chłopiec pociąga nosem, który zwilgotniał z powodu zimna. Pod granatową wiatrówką ma ciemny sweter z okrągłym wycięciem przy szyi. W świetle latarni pulower wygląda jak czarny, ale równie dobrze może być zielony. Wyżej widać kawałek białej koszuli.

- A ty? – pyta Linda.
- Keatsa.

Linda kiwa głową i zaciąga się ponownie.

– Za pół godziny zamykają – odzywa się chłopiec. – Chciałabyś jeszcze raz się przejechać na torze?

Trudno określić, czy to zachęta, czy zaproszenie.

- Nie, dzięki – odpowiada Linda.
- Chciałabyś ich poznać? – pyta Thomas, wskazując gestem pozostałych chłopców.

Nie wie. Tak jej się przynajmniej wydaje. Wzrusza ramionami. Jednakże zaciekawieni chłopcy powoli przysuwają się coraz bliżej.

– To głupki – rzuca Thomas, ale nie bez cienia szorstkiej czułości.

Podniesiony głos jednego z nich przecina powietrze.

- Naprawdę, jest cieplejsza niż powietrze.
- Pieprzysz – odpowiada inny.
- Nie, poważnie, w październiku woda jest cieplejsza niż w sierpniu.
- Gdzie słyszałeś te bzdury?
- Wystarczy sprawdzić.
- Sam sprawdź, palancie.

Chłopcy zaczynają popychać tego, który mówił, że woda jest ciepła. On jednak, drobny i ruchliwy, wykręca się zwinnie, tak że sam stoi na środku pomostu, gdy oni znajdują się na krawędzi.

– I co, palancie, nie pójdziesz sprawdzić? – Wybuchają śmiechem. – Dam dwudziestkę piątkę, że stchórzysz.

Thomas odwraca się do Lindy i prycha, jakby chciał powiedzieć: “Mówiłem, że to głupki”.

Linda opuszcza wzrok, spoglądając na deptak. Zakochani spacerują ramię w ramię, niektórzy

schodzą na plażę. Płaszczki posłużą jako koce. Targana wiatrem latarnia kołysze się na drucie, wprawiając cienie w dziki płas.

– On ma rację – mówi cicho do Thomasa.

Ten patrzy na nią kpiąco.

– W październiku woda jest cieplejsza. W taki wieczór jak dziś można mieć przyjemną kąpiel – ciągnie Linda.

W domu dla zbłąkanych dziewcząt czasem wymykała się nocą z pokoju i szła na skały. Z jednej można było bezpiecznie nurkować. Zdejmowała szlafrok i piżamę i skakała do morza. Lubiła nagość; dawała jej poczucie wyzwolenia.

Kłótnia trwa. Chłopiec o nazwisku Eddie Rocket, ten, który jest pewny, że woda jest ciepła, kładzie się na brzuchu, podwija rękawy i wyciąga rękę. Nie może sięgnąć do morza. Zejście z pomostu, zdjęcie butów i skarpet oraz podwinięcie nogawek, co uczyniłby na jego miejscu każdy rozsądny człowiek, wymagałoby zbyt wiele wysiłku.

– Hej, Eddie, spuszczę cię, jeśli chcesz sprawdzić – woła Donny T., śmiejąc się histerycznie. Myśli: spuszczę cię, a potem wrzucę do morza.

– Chrzęć się – odpowiada Eddie Rocket, wstając.

– Mówiłem: dwadzieścia pięć dolców – przypomina mu Donny T.

Linda słucha tej wymiany zdań. Odchodzi od Thomasa i staje na skraju pomostu. Odwrócona plecami do chłopców, zdejmuje buty, dwurzędówkę i chustkę z głowy.

\* \* \*

Kiedy wypływa na powierzchnię, widzi Thomasa klęczącego na skraju molo. Trzyma w rękach jej płaszcz. Za nim, wśród pozostałych chłopców, stoi z założonymi rękami Eddie. Milczy. Dziewczyna zrobiła coś, na co on się nie zdobył.

Linda podciąga się na pomost, odwraca w powietrzu i siada plecami do Thomasa. Kuli się z zimna. Thomas owijają wełnianym płaszczem.

– Donny, dawaj koszulę – mówi stanowczym tonem.

Donny T. nie protestuje. W niespełną minutę Linda czuje na ramionach szorstki dotyk bawełnianej tkaniny.

Osusza nią twarz i włosy. Wstaje i przytrzymując się dla równowagi ramienia Thomasa, wsuwa buty. Thomas pomaga jej włożyć płaszcz. Chłopcy nie odzywają się ani słowem.

– Woda jest cieplejsza niż powietrze – mówi im Thomas, kiedy razem z Lindą opuszczają pomost.

Muszą iść szybko, bo Linda trzęsie się z zimna.

– Mam samochód – mówi Thomas. – Podwiozę cię.

– Nie – odpowiada. – Mieszkam niedaleko.

Ma przed oczami niemiłą wizję mokrej plamy, którą zostawiłaby na siedzeniu auta. I, co bardziej istotne, nie chce potem wysłuchiwać niczyich pytań.

Thomas odprowadza ją przez Nantasket Avenue i wzdłuż bulwaru. Sweter jest ciężki i drapie w ramiona, a woda skapuje ze spódnicy i po łydkach leci do skarpetek. Oczywiście, zniszczyła podarowane ubrania.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta Thomas.

Linda nie może opanować szczykowania zębami. Thomas otacza ją ciasno ramieniem, żeby powstrzymać drżenie. Spoglądając na nich, można by pomyśleć, że dziewczyna ma mdłości, pewnie za dużo wypila, i chłopak odprowadza ją do domu.

Dlaczego to zrobiła? Oto istotne pytanie. Żeby się popisać? Coś udowodnić? Zniszczyć ubranie? Wyjść poza przeciętność swojego imienia? Oczyszczyć się?

– Nie wiem – wyznaje zgodnie z prawdą.

Włosy przylegają jej do twarzy, po pieczołowicie skręconych lokach nie ma nawet śladu. Wygląda okropnie i na domiar wszystkiego leci jej z nosa.

Włosy są dla niej, zawsze były, jedynym powodem do dumy. Długie i gęste, o ciepłym, miodowym kolorze. W domu dla zbłąkanych dziewcząt czasami zapuszczała je do pasa, choć zakonnice zawsze kazały jej zaplatać warkocze.

– Cóż, to było wspaniałe – zachwyca się Thomas, rozcierając ramiona Lindy, aby poprawić krążenie. Potem śmieje się i potrząsa głową. – Jezu, będą o tym mówić tygodniami.

Linda zostawia go na początku swojej ulicy.

– Już w porządku – mówi, odrywając się od jego ramienia.

– Mogę jutro zadzwonić? – pyta Thomas.

Zastanawia się przez chwilę. Jeszcze nikt tu do niej nie telefonował.

– Lepiej się spotkajmy – odpowiada.

– Tutaj? – proponuje chłopak. – W południe?

– Postaram się.

Biegnie ulicą na drżących i zeszywniałych nogach, zdając sobie sprawę ze swego żalosego wyglądu. Na rogu nie wytrzymuje i odwraca głowę. Chłopiec stoi tam, gdzie go zostawiła. Nagle podnosi rękę i macha.

Gdy Linda wchodzi do mieszkania, ciotka stoi w przedpokoju. Na włosach ma wałki podtrzymywane siatką fryzjerską: złociste loczki na srebrnych łydygach za drucianym płotem. Zwykle jej włosy się kręca, i Linda czasem widzi prześwitującą skórę. Ciotka ma wyraźne



zakola, które usiłuje zasłonić grzywką.

Ciotka ma na sobie różowy szlafrok i flanelową piżamę w imbryczki. Kapcie, kiedyś różowe, przybrały barwę brudnawego beżu. Ma zaniedbane brwi, ale na ustach widnieje ślad ciemnoczerwonej szminki, świadczący o ambiwalentnym stosunku do własnego wyglądu.

Stoją na przeciwległych biegunach winy, pełne wzajemnych oczekiwań.

– Gdzie byłaś? – pyta ciotka.

– Wpadłam do wody – wyjaśnia Linda, przechodząc obok.

Następnego dnia Thomas przyjeżdża po nią białym kabrioletem marki Buick Skylark z tapicerką w kolorze ciotczynej szminki. Choć to niedziela, Linda włożyła codzienne ubranie, pomimo że wcześniej sumiennie poszła z kuzynostwem na mszę. Thomas ma na sobie tę samą kurtkę co wczoraj, ale włożył porządne spodnie, jak do szkoły.

– Nie wzięłam chustki na głowę – mówi Linda. – Nie wiedziałam, że masz kabriolet.

– Chcesz po nią wrócić?

– Nie.

Zanim włącza silnik, siedzą przez chwilę w samochodzie. Wydaje się, że każde chce coś powiedzieć, choć oboje milczą.

– Dostałaś ochrzan? – pyta wreszcie chłopak.

– Nie, dostałam niemy wyrzut – odpowiada, na co Thomas się uśmiecha.

– Chcesz się przejechać?

– Dokąd?

– Dokądkolwiek. Tak po prostu.

– Jasne.

W samochodzie dzieli ich przestrzeń rozległości oceanu. Linda spogląda na chromowaną deskę rozdzielczą i pokręta o nazwach: światło, wycieraczki, zapalniczka i akcesoria. Zastanawia się, czego mogą dotyczyć te ostatnie. Thomas włącza radio i samochód wypełnia fala rytmicznej muzyki. Zupełnie jakby perkusista bluesowy zagrał pomyłkowo na koncercie orkiestry kameralnej. Thomas natychmiast wyłącza radio.

– Czasem kiedy prowadzę – mówi – nie włączam radia. Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć.

– Ja tak samo – potwierdza Linda. – To znaczy, ja też potrzebuję czasu, żeby pomyśleć.

Chowa ręce w kieszeniach. Gdyby nie miała na sobie płaszcza, pewnie by na nich usiadła.

Podoba jej się jazda kabrioletem, choć włosy wpadają do oczu i wie, że potem będą skłębione i poplątane. Kiedy jeszcze mieszkał z nimi przyjaciel ciotki i mieli samochód, regularnie upychano całą gromadkę na siedzenia przeznaczone dla trzech osób. W deszczowe dni zamykano szczelnie okna i ciotka paliła. Samo wspomnienie przyprawia Lindę o ból głowy.

W czasie jazdy dziewczyna dostrzega, że od wczoraj kolor wody i nieba przybrał na sile;

słońce odbija się w morzu, boleśnie rażąc w oczy. Bajeczna błyskotka z milionem diamentów.

Thomas dyplomatycznie omija osiedle Lindy. I przezornie nie pokazuje jej własnego domu na wzgórzu Allerton.

– Długo cię nie było? – zagaduje, kiedy skręcają w Samoset.

– Tak.

– Miałaś dziecko?

Bezpośredniość chłopaka zaskakuje ją, choć jednocześnie cieszy. Niełatwo spędzić cały rok bez jednego pytania wprost, nauczyć się żyć wśród ukradkowych spojrzeń i oszczerstw.

– Nie – odpowiada.

– Nic mnie to nie obchodzi – zapewniają Thomas. Uściśla: – To znaczy obchodzi, bo dotyczy ciebie, ale na pewno nie przestałbym cię lubić. Reputacja jest bez znaczenia.

– Dlaczego mnie lubisz? – pyta.

– Podobało mi się, jak weszłaś do klasy – wyjaśnia chłopak. – Pierwszego dnia. Próbowalaś nam pokazać, że masz wszystko w nosie, ale widziałem, że tak nie jest. Że inni mogą chcieć cię wykorzystać. – Zastanawia się przez chwilę. – Teraz już nie mam co do tego pewności.

– Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

– Ty. Wczoraj wieczorem. Kiedy wskoczyłaś do wody.

– Zanurkowałam.

– Zanurkowałaś. Zrobiłaś to dla siebie, prawda?

Milczy. Nawet pomimo dzielącego ich oceanu czuje jego zapach – zapach ciepłych grzanek i czegoś jeszcze. No jasne, świeżo wypranej koszuli.

– Jestem kobietą upadłą – odpowiada Linda tylko na wpół żartobliwie.

– Magdaleną – precyzuje, trzymając kierownicę jedną ręką, częściowo odwrócony do Lindy.

– Tak nazywał się tamten dom.

– Naprawdę?

– One zawsze noszą imię Magdaleny.

– Jesteś katoliczką?

– Tak. A ty nie?

– Nie.

– To skąd znasz Magdalenę?

– Każdy ją zna – odpowiada Thomas.

– Naprawdę? Zawsze myślałam, że to typowo katolicka święta.

– Regularnie chodzisz do kościoła?

– To osobiste pytanie.

– Przepraszam.

– Tak, regularnie.

– A do spowiedzi?

– Też.

– I z czego się spowiadasz?

Ostatnie pytanie wyprowadza Linde z równowagi. Chyba jeszcze nikt jej tak nie indagował, nawet zakonnice. Ich pytania były przewidywalne i rutynowe. Jak katechizm.

– Tak tylko pytam – tłumaczy się chłopiec, lekko zmieszany. – Z czego taka dziewczyna może się spowiadać?

– Och, zawsze coś się znajdzie – odpowiada. – Przeważnie z nieczystych myśli.

– Co to znaczy “nieczyste”?

– Nieczyste – powtarza Linda, zastanawiając się nad definicją. – Nikczemne, nieprzyzwoite albo pełne nienawiści.

– A twoje jakie są?

– Pełne nienawiści.

Thomas zabiera ją na obiad na plaży i prowadzi do pobliskiego baru, gdzie siedzenia są równie czerwone jak tapicerka w jego samochodzie. Linda ma na sobie czarny sweter i spódnicę oraz pantofle. Czerwony sweter i niebieska spódnica leżą w papierowej torbie na dnie śmietnika. Wstydzi się rozwichrzonych włosów, które próbuje przygładzić palcami. Thomas odwraca wzrok, bębniąc palcami w drzwi. Linda daje za wygraną.

– Następnym razem wezmę chustkę – mówi chłopak. – Włożę ją do schowka w samochodzie.

Myśl o tym, że będzie następny raz napępnia ją radością.

Zupełnie jakby nie jadła od lat. Pochłania hamburgera, frytki, cheeseburgera Thomasa i oba koktajle, uczestnicząc w jednym z wielu posiłków nietkniętych przez niego.

– Nie jesteś głodny? – pyta.

– Właściwie nie – mówi Thomas. – Ty zjedz.

Nie trzeba jej namawiać. U ciotki nigdy nie ma dość jedzenia.

– Znam Michaela. Gramy razem w hokeja – mówi Thomas.

“Reprezentacja w hokeju” 2,3.

– Już gracie? – pyta Linda.

– Jeszcze nie – odpowiada. – Niedługo zaczniemy. Czasem spotykam się z Michaelem.

– Masz kuzynów? – pyta bezceremonialnie Linda.

– Tylko dwóch.

– Niech zgadnę. Jesteś protestantem.

– Nic z tych rzeczy. Dlaczego nie mieszkasz z rodzicami? Co się z ni mi stało?

– Mama zginęła – odpowiada, zgarniając ketchup bułką – w wypadku autobusowym. Tata,

jak by to powiedzieć, zniknął krótko po tym.

– Złamane serce?

– Niezupełnie.

– Przykro mi.

– To było dawno temu.

Pyta, czy Linda coś jeszcze zje.

– Nie. Jestem pełna. Gdzie mieszkasz?

– W Allerton.

– Tak myślałam.

Thomas ucieka spojrzeniem w bok.

– Przejeżdżaliśmy obok twojego domu?

– Tak.

– Dlaczego mi go nie pokazałeś?

– Nie wiem – mówi Thomas.

Potem oznajmia:

– Chcę zostać pisarzem.

Jest to pierwsza z setki okazji, kiedy Linda Fallon usłyszy, że ktoś chce być pisarzem.

I ponieważ jest to pierwszy raz, Linda wierzy.

– Chyba dramaturgiem – dodaje Thomas. – Czytałaś O’Neill’a?

Zna Eugene’a O’Neill’a. Jezuita w katolickiej szkole dla dziewcząt kazał jej klasie przeczytać “Zmierzch długiego dnia” z założeniem, że niektóre dziewczęta mogą rozpoznać w nim model własnej rodziny.

– Pewnie – potwierdza.

– Brak odpowiedzialności i wyparcie się wszystkiego – mówi Thomas.

Linda kiwa głową.

– Mgła. Jej znaczenie.

– Wymazanie przeszłości – uzupełnia Linda.

– Tak – mówi podekscytowany. – Dokładnie. – Siada bokiem, wyciągając przed siebie długą nogę. – Napisałaś już wypracowanie?

– Boże, nie.

– Mógłbym ci potem poczytać Keatsa?

– Keatsa poetę?

Od czasu do czasu podchodzą do nich znajomi Thomasa, trącają jego but albo stukają palcami o blat stołu. Nie następuje po tym żadna wymiana zdań, ale chłopcy mierzą Linde bacznyimi spojrzeniami. Jest to swego rodzaju pantomima.

Rozpoznaje siedzącego w drugim końcu baru Donny'ego T. z poprzedniego wieczora. Popija colę, obserwując uważnie Linde. Czy znienawidził ją za to, że utarła mu nosa? Chyba tak, myśli dziewczyna.

Obserwują ją także dziewczęta siedzące przy stole pośrodku sali. Potem odwracają się i wymieniają między sobą uwagi. Linda patrzy na ich doskonałe loki, spódniczki i cieniutkie rajstopy.

Kiedy wychodzą z baru, Donny T. siedzi na tylnym siedzeniu niebieskiego bonneville'a i liczy pieniądze.

- Twój kolega – odzywa się Linda do Thomasa.
- Aha – odpowiada Thomas. – Na to wygląda.
- Dlaczego liczy pieniądze?
- Nie warto wiedzieć.

Thomas jedzie na plażę i parkuje za opuszczoną chatą. Sięga na tylne siedzenie po książkę zatytułowaną po prostu "Keats". Linda postanawia, że nie będzie ukrywać, jeśli nie spodoba się jej jakiś wiersz. Thomas zaczyna czytać dziwnie głębokim i uroczystym głosem.

Kiedy dręczą mnie lęki, że istnieć przestanę,  
Nim pióro zbierze plony, co w mózgu się wicherzą...

[Wiersze w przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.)]

Gdy czyta, Linda patrzy na piaszczysty podjazd prowadzący na tyły opuszczonego domostwa. Budynek jest mały, jednopiętrowy, z białą werandą dookoła. Widać hamak i rozsuwane drzwi, zamknięte okiennice. Chatę cechuje swoisty ubogi urok, budzi skojarzenia z Wielkim Kryzysem, o którym czytają na historii. Przy drzwiach stoją gliniane donice z uschniętym geranium, pod oknem pną się zdziczałe róże.

Wyobraża sobie ciemnowłosą kobietę w sukience i fartuchu, małą dziewczynkę z jasnymi włosami bawiącą się na ganku i mężczyznę w białej koszuli i szelkach oraz w słomianym kapeluszu na głowie. Czyżby myliła swego ojca z Eugene'em O'Neillem?

Poślubiona milczeniu, wciąż niepokalana!  
Wychowana przez wolny bieg czasu i ciszę...

Po jednej stronie chaty wbito w ziemię dwa słupy. Pomiedzy nimi biegnie linka do suszenia bielizny, z której ktoś zapomniał zdjąć drewniane klamerki.

Jakże chwalebnie byłoby dziś zgasnąć,  
Z nadejściem północy odejść tak bez bólu...

– Była dziwką, prostytutką – mówi Linda.

– Zapłaciła za swoją przeszłość – oponuje Thomas. – Jest Chrystusowym symbolem odkupienia.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Czytałem.

– Ja prawie nic o niej nie wiem – odpowiada Linda, niezupełnie zgodnie z prawdą.

– Była obecna przy ukrzyżowaniu – dodaje Thomas. – Jako pierwsza przyniosła uczniom wieść o zmartwychwstaniu.

– Skoro tak twierdzisz. – Linda wzrusza ramionami.

Wypracowania na temat twórczości Keatsa i Wordswortha zostały napisane. Zamknięto lunapark. Huragan rozpętał się i uciął, zmiatając po drodze przybrzeżne domy do morza. Thomas przeczytał Lindzie w samochodzie “Prufrocka” i fragmenty “Śmierci komiwojażera”. Ciotka dała za wygraną i kupiła jej ubranie na wyprzedazy w sklepie, gdzie pracuje. Linda, w odpowiedzi na niejasną uwagę Thomasa na temat czyichś włosów, przestała martwić się o swoją fryzurę. Siedzą na wzgórzu z widokiem na Atlantyckie.

– Znamy się dokładnie od miesiąca – zauważa Thomas.

– Naprawdę? – pyta Linda, choć wcześniej tego dnia myślała o tym samym.

– Mam wrażenie, jakbym znał cię całe życie – mówi chłopak.

Linda milczy. Światło na wodzie wygląda niesamowicie – zupełnie jak u któregoś z poetów czytanych przez Thomasa: Roberta Lowella, Theodore’a Roetke, Johna Berrymana, Randalla Jarrella. Nie, lepiej, myśli.

– Czy ty też czasem tak uważasz? – pyta Thomas.

Czuje instynktownie, jak światło na wodzie przyciąga ją ku sobie. Ogarnia spojrzeniem płynny ruch fal, siedzącego obok chłopca w wiatrówce, stromą skarpę ginącą niżej w skałach oraz rozległą płachtę oceanu z majaczącym na północy Bostonem i samotnym rybakim na wschodzie.

– Tak – szepcze.

Pragnęłaby namalować to światło, a przynajmniej ująć je w słowa. Zatrzymać, chwycić w rękę. Utrwalić.

– Ty płaczesz – mówi zaskoczony Thomas.

Chce zaprzeczyć, ale nie może. Szlocha gwałtownie jak dziecko. Chciałaby wylać z siebie wszystkie łzy, lecz wie, że jeśli zacznie, trudno jej będzie przestać.

– Co się stało?

Nie znajduje odpowiedzi. Jak miałyby to wyjaśnić? Przecież nikt nie płacze z powodu światła. To bez sensu.

Bezskutecznie pociąga nosem, nie wzięła ze sobą chustki. Thomas przetrząsa kieszenie, wydając gumę do żucia, paczkę papierosów i jakąś kartkę ze szkoły.

– Użyj rękawa – radzi.

Posłusznie wyciera nos rękawem, po czym robi głęboki oddech.

– Jesteś... – zaczyna Thomas.

Ale ona ostrzegawczo potrząsa głową. Niechętnie pozwala odejść światłu. Musi skupić się na tym, co zawiera kartka z kieszeni Thomasa, na zadaniu domowym, które odrobi później, siedząc na materacu – pod wpływem tych myśli łyzy jakoś się cofają.

– Linda – szepce Thomas, ujmując jej rękę.

Odpowiada mocnym uściskiem, wbijając mu paznokcie w dłoń, jakby miała spaść. Chłopak przysuwa się bliżej, ale ona odwraca głowę. Jego wargi trafiają obok jej ust.

– Nie mogę – mówi Linda.

Puszcza jej rękę i odsuwa się nieco. Wyjmuje papierosa z paczki i zapala.

– Lubię cię, Thomas – tłumaczy mu z przykrością Linda.

On wykrzywia wargi, jakby chciał powiedzieć, że nie wierzy w ani jedno słowo.

– Jakoś tego nie widać – zauważa.

– Chodzi tylko o to, że... – zaczyna Linda.

– O co? – pyta bez wyrazu.

– Są rzeczy, których o mnie nie wiesz.

– To mi powiedz.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Nie ma rzeczy, której ja bym ci nie powiedział – zapewnia ją z rozdrażnieniem Thomas.

– Wiem – odpowiada Linda, zastanawiając się jednocześnie, czy to prawda. Każdy ma coś, coś wstydliwego i osobistego, co zachowuje dla siebie. – Gwałtownie łapie powietrze i drży. – Nie róbmy tego, dobrze?

Parę dni później siedzą w ciemnym samochodzie zaparkowanym przy plaży. Słyszą fale, ale ich nie widzą. Szyby zaparowały od środka. Oprócz pary Linda widzi na przedniej szybie cienką powłokę dymu, na której mogłaby napisać swoje imię. Patrzy na szlaczek rdzy w miejscu, gdzie góra kabrioletu łączy się z maską.

– To gdzie składasz papiery? – pyta Thomas.

– Papiery?

– Do jakiej szkoły? Jesteś niegłupia. Musisz wiedzieć, że wszędzie by cię przyjęli.

Thomas ma szalik na szyi. Jest dopiero siódma wieczorem. Ona powinna być w bibliotece, a on na treningu hokejowym.

– Nie mam pojęcia – odpowiada. – Myślałam o szkole dla sekretarek.

– Chryste, Linda!

– Muszę jak najszybciej znaleźć pracę.

– Idź więc do college’u i poszukaj lepszej posady.

– A co z pieniędzmi?

– Są stypendia.

Linda nie chce o tym rozmawiać. Ma na sobie kupiony przez ciotkę wrzosowy rozpinany sweter i długą spódnicę z wełny pod kolor. Włożyła też jedną z białych bluzek Eileen. Od jakiegoś czasu czesze się z przedziałkiem na środku i pozwala włosom swobodnie opadać na boki. Lubi, jak zasłaniają jej twarz, kiedy pochyla głowę.

Thomas z irytacją wygląda przez okno.

– Musisz wreszcie pokonać ten... kompleks niższości – tłumaczy.

Zdrapuje zaschniętą plamkę ze spódnicy. Ma na sobie rajstopy, ale strasznie marzną jej nogi. W skylarku są dziury, którymi zimno przedostaje się do środka.

– Thomas, gdybym ci wszystko powiedziała, już nigdy byś o mnie nie myślał tak jak dotąd – mówi.

– Mam to gdzieś!

Nigdy nie słyszała, żeby się w ten sposób odzywał.

Linda milczy tak długo, a jego oddech jest tak płytki, że znika para z przedniej szyby. Linda widzi oddaloną o piętnaście metrów chatę. Wygląda na zimną i osamotnioną, myśli. Chciałaby móc otworzyć drzwi, włączyć światło, rozpaścić w kominku i wytrzepać pościel. Ugotować garnek zupy. Znaleźć dla siebie miejsce.

Gdybym tylko mogła znaleźć dla siebie miejsce, myśli.

Poci się pod grubym swetrem.

– Miałam takiego wuja – zaczyna; dokładnie w tym samym momencie chłopak nachyla się, żeby ją pocałować. Linda wciska pięści w skórzany fotel.

Czuje na wargach delikatny dotyk jego ust. Thomas podnosi rękę do jej twarzy.

Zawstydzona, spuszcza wzrok. Thomas podąża za jej spojrzeniem i widzi zaciśnięte pięści.

– Nie musisz się mnie bać – mówi.

Linda powoli otwiera dłonie. Czuje oddech chłopca i woń potu na jego skórze, równie niepowtarzalny i charakterystyczny jak odcisk palca.

Wykręcił się na fotelu, zahaczając wiatrówką o kierownicę. Przyciska usta do warg Lindy;



ona czuje na obojczyku jego palce i wzdryga się mimowolnie.

On cofa rękę.

– Przepraszam – mówi Linda.

Thomas przyciąga jej głowę na swoje ramię.

– I co z tym wujem? – pyta.

– Nie żyje.

Posuwają się krok po kroku, tak jak nieśmiały pływak zanurzający się w lodowatym oceanie powoli, aby przywyknąć do morderczego zimna. Linda nie przewidziała trudności; jej umysł się nie wzbrania, ale ciało tak, zupełnie jakby żyło własnymi wspomnieniami. Inny chłopak mógłby ją wyśmiać albo zostawić jako niewartą zachodu. Albo naciskać, tak że zacisnęłyby zęby i myślała o czymś innym, na zawsze przekreślając rozkosz. Ale Thomas, rozsądnie, nie naciska.

Pewnego listopadowego ranka ciotka mówi do Lindy:

– Musisz znaleźć pracę. Eileen pracuje, Tommy i Michael pracują. Patty też. Chcesz mieć ubrania, to na nie zarabiaj.

Chodząc po mieście, Linda znajduje kilka możliwości zatrudnienia: u jubilera, w pralni chemicznej, w kręgielni oraz studiu fotograficznym. Wreszcie rozpoczyna pracę w barze, jako kelnerka. Nosi szary uniform z syntetycznego materiału, który szeleści przy siadaniu. Sukienka ma biały kołnierzyk i głębokie kieszenie na napiwki.

W dobry wieczór wraca do domu z piętnastoma dolarami w bilonie. To istna fortuna. Lubi wychodzić z baru z rękami w kieszeniach, dotykając pieniędzy.

Linda jest dobrą kelnerką, szybką i sumienną. Właściciel baru, mężczyzna, który pije wódkę ze szklanek od soku, kiedy myśli, że nikt nie patrzy, i próbuje przycisnąć dziewczynę do lodówki i pocałować, w nielicznych chwilach trzeźwości powtarza, że jest najlepszą kelnerką, jaką kiedykolwiek miał.

Bar cieszy się popularnością w okolicy. Niektórzy uczniowie to stali bywalcy. Donny T. co dzień przesiaduje na tym samym miejscu, udzielając audiencji. Wszystko wskazuje na to, że ma dobrą pamięć.

– Nasza nadzieja olimpijska – mówi, kiedy Linda wyciąga swój notesik. Chłopak ma taksujące spojrzenie i cwany uśmiešek; gdyby nie żółte zęby, pewnie można by go uznać za atrakcyjnego.

– Wiśniowa cola i frytki – mówi Eddie Rocket, chudy blondynek, ginący w czeluściach skórzanej kurtki będącej dokładną repliką kurtki Donny'ego.

– Ile dziś zrobiłaś długości? – pyta kpiąco Donny T.

– Daj jej spokój – mamrocze Eddie.

Donny T. obraca się do towarzysza.

– Te, Karaluch, jak będę potrzebował twojej rady, to o nią poproszę.

– Chcesz coś do jedzenia? – pyta Linda.

– Tylko ciebie – odpowiada Donny T. I unosi ręce w żartobliwie obronnym geście (“Żartuję, żartuję”). Wybuchają śmiechem. – Dwa cheeseburgery. Frytki. Koktajl czekoladowy. Tylko nie wodnisty, ma być dużo lodów.

Linda zerka nad głową chłopaka w kierunku następnego stolika, gdzie jakiś mężczyzna szarpie się ze swoją aktówką: za każdym razem, kiedy usiłuje ją zamknąć, jeden z zatrzasków otwiera się ze stukotem. Linda obserwuje jego zmagania, po czym widzi, jak zrezygnowany stawia teczkę na krześle. Wygląda znajomo; dziewczyna zastanawia się, skąd go zna. Ma dwadzieścia dwa, trzy lata; wygląda sympatycznie w marynarce i w krawacie. Ciekawe, czym się zajmuje, myśli Linda. Jest handlowcem? Nauczycielem?

Przyjmuje zamówienia od pozostałych chłopców. Donny T. podróżuje ze świtą. Linda zatrzaskuje notes, wsuwa go do kieszeni i nachyla się, aby zebrać naczynia po poprzednich gościach.

– I jak ci idzie? – pyta Donny T., o centymetr od jej sukienki.

– Jakoś sobie radzę – odpowiada Linda, sięgając po prawie nietkniętą szklankę coli.

– Nie tęsknisz za miejscem, skąd przyjechałaś? Co to było, Dom czy co? – Donny T. podnosi głos tak, by doszedł do sąsiedniego stolika. Mężczyzna z niesforną aktówką patrzy na nich uważnie.

– Radzę sobie – powtarza Linda, lekko przechylając szklankę, której zawartość wylewa się na stół przed Donnym.

– Uważaj! – krzyczy chłopak. Próbuje wcisnąć się w winylowe oparcie ławy, z dala od coli, która kapie z blatu prosto na jego spodnie. – Tu jest moja skórzana kurtka.

– Och – mówi Linda. – Przepraszam.

– Co Donny T. robi na tylnym siedzeniu bonneville’a Eddiego Rocketa? – Kieruje te słowa do Thomasa, kiedy wieczorem wracają do domu.

– Nie wiesz?

– Nie, skąd.

– Handluje.

Oczami wyobraźni widzi Donny’ego T. za ladą. Potem zaczyna rozumieć.

– Masz na myśli narkotyki?

– Tak.

– Marihuanę? LSD?.

– Jedno i drugie – potwierdza Thomas. – Inne też.

– Dlaczego z nim trzymasz? – pyta Linda.

– Od pierwszej klasy jesteśmy kumplami. – Urywa. – Uważasz handel narkotykami za niemoralny? – Słysząc lekkie wyzwanie w jego głosie.

– Sama nie wiem – odpowiada. Nie zastanawiała się nad tym.

– Dzieciakom nie sprzedaje.

– A my nie jesteśmy dziećmiakami?

Thomas stopniowo całuje jej usta, twarz i szyję. Rozpina dwa górne guziki bluzki Lindy. Masuje jej plecy, wyjmując bluzkę ze spódnicy. Raz jego dłoń ociera się o pierś dziewczyny. Trwa to dwa i pół miesiąca.

Siedzą w samochodzie przed chatą. To dobre miejsce do parkowania: plaża jest wyludniona, a samochód w znacznej części skrywają wydmy. Niedługo święta, jest zimno, szyby zaparowały. Cztery górne guziki bluzki Lindy są rozpięte. Thomas trzyma rękę na gładkiej skórze jej obojczyka, powoli sunąc w dół. Linda czuje niepokój; brak jej tchu, całkiem jak w kolejce w lunaparku. Towarzyszy jej poczucie, że z chwilą gdy znajdzie się na górze, pozostanie już tylko droga w dół. I nic nie będzie mogła na to poradzić.

Przyciąga do siebie jej rękę. Linda jednocześnie dziwi się i nie – ciała chłopców tak łatwo ich zdradzają. Chce go dotknąć i sprawić mu przyjemność, ale gdzieś w świadomości odnotowuje falę obrzydzenia.

Thomas czuje opór i puszcza jej dłoń.

– Tak mi przykro – mówi Linda.

Nieoczekiwanie samochód omiata snop światła. Odbija się od wstecznego lusterka i oślepia Thomasa, który pośpiesznie podnosi głowę.

– Jezu – mówi, kiedy za pierwszym światłem podąża kolejne.

Linda i Thomas truchleją jak złapani na gorącym uczynku. Thomas zapina koszulę i spodnie, Linda owija się płaszczem. Nie sposób nie myśleć o ciotce, machającej rękami, wrzeszczącej “dziwka” i “szmata”.

Policjant gwałtownie stuka w okno. Thomas opuszcza szybę.

Światło latarki uderza Linde w twarz. To nie policja, przelatuje jej przez głowę obłąkańcza myśl; to ktoś, kto przyszedł nas zabić. Kiedy więc policjant przesuwając latarkę, prosząc Thomasa o okazanie prawa jazdy, czuje niemal ulgę.

– Wiecie, że to teren prywatny? – pyta policjant.

– Nie, panie oficerze, nie miałem pojęcia – mówi Thomas głosem, ja kiego wcześniej u niego nie słyszała, przesadnie grzecznym, na granicy parodii. Oczywiście, wiedział, że to teren prywatny.

Policjant nieskończenie długo ogląda prawo jazdy.

– Syn Petera Janesa? – pyta wreszcie.

Thomas musi kiwnąć głową..

Policjant nachyla się i patrzy na Linde.

– Wszystko w porządku, panienko? – pyta.

– Tak – odpowiada przestraszona.

Policjant się prostuje.

– Jazda stąd – mówi szorstko. – Pora wracać do domu – dodaje ojcowskim tonem.

Linda wie, że działa to na Thomasa jak płachta na byka, ma jednak nadzieję, że chłopak nie palnie nic głupiego. Kiedy policjant wraca do swojego samochodu, Thomas podnosi szybę.

Milczą, czekając, aż wóz policyjny odjedzie. Następnie Thomas opiera się o swój fotel, zasłaniając twarz ręką.

– Cholera – mówi, ale Linda widzi, że się uśmiecha.

– To musiało się stać – perswaduje mu.

– To niesamowite, że on zna mojego ojca! – śmieje się Thomas.

– Byłeś strasznie uprzejmy – chwali go Linda.

Mijając ciotkę w drodze do łazienki, Linda myśli o Thomasie. Siedząc w klasie lub wręczając klientowi menu, myśli o Thomasie. W przerwach między lekcjami wymieniają karteczki albo ukradkowe pocałunki. Każdego ranka na nią czeka, a kiedy Linda wsiądzie do samochodu, jadą ciasno przytuleni. Przestrzeń o rozległości oceanu znika bez śladu. Kradną minuty z reszty życia i zawsze się spóźniają.

Linda, Spotkamy się po szkole?

Thomas,

Czytałam znowu O’Neilla. Jest tam taki kawałek: “Nie mamy wpływu na to, co niesie nam życie. Dzieje się to poza naszą świadomością, kiedy zaś nastąpi, sprawia, że robimy coś innego, aż wreszcie od tego, kim jesteśmy, a kim chcielibyśmy być, dzieli nas wszystko, przez co na zawsze tracimy poczucie swego prawdziwego ja”.

Linda,

Lubię O’Neilla, ale to bzdura. Oczywiście, że mamy wpływ. Wolę ten fragment: “Upiłem się pięknem i jego śpiewną melodią, i na jedną chwilę zatraciłem siebie, zatraciłem własne życie! Stałem się wolny! Wtopiłem się w morze, stając się bryzą i białymi żaglami, pięknem i muzyką, księżycową poświatą, okrętem i rozgwieżdżonym firmamentem! Bez przeszłości i przyszłości,

w jedności, pokoju i ekstazie, stałem się czymś ponad własne życie czy życie Człowieka: stałem się samym Życiem!”.

Lepsze, co?

Jezu, ale nudy.

Linda,

Naprawdę podoba mi się twój dzisiejszy sweter. Na czwartej lekcji doprowadzałaś mnie do szaleństwa.

Thomas,

Dziękuję. To sweter Eileen.

Linda,

Co robisz w weekend? Ja muszę jechać na narty do Killington. Nie chcę, ponieważ oznacza to cztery dni bez Ciebie.

Thomas,

Przez cały weekend pracuję. Nigdy nie byłam na nartach.

Linda,

Dzisiaj wieczorem jest mecz hokeja. Przyjdiesz?

Linda uważa hokej za brutalną i atawistyczną dyscyplinę sportu. Hala śmierdzi męskim potem i piwem. Śniegowa breja taje pod nogami. Linda siada na krzeselku z rękami w kieszeniach, drżąc mimo swetra i płaszcza.

Wokół panuje ogłuszający harmider. Wrzaski i pokrzykiwania, pijacki słowotok, huk odbijanego krążka i szum łyżew zgrzytających o lód niosą się echem po ponurym pomieszczeniu. Wyobraźnia dostarcza efektów dźwiękowych ginących w ogólnej wrzawie: trzask kija lądującego na nodze; uderzenie kości biodrowej, gdy gracz pada na tafelę; huk kasku walącego z impetem o lód. Linda wzdryga się raz po raz. Tłum widzów szaleje.

Kiedy Thomas wychodzi na lodowisko, w pierwszej chwili go nie poznaje. Ochraniacze na nogi i ramiona poszerzają go karykaturalnie. W ustach ma osłonę na zęby. Twarz ginie pod kaskiem. Nie znała go od tej strony ani nawet nie podejrzewała jej istnienia: wychylony do przodu, z wyciągniętym kijem, ma ruchy płynne jak u baletnicy, zwinne jak u stepującego tancerza. Thomas gra agresywnie. Linda z trudem śledzi mecz, nie zna zasad. Czasami nawet nie wie, że zdobyto bramkę, dopóki nie usłyszy ryku publiczności.

Tego wieczora nieuchronnie dochodzi do awantury. Powoduje ją umyślny faul, w wyniku

którego Thomas jak długi pada na lód. W mgnieniu oka wstaje, wbijając czubki łyżew w tafelę, i bez namysłu rzuca się na gracza, który go podciął. Linda, która mieszkała wśród dziewcząt i zakonnicy, nigdy przedtem nie widziała bójki, padających ciosów, szarpaniny i kopniaków. Bijatyka trwa zaledwie sekundy, lecz scena przywodzi na myśl raczej walkę gladiatorów niż cokolwiek, co zdarzyło jej się w życiu oglądać. Thomas wzruszeniem ramion zbywa sędziego i z kaskiem pod pachą i sterczącymi włosami odjeżdża na ławkę, aby odsiedzieć swoją karę. Zgrabnie zatrzymuje się przed drucianą barierką, przyjmując karę jako zasłużoną.

Ani śladu skruchy. Ani śladu.

Rankiem w Wigilię Linda nie przychodzi na umówione spotkanie. Właśnie przyjechała do domu na święta Eileen, prosto z Nowego Jorku, i Linda woli zostać, ciekawa kuzynki, choć właściwie prawie się nie znają. Skrupulatnie zadbała, żeby tego dnia nie mieć na sobie nic, co należało do tamtej (aby nikt nie brał jej za pomniejszoną wersję starszej kuzynki). Włożyła ubranie kupione za napiwki: zgrabną, szarą spódnicę z wełny i czarny sweter z podwiniętymi rękawami. Teraz oszczędza na skórzane botki.

Niepotrzebnie się martwiła. Eileen wraca do domu w hipisowskich ciuchach, prosto z Village, gdzie obecnie mieszka. Nie włożyła stanika i ma na nogach skórzane długie botki, o jakich marzy Linda. Nosi na szyi koraliki i nie uznaje makijażu. Linda, z włosami podkręconymi na święta, po powitaniu bacznie przygląda się kuzynce.

W zaciszu pokoju dziewcząt Eileen opowiada o butikach i salonach masażu. O zespole o nazwie "The Mamas and the Papas". O haszyszu i pracy nad projektem pod nazwą "Droga pod górę". Ma chłopaka, który gra na harmonijce w formacji bluesowej, i lubi muzykę Sonny'ego i Cher. Tłumaczy, czemu kobiety nie powinny używać tuszu do rzęs i dlaczego długie włosy stanowią deklarację polityczną. I z jakiego powodu Linda i Patty też nie powinny nosić staników.

– Nie wstydz się swojej przeszłości – mówi na osobności do Lindy, kiedy wychodzą z pokoju. – To była reakcja twojego ciała, a własnego ciała nie należy się wstydzić.

Linda docenia zawartą w radzie życzliwość, choć myśl o tym, co Eileen uważa, że wie, nie daje jej spokoju.

Podczas świątecznego obiadu Jack przybiega od drzwi z wiadomością, że Linda ma gościa. Dziewczyna zastyga na krześle, wiedząc, kto przyszedł.

– Lepiej idź zobacz – mówi po chwili ciotka.

Thomas stoi na korytarzu z niewprawnie opakowaną paczuszką zaklejoną przezroczystą taśmą. Ma na sobie płaszcz z postawionym kołnierzem, znad którego wystają czerwone od mrozu uszy.

Linda czuje zakłopotanie na myśl o tym, że nie kupiła dla niego prezentu.

– Nie mogłam się wyrwać – przeprasza. – Eileen przyjechała.

Widać, że jest mu przykro. Linda wie, że to z jej powodu, i ma wyrzuty sumienia.

– To dla ciebie – mówi Thomas i podaje jej paczkę.

Zakłopotanie i skrucha sprawiają, że zapomina o dobrym wychowaniu. Otwiera paczkę w korytarzu, podczas gdy on stoi obok niezręcznie z rękami w kieszeniach. Wyplątanie prezentu z taśmy klejącej trwa wieki. Wewnątrz opakowania znajduje złoty krzyżyk z diamentkiem pośrodku. Złoty krzyżyk na łańcuszku. Na bileciku widnieje napis: “Dla Magdaleny”.

Linda przymyka oczy.

– Odwróć się – mówi Thomas. – Zapnę ci go.

Czuje na karku jego palce – za duże i zbyt niezgrabne jak na delikatny zameczek.

– Ja to zrobię – mówi Linda, kiedy zaciekawiony Jack otwiera drzwi, by jeszcze raz przyjrzeć się tajemniczemu nieznanemu, nie pozostawiając jej wyboru. Musi zaprosić Thomasa do środka.

Patrzy na kuchnię jego oczami: tapeta z plamą wilgoci w kącie. Stół ze świątecznym obiadem obok zlewu pełnego naczyń. Błat zaśmiecony okruszynami i brytfannami, rozlany sos. Wisząca nad stołem lampa, w którą uderzano głową tyle razy, że pękł klosz.

Wchodzą do dużego pokoju. W powietrzu wisi zapach nikotyny. Gra telewizor, świąteczna atrakcja.

Linda przedstawia Thomasa ciotce i kuzynom, krzyżyk połyskuje jak boja świetlna na jej szyi. Ciotka jest czujna i pełna rezerwy; rejestruje wzrokiem elegancki płaszcz i firmową koszulę, skórzane rękawiczki i drogie buty gościa. Jack nie posiada się z zachwytu: oto rozmawia z nim starszy chłopiec i mruga do niego. Thomas kiwa głową Michaelowi, po czym, nie zdejmując płaszcza, siada na sofie, odpowiadając na pytania niespieszonej Eileen. Ciotka, z czerwoną szminką na ustach i głową w ciasnych loczkach, cały czas patrzy na niego bezlitośnie.

Znękana Linda obserwuje sytuację jak z wielkiej odległości. Widzi, że Thomas ściąga płaszcz i nachyla się z sofy nad metalowymi wyścigówkami Jacka. Dostrzega, jak Thomas wymienia z ciotką dziwnie uważne spojrzenia. Patty i Erin, odesłane do kuchni, aby pozmywały naczynia, od czasu do czasu zagląдают do pokoju, wyraźnie zaintrygowane przystojnym chłopakiem.

Po upływie godziny Jack siedzi Thomasowi na kolanach i wszyscy słuchają Binga Crosby’ego.

Gość zostaje, dopóki ciotka nie zarządza wyjścia. Idziemy na pasterkę, oznajmia. Nie prosi, aby im towarzyszył.

W korytarzu ciotka wkłada płaszcz.

– Uważaj na niego – szepcze do Lindy. – On jest z tych, którzy złamią ci serce.

Przed wyjściem Thomas i Linda całują się za kuchennymi drzwiami.

– Wesółych świąt – szepce cicho Thomas. Jest sentymentalny, nawet pomimo Lowella i O’Neilla.

– Dziękuję za krzyżyk – mówi Linda. – Zawsze będę go nosić.

Znowu ją całuje, prawie sakramentalnie, w ramach preludium do pasterki. Połączenie religii i zmysłowości, spraw zawsze nierozzerwalnie dla niej związanych.

– Polubiłem twoich kuzynów – oznajmia. – Zwłaszcza Jacka.

Linda kiwa głową.

– To kochany chłopiec.

– Nie spodobałem się twojej ciotce – zauważa Thomas.

– To nie ma nic wspólnego z tobą – wyjaśnia Linda.

– Dasz radę jutro się wyrwać? – pyta chłopak.

Dziewczyna się zastanawia.

– Może po południu.

– Przyjadę po ciebie o pierwszej. Pojedziemy do Bostonu.

– Do Bostonu?

– Uwielbiam to miasto, kiedy wszystko jest pozamykane – mówi Thomas.

Idą pustymi ulicami, podczas gdy inni tkwią w domach, odstraszeni chłodem, który płynie od portu i pełnie wąskimi uliczkami North End. Choć to środek dnia, w oknach widać zapalone choinki. Linda wyobraża sobie góry podartego kolorowego papieru do pakowania i walające się pod nogami zabawki, obraz, który dopiero co zostawiła w domu. Eileen podarowała jej kolorową koszulę, Michael album Beatlesów, a Jack zrobiony w szkole stojak na ołówki. Od ciotki dostała porządną bawełnianą bieliznę z wyprzedaży oraz modlitewnik z wypisanym złotą czcionką imieniem i nazwiskiem w prawym dolnym rogu okładki: “Linda M. Fallon”. “M.” oznaczało “Marie”, nieużywane imię z bierzmowania.

Linda drży; dwurzędówka nie jest odpowiednim okryciem na mróz. Ma na głowie czapkę, ale włosy i tak fruwią na wietrze. Specjalnie nie włożyła szalika, żeby wyeksponować krzyżyk, teraz jednak musi przyciskać ręką kołnierz do szyi. Drugą ręką ściska dłoń Thomasa.

Pustka jest dziwna i niesamowita. Śnieg pada i klei się do rzęs. Całe miasto spowija cisza, zakłócana jedynie osobliwym, powolnym brzęczeniem łańcuchów na kołach sporadycznych taksówek. Nietrudno sobie wyobrazić, że miasto, z pozamykanymi sklepami i kawiarniami, to opustoszała scena. Ludzie istnieją tylko w wyobraźni, podobnie jak krzątania i zapach kawy.

– Idealnie – mówi do Thomasa Linda. – Absolutnie idealnie. – Ma na myśli poczucie nieograniczonego czasu, obietnicę możliwości, czystość powietrza.

Wchodzą od tyłu na Beacon Hill. Przechadzają się wzdłuż rzędu drzew opasującego aleje



Commonwealth, wyobrażając sobie, jak by to było mieszkać w którejś z tych eleganckich kamienic. Opisują sobie nawzajem półki nad kominkiem, narzuty, książki w biblioteczkach. Obiecują, że na zawsze pozostaną przyjaciółmi, bez względu na to, co się stanie. Przemierzywszy Bolston Street i Tremont, wstępują do jedyne go otwartego lokalu, Bickforda, naprzeciwko stacji metra na Park Street.

Pijaczkowie i włóczędzy siedzą z dala od siebie, w czapkach i rękawiczkach, z których powyciągali monety. Schronili się tu przed zimnem, jeden z nich pije mleko. W restauracji unosi się zwierzcha woń bekonu, niemytych ciał oraz melancholii, gęstej i namacalnej. Widok mężczyzn przycupniętych na osobnych ławkach nasuwa Lindzie skojarzenie z kościołem.

Linda i Thomas zajmują stolik w pobliżu wejścia. Zamawiają gorącą czekoladę i siedzą w ciszy, w której słycać tylko brzęk łyżeczek o kubki i trzask otwieranej kasy. Linda widzi, jak Thomas obserwuje włóczęgów, i dociera do niej, że chłopak wie na ich temat więcej od niej, że rozumuje instynktownie, że jego skóra jest bardziej przepuszczalna niż jej. Coś w wyrazie jego ust wskazuje, że nosi w sobie zapowiedź pewnego nieokreślonego zepsucia, niekoniecznie związanego z alkoholem lub seksem, raczej z chaosem i anarchią.

Kochany, chce powiedzieć, nie wiedząc dlaczego to słowo przyszło jej do głowy.

Na tylnym siedzeniu skylarka leży torba zapinana na zamek błyskawiczny. Wygląda na sportową, ale uszyto ją z tak grubego i ciężkiego płótna, że przypomina wojskowy plecak.

– Co tam masz? – pyta Linda.

Thomas przyjechał na parking autobusem drużyny, a Linda autobusem kibiców, który wtoczył się na miejsce, ledwie wyhamowując. Włosy chłopca, jeszcze mokre po prysznicu, zamarzają, zanim ogrzewanie w samochodzie na dobre zaczyna działać. Po południu niespodziewanie nadeszła burza od oceanu; drogi są zdradliwie śliskie. Thomas prowadzi pochylony nad kierownicą, wyglądając przez małe kółko na szybie, które jeszcze nie zamarzło. Skórzany dach kabrioletu tłumi szmer śniegu z deszczem.

– To tylko coś od Donny’ego T. – odpowiada z roztargnieniem, skupiony na prowadzeniu.

– Co? – pyta Linda.

– Prosił, żebym mu coś przechował.

Mecz odbywał się w Norwell i ich drużyna straciła dwa gole.

– Zranili cię? – pyta Linda.

– Co?

Thomas powoli jedzie za ciężarówką w kierunku Spring Street. Na Fitzgerald ciężarówka przyspiesza i Thomas idzie za jej przykładem, przekonany, że jezdnia musi być sucha, choć widoczność wciąż jest kiepska. Skręcają w Nantasket Avenue i samochód obraca się o sto osiemdziesiąt stopni. Linda przytrzymuje się tablicy rozdzielczej.

– Istne wariactwo – mówi Thomas.

Próbuje cofnąć samochód, ale nawierzchnia jest tak śliska, że skylark sunie w poprzek ulicy, po czym – jak w zwolnionym tempie – zatrzymuje się na barierce. Thomas dodaje gazu, lecz koła tylko kręcą się na lodzie. Nad nimi oblodzone druty telefoniczne kołyszą się na wietrze.

– Dalej musimy iść na piechotę – oznajmia. – Zostawimy tu samochód i wrócimy po niego, kiedy wysypią sól.

– Na piechotę? – powtarza Linda. Od domu dzieli ją jeszcze ponad pięć kilometrów.

– Mieszkam niedaleko – wyjaśnia Thomas.

Od tygodnia gazety trąbią, że to najgorszy styczeń od pięćdziesięciu czterech lat. Na plaży mróz skuwa lodem dom tak mocno, że rankiem, gdy wstaje słońce, budynek wygląda jak lodowy pałac. Port również zamarza, wypychając uwięzione łodzie coraz wyżej i wyżej, aż w końcu pękają kadłuby. Całymi dniami nie ma prądu i lekcje odwoływano już czterokrotnie: autobusy nie są w stanie dotrzeć na miejsce. Potem przychodzi odwilż i wszyscy myślą, że najgorsze minęło. Niespodziewana burza zaskakuje nawet meteorologów, którzy zapowiadali ocieplenie.

Thomas i Linda wchodzą na wzgórze, przytrzymując się gałęzi. Linda włożyła nowe skórzane botki, kupione za zaoszczędzone z napiwków pieniądze; buty mają śliskie podeszwy i w taką pogodę są do niczego. Thomas, który posuwa się bardziej stabilnie, chwyta ją za rękę, żeby nie ześlizgnęła się po zboczu. Co jakiś czas przystają przy drzewie, by zaczerpnąć tchu i pocałować się. Mokry śnieg sływa im za kołnierze. Śluz zamarł na górnej wardze Thomasa, który wygląda jak włóczęga w czapce nasadzonej głęboko na oczy i uszy. Ma ciepłe usta i język.

Chociaż pogoda nie sprzyja nauce i komunikacji miejskiej, trudno o lepszą na łyżwy. Thomas wygrzebał w piwnicy dziecięcą parę łyżew i czasem przychodzi po Jacka. Zabiera chłopca na zamrznięte bagna i uczy go jeździć. Przytrzymuje upadającego Jacka za rękę i ślizga się z malcem, trzymając go za ramiona. Jack zachłystuje się dumą. Thomas daje mu mały kij hokejowy i organizuje “mecze” pomiędzy Michaelem i Jackiem w jednej drużynie, a nim samym i Richelem, własnym siedmioletnim bratem, po drugiej stronie. Czasami Linda wkłada łyżwy Eileen i krąży nieopodal chłopców, przeważnie jednak trzyma się na uboczu, splatając ręce i przytupując z zimna. Patrzy na Thomasa z Jackiem i Richelem jak żona obserwowałaby męża i ukochanych synów. Dumna i szczęśliwa, w poczuciu spełnienia, którego nie sposób zaznać gdzie indziej.

Wędrówka do domu Thomasa trwa blisko trzy kwadransy. Przy dobrej pogodzie drogę można by pokonać w pięć minut. W drzwiach staje matka Thomasa, z troską na podłużnej twarzy. Chłopak nie jest w stanie dokonać prezentacji, ma zziębnięte usta. Pani Janes, wysoka, kanciasta kobieta o granatowych oczach, które świdrują Linde, przynosi im ręczniki i pomaga

zdjąć płaszcze. Odzyskawszy głos, Thomas przedstawia gościa. Dziewczyna zaciska zeszywniałe, czerwone ręce. Ma nadzieję, że zostanie to złożone na karb zimna.

– Burza przyszła niespodziewanie – odzywa się ojciec.

– Martwiliśmy się, jak dojedziesz – dodaje matka.

Linda ściąga buty i staje w pończochach w salonie Thomasa, chowając dłonie za sobą. Nigdy nie widziała podobnego pokoju i nie byłaby w stanie nawet go sobie wyobrazić. Jest duży i elegancki, z rzędem okien wychodzących na morze. W dwóch oddzielnych kominkach płonie ogień, co najmniej pół tuzina stojących tu krzeseł ma tapicerkę pod kolor dwu sof. Linda zastanawia się, według jakiego klucza mieszkańcy domu wybierają sobie miejsce do siedzenia. Następnie myśli o pokoju dziennym w trójpiętrowcu, migającym telewizorze, jedynej sofie z wyświeconymi poręczami oraz o Michaelu, Erin, Patty i Jacku opartych o nią plecami podczas oglądania "Bonanzy". Ma nadzieję, że burza nie zastała kuzynów poza domem.

Thomas prowadzi ją do kanapy i siadają; pani Janes zajmuje miejsce naprzeciwko. Linda czuje się jak na egzaminie. Ojciec przynosi gorącą czekoladę, dziwnie uradowany, jak mały chłopiec na wieść o odwołaniu lekcji. Matka Thomasa, w golfie i dobranej kolorem spódnicy, lustruje dziewczynę syna, odnotowując uszmkowane usta, dzinsową spódniczkę oraz sweter, pod którym nie ma stanika.

– Mieszkaś tu od niedawna – zagaduje, popijając czekoladę. Linda przytrzymuje kubek obiema rękami, próbując je ogrzać.

– W pewnym sensie – odpowiada, spuszczać wzrok. Nie dość, że ma na sobie sweter, przez który odznaczają się zeszywniałe od zimna brodawki (głupia Eileen), to jeszcze głęboki dekolt odsłania krzyżyk.

– W której części miasta? – indaguje pani domu, nie zwracając sobie głowy uprzejmościami.

– Przy Mapie Street – mówi Linda, odstawiając kubek i zakładając ręce na piersi.

Obok niej Thomas rozciera palce, próbując przywrócić im normalne krążenie. Nie tknął czekolady. Dzinsowa spódnica jest zbyt krótka i zbyt ciasno opina uda. Linda powstrzymuje chęć obciągnięcia jej.

– To jest w...? – Kobieta zawiesza głos.

– Rockaway Annex – odpowiada Linda.

– Naprawdę? – Matka Thomasa nie próbuje ukryć niedowierzania.

– Ale burza – wtrąca ojciec.

– Oprowadzę Lindę – mówi Thomas, wstając. To niesamowite – mieć dom, po którym można kogoś oprowadzić, myśli Linda.

Wchodzą po schodach do pokoju chłopca, przestępują próg i zaczynają się całować. Thomas unosi jej sweter i kładzie zimne dłonie na piersiach, a potem podciąga spódnicę na biodra. Linda stoi na palcach, oparta o ścianę. Słyszy kroki któregoś z rodziców u stóp schodów i jest pewna, że on lub ona wejdzie na górę i zajrzy do pokoju syna. To ryzyko albo dreszcz niepokoju czy też panika nasuwają dziewczynie przed oczy obraz mężczyzny zadzierającego jej sukienkę.

– Nie mogę – szepcze, odpychając Thomasa.

Ten puszczają z ociąganiem. Linda wygładza spódnicę i sweter. Słyszą kroki na schodach i chłopak kopniakiem zatrzaskuje drzwi.

– Co się stało? – pyta.

Linda siada na łóżku i usiłuje odsunąć od siebie wspomnienia, rejestrując elementy wystroju: drewniane biurko, serty papierów, długopisy rozsypane na blacie. Wygnieciona koszula i spodnie ciśnięte w kąt. Białe zasłony, zbyt ładne jak do chłopięcego pokoju. Biblioteczka w rogu.

– O Boże – mówi cicho i zakrywa twarz rękami.

– Co się stało? – pyta z niepokojem Thomas, przyklękając obok.

Linda potrząsa głową.

– To? – pyta Thomas. – Tamto? – mówi, wskazując na ścianę.

Za drzwiami znowu słychać kroki.

W lustrze nad komodą widzi ich dwoje: jego, siedzącego teraz na łóżku, lekko przygarbionego, z nastroszonymi włosami. I siebie, stojącą z założonymi rękami przy biblioteczce, z różowymi od zimna obwódkami wokół oczu i włosami spłaszczonymi od czapki.

Na biurku obok biblioteczki leżą zapisane kartki. Linda spogląda uważniej.

– To wiersz, nad którym pracujesz? – pyta.

Thomas zerka z roztargnieniem na biurko, zdając sobie sprawę, że zostawił swoje dzieło na wierzchu. Podchodzi do biurka i podnosi kartki.

– Możesz mi przeczytać? – pyta Linda.

– Nie – odpowiada.

– Na pewno?

– Na pewno. – Szeleści kartkami.

– Pokaż.

– To tylko szkic – mówi, podając jej jedną.

Linda czyta. To wiersz o skoku z pomostu, o dziewczynie, która w ubraniu nurkuje w wodzie. O roztańczonych światłach w tle i złościwościach chłopców.

Czyta wiersz raz, potem drugi.

– “Woda jak jedwab” – mówi głośno. – Naprawdę była jak jedwab.

Powrót na dół nie jest przyjemny: lodowata matka, ojciec, który musiał się wcześniej nasłuchać. Pan Janes wycofuje się do pokoju, skąd słycać telewizor; matka, w poczuciu obowiązku, wzywa taksówkę. Linda wkłada buty i – odprawiona – stoi w korytarzu, czekając z Thomasem na przyjazd taksówki.

– Pytałaś o torbę? – odzywa się Thomas. – Tam są narkotyki.

Następnego dnia w samochodzie przed opuszczonym domem Thomas zsuwa Lindzie bluzkę i całuje kościsty wzdórek ramienia.

– To kocham w tobie najbardziej – oznajmia.

– Naprawdę? Dlaczego? – Wobec pozostałych części jej ciała, które ostatnio poznał, ramię wydaje się jakoś mało istotne.

– To ty – odpowiada. – Cała ty.

– Czy to nie tytuł piosenki? – pyta Linda.

Włożyli okulary przeciwsłoneczne. Przed nimi świat mieni się tysiącem światła. Po drodze na plażę minęli kościół Świętej Anny i bar, wszystko jednakowo skute lodem. Słońce odbija się od ścian, zbyt jasnych dla nieosłoniętego oka, i nadaje gałęziom rajski wygląd.

– To inne niebo niż to, które sobie wyobrażaliśmy – mówi Linda.

– Jakie?

– To kraina czarów – mówi z podziwem Linda.

Thomas odzyskał swój samochód. Podobnie jak większość pozostałych właścicieli pojazdów w mieście, wreszcie założył łańcuchy na koła. Pozostał jeszcze luty, potem marzec; kto wie, jakie burze wówczas nadejdą?

– Kosztowały mnie dwadzieścia dolców – wyznał wcześniej. – Ale war to było. Inaczej nie mógłbym cię wozić.

Całuje ją. Znowu zaparkowali prowokująco przed chatą, w swoim zwykłym miejscu. Ale jest dopiero trzecia, argumentuje Thomas, i policjant tak wcześnie nie zaczyna obchodu.

– Dlaczego to robisz? – pyta Linda.

Chłopak dobrze wie, o co jej chodzi.

– Donny T. mnie prosił – tłumaczy.

– To mało przekonujące wytłumaczenie – kwituje Linda, wychylając się do przodu, i włącza radio.

Tego dnia odwołano lekcje, ale odholowanie samochodu zabrało Thomasowi cały ranek. Po południu kupował łańcuchy. Linda bierze głęboki wdech. Nigdy nie ma dość woni grzanek, która stanowi dla niej esencję ludzkiego ciepła.

– Wczorajsza wizyta u ciebie była katastrofą – mówi.

– Wcale nie – odpowiada Thomas.

– Właśnie, że tak – upiera się Linda. – Nie spodobałam się twojej matce.

– Jest nadopiekuńcza.

– Nie mogę uwierzyć, że włożyłam ten sweter bez stanika. – Dziewczyna chowa twarz w dłoniach.

– Mnie się to podobało – odpowiada Thomas. Dotyka jej piersi, po czym cofa rękę jak zwierzę czekające na znak.

– W porządku – szepcze Linda.

– Cokolwiek to jest, powinnaś komuś powiedzieć.

– Powiedziałabym ci, gdybym mogła – tłumaczy się i waha przez chwilę. – Powiedziałabym Bogu, gdybym mogła.

– Czy on i tak o wszystkim nie wie?

– To część umowy. Musisz zdobyć się na wyznanie tego, co zrobiłeś.

– To nielogiczne.

– No jasne.

– Nie chcę być niegrzeczny – odzywa się Thomas – ale czy naprawdę uważasz, że Boga to obchodzi?

Pytanie nie szokuje ani nawet nie zaskakuje Lindy. Jest to inaczej wyrażone słowami zagadnienie, które dręczy ją od pewnego czasu: nielogiczność dbania o to, czy Billy sypia z Donna przed ślubem, w obliczu holocaustu. Logika wymaga zdrowego rozsądku: wobec takiego okropieństwa Bóg nie może przecież zajmować się seksem przedmałżeńskim. Mimo to myśl, że Go nie obchodzi, budzi w niej rozpacz.

Thomas zdejmuje Lindzie okulary przeciwsłoneczne; dziewczyna mruży oczy.

– Ty też zdejmij – mówi. Siadają zwróceniu ku sobie twarzami.

– Muszę cię o to zapytać – mówi Thomas.

– Dobrze – zgadza się Linda, gotowa na wszystko, nawet pewna siebie.

– Proszę, powiedz mi, co się stało.

Jej pewność siebie drży w posadach. Otwiera usta, ale nie wydobywa z nich żadnego dźwięku.

Thomas z powrotem opiera głowę o siedzenie i zamyka oczy. Linda wodzi palcem po jego piersi. Słońce zachodzi na wprost nich. Poświata na wydmach gaśnie; temperatura spada.

– Gdzie przedtem mieszkałaś? To znaczy, przed Domem Magdaleny? – pyta Thomas.

– W Marshfield.

– Aha.

– Co? Coś nie tak?

– Nie, nic. Jest chyba sporo rzeczy, których o tobie nie wiem.

Linda milczy.

– Dokąd jeździłaś latem?

– Thomas!

– Po prostu odpowiedz na moje pytanie. – Nieznana dotąd nuta rozdrażnienia w jego głosie przejmując ją dreszczem.

– O co ci chodzi?

– Czy kiedy chodzisz do spowiedzi – ciągnie Thomas – spowiadasz się z tego, że pozwalałaś mi dotykać swoich piersi?

Linda zapina sobie bluzkę.

– Opowiesz księdzu o ostatnim wieczorze? O tym, jak podciągnąłem ci spódnice? – Zaciska usta, patrząc przed siebie. – Opowiesz? – powtarza.

Linda wkłada okulary.

– Do jakiego stopnia wdajesz się w szczegóły?

– Thomas, przestań.

Iskierki na przedniej szybie znikają, Linda ciasno otula się płaszczem.

– Odwieź mnie do domu.

– Po prostu chcę zrozumieć, co tobą kieruje – mówi chłopak.

Wiatr od oceanu klekocze luźnymi elementami skylarka i ociera się o szyby. Linda uświadamia sobie, że wewnątrz samochodu również panuje mróz. Z ust obojga wydobywają się obłoczki pary.

– Chyba jestem zły – oznajmia Thomas.

– Na kogo? Na mnie? – pyta dziewczyna.

– Chyba jestem zły na ciebie.

– No i dobrze – odpowiada, wciśnięta w drzwi. Zaczyna zapinać guziki przy bluzce.

– Nie jestem na ciebie zły – wycofuje się Thomas.

– A powinieneś.

– Dlaczego?

– Coś zepsułam, prawda?

– Nieprawda.

– Prawda. Sam wiesz.

– Linda, spójrz na mnie.

– Nie patrzy.

– Skoro mowa o tym, czego o sobie nie wiemy, może mi tak powiesz, po co przechowujesz Donny'emu T. narkotyki?

– Jeśli nawet, to co?

– To co? Możesz iść, kurwa, do więzienia, tylko to!

– Linda, spójrz na mnie, proszę.

Ustępuje i odwraca się ku niemu.

– Jesteś dla mnie wszystkim – mówi Thomas. – To wiem na pewno.

Linda milczy.

– Jesteś moją rodziną, na miłość boską. Moją kochanką, przyjaciółką i rodziną. – Urywa. – Zakładam, że ja dla ciebie też.

Może to i prawda, myśli Linda. Całkiem możliwe. I co za ulga. Inny sposób widzenia świata: Thomas jako jej rodzina. Przemierza dzielący ich ocean i dotyka jego ręki.

– “Kurwa” w twoich ustach brzmi idiotycznie – oświadcza Thomas.

Thomas otwiera drzwi skylarka, sięga na tylne siedzenie i wyciąga płócienną torbę. Linda obserwuje, jak chłopak idzie w kierunku plaży, ślizgając się i potykając. Usiadła na rękach, żeby lepiej widzieć. Wysoka fala przyływu pluszcze u jego stóp, gdy z siłą atlety, z rozmachem wyrzuca torbę do morza. Pakunek przez chwilę unosi się na wodzie, po czym tonie.

Linda przenosi wzrok z prostych trzciny porastających wydmy na poziome bale chaty oraz kwadraty okien. Wcześniej tego nie zauważyła, ale wszystko tworzy wzór. Do tej pory sądziła, że jej życie stanowi serię przypadkowych wypadków. Tu to, tu tamto, potem znowu coś innego, podczas gdy wszystkie wydarzenia w gruncie rzeczy stanowią określony wzór, plan. Cudownie misterny plan.

Thomas drżąc wsiada do samochodu. Choć włożył kurtkę, pod spodem ma wciąż niezapiętą koszulę. Zaciera ręce.

– I co teraz? – pyta Linda. – Donny T. nie będzie wściekły? Ile tam było?

– Parę kilogramów. Pewnie mnie zabije.

– Thomas!

– Żartuję. Zapłacę mu. Coś wymyślę.

Następnego dnia w szkolnym barze Donny T. przyjmuje zakłady, ile wolnych dni czeka ich jeszcze do końca zimy. Wysoki zakład to sześć. Niski – żaden. Linda uważa, że ten niski jest bliższy prawdy. Zmiana natężenia światła – jego siła i sposób, w jaki przenika przez okna – zwiastuje rychłe nadejście wiosny.

Na posadzce pod jej stołem widnieją plamy roztopionego śniegu. Siedzi sama; do rozpoczęcia lekcji zostało tylko pięć minut. Patrzy na niezidentyfikowany kawałek mięsa leżący w warstwie zakrzepłego tłuszczu na jej talerzu. Żałuje, że nie wzięła ze sobą jabłka.

Obserwuje Donny’ego T.: zwinnie bierze pieniądze z wyciągniętych ku sobie palców i płynnym ruchem ręki wsuwa je do kieszeni kurtki; z pozorną obojętnością notuje dane na serwetce, gotów niepostrzeżenie zwinąć ją w kulkę, jeśli wścibski nauczyciel zawędruje



w okolicie jego stolika. Ma talent i ewidentną smykałkę do interesów.

Linda bierze kęs tajemniczego mięsa, szepcząc w myślach krótką modlitwę w intencji Thomasa. Jej modlitwy są w zasadzie, choć nie do końca, mechaniczne. Odmawia je za Jacka i Eileen, za Patty, gdy ta miała różyczkę, za Erin, kiedy dostała dwóję z czytania. Wyobraża je sobie jako balony, które rzędem dryfują w atmosferze, przedzierając się przez obłoki. Balony nadziei. Modlitwa nie jest niczym innym tylko balonem pełnym nadziei.

– Linda Fallon – odzywa się ktoś za jej plecami.

Odwraca się, przełykając pośpiesznie mięso.

– Pan K. – mówi.

– Mogę usiąść? – pyta nauczyciel.

– Oczywiście. – Dziewczyna odsuwa tacę.

– Nie chcę ci przerywać lunchu.

– Nic nie szkodzi – mówi Linda. – I tak jest wstrętny.

– Tak też podejrzewałem.

Pan K., niski, kwadratowy mężczyzna, bez powodzenia usiłujący przybrać profesorski wygląd, kołysze nogą ponad ławką. Trzyma kubek kawy, w którym miesza słomką.

– Pewnie wiesz – oznajmia – że jestem nie tylko nauczycielem, ale tak że doradcą starszych klas.

– Wiem.

– Krótko mówiąc, przeglądałem listę kandydatów do college'ów i nie widziałem tam twojego nazwiska.

– Nie.

– Nie zgłosiłaś się.

Linda zdejmuje klamerkę z włosów, po czym wpina ją z powrotem. – Nie.

– Mogę spytać, dlaczego?

– Nie wiem – bąka, przeciągając palcem po beżowym blacie stolika.

– Masz niesamowity potencjał – podejmuje nauczyciel, wciąż mieszając kawę słomką. – Budujesz zdania w bardzo przejrzysty sposób, twoje prace wykazują logikę. Czy muszę dodawać, że jest to dość rzadkie zjawisko w uczniowskich wypracowaniach?

Linda się uśmiecha.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie?

Kiwa głową.

– Czy chodzi o pieniądze?

Obliczyła dokładnie: nawet za wszystkie pieniądze z napiwków nie opłaciłaby czesnego, a przecież wszystkich nie odłożyła. Opłaty za czesne, mieszkanie i wyżywienie wyniosłyby trzy i pół tysiąca dolarów. I to tylko za pierwszy rok.

– Mniej więcej – odpowiada.

Nie dodała, że naprawdę nie zgłosiła się dlatego, bo nie wyobraża sobie, jak mogłaby powiedzieć o tym ciotce, która z pewnością potraktowałaby studia jako kolejny dowód wywyższania się Lindy, próbę bycia lepszą od kuzynów.

– Przecież wiesz, że są stypendia – namawiają pan K.

Linda kiwa głową.

– Mamy dopiero koniec stycznia – dodaje nauczyciel. – Przyznam, że to za późno na oficjalne zgłoszenie, ale znam, kogo trzeba, i pan Hanson również. Moglibyśmy zadzwonić do paru osób. Jestem w stanie ci pomóc.

Linda z zakłopotaniem przenosi wzrok na Donny'ego T. Czy on będzie zdawał do college'u? Czy też zostanie złodziejem i hazardzistą albo bankierem? Nie wie nawet, dokąd Thomas złożył papiery. Uczynił z tego tematu swoiste tabu.

– W domu wszystko gra? – pyta pan K.

Akurat, myśli Linda.

– Zrób coś dla mnie, dobrze? – prosi nauczyciel. – Obiecuj, że zajrzysz do mojej klasy i rzucisz okiem na parę katalogów college'ów. Znasz Tufts? B.U.?

Dziewczyna kiwa głową. Pan K. patrzy na krzyżyk.

– B.C.? – pyta. – To college katolicki.

– Dobrze – odpowiada Linda. Nie ma innego wyjścia.

– Dzisiaj po południu? Jesteś wolna po ósmej lekcji?

– Tak.

– Świetnie. No to do zobaczenia.

– Do widzenia.

– Co przerabiacie w tym semestrze? Dwudziesty wiek? – Nauczyciel wstaje.

– Tak.

– “Ze snu matki w sen zapadłem. Przycupnięty z futerkiem skutym lodem”.

Randall Jarrell. Linda się uśmiecha.

Łapie autobus, który zatrzymuje się tuż za parkingiem dla uczniów. Kierowca patrzy na nią przymrużonymi oczami.

– Jestem chora – mówi. – Nie uciekam.

Jedzie przez Main Street i Fitzgerald do Nantasket Avenue, zastanawiając się, czy zdąży przed umówionym spotkaniem z panem K. Wie, że jeśli dłużej będzie nad tym rozmyślać, straci odwagę i nie zrobi tego, co postanowiła. Jest zdeterminowana.

Świat wokół niej topnieje. Migocze i kapie, spuszczając z dachów i linii telefonicznych gigantyczne odłamki lodu i bajkowe soople z rynien.

Autobus jest przegrzany; Linda rozpina płaszcz. Przed ósmą godziną ma dwie lekcje, będzie musiała wymyślić jakąś wiarygodną wymówkę. Może wykorzysta pana K. jako usprawiedliwienie.

Wysiada na przystanku leżącym najbliżej Świętej Anny. Plebania znajduje się obok kościoła. Gdyby nie dojmujące poczucie misji, dziewczyna pewnie cofnęłaby się i wróciłaby do szkoły. Zmusza się, żeby iść przed siebie, choć spodziewa się, że jej prośba napotka drwinę. To najodważniejsza rzecz, na jaką zdobyła się po skoku do oceanu.

Podchodzi do kamiennych schodów i puka do ciężkich drewnianych drzwi.

Otwiera jej młody ksiądz. Już go kiedyś widziała w kościele, ale teraz, z bliska, wygląda jak Eddie Rocket. Ma przekrzywioną koloratkę i w ręku trzyma serwetkę.

– Wysłucha ksiądz mojej spowiedzi? – pyta Linda.

Ksiądz wygląda na zaskoczonego.

– Spowiedź odbywa się w sobotę po południu – odpowiada, ale nie opryskliwie. Może to kuzyn Eddiego? Ma złociste włosy i drobną posturę. Dobry kuzyn. – Dziś nie sobota – przypomina.

– Wiem – odpowiada Linda – ale muszę teraz się wypowiadać.

– Jem lunch – oponuje ksiądz.

– Przepraszam – Linda prawie daje za wygraną. Może to grzech, domagać się więcej, niż nam dano, myśli. – Zaczekam – dodaje jednak.

Młody ksiądz ociera usta serwetką.

– Wejdz – zaprasza.

Wchodzą do mrocznego korytarza wyłożonego boazerią. Jedyne źródłem światła są tu elektryczne kinkiety, jakby na zewnątrz też było ciemno. Z jakiegoś pomieszczenia dobiega szczeł sztucców i szum głosów.

– Nie powinnaś być w szkole? – pyta ksiądz.

– Powinnam.

– Nie będą się niepokoić?

– Nie.

– W której jesteś klasie?

– W ostatniej.

– Czy po spowiedzi wrócisz do szkoły?

– Wrócę.

– Nie będę pytał, jak się nazywasz.

– Dziękuję.

– Chodź ze mną.

Idzie za młodym księdzem do małego przedpokoju z boku korytarza. Gdyby nie krzyże, można by go uznać za pomieszczenie, gdzie udziela się audiencji zagranicznemu dygnitarzowi. Dwa fotele ustawiono przodem do drzwi. Dwie pasujące do nich sofy stoją pod ścianami. Nie licząc mebli, pokój jest pusty.

Patrzy, jak ksiądz przesuwając fotele na środek, tyłem do siebie, tak że siedzący na nich ludzie nie widzą się nawzajem. Potem gestem zachęca ją, aby usiadła.

Linda stawia torebkę na podłodze obok fotela i zsuwa płaszcz z ramion. Wzbiera w niej panika. To nie do pomyślenia, że ma wyznawać grzechy w tym pokoju z dwoma odwróconymi od siebie fotelami – bez osłony konfesjonału, kryjówki.

– Ojczy, przebac mi, bo zgrzeszyłam – zaczyna szeptem.

Zapada długa cisza.

– Masz grzechy, które pragniesz wyznać? – zachęca ksiądz. Wydaje się znudzony, o ile nie znudzony.

– Kilka lat temu – mówi z bijącym sercem Linda – utrzymywałam nie właściwe stosunki ze swoim wujem. To znaczy, z mężczyzną, którego nazywaliśmy “wujem”. Miałam trzynaście lat.

– Co masz na myśli, mówiąc “niewłaściwe”?

– My... – Zastanawia się, jak to ująć. Czy “cudzołożyć” będzie odpowiednim słowem? – Uprawialiśmy seks – kończy.

Następuje krótka pauza.

– Uprawiałaś seks z mężczyzną, którego nazywałaś “wujem”?

– Tak.

– Ile miał lat?

– Nie jestem pewna. Chyba około czterdziestu.

– Rozumiem.

– Mieszkał z moją ciotką.

– Ile razy z nim cudzołożyłaś?

– Pięć – odpowiada Linda.

– Zmusił cię do tego?

– Nie. Niezupełnie.

– Już się z tego spowiadałaś?

– Nie.

– To ciężkie grzechy – oznajmia ksiądz. – Cudzołóstwo i zatajenie w czasie spowiedzi. Nikt o tym nie wie?

– Ciotka. Przyłapała nas. Zostałam odesłana na długi czas.

– Aha. Mów dalej.

– Potem oni zerwali. On, jak by to powiedzieć, porzucił rodzinę.

– I myślisz, że to przez ciebie?

– Możliwe. To prawdopodobne.

Ksiądz milczy przez długą chwilę, co budzi w niej niepokój. Tak chyba nie miało być. Gdzieś z zewnątrz dobiega szum spuszczonej wody, na korytarzu słychać głosy. Czy ksiądz zapyta o szczegóły?

– Mogę być z tobą szczerą? – pyta wreszcie duchowny.

To kłopotliwe pytanie; Linda nie wie, co odpowiedzieć. Ksiądz odwraca się w fotelu i wychyla w jej stronę.

– To odstępstwo od zasad spowiedzi – oświadczają – ale czuję, że muszę ci o tym powiedzieć.

Ona też nieznacznie zmienia pozycję. Kątem oka widzi rękaw księdza i jego bladą rękę. Piegowatą jak u Eddiego Rocketa.

– Znam cię – mówi ksiądz. – Ty jesteś Linda Fallon.

Linda wciąga gwałtownie powietrze.

– Wiem coś o twojej sytuacji – podejmuje ksiądz. Wydaje się łagodniejszy, już nie tak surowy. I na pewno nie znudzony. – Mężczyzna, o którym mówisz, jest nikczemnym człowiekiem. Znałem go niezbyt dobrze, zanim wyjechał, ale widziałem i słyszałem wystarczająco dużo, aby być pewnym mojej opinii. To, co zrobił z tobą, robił także z innymi dziewczętami w twoim wieku, a nawet z młodszymi. I to stale. Rozumiesz, o czym mówię?

Kiwa głową, prawie nie wierząc w to, co słyszy. Inne dziewczęta? Młodsze?

– Można go uznać za chorego albo złego – wyjaśnia ksiądz. – Pewnie jedno i drugie jest słuszne. Próbuję ci jednak wyjaśnić, że nie byłaś jedyna.

Informacja okazuje się tak zaskakująca, że cały jej świat w znanej dotychczas postaci przez chwilę drży w posadach. Czuje mdłości, jakby miała zwymiotować. Niespodziewanie widzi przed oczami Eileen i słyszy jej dziwną uwagę: “To była reakcja twojego ciała, a własnego ciała nie należy się wstydić”.

– Nie wyobrażam sobie, jak wygląda serce takiego człowieka – ciągnie ksiądz. – Trzeba modlić się za jego duszę. Mogę jednak chyba zrozumieć ciebie.

Linda czuje ucisk w piersi i boi się, że zabraknie jej powietrza.

– Czujesz się odpowiedzialna za to, co się stało – podpowiada duchowny.

Kiwa głową, po czym uświadamia sobie, że mógł tego nie widzieć. Wychyla się nieco bardziej przez poręcz fotela, starając się jednocześnie na niego nie patrzeć. W oddali słyszy coś, co brzmi jak pożegnanie, po którym następuje trzaśnięcie drzwi.

– Tak – potwierdza. – Mniej więcej.

– Chociaż można by powiedzieć, że powinnaś być silniejsza i oprzeć się temu mężczyźnie, jego grzech jest nieporównywalnie cięższy. Byłaś dzieckiem. Nadal nim jesteś.

Ku przerażeniu Lindy łyży cisną jej się do oczu. Czuje, jak wzbierają pod powiekami.

– Ciotka nie miała racji, odsyłając cię. Nie mogę sobie wyobrazić, ja kie to dla ciebie musiało być okropne.

Linda potrząsa głową. Jego dobroć! To prawie boleśniejsze niż szorstkie słowo. Jeszcze nikt tak do niej nie mówił.

– To nie jest grzech, który musisz wyznać, ponieważ nie popełniłaś grzechu – mówi spowiednik. – Rozumiesz, co mam na myśli?

Nie rozumie. Niezupełnie. To zaprzeczenie wszystkiego, co dotąd słyszała.

– Niektórzy mogliby tak pomyśleć – dodaje ksiądz. Kicha. – Wybacz.

– Wyjmuje chustkę i wyciera nos. – Chyba złapałem katar – wyjaśnia. – Nie chciałabyś z kimś o tym porozmawiać? Z kimś, kto mógłby ci pomóc.

– Nie – odpowiada, pośpiesznie potrząsając głową.

– Myślę o kimś w rodzaju lekarza, komu mogłabyś opowiedzieć o tym, co czujesz.

– Nie – powtarza. – Raczej nie.

– Chyba mógłbym zorganizować ci spotkanie z kobietą.

– Naprawdę nie.

– Czasami trudno coś w sobie tłumić.

Wyrywa jej się dziecinne łkanie. Szloch, czkawka z powodu połkniętego powietrza. Odwraca się szybko.

Słyszy, że ksiądz wstaje i opuszcza pokój. Myśli, że wyszedł, żeby sobie popłakała w samotności, tymczasem on wraca z pudełkiem chusteczek. Staje przed Lindą, ona jednak uparcie trzyma wzrok na wysokości jego kolan. Wyciąga chustkę z pudełka i wydmuchuje nos. Fizjologia, myśli.

– Może wolałabyś posiedzieć tu sama – proponuje ksiądz.

Ponownie potrząsa głową.

– Muszę wracać do szkoły – odpowiada, chcąc jak najszybciej opuścić plebanię.

– Rozumiem – odpowiada. – Lindo!

Podnosi wzrok. Myliła się. Ksiądz wcale nie wygląda jak Eddie Rocket.

– Czy jesteś w stanie mu wybaczyć? – pyta.

– Nie wiem. Próbuję o tym nie myśleć.

– A ciotce?

Linda kręci głową.

– Ona mnie nienawidzi – mówi. – To jeszcze gorsze.

– Nie nam oceniać, który grzech jest gorszy.

– To prawda – przyznaje.

– Popracujesz nad tym, żeby im wybaczyć? Postarasz się?

– Dobrze – zgadza się, wiedząc, że może to nieprawda.

- Masz przyjaciół? – pyta ksiądz. – Kogoś, z kim możesz porozmawiać?
- Mam przyjaciela.
- Ufasz mu?
- Tak. Bardzo.
- Chłopiec czy dziewczyna?
- Chłopiec.
- Jest katolikiem?
- Nie.
- Zresztą, to bez znaczenia.
- Jest moim życiem – dodaje Linda.
- Ejże – gani ją łagodnie ksiądz. – Bóg jest twoim życiem. Twoje życie spoczywa w Bogu.
- No tak.
- Ale chyba nie pora o tym dyskutować. Zakładam, że przeszedłeś dość intensywne religijne szkolenie.

Linda kiwa głową.

- Bardziej, niżbym sobie tego życzyła.

Patrzy na niego i widzi, że ksiądz się uśmiecha. Nie, wcale nie przypomina Eddiego Rocketa, myśli.

Ksiądz wyciąga rękę. Linda ujmuje ją i kapłan pomaga jej wstać.

– Odprowadzę cię do drzwi – mówi. – Jeśli kiedykolwiek będziesz chciała porozmawiać, o tym albo czymś innym, po prostu przyjdź.

- Dziękuję – odpowiada Linda. – Nawet nie wiem, jak ksiądz się nazywa.

- Ojciec Meaghan. Nie zapomnij torebki.

Linda wychodzi, świadoma, że ksiądz obserwuje ją ze środka. Światło jest tak jaskrawe i ostre, że natychmiast wyjmuje z torebki okulary przeciwsłoneczne. Wkłada jej z ulgą, po czym kieruje się w stronę przystanku. Kiedy wie, że nikt z plebanii nie może jej już zobaczyć, zaczyna płakać.

Oparta o ścianę, czeka przed salą “Nantasket”. Zastanawia się, jaki architekt mógł wymyślić takie okropieństwo, uznając, że budynek zachęci uczniów do nauki. Może rzeczywiście dawniej było to więzienie. Ściana z żółtej cegły wznosi się wysoko ponad jej głowę, przerywana jedynie wąskimi okienkami. Pokolenia uczniów ocierających się o futryny nadały im barwę przytłumionego błękitu bądź zużytego oranżu. Szczelinę w drzwiach wyposażono prócz szyby w metalową siatkę, zapewne dla ochrony przed zbłąkaną pięścią, myśli Linda. Od czasu do czasu zagląda przez szybę, sprawdzając, co robi Thomas. Siedzi u szczytu długiego stołu

w towarzystwie ośmiu innych uczniów, głęboko pogrążonych w dyskusji. Niedawno dostarczono im świeże wydanie “Nantasket” i na biurkach piętrzą się stosy gazet.

Wcale nie powinna tu być. Powinna była jechać prosto do domu, zamknąć się w pokoju i odrobić lekcje. Rano ma sprawdzian z rachunków, musi także napisać wypracowanie na temat książki, której jeszcze nie przeczytała. Praca w barze, mecze hokejowe (dwa razy w tygodniu) oraz godziny spędzane z Thomasem (całkiem niepotrzebnie) sprawiają, że Linda ma coraz mniej czasu na naukę. Rozmowa z panem K. nic nie da, jeśli ona sama nie utrzyma dobrych stopni. Dawniej nauka przychodziła jej bez wysiłku, lecz brak wysiłku jest możliwy jedynie wówczas, jak zauważyła, jeżeli ma się czas na naukę.

W końcu korytarza pan Constanza, który powitał ją w szkole, strofuje ponurego ucznia z długimi włosami, ubranego w dzinsową kurtkę. Linda nie słyszy, co mówi, ale może się domyślić. “Nie noś tej kurtki. Obetnij włosy”.

Myśli o niezwykłym spotkaniu z księdzem. Tak niezwykłym i nierzeczywistym, że mogło go wcale nie być.

Ale było, myśli. Naprawdę było.

Drzwi otwierają się i wychodzi Thomas z egzemplarzem “Nantasket” w ręce. Idzie, pochłonięty lekturą.

– Hej! – woła Linda.

– Linda? – Odwraca się. – Cześć! Nie spodziewałem się ciebie.

– Co tam masz?

– Zobacz. – Otworzył czasopismo na stronie, gdzie wydrukowano wiersz Thomasa Janesa.

Linda czyta.

– Jest bardzo dobry, Thomas. – Naprawdę jest. – Naprawdę. Gratuluję.

– Dziękuję. Dziękuję. – Kłania się. – Co ty tu robisz?

– No więc – oznajmia Linda – rozmawiałam z panem K. i chyba złożę papiery do college’u.

– Tak? – mówi z uśmiechem Thomas. – Tak? – Przyciskają do ściany.

– Dokąd?

– Na przykład do Middlebury.

– Pieprzony pan K.! – woła Thomas.

– I Tufts, i B.C.

– Chyba żartujesz!

– Termin zgłoszeń już minął, ale pan K. odbył kilka rozmów telefonicznych i wyjaśnił, jak to nazwał, “moją sytuację”. Powiedzieli, że rozpatrzą moje zgłoszenie. Przynajmniej w Middlebury.

– To cudotwórca – kwituje Thomas, całując ją.

Przez korytarz płynie w ich kierunku wołanie:



– Proszę bez bratania się w godzinach szkolnych!

Thomas, odwrócony plecami do pana Constanzy, unosi brew. Wicedyrektor stoi z rękami podpartymi na biodrach. Jeszcze chwila, myśli Linda, a tupnie nogą.

– Z czego się tak cieszyacie? – pyta pan Constanza.

Na parkingu pełno topniejącego śniegu. Lindzie przemakają buty.

– Teraz, kiedy założyłem łańcuchy – mówi Thomas – pewnie nie będzie ani jednego mroźnego dnia. – Otwiera drzwi skylarka. Jest tak ciepło, że Linda natychmiast zdejmuje płaszcz. Thomas włącza radio.

– Podobnie jak z parasolką – zauważa Linda.

– To znaczy?

– Jeśli o niej pamiętasz, na pewno nie będzie padać.

– Musimy to oblać!

– Dobrze – odpowiada Linda. – Gdzie?

Namyśla się, bębniąc palcami o kierownicę.

– Niedaleko stąd jest przyjemna restauracja Lobster Pot, gdzie poda ją owoce morza – mówi.

– Moglibyśmy zjeść tam kolację.

– Naprawdę? Dzisiaj środa.

– No to co?

– Jutro mam sprawdzian.

– Później się pouczysz.

– Mam dużo pracy.

– Nie teraz – protestuje Thomas, wrzucając wsteczny bieg.

Jadą krętą, wąską drogą nadbrzeżną. Linda siedzi ciasno przytulona do Thomasa, który od czasu do czasu kładzie jej rękę na udzie. W pewnym momencie wkłada rękę pod spódnicę dziewczyny. Po raz pierwszy Linda nie odpycha go.

Przystają na stacji benzynowej, żeby mogła zadzwonić do baru. Zatykając nos, udaje, że ma katar, podczas gdy Thomas stoi przed budką telefoniczną, bębniąc w szybę i podśpiewując. Po powrocie do samochodu Linda całuje go tak mocno i długo, że chłopak nie może złapać tchu.

Gdy jadą szosą, zachodzące słońce rozświetla drzewa i stare domy przy drodze, tak że świat zdaje się stać w ogniu.

– To najlepszy dzień mojego życia – oświadcza Linda.

– Naprawdę?

Woda na bagnach ma odcień jaskrawego różu. Thomas sięga pod siedzenie i wyjmuje butelkę czegoś, co wygląda na szkocką lub whisky. Cięń kładzie się na drogę.

– Co to? – pyta dziewczyna.

– Napijesz się? Przecież świętujemy.

W butelce znajduje się tylko połowa zawartości. Być może jest to coś, czego Linda nie wie o Thomasie.

– Nigdy nie piłaś alkoholu? – pyta chłopak.

– Thomas, możemy gdzieś się zatrzymać? Chcę ci coś powiedzieć.

– Uprawiał ze mną seks – mówi w pośpiechu, gwałtownie wypuszczając powietrze z płuc.

Czeka, aż coś się wydarzy. Thomas zaparkował samochód na bocznej drodze nieopodal bagien. Od szosy dzieli ich niewielki zagajnik, lśniący i topniejący w blasku zachodzącego słońca.

– Zgwałcił cię – mówi.

– To nie był gwałt – prostuje Linda. – Ani kazirodztwo, jeśli to cię martwi. Nie był moim prawdziwym wujem. Po prostu go tak nazywaliśmy. Był... nie wiem, jak to nazwać... facetem mojej ciotki.

Oto chwila, myśli, kiedy będzie musiał otworzyć drzwi i wysiąść, żeby zaczerpnąć powietrza. Potem przejdzie się, pobiera, a kiedy wróci, wszystko się między nimi zmieni.

– Często? – pyta Thomas.

– Pięć razy.

Chłopak opiera głowę o fotel. Linda czuje bezbrzeżną ulgę. I głód.

– Domyślałem się tego – mówi Thomas.

– Naprawdę? – Jest tylko trochę zdziwiona. I może nieco rozczarowana. Ktoś odgadł jej pieczołowicie strzeżony sekret!

– Nie wiedziałem na pewno – precyzuje Thomas. – Szczerze mówiąc, przez chwilę myślałem, że chodziło o twojego ojca.

– Mój ojciec odszedł, kiedy miałam pięć lat – wyjaśnia mu. – Przecież ci mówiłam.

– Sądziłem, że może kłamiesz co do czasu jego odejścia – mówi Thomas. Bez cienia potępienia. To zrozumiałe, że nie miałyby innego wyjścia.

– Czy to było okropne? – pyta jeszcze.

– Ani okropne, ani nie okropne – odpowiada ostrożnie Linda. I po chwili dodaje: – Chyba nie powinniśmy już tego roztrząsać.

Thomas kiwa głową. Co im przyjdzie ze szczegółów? Z obrazów, których nie sposób wymazać z pamięci?

– Kocham cię – szepcze.

Linda potrząsa głową. Nie teraz. W tej chwili jego słowa budzą przypuszczenie, że mówi to z litości.

– Pokochałem cię w chwili, kiedy weszłaś do klasy – ciągnie chłopak.

Linda wie, że to prawda, i ogarniają radość.

- Czasami myślę – dodaje Thomas – że jesteśmy sobie przeznaczeni.
- Też tak uważam – odpowiada pośpiesznie. I to prawda. Rzeczywiście tak uważa.
- Jesteś pewna? – pyta, zwracając się w jej stronę.
- Tak, jestem pewna.

Odsuwa się i patrzy na nią uważnie.

- To nie jest coś, do czego cię zmuszał? Żebyś się rozbierała?

Potrząsa głową, uświadamiając sobie, że Thomas też ma przed oczami obrazy, przy czym jego wizje są gorsze, jako najgorsze z możliwych. To, co wyimaginowane, zawsze jest gorsze od rzeczywistości.

Linda krzyżuje ręce i ściąga sweter. Rozpina stanik i zsuwa go z ramion, czując się bardziej obnażona niż kiedykolwiek. Unosi biodra, żeby mógł zdjąć jej spódnicę. Słyszy, jak Thomas łapie powietrze.

- Linda – mówi.

Delikatnie, jakby dotykał posągu w galerii, przesuwa palce od jej szyi aż po uda. I ona też gwałtownie chwytą powietrze.

- Tak jest lepiej – mówi.

Przenoszą się na tylne siedzenie. Na zewnątrz nadal panuje zima, lecz wewnątrz samochodu wypełnione jest parą i gorącymi oddechami. Jak kokon, odseparowany od świata.

Linda sądziła, że ból rozkoszy jest wszystkim, co istnieje. To zdawało się wystarczać: pocałunki, dotyk i tajemnicza wilgoć, którą zanosila do domu. Ale tego popołudnia, w samochodzie, nareszcie rozumie, czym naprawdę jest ten ból: wysiłkiem ciała dążącego do kulminacji.

Leżą na tylnym siedzeniu, splatając ugięte nogi. Pod ciałem Thomasa jest jej ciepło, on jednak sięga po płaszcz i narzuca go na plecy.

Odgarnia jej włosy z twarzy.

- W porządku? – pyta.
- Wszystkie jest takie nowe – odpowiada Linda. – Wszystko.

- Zawsze będziemy razem – mówi Thomas.

- Tak.
- Nic nas nie rozdzieli.
- Nie.
- Podobało ci się?
- Bardzo.
- Nie bałaś się?

– Trochę.

Thomas bierze butelkę z przedniego siedzenia i unosi się, aby się napić.

– Chcesz teraz? – proponuje.

Linda waha się tylko przez chwilę. – Co to jest?

– Szkocka.

Alkohol pali jej przełyk i natychmiast rozgrzewa żołądek. Pije kolejny łyk, po czym podaje Thomasowi butelkę. Linda czuje, jak szkocka uderza jej do głowy.

– Zdenerwowało cię to? – pyta.

– Co?

– To, że nie jestem... no wiesz. – Nie jest w stanie wypowiedzieć tego na głos.

– Dziewicą?

– Tak – szepcze z ulgą.

– Nie.

– To, co ci się przytrafiło, nie musi na dobre zmieniać twojego życia – mówi Thomas.

– To zmieniło moje życie na dobre.

Ubierają się niezdarnie na tylnym siedzeniu. Potem wychodzą z samochodu, żeby się przesiąść do przodu – kolejna komiczna czynność.

– Będziemy mieli dzieci – oznajmia ku jej zaskoczeniu Thomas.

– Tak myślisz?

– Naprawdę lubię Jacka.

– Dobrze.

– Ile? – pyta Thomas.

– Nie wiem. Troje albo czworo.

– Myślałem o siedmiu lub ośmiu.

– Thomas.

Pochyla się nad kierownicą.

– Pogładzisz mnie palcami po plecach? – pyta.

– Tak?

– Po całych.

– Tak dobrze?

– Tak – odpowiada z westchnieniem. – Wspaniale.

– Czuję się taka szczęśliwa – mówi Linda. – Tak bajecznie szczęśliwa.

– Dlatego, że się poznaliśmy?

– Tak.

– To naprawdę cud.

– Muszę cię o to zapytać – odzywa się Thomas, kiedy z powrotem wjeżdżają na nadbrzeżną trasę. Prowadzi może trochę szybciej niż przedtem – może trochę za szybko.

– Dobrze.

– Dlaczego do tego dopuściłaś?

Linda na chwilę przymyka oczy, myśląc usilnie. Wie, że musi spróbować na to odpowiedzieć.

– Nie wiem – zaczyna. – Zawsze trochę nie pasowałam do reszty... – Urywa. – Rozumiesz, tu nie chodzi o żadną wymówkę. To jedynie wyjaśnienie.

– Rozumiem.

– Przy ciotce i kuzynach, nawet tych, którzy traktowali mnie przyzwoicie, zawsze byłam na uboczu. Pewnie można by to nazwać uprzejmością dla służącej. Natomiast on był inny. Może to żalodne, ale przy nim czułam się jakoś szczególnie. Zawsze miał dla mnie prezenty.

Zamilkła ze świadomością tego, jak to zabrzmiało. Rzeczywiście żalownie.

– Chyba na początku litował się nade mną i próbował mi to jakoś wynagrodzić. Zabierał mnie do kina i do miasta.

– Robił to z Eileen?

– Dawniej uważałam, że nie. Teraz już nie jestem taka pewna. – Zastanawia się nad pierwszym pytaniem. – Najbardziej szczerą odpowiedź jest taka, że zrobiłam to, aby zwrócić na siebie uwagę. Rozpaczliwie brakowało mi czyjejś uwagi. I chyba nadal brakuje.

– Jak każdemu.

Thomas włącza radio, co mu się rzadko zdarza. Śpiewa głośno i fałszuje; Linda się uśmiecha i opiera wygodniej o siedzenie. Nie może uwierzyć we własne szczęście. Ma Thomasa i widzi przyszłość przed sobą – lata nieograniczonych możliwości. Słońce zachodzi nagle, roztaczając cienie na ścianach domów. Temperatura spada i dziewczyna sięga po płaszcz.

– Kocham cię – mówi, gdy wjeżdżają w ostry zakręt.

I to prawda. Wie, że będzie go kochać przez całe życie.

Dziecko, pięcio-, a może sześcioletnia dziewczynka, siedzi na trójkołowym rowerku pośrodku szosy. Widząc nadjeżdżającego skylarka, podnosi rowerek i biegnie na pobocze.

Sytuacja rozgrywa się w przeciągu kilku sekund i jest nieco komiczna. Zdziwienie na buzi dziewczynki, usta ułożone w literę O, rozsądna decyzja zabrania rowerka, truchcik w bezpieczną strefę pobocza. I gdyby Linda i Thomas pojechali dalej, początkowa zgroza ustąpiłaby miejsca rozbawieniu, a szkocka zamieniłaby śmiech w niepohamowany chichot.

Ale nie jadą dalej.

Thomas wciska hamulec i gwałtownie skręca, żeby ominąć dziewczynkę. Linda krzyczy. Na wprost widać słup telefoniczny i drzewo. Thomas szarpie kierownicą, samochód wyskakuje z wąskiej drogi i tylne koło wpada do rowu.

Wszystko dzieje się tak szybko.

Na chwilę wzbijają się w powietrze – jest to ostatnia chwila świadomości Lindy – i kiedy zarówno czas, jak i skylark koziółkują w styczniowe popołudnie, dziewczyna widzi nie przeszłość, jak zwykle bywa w takich wypadkach, lecz przyszłość: nie życie, które minęło, lecz to, które mogłaby przeżyć.

Chatę na polu chryzantem w dalekim kraju.

Małego chłopca o wyniszczonej chorobą twarzy.

Biały pokój z uroczymi oknami i stołem pośrodku.

Syna o imieniu Marcus, delikatniejszego i wrażliwszego niż jego siostra.

Pomarańcze rozsypane na kuchennej podłodze.

Pokój hotelowy z lustrem i własną postarzałą twarz.

Samolot wynurzający się z obłoków.

Przyjęcie dla uczczenia nagrodzonej książki.

Dom na plaży – wytworny i piękny – z mężczyzną siedzącym na ganku.

Skylark stacza się ze skarpy, szyby wpadają do środka. Linda wyciąga rękę do Thomasa i wypowiada jego imię.

Thomas. Jej ukochany Thomas. Który napisze zbiór wierszy o Magdalenie i otrzyma nagrodę, utraci dziecko i – tuż przed czwartą pewnego sobotniego popołudnia w Toronto – odbierze sobie życie, kiedy brzemień osobistych strat wreszcie stanie się nie do zniesienia.

Najpierw jednak pozna bezlitosne światło równika, miłość istniejącą tylko w jego wyobraźni oraz wieczną próbę zawarcia w słowach niezliczonych możliwości nieprzeżytego życia.